

ROK XX Seria II

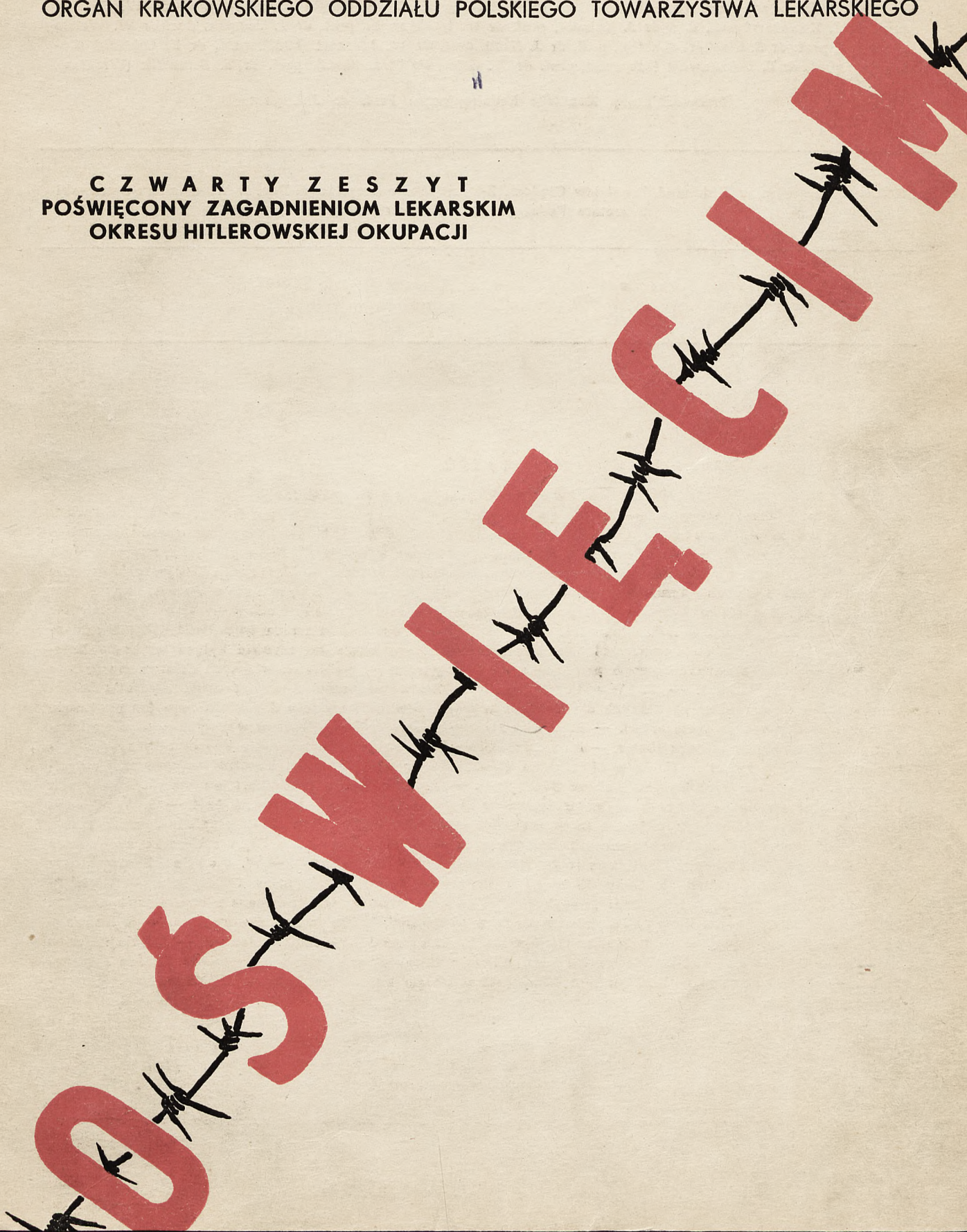
KRAKÓW

Nr 1 1964

PRZEGLĄD LEKARSKI

ORGAN KRAKOWSKIEGO ODDZIAŁU POLSKIEGO TOWARZYSTWA LEKARSKIEGO

CZWARTY ZESZYT
POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM LEKARSKIM
OKRESU HITLEROWSKIEJ OKUPACJI



Komitet Redakcyjny: Prof. dr J. Chlebowski (Białystok), prof. dr M. Górski (Gdańsk), prof. dr W. Fejkiel, prof. dr J. Kowalczykowa, doc. dr J. Kobiela, prof. dr W. Mikułowski, prof. dr T. Tempka, doc. dr W. Wcisło (Kraków), prof. dr S. Liebhart (Lublin), prof. dr J. Grott, prof. dr W. Markert (Łódź), prof. dr K. Gibiński (Rokitnica), prof. dr E. Gorzkowski (Szczecin), prof. dr W. Orłowski (Warszawa), prof. dr E. Szczeklik (Wrocław)

Przewodniczący Komitetu Redakcyjnego: Prof. dr J. Bogusz

Redaktor naczelny: Prof. dr med. Bronisław Giedosz, Z-ca redaktora naczelnego: Doc. dr Włodzimierz Ostrowski
Sekretarz Redakcji: Lek. Czesław Szmigiel

Adres Redakcji: Kraków, ul. Czysza 18, tel. 339-47
Wydawca: Państwowy Zakład Wydawnictw Lekarskich — Warszawa, ul. Długa 38/40

TREŚĆ

Do towarzystw lekarskich w kraju i za granicą.

J. Bogusz: Słowo wstępne. — A. Kępiński: Oświęcimskie refleksje psychiatry. — M. Orwid, A. Szymusik, A. Teutsch: Cel i metoda badań psychiatrycznych byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. — A. Teutsch: Reakcje psychiczne w czasie działania psychofizycznego stresu u 100 byłych więźniów w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka. — M. Orwid: Socjopsychiatryczne następstwa pobytu w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka. — A. Szymusik: Astenia poobozowa u byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. — R. Leśniak: Zmiany osobowości u więźniów obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka. — A. Gawalewicz: Numer wraca do nazwiska. I. Finał „epopei lagrowej”. — H. Wieliczanski: Spostrzeżenia nad obecnym stanem zdrowia byłych więźniów hitlerowskich. — F. Blaha: W sprawie patogenezy miażdżycy tętnic (na podstawie własnych obserwacji w obozie koncentracyjnym Dachau). — F. Walter: Zmarli podczas wojny profesorowie i docenci Wydziału Lekarskiego UJ. — O staraniach czynionych dla uwolnienia profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego (na podstawie relacji członków rodzin profesorów). — Z. Albert: Zamordowanie 25 profesorów wyższych uczelni we Lwowie przez hitlerowców w lipcu 1941 r. — R. Szuszkiewicz: Dentystryka w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. — J. Kiwała: Kuchnia dietetyczna (Dietküche) w szpitalu obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. — J. Zielińska: Blok 9 szpitala obozu Oświęcim I. — O. Wolken: Komentarz do statystyki chorych i zmarłych w obozie — „kwarantannie” w Brzezince za okres od 20. IX. 1943 do 1. XI. 1944. — O. Wolken: Z zagadnień losu Żydów w Oświęcimiu (wymieralność). — S. Kłodziński: Z zagadnień „gospodarczej” eksploatacji zwłok ludzkich w Niemczech hitlerowskich. — S. Kłodziński: Zbiór szkieletów żydowskich dla uniwersytetu III Rzeszy w Strasburgu (z działalności prof. dr Augusta Hirta). — W. Fejkel: Eksperymenty dokonywane przez personel sanitarny SS w głównym obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. — S. Kłodziński: Z zagadnień ludobójstwa: „sterylizacja” i kastracja promieniami Roentgena w obozie oświęcimskim. Dr Horst Schumann. — A. Kopyciński: Orkiestra w oświęcimskim obozie koncentracyjnym. — S. Szmalewska: Sylwetki lekarzy — więźniów Oświęcimia. E. Lings: Dr Adelajda Hautval. — T. Hołuj: Marian Toliński. — S. Kłodziński: Rola trucizn jako „ultimum refugium” w obozie w Oświęcimiu. Dr Jan Zygmunt Robel. — E. Brzezicki: Prof. dr Jan Miodoński w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen. Wspomnienie pośmiertne.

PRZEGŁĄD LEKARSKI

ORGAN KRAKOWSKIEGO ODDZIAŁU POLSKIEGO TOWARZYSTWA LEKARSKIEGO

Czwarty zeszyt
poświęcony zagadnieniom lekarskim
okresu hitlerowskiej okupacji

wydany staraniem
Krakowskiego Oddziału Polskiego Towarzystwa Lekarskiego,
Zarządu Głównego Związku Bojowników o Wolność i Demokrację
i Krakowskiego Klubu Oświecimskiego ZBoWiD,
przy współpracy Międzynarodowego Komitetu Oświecimskiego

ZREDAGOWALI:

PROF. DR J. BOGUSZ
DR ST. KŁODZIŃSKI
DOC. DR A. KĘPIŃSKI
MGR J. MASŁOWSKI

Biblioteka Jagiellońska



1001243602

Do Towarzystw Lekarskich w kraju i za granicą

Krakowski Oddział Polskiego Towarzystwa Lekarskiego podjął inicjatywę naukowego opracowania zagadnień lekarskich związanych z dziejami hitlerowskiej okupacji, hitlerowskich obozów koncentracyjnych, a przede wszystkim największego i najstraszliwszego obozu zagłady Oświęcimia-Brzezinki, osławionego pod oficjalną nazwą *Konzentrationslager Auschwitz-Birkenau*. Uważając to zadanie za moralny obowiązek, stwierdzamy jednocześnie, że powyższa tematyka ma wielką wagę naukowo-badawczą dla wszystkich dziedzin medycyny oraz poważne znaczenie praktyczne w leczeniu chorób ofiar obozów koncentracyjnych.

Towarzystwo nasze zainicjowało dotychczas prace nad następującymi tematami, z którymi zapoznało środowisko lekarskie w serii odczytów i artykułów.

- I. Badania psychologiczno-lekarskie;
- II. Zagadnienia prawnolekarskie;
- III. Materiały historyczno-dokumentarne.

Towarzystwo nasze apeluje do wszystkich Towarzystw Lekarskich w kraju i za granicą o podjęcie podobnych inicjatyw we wszelkich specjalnościach lekarskich, a zwłaszcza o zainteresowanie tą tematyką młodych naukowców. Będzie to hołd złożony rzeszy lekarzy i pracowników służby zdrowia wszystkich narodowości wymordowanych w hitlerowskich obozach, a jednocześnie jest to humanistyczne zadanie właściwe naszej nauce i naszemu zawodowi.

KRAKOWSKI ODDZIAŁ
POLSKIEGO TOWARZYSTWA LEKARSKIEGO

100596

III

— 20 — 1964



Bibl. Jag.
1964 C.F.O. 1155

JÓZEF BOGUSZ

Przewodniczący Krakowskiego Oddziału
Polskiego Towarzystwa Lekarskiego

Słowo wstępne

Niniejszy, czwarty z kolei zeszyt „Przeglądu Lekarskiego” poświęcony zagadnieniom lekarskim okresu hitlerowskiej okupacji oddajemy do rąk Czytelników w 19 rocznicę oswobodzenia hitlerowskiego obozu zagłady Oświęcim-Brzezinka. Założenia i cele wydawnictwa pozostają te same. Zostały one ogólnie określone w apelu „Do Towarzystw Lekarskich w kraju i za granicą”, który drukujemy ponownie na początku zeszytu.

Na treść czwartego zeszytu składają się a) opracowania naukowe psychiatryczne i internistyczne, stanowiące wyniki badań dotyczących następstw pobytu w obozach koncentracyjnych oraz następstw chorób obozowych, b) artykuły ważne pod względem dokumentarno-historycznym, c) sylwetki lekarzy i innych pracowników służby zdrowia zasłużonych w niesieniu pomocy więźniom obozów koncentracyjnych.

Ze szczególną radością witamy jako współautorów kolegów z innych krajów. Nasze apele nie pozostały bez echa. Po artykule prof. *Waitza* ze Strasburga, który opublikowany został w trzecim zeszycie (1a, 1963), w niniejszym zeszycie publikujemy artykuły prof. *Františka Blahy* z Pragi, dr *Elli Lingens* z Wiednia i dr *Ottona Wolkena* z Wiednia. W ten sposób treść zeszytu nabiera w całej pełni wyrazu międzynarodowej współpracy i braterstwa.

Cykl artykułów psychiatrycznych, opracowanych przez pracowników naukowych Kliniki Psychiatrycznej Akademii Medycznej w Krakowie, otwiera artykuł docenta dr *Antoniego Kępińskiego* pt. „Oświęcimskie refleksje psychiatry”. W swych rozważaniach autor, psychiatra, przeprowadza pewne analogie między życiem obozowym a życiem dzisiejszym. Wielkie korzyści postępu technicznego łączą się z niebezpieczeństwem technicznego spojrzenia na świat, tj. patrzenia na świat i ludzi przez pryzmat maszyny. A tymczasem człowiek nie chce być traktowany jak kółko w maszynie. Sfera uczuciowa, poczucie godności, wolności itd. pozostają zawsze niezmiennie ważne.

Autor dochodzi do wyraźnego wniosku, że w okresach najokrutniejszego zniewolenia i zdeptania godności człowieka, jakie cechowały życie obozowe, ci, którzy znajdowali się na granicy śmierci byli prawdziwie żywymi ludźmi, a ich prześladowcy nie byli żywymi ludźmi, lecz automatami, co jednak w niczym nie zmniejsza ich odpowiedzialności wobec prawa. Ale świat obozowych przeżyć, pełen cierpień przekraczających granice ludzkiej wyobraźni, zupełnie odmienny, pozostawił najczęściej pewien ślad na tych, co go przeżyli.

W artykule „Cel i metoda badań psychiatrycznych byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu” podają pracownicy

Kliniki Psychiatrycznej A. M. w Krakowie *Orwid*, *Szymusik* i *Teutsch* założenia metodyczne swych kompleksowych badań byłych więźniów Oświęcimia. Stosując możliwie największy obiektywizm i trzymając się jednolitej metodyki badania autorzy usiłują dojść do konkretnych określeń zmian i zaburzeń, jakie u byłych więźniów pozostawił nieludzki czas spędzony w obozie. W badaniach dotyczących następstw przeżyć obozowych najtrafniejsze chyba jest określenie pewnych zespołów. W związku z tym nie wydaje się najszcześniejsze dziś jeszcze używane określenie „astenia poobozowa”. Było to miano pomocne i może uzasadnione w pierwszych okresach po oswobodzeniu. Dziś jednak, w miarę precyzowania i uściślenia zespołów klinicznych, miano to jako zbyt szerokie i ogólnikowe powoli traci swą rację bytu.

Dr *Aleksander Teutsch* przeprowadza badania dotyczące reakcji psychicznych w czasie pobytu w obozie. Dr *Maria Orwid* w swym studium pt. „Socjopsychiatryczne następstwa pobytu w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka” docieka, jakie to czynniki wpływały na trudności przystosowania się do późniejszego życia po uwolnieniu. Dr *Adam Szymusik* w artykule „Astenia poobozowa u byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu” omawia poszczególne zespoły chorobowe jako następstwa pobytu w obozie, przy czym pojęcie „astenia poobozowa” ulega słusznemu znacznemu zacieśnieniu. Dr *Roman Leśniak* w krótkim doniesieniu wstępnym pisze o zmianach osobowości u byłych więźniów Oświęcimia.

Prace te są dalszym rozwinięciem badań autorów zapoczątkowanych przed kilku laty. Wstępne doniesienia pojawiły się w zeszytach Przeglądu Lekarskiego — Oświęcim, pierwszym (1a, 1961) i drugim (1a, 1962).

Dr praw *Adolf Gawalewicz* został aresztowany za pracę konspiracyjną 16. IX. 1940 r. w Krakowie. Po pobycie w więzieniu przy ul. Montelupich, dnia 8. I. 1941 r. przewieziono go do Oświęcimia. Tu jako „wczesny numer” (9 225) przeżył 3 i 1/2 lat. 23. VI. 1944 r. wraz z transportem ewakuowany był do obozu w Buchenwald, Dora, a od połowy lipca 1944 r. do Ellrich w Turynii. Tu pracował w podziemnej fabryce w górach Harzu produkującej tajemniczą broń Vz. 1. IV. 1945 r. nastąpiła ewakuacja. Od 1 do 8. IV. 1945 r. jechał transportem kolejowym bez jedzenia i bez wody. Ze 100 więźniów wtłoczonych do wagonu pozostało przy życiu 36. 8. IV. 1945 r. przybył do Bergen-Belsen. Przez następny tydzień więźniowie przebywali dalej w zupełnym głodzie do 15. IV. 1945 r., tj. do dnia wyzwolenia przez wojska angielskie.

Kiedy po oswobodzeniu z końcem kwietnia 1945 r. znajdzie się w baraku szpitalnym, a później w angielskim szpitalu w dawnych zabudowaniach koszarowych w Bergen-Belsen, napisze: „Po pięciu latach leżę na prawdziwym łóżku, pościel ze śnieżno-białej masy papierowej. Nie słysząc żadnych wrzasków, nie ma piętrzących przyz. Zmęczony transportem, a chyba jeszcze bardziej tak gwałtowną zmianą warunków, wpadam w głęboki, spokojny sen. Budzi mnie z niego dopiero pytanie, które nie mogę sobie wyobrazić, że jest do mnie — spowinowatego, nędznego ochłapa, skierowane. Łagodny, melodyjny, kobiecy głos dźwięczy polską mową: „może PAN napije się herbaty?” Długo nie otwieram oczu, bo i po co? Na pewno umarłem i mimo wszystko dostałem się do nieba.”

I tak po „finale epopei lagrowej” powoli „numer wraca do nazwiska”.

Wstrząsająca opowieść *Gawalewicz*a napisana jest z wyjątkową wrażliwością i wnikliwością psychologiczną. Można ją uważać za dalszą część artykułu „Poczekalnia do gazu — Fragmenty wspomnień muzułmanina” opublikowanego w trzecim zeszycie *Przeglądu Lekarskiego* (1a, 1963). Dr *Gawalewicz* tam już dał się poznać jako autor świetnego studium psychologicznego. Wydaje się, że te artykuły, choć pozornie o charakterze wspomnieniowym czy historyczno-dokumentarnym, w pełni pretendować mogą do opracowań psychologicznych, z których pełnymi garściami czerpać będą psycholodzy i psychiatrzy. W piątym zeszycie, jaki wyjdzie w r. 1965, opublikowana będzie dalsza część artykułu „Numer wraca do nazwiska”. W zestawieniu z artykułami naszych psychiatrów artykuły *Gawalewicz*a nabierają szczególnego znaczenia.

Dr *Henryk Wieliczanski* został aresztowany w Warszawie 8 stycznia 1943 r. za pracę w Polskim Ruchu Oporu. Po uwięzieniu na Pawiaku przeszedł przez obozy koncentracyjne Majdanek, Oświęcim, Flossenbürg i Nossen. Wiosną 1945 r. uciekł z transportu więziennego i na terenie Czechosłowacji utworzył z grupy zbiegłych więźniów hitlerowskich oddział partyzancki. W połowie r. 1945 powrócił do kraju. Obecnie pracuje jako ordynator Oddziału Chorób Wewnętrznych Szpitala im. dr Heleny Wolf w Łodzi.

W swej pracy pt. „Spostrzeżenia nad obecnym stanem zdrowia byłych więźniów hitlerowskich” przedstawia wyniki obserwacji grupy byłych więźniów hitlerowskich zamieszkających w Łodzi. Witamy z radością artykuł dr *Wieliczanskiego* będący wynikiem badań prowadzonych w środowisku łódzkim. Niniejszy artykuł jest doniesieniem wstępnym będącym zapowiedzią dalszych, bardziej wnikliwych badań, które zostaną opublikowane w następnym zeszycie.

Prof. *František Blaha*, były długoletni więzień obozu koncentracyjnego w Dachau, obecnie dyrektor Instytutu Higieny Społecznej Uniwersytetu Karola w Pradze, opracował na podstawie własnych spostrzeżeń w Dachau przyczynek do patogenezy miażdżycy tętnic.

Zdaniem jego byłoby uproszczeniem prowadzenie zagadnienia patogenezy i profilaktyki miażdżycy tylko do spraw dotyczących żywienia. Chodzi tu, zdaniem autora, o kompleksowe bardzo złożone czynniki. Ciekawe studium prof. *Blahy* poprzedzone jest uwagami dotyczącymi życiorysu autora.

Z kolei idzie cykl artykułów o charakterze opracowań dokumentarno-historycznych.

Trzy artykuły dotyczą zbrodni popełnionych na profesorach Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie i profesorach wyższych uczelni we Lwowie. W trzecim zeszycie (1a, 1963) zostały opublikowane artykuły trzech byłych więźniów obozu w Sachsenhausen: profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego *Miodońskiego*, *Brzezickiego* i *Skowrona* oraz lista osób aresztowanych w dniu 6. XI. 1939 r. w gmachu Uniwersytetu Jagiellońskiego.

W niniejszym zeszycie publikuje się artykuł prof. *Waltera* o zmarłych podczas okupacji profesorach i docentach Wydziału Lekarskiego UJ. Ponadto członkowie rodzin uwięzionych i osadzonych w obozie w Sachsenhausen profesorów UJ relacjonują krótko o swych staraniach czynionych dla uwolnienia tychże. Wyśiłki czynione w Krakowie musiały być bezskuteczne. Gestapo było oczywiście głuche na wszelkie prośby. Główne starania poszły mimo szczelnego muru, jakim hitlerowcy otoczyli Polskę, przez zagranicę, zwłaszcza przez Włochy. Szczególnie cennych informacji w tym względzie dostarcza relacja prof. UJ *Władysława Konopczyńskiego*, którą publikujemy wspólnie z relacją rodzin. Głębokie wrażenie wywiera postawa zajęta przez *Del Croix*, prezesa Związku Inwalidów z I Wojny Światowej w Rzymie, pozbawionego wzroku, obu nóg i ręki. Można przypuszczać, że obok innych starań interwencja *Del Croix* odegrała w uwolnieniu profesorów niepoślednią rolę.

Ponieważ wywiezienie profesorów UJ z Krakowa do Rzeszy i osadzenie ich w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen pociągnęło za sobą wiele „kłopotów” dla władz hitlerowskich (*Przegląd Lekarski*, 1a, 1963, str. 37), przeto po zajęciu Lwowa w r. 1941 władze te postanowiły rozprawić się inaczej z profesorami wyższych uczelni, a mianowicie działać krótko i tak, by wszelka interwencja była w ogóle niemożliwa. O zamordowaniu 25 profesorów lwowskich relacjonuje prof. *Zygmunt Albert*, kierownik Zakładu Anatomii Patologicznej we Wrocławiu, w owym czasie pracownik naukowy Lwowskiego Zakładu Anatomii Patologicznej, na podstawie źródłowych wiadomości, zaczerpniętych od rodzin zamordowanych.

Dr *Roman Szuszkiewicz*, lekarz-stomatolog z Tarnowa, został aresztowany za działalność konspiracyjną przez gestapo 21. XI. 1941 r. a następnie 28. XII. 1941 r. wywieziony do obozu w Oświęcimiu, gdzie przeżył 3 lata. W styczniu 1945 r. ewakuowany z transportem z Oświęcimia do Mauthausen, skąd został 5 maja 1945 r. uwolniony. W swym artykule „Dentystyka w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu” daje ciekawy przyczynek historyczny do działalności szpitala obozowego.

Były oświęcimiak *Julian Kiwała* podaje ciekawe dane dotyczące tzw. „kuchni dietetycznej w szpitalu obozu w Oświęcimiu”.

Dr *Jan Zielina* z Cieszyna opowiada o „bloku 9 szpitala obozu Oświęcim I”, który miał być blokiem rehabilitacyjnym (*Schonungsblock*), zapewniającym powrót do zdrowia. Oba pojęcia były oczywiście tylko fikcjami. Rzeczywistość była zupełnie inna. Dr *Zielina* został aresztowany w Łodzi w r. 1942 za przynależność do tajnej organizacji Śląska Cieszyńskiego.

Zesłany do Oświęcimia początkowo pracował fizycznie, później jako lekarz. W styczniu 1945 r. wywieziony do Stuttgartu, skąd w czasie ewakuacji obozu w marcu 1945 r. uciekł. Został wyzwolony przez wojska radzieckie w Pucku. Obecnie pracuje jako kierownik Zakładu Anatomii Patologicznej szpitala w Cieszynie.

Dwa artykuły napisane zostały przez dr *Ottona Wolkena* z Wiednia. Urodzony w Wiedniu, tamże studiował medycynę. Po *Anschlussie* aresztowany w marcu 1938 r. za działalność socjalistyczną. Po różnych więzieniach i obozach przewieziony do Oświęcimia, gdzie przebywał od 3. VII. 1943 r. do 27. I. 1945 r. Wraz z około 80 innymi więźniami został przekazany z głównego obozu do zagazowania do Brzezinki. W ostatniej minucie wywołany przez przyjaciela jako lekarz uniknął śmierci. Po kilku tygodniach został zatrudniony jako lekarz w ambulatorium obozu męskiego „Kwarantanna” w Brzezince. Ta część obozu była oznaczona symbolem B II a. *Wolken* pełnił tam ponadto funkcje pisarza (*Schreiber*). Prowadził księgi zmarłych, listy transportów, raporty codzienne, tygodniowe, miesięczne, kwartalne oraz roczne itd. W tych listach czynił na własną rękę różne dopiski, z których mógł później wysnuć wnioski, ile osób z każdego transportu zostało zagazowanych. Kiedy przy likwidacji „Kwarantanny” został wydany rozkaz oddania wszystkich zapisów, odniósł sporo kart. Zostały one natychmiast bez żadnego sprawdzenia spalone. Wobec tego dr *Wolken* postanowił księgi i inne zapiski umieścić w blaszanej puszcze i zakopać pod blokiem. Miał nadzieję, że kiedyś te dokumenty zostaną przez kogoś odnalezione.

16 stycznia 1945 r. dr *Wolken* ukrył się i nie wyruszył wraz z pieszym transportem ewakuacyjnym z Oświęcimia. Było 15° poniżej zera, wysoki śnieg, a waga jego wynosiła zaledwie 38 kg. Zdawał sobie sprawę z tego, że jeśli nie będzie mógł maszerować, zostanie zastrzelony. Dlatego sądził, że będzie lepiej, jeśli zginie na miejscu w obozie, niż żeby miał jeszcze męczyć się do ostatniej minuty na śniegu i mrozie. Szczęśliwy los zrządził jednak inaczej. Utrzymał się przy życiu i stał się znowu właścicielem swych notatek, które przedstawiają światu część tego, co działo się w Oświęcimiu.

Oba opracowania statystyczne dr *Wolkena* „Komentarz do statystyki chorych i zmarłych w obozie „Kwarantanna” w Brzezince za okres od 20. IX. 1943 r. do 1. XI. 1944 r.” oraz „Z zagadnień losu Żydów w Oświęcimiu” posiadają

wagę autentycznych dokumentów o wielkim znaczeniu.

Dr *Stanisław Kłodziński*, były długoletni więzień Oświęcimia, w artykule pt. „Z zagadnień gospodarczej eksploatacji zwłok ludzkich w Niemczech hitlerowskich” publikuje dwa ważne dokumenty i na ich tle wykazuje, na jakie drogi względnie na jakie zbrodnicze bezdroża wkraczała „nauka lekarska” w hitlerowskiej Rzeszy.

Oto dla uzyskania stopnia doktora w uniwersytecie wrocławskim w r. 1940 posłużyła rozprawa, której tematem jest ponowne użytkowanie ze zwłok ludzkich złota do leczenia uzębienia. Zbrodnie popełniane w obozach posłużyły zatem jako tematy „naukowych rozpraw”. Było to zaiste „świeże” tchnienie nauki lekarskiej. Rozprawa, o której mowa, znajduje się w oryginale w Muzeum Historii Medycyny A. M. w Krakowie. Opublikowanie tej rozprawy może być przydatne zwłaszcza dla kół lekarskich w USA, gdzie wciąż jeszcze nie dowierza się, iż niemiecka nauka lekarska w okresie hitleryzmu była na usługach zbrodni i gdzie odnośne publikacje z naszej strony uważa się niejednokrotnie za fałszywe chwytły propagandowe.

Drugi swój artykuł poświęca dr *Kłodziński* zbrodniczym eksperymentom wykonywanym przez dr *Horsta Schumanna* w Oświęcimiu. O eksperymentach personelu SS pisze też prof. *Fejkel*.

Artykuł ten oparty na dokumentach jest tym ważniejszy i tym bardziej aktualny, iż dr *H. Schumann* do dzisiejszego dnia żyje na wolności, pracując kolejno w Sudanie, Nigerii, a ostatnio w Ghanie. Wszelkie żądania i apele o ekstradycję, jak dotąd, pozostały bez skutku. Szeroka opinia społeczna domaga się postawienia go przed sądem.

Ten sam autor w trzecim artykule omawia dokumenty dotyczące działalności hitlerowskiego profesora anatomii *Augusta Hirta*.

Adam Kopyciński porusza zagadnienie, o którym dotąd istniały tylko luźne wzmianki. Wiadomo, że hitlerowskie władze obozu w Oświęcimiu nakazały utworzyć orkiestrę złożoną z więźniów, której zadaniem było grać, kiedy grupy robocze wymaszerowywały do swej ciężkiej, wyniszczającej pracy i kiedy powracali do obozu. Orkiestra złożona częstokroć ze szkieletów ludzkich przygrywała szkieletom ludzkim przeżywającym często swój ostatni dzień. Był to prawdziwie szatański pomysł. Czym jednak stała się możliwość muzykowania dla więźniów, wśród których znalazło się wielu doskonałych artystów, jaki był wpływ muzyki na tych, których los zepchnął na samo dno, opowiada znakomity muzyk *Adam Kopyciński*, który przeżył w obozie kilka lat, a obecnie jest dyrektorem i głównym dyrygentem Państwowej Opery oraz rektorem Wyższej Szkoły Muzycznej we Wrocławiu.

Cykl artykułów poświęconych niekiedy postaciom lekarzy i innych pracowników służby zdrowia, którzy zasłużyli się w niesieniu pomocy więźniom obozów, otwiera artykuł Sewe-

ryny *Szmaglewskiej* „Sylwetki lekarzy-więźniów Oświęcimia”. Nasza znakomita pisarka, autorka jednej z najpiękniejszych książek o Oświęcimiu „*Dymy nad Birkenau*”, nakreśliła krótko a przejmująco pracę i los kilku lekarek-więźniarek, z którymi spotykała się w czasie swego pobytu w obozie. Znajdziemy tu wspomnienia o dr *Stefanii Kościuszko*, dr *Garlickiej*, dr *Węgierskiej*, dr *Jasińskiej*, dr *Zaence* (Czeszka), dr *Łaniewskiej*, dr *Zbożeniu*.

Sama autorka została aresztowana przez hitlerowców 18 lipca 1942 r. w Piotrkowie Trybunalskim za pracę konspiracyjną. 6 października 1942 r. wywieziono ją do Oświęcimia. Już następnego dnia przydzielona została do bardzo ciężkiej fizycznej pracy takiej, jak budowa drogi w lesie do późniejszych krematoriów, montowanie kolei wąskotorowej na terenie późniejszego lazaretu dla SS-manów, ładowania żwiru na „lory” i przewóz na szynach ułożonych poprzednio przez więźniarki. Wstrząsające obrazy tej nieludzkiej pracy zawarte w pierwszym rozdziale „*Dymów nad Birkenau*” pt. „*Arbeit, Arbeit, Arbeit*”, to wierny opis tych pierwszych przeżyć. Już 28 października 1942 r. *Szmaglewska* zachorowała na dur osutkowy. Drugi rozdział „*Dymów*” pt. „*To tylko grypa*” jest znowu wiernym odbiciem tego ciężkiego okresu. Wrażenie u czytelnika tym większe, że wszystko pisane jest bezosobowo, jak o innych ludziach.

Natychmiast po wyzdrowieniu w grudniu 1942 r. wędrowka z łopatą do kopania rowów. Codzienny marsz kilkanaście kilometrów i praca na mrozie. W późniejszych okresach dotknęła ją ciężka choroba oczu. Z Oświęcimia wyszła 18 stycznia 1945 r. transportem zmierzającym na zachód. Po dwóch dniach marszu zdołała uciec, kładąc się w nocy na śniegu pod białym prześcieradłem.

Bezpośrednio po powrocie z obozu zaczęła pisać. „*Dymy*” wyszły drukiem już 4 grudnia 1945 r. jako czwarta książka Czytelnika. W lutym 1946 r. składała zeznania przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norimberdze jako świadek oskarżenia przeciwko zbrodniarzom hitlerowskim.

Dla lekarzy niewątpliwie szczególne znaczenie ma ocena i charakterystyka ich pracy podana przez nielekarza, człowieka o bystrym zmyśle obserwacyjnym, opierającego swe uwagi jedynie na bezpośrednio stwierdzonych faktach. Wysoka ocena pracy lekarskiej wykonywanej w najtrudniejszych i najbardziej niebezpiecznych warunkach stanowi piękny wyraz uznania zarówno dla tych, którzy zginęli, jak i dla tych, co zdołali przeżyć.

Dr *Ella Lingens* z Wiednia poświęca wspomnienie lekarce francuskiej dr *Adelajdzie Hautval*. Kilka słów o autorce, która losy związały szeregiem węzłów z Polakami. Dr *Lingens* była obywatelką jugosłowiańska, urodzona i stale zamieszkałą w Wiedniu. W r. 1931 uzyskała doktorat praw. Zawodu prawnika nie mogła jednak wykonywać z powodu kryzysu i odmowy nadania jej obywatelstwa austriackiego.

Studiowała z kolei medycynę. W r. 1938 przez

małżeństwo z lekarzem z Düsseldorfu nadano jej obywatelstwo niemieckie. 13 października 1942 r., gdy miała już prawie ukończone studia lekarskie (z 15 egzaminów pozostał jeszcze tylko jeden), zostaje aresztowana przez gestapo. Przyczyna aresztowania: niejaki *Jurkowski* z Warszawy powiadomił ją, że kilku jej przyjaciół Żydów żyjących w Polsce prosi o pomoc w ucieczce za granicę. *Jurkowski* mieszkał u niej nielegalnie przez kilka dni. Ustalono z nim plan ucieczki dla około 10 osób, które miały być przerzucone przez jej dom w Wiedniu.

Przy pierwszym przesłuchaniu w gestapo zarzucano jej współdziałanie z polskim Ruchem Oporu, później jednak sprawę przekazano referatowi dla spraw żydowskich, jako „*reine Judensache*”. Zdrajcą okazał się szpicel żydowski, członek „*Jupo*” (żydowska policja), będący na usługach gestapo. Poprzednio pomógł on jednemu jej przyjacielowi Żydowi w ucieczce. Ucieczka udała się, co zostało stwierdzone. Tym razem jednak zdradził. Epizod ten wykazuje, jak bardzo trudna w owym czasie była jakakolwiek działalność niemieckich antyfaszystów.

Po czteromiesięcznym pobycie w więzieniu w Wiedniu dr *Lingens* została 20 lutego 1943 r. przewieziona do Oświęcimia. Jako numer 36088 pracowała w rewirze i w różnych jego blokach. Przez rok mieszkała w małym pokoiku z polskimi lekarkami: dr *Kościuszkową*, *Białówną*, *Łaniewską*, *Chojnacką*, *Michalikową*, z którymi bardzo zaprzyjaźniła się. 1 grudnia 1944 r. przewieziona do obozu w Dachau, gdzie 29 kwietnia 1945 r. została uwolniona przez wojska amerykańskie.

Od r. 1946 posiada obywatelstwo austriackie. W r. 1948 uzyskała tytuł specjalisty fizjologa. Od tego czasu pracuje w publicznej służbie zdrowia, a od r. 1958 w Ministerstwie Spraw Społecznych, w dziale chorób społecznych, mianowicie w dziale gruźlicy, alkoholizmu i zdrowia psychicznego. W r. 1960 dzięki jej inicjatywie zostało 10 byłych polskich więźniów Oświęcimia, chorych na gruźlicę, zaproszonych do Austrii. Spędzili oni 6 miesięcy w austriackich sanatoriach na kuracji.

Dr *Adelajda Hautval*, o której pisze dr *Ella Lingens*, wykazała w obozie niezwykłą odwagę, hart i godność. Nie wykonała wyraźnego rozkazu hitlerowskiego lekarza przeprowadzenia operacji bez wskazań lekarskich. Za to oczywiście groziła kara śmierci.

Tadeusz Hołuj, długoletni więzień obozu oświęcimskiego, świetny pisarz, autor jednej z najlepszych książek o Oświęcimiu pt. „*Koniec naszego świata*”, sprawujący godność sekretarza generalnego Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego, poświęca piękne wspomnienie osobie mór farm. *Mariana Tolińskiego*, który był kierownikiem ambulansowej apteki i laboratorium. Mamy tu znowu wysoką ocenę pracownika służby zdrowia napisaną przez nielekarza, co ma dla pracowników służby zdrowia szczególne znaczenie.

Dr *Stanisław Klodziński* kreśli sylwetkę dr

Jana Robla, znakomitego chemika, który odegrał niepoślednią rolę w niesieniu pomocy więźniom Oświęcimia i innym potrzebującym pomocy w okresie hitlerowskiej okupacji. Wreszcie prof. *Eugeniusz Brzezicki* poświęca niedawno zmarłemu znakomitemu laryngologowi i wspaniałemu człowiekowi prof. *Janowi Miodońskiemu* wspomnienie z okresu jego pobytu w Sachsenhausen.

ANTONI KĘPIŃSKI

Oświęcimskie refleksje psychiatry

(Z Kliniki Psychiatrycznej A. M. w Krakowie.
Kierownik: Prof. dr K. Spett)

Wbrew może nadziejom wielu ludzi Oświęcim, Hiroszima, japońska wojna bakteriologiczna — największe zbrodnie ostatniej wojny — nie zbladły pod wpływem lat, a ciężar odpowiedzialności, który obarcza nie tylko głównych winowajców, ale w pewnej mierze cały świat cywilizowany, nie stał się lżejszy.

Pytania „jak” i „dlaczego” zamiast słabnąć, natarczywie nasuwają się coraz większym rzeszom ludzi i nadal czekają na wyczerpującą odpowiedź. Jak mogło dojść do tego rodzaju zbrodni? Dlaczego ludzie potrafili tak się znęcać nad niewinnymi ofiarami i jak niektóre ofiary mogły te okrucieństwa wytrzymać? Jak zbrodnie ostatniej wojny odbiły się na bezpośrednich ofiarach, a także na tych, którzy zetknęli się z nimi tylko pośrednio? Innymi słowy: czy i jak zaciążyły one na dalszej historii jednostek i całej ludzkości? Nie wiadomo, czy uda się na te pytania w pełni odpowiedzieć, gdyż prawie każda próba odpowiedzi zahacza o najgłębsze i najbardziej istotne zagadnienia ludzkiego życia, a tych zwykle wyjaśnić się w całości nie da.

W jakimś sensie obowiązkiem psychiatry, który z natury swojej specjalizacji zajmuje się całościowym aspektem życia ludzkiego, jest próbować — choćby nieudolnie — odpowiedzieć na niektóre pytania. Zagadnienia te zresztą rzucają wiele nowego światła na naturę ludzką i rozszerzają tym samym horyzont psychiatryczny.

Uwagi stanowiące treść niniejszego artykułu mają charakter luźnych refleksji, a nie rozważań o charakterze naukowym, w przeciwieństwie do badań naukowych prowadzonych przez zespół krakowskich psychiatrów (*R. Leśniak, J. Mitarski, M. Orwid, A. Szvmusik, A. Teutsch*) nad problemami patopsychologicznymi obozu w Oświęcimiu.

Erich Fromm — socjolog i psychiatra amerykański, jeden z twórców tzw. szkoły kulturowej w psychiatrii — uważa, że charakterystyczną cechą współczesnej cywilizacji jest sprzeczność między konkretem a abstrakcją. Pod wpływem

Oddając niniejszy zeszyt w ręce Czytelników zespół redakcyjny składa wyrazy serdecznego podziękowania Autorom za nadesłanie swych prac oraz Państwowemu Zakładowi Wydawnictw Lekarskich za poczynienie wszelkich starań, by zeszyt ukazał się w terminie i w pięknej szacie graficznej.

wem technizacji otoczenie człowieka coraz bardziej oddala się od niego w sensie emocjonalnym, staje się dalekie i obce. Przykładem może być porównanie dawnych wojen, w których kontakt z wrogiem był bardziej bezpośredni, ze współczesną wojną techniczną, w której staje się on bezosobowy i bezemocjonalny. Lotnik, który bez najmniejszego wzruszenia przez naciśnięcie guzika uśmierca tysiące ludzi, może zapłakać z powodu straty swego ukochanego psa. Tysiące ludzi są dla niego abstrakcją, pies — konkretem.

Człowiek patrzy na otaczający go świat pod kątem swego oddziaływania na niego. W ten już sposób skonstruowany jest układ nerwowy, że percepcja wiąże się nierozdzielnie z aktywnością. Komórka nerwowa za pomocą wielu dendrytów przyjmuje różne informacje (impulsy) ze swego otoczenia, by na ich podstawie wysłać tylko jednym kanałem (aksonem) rozkaz do działania. Podstawowa jednostka fizjologiczna, łuk odruchowy, składa się z ramienia aferentnego i eferentnego. W ten sposób w samej strukturze układu nerwowego tkwi zamknięcie możliwości poznawczych organizmu w granicach jego działania.

Homo faber kształtuje swoje widzenie świata według narzędzia, którym ten świat zdobywa. Inaczej wyglądał świat otaczający, gdy w reku człowiek trzymał kamień czy maczugę, niż gdy posługuje się on skomplikowaną aparaturą techniczną.

Jednym z największych może niebezpieczeństw postępu technicznego obok wielu niezaprzeczalnych korzyści jest to, że widzi się świat technicznie, tj. przez pryzmat maszyny, którą ten świat się zdobywa. Maszyna staje się często ważniejsza od człowieka i uważana jest za wartościujące kryterium osiągnięć ludzkich. Otaczający świat staje się martwy, emocjonalnie obojętny, jeśli nie wrogi, można z nim robić, co się zechce, zależnie od aktualnych potrzeb. Ponieważ świat ludzki, to przede wszystkim świat społeczny, przeto w ten sposób patrzy się na poszczególnych ludzi i na spo-

leczeństwo. Człowiek jest częścią maszyny mniej lub więcej wydajną w pracy, potrzebującą od czasu do czasu wypoczynku lub reparacji. Wystarczy dodać trochę chemikaliów czy wykonać jakieś zabiegi, by ta część pracowała dalej. Społeczeństwo jest skomplikowaną maszyną, składającą się z milionów kółek i trybików (poszczególnych ludzi), które można odpowiednio nastawiać, sterować, usuwać. Nie trzeba dodawać, że tego rodzaju obraz świata ludzkiego, jak i w ogóle przyrody, nie jest prawdziwy.

Człowiek nie chce być uważany za kółko w maszynie, buntuje się przeciw temu jego poczucie wolności (Pawłowowski odruch wolności) a także potrzeba uczuciowego oddźwięku. Człowiek nie może być — jak część składowa maszyny — uczuciowo obojętny; musi on kochać i nienawidzić, a także być kochanym i nienawidzonym. Przy akceptacji technicznego spojrzenia na świat człowiek czuje się nie tylko samotny i opuszczony, ale też zagrożony; świat wydaje mu się niebezpieczny i wrogi.

Uczucie emocjonalnej izolacji budzi tęsknotę za silnym uczuciowym powiązaniem, stąd łatwość zespalania się odizolowanych jednostek w sztucznych grupach, służących takiemu czy innemu systemowi urojeniowemu. Tworzą się związki na śmierć i życie, w których dla „idei” wszystko się poświęca i w których poczucie, że się jest automatem, zostaje skompensowane wielkością „idei” i emocjonalną więzią grupową; bez swych „towarzyszy” byłoby się samotnym kółkiem, niczym. Dlatego też rozbitcie monolitycznej jedności grupy lub też zachwianie wiary w system urojeniowy prowadzi prawie momentalnie do rozproszkowania całej grupy; skomplikowana machina społeczna rozlatuje się na bezużyteczne trybiki i kółka, bo — jak każdy twór sztuczny — jest nietrwała.

W społeczeństwie „maszynowym” ginie poczucie odpowiedzialności, podstawowe — jak wiadomo — dla normalnego rozwoju człowieka; wypełnia się tam tylko rozkaz, jest się automatem, rozwój zostaje zatrzymany, człowiek ulega skarlówaceni. Poczucie winy związane z popełnionymi zbrodniami zmniejsza się lub całkowicie niweluje, gdyż trudno je mieć w stosunku do przedmiotu (nie można skrzywdzić kółka w maszynie) i trudno czuć się winnym, jeśli samemu jest się automatem spełniającym tylko ślepo rozkazy. Brak poczucia winy nie zmniejsza jednak odpowiedzialności. Chcąc nie chcąc musi się odpowiadać za swoje czyny i za to, że stało się automatem.

Nie chodzi tu bynajmniej o próbę zmniejszenia winy zbrodniarzy wojennych (choć warto zwrócić uwagę na notoryczny u nich brak poczucia winy), ani też o wyjaśnienie mechanizmu rodzenia się tych zbrodni (sprawa jest bardzo skomplikowana i wciąż jeszcze niewyjaśniona), usiłowano tylko zwrócić uwagę na niebezpieczeństwo zbrodniczego postępowania, często nawet bezmyślnego, tkwiące w technicznym patrzeniu na człowieka i społeczeństwo. Technicznego patrzenia na świat nie należy oczywiście mieszać z postępowaniem technicznym; pierw-

sze może być niebezpieczne, drugi tylko korzystny.

Adolf Gawalewicz w swoich „Wspomnieniach muzulmana” wyraża pogląd, że z „poczekalni do gazu” (z bloku nr 7) udało się wyjść żywo tylko nielicznej garstce z tych, którzy wierzyli w „rzeczy niemożliwe, nieprawdopodobne”, tj. w to, że „im właśnie uda się mimo wszystko wyjść cało”. „Naturalnie sama wiara nie wystarczała, trzeba było zdobywać się na działanie w ramach realnych, wprowadzić minimalnych i beznadziejnych możliwości kierowania swym postępowaniem. Trzeba było być muzulmanem „aktywnym”. Autor przytacza znamieny przykład ilustrujący, jak wielkie znaczenie dla przetrwania obozu miało słowo: „ja chcę”. „Kto myślał inaczej, ten nie żył. Pewnej nocy jeden z moich towarzyszy, o bardzo dobrej jeszcze kondycji fizycznej, zwierza mi się: już mam tego dosyć, to beznadziejna sprawa, ja już nie chcę żyć. Istotnie, w kilka godzin później wynieśliśmy jego zwłoki pod ścianę baraku”.

Nie należy zapominać, że jeszcze do niedawna, bo w okresie międzywojennym, większość psychiatrów i psychologów negowała istnienie wolnej woli. Tymczasem w sytuacji maksymalnego chyba zniewolenia człowieka i zdeptania jego godności zdolność wyboru, wola przeżycia, odgrywały decydującą rolę.

I może wydawać się to paradoksalne, że ci, którzy byli w sytuacji krańcowej, potrafili jeszcze powiedzieć: „ja chcę” lub „ja nie chcę”, natomiast ich prześladowcy, w sytuacji materialnie i moralnie bez porównania lepszej, powiedzieć tego nie potrafili. Prawdziwie żywymi ludźmi w obozie byli ci, którzy znajdowali się na granicy śmierci, a ci którzy na swych czapkach nosili trupie czaszki byli nie żywymi ludźmi, ale automatami.

Mimo bogatej literatury obozowej człowiek, który sam nie przeżył obozu, nie jest w stanie wyobrazić sobie, co się tam działo. Cierpienia, które były treścią dnia i nocy każdego więźnia, przekraczają granice ludzkiej wyobraźni. Zagadnienie to nurtowało również najwybitniejszych pisarzy. Np. Zofia Nałkowska, która brała udział w pracach Międzynarodowej Komisji do Badania Zbrodni Hitlerowskich, zwiędzała byłe obozy i miejsca kaźni, rozmawiała z byłymi więźniami i świadkami zbrodni, zestawiała wybór swych spostrzeżeń w szkicach pt. „Medaliony” (1946), uznanych za znakomity, wstrząsający, syntetyzujący dokument zbrodni hitlerowskich, odgrywający szczególną rolę w literaturze obozowej. Autorka ta zdawała sobie sprawę, że „tego, co przeżyli ludzie (w obozach i więzieniach hitlerowskich), nie da się wyrazić słowami”. Człowiekowi, który usiłuje retrospektywnie ogarnąć ogrom zbrodni, trudno jest w ogóle pojąć ich istotę. W „Medalionach” Nałkowska pisze: „Rzeczywistość jest do wytrzymania, gdyż nie cała dana jest w doświadczeniu. Albo dana niejednocześnie. Dociera do nas w ułamkach zdarzeń, w strzępach relacji. Dopiero myśl o niej usiłuje pozbierać ją, unieruchomić i zrozumieć”.

Był to inny świat, tak, jak inny jest świat

psychotyka. Wchodząc do obozu więźniowie przeżywali często stan ostrej derealizacji (*Teutsch, Cohen*); to, co widzieli, wydawało im się nierzeczywiste jak koszmarny sen, tak bowiem inny był to świat od zwykłego ludzkiego świata. „Pomyślałem sobie: to przecież wszystko nie może być prawdą, to jest jakby ze snu sen...” (*Gawalewicz*).

Każda psychoza, zwłaszcza typu schizofrenicznego, zostawia po sobie ślad; człowiek po przejściu jej jest już innym człowiekiem. Nie zawsze ten ślad musi być o znaku ujemnym; często człowiek zmienia się na lepsze (*schizophrenia paradoxalis socialiter fausta* w ujęciu *Brzezickiego*). Podobnie ci, co przeszli obóz, stali się innymi ludźmi; trudno było im się z powrotem przystosować do zwykłego życia (*M. Orwid*). Zmieniła się — przynajmniej na jakiś czas — ich ocena ludzi, hierarchia wartości, cele życia a nawet osobowość (*Leśniak*). Z drugiej strony obóz był sprawdzianem ich wytrzymałości. W każdym człowieku tkwi proporcja heroiczna, chęć sprawdzenia siebie: ile potrafię wytrzymać, do czego jestem zdolny. Może dlatego w tzw. kulturach pierwotnych poddaje się młodych ludzi ciężkim próbom, po których przejściu dopiero stają się członkami grupy dojrzałych mężczyzn. Ci, co przeszli obóz, próbę tę wytrzymali, stąd może bierze się ich poczucie wyobcowania w stosunku do zwykłych ludzi i szukanie grup odniesienia wyłącznie wśród byłych więźniów, gdyż ci tylko potrafili ich zrozumieć (*Orwid*).

Znajdujące się w tym zeszycie prace rzucają pewne światło na przeżycia obozowe (*Teutsch*) i poobozowe (*Leśniak, Orwid, Szymusik*) byłych więźniów obozów koncentracyjnych. Mimo rzetelności badań i wnikliwości interpretacji dają one tylko obraz fragmentaryczny, tak że badania tego typu należy uważać dopiero za otwarte, a nie zamknięte.

PIŚMIENNICTWO

1. *Brzezicki E.*: Folia Med. Cracov., 1961, III, 2, 267—288. — 2. *Brzezicki E.*: Przegl. Lek., 1963, XIX, 1a 77—83. — 3. *Brzezicki E.*: Confinia Psychiatrica, 1962, V, 2/3, 177—187. — 4. *Brzezicki E.*: Confinia Psychiatrica, 1962, V, 4, 233—242. — 5. *Cohen E. A.*: Human behavior in the concentration camp. Universal Library, Gross&Dunlop, New York 1953. — 6. *Fromm E.*: Escape from freedom. Rinehart, New York 1941. — 7. *Fromm E.*: The sane society. Rinehart, New York 1955. — 8. *Gawalewicz A.*: Przegl. Lek., 1963, XIX, 1a, 54—62. — 9. *Kępiński A.*: Przegl. Lek., 1962, XVIII, 1a, 81—83. — 10. *Kępiński A., Orwid M.*: Przegl. Lek., 1962, XVIII, 1a, 83—89.
11. *Leśniak R., Mitarski J., Orwid M., Szymusik A., Teutsch A.*: Przegl. Lek., 1960, XVI, 6, 180—182. — 12. *Leśniak R., Mitarski J., Orwid M., Szymusik A., Teutsch A.*: Przegl. Lek., 1961, XVII, 1a, 64—73. — 13. *Mitarski J., Teutsch A.*: Pol. Tyg. Lek., 1961, XVI, 42, 1627—1631. — 14. *Nałkowska Z.*: Medaliony. Wyd. 1, Warszawa 1946. — 15. *Orwid M.*: Przegl. Lek., 1962, XVIII, 1a, 94—109. — 16. *Szymusik A.*: Przegl. Lek., 1962, XVIII, 1a, 98—102. — 17. *Teutsch A.*: Przegl. Lek., 1962, XVIII, 1a, 90—94.

MARIA ORWID, ADAM SZYMUSIK, ALEKSANDER TEUTSCH

Cel i metoda badań psychiatrycznych byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu

(Z Kliniki Psychiatrycznej A. M. w Krakowie.
Kierownik: Prof. dr K. Spett)

W roku 1959 ówczesna Sekcja Polska Międzynarodowego Komitetu Oświęcimskiego i Klub Oświęcimski ZBoWiD-u w Krakowie wystąpiły z inicjatywą przeprowadzenia badań psychiatrycznych byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. W tym celu organizacje te skierowały do badania około dwustu byłych więźniów, tj. $\frac{1}{3}$ całego krakowskiego środowiska byłych oświęcimiaków. Spośród skierowanych zgłosiło się sto kilkanaście osób, część z nich jednak przerwała badania przed ich ukończeniem. Kierowanie do tych badań odbywało się w sposób przypadkowy, bez udziału psychiatrów.

O hitlerowskich obozach koncentracyjnych napisano już bardzo wiele. Istnieją publikacje, które się ukazały jeszcze w czasie trwania

drugiej wojny światowej. W szczególności jednak od czasu jej zakończenia nagromadziła się obfita literatura mająca bądź to charakter bardziej pamiętnikarsko-kronikarski, bądź to postać mniej lub bardziej zbeletryzowaną. Autorzy, byli więźniowie obozów koncentracyjnych, podejmowali w tych publikacjach trud przekazania współczesnym i utrwalenia dla potomnych wiedzy o tym, czym były hitlerowskie obozy koncentracyjne i co musiał przejść i wycierpieć człowiek, który się tam znalazł.

Inną kategorię literatury tego problemu stanowią — oczywiście znacznie mniej od tamtych liczne — opracowania i publikacje o charakterze naukowym, podejmujące tę problematykę w aspekcie biologicznym, społecznym, praw-

nym, historycznym czy psychosocjologicznym. Szczególne miejsce zajmują tutaj prace o charakterze biologiczno-lekarskim. Stanowią one albo wynik obserwacji poczynionych przez autorów w czasie ich pobytu w obozie, a dotyczących zmian, jakim podlegał ustrój ludzki w wymiarze fizycznym i psychicznym w obozie, albo też podają wynik badań podejmowanych u byłych więźniów w okresie poobozowym, a mających na celu ustalenie następstw, jakie dla zdrowia fizycznego i psychicznego miał pobyt w obozach koncentracyjnych. Znaczna część ostatnio wymienionych publikacji ukazała się w związku z przeprowadzonymi badaniami i wydanymi orzeczeniami dotyczącymi osób, które wносиły do odpowiednich instancji roszczenia o odszkodowanie za trwałe uszkodzenia zdrowia powstałe w wyniku prześladowań hitlerowskich. Szczególne znaczenie w tej kategorii badań przypada aspektowi psychiatrycznemu tego problemu, w motywacji tych roszczeń bowiem często powoływano się na trwałe szkody poniesione na zdrowiu psychicznym.

Początkowy cel badań podjętych przez zespół pracowników Kliniki Psychiatrycznej A. M. w Krakowie polegał na ustaleniu obrazu życia psychicznego 100 byłych więźniów w czasie ich przebywania w obozie i w okresie poobozowym. W toku badań i po przeprowadzeniu wstępnej analizy uzyskanego materiału wyłoniły się jednak jeszcze niektóre inne problemy, które się stały przedmiotem opracowania w poszczególnych pracach. We wstępnej fazie pracy zbadano kilkanaście osób, które pod pewnymi względami należało uznać za wyróżniające się w społeczności obozowej. Byli to organizatorzy ruchu oporu w obozie, lekarze, którym wykonywane w obozie czynności i pozycja umożliwiały dokładniejszy i pełniejszy wgląd w całość spraw lub w funkcjonowanie poszczególnych mechanizmów obozowych. Po tym próbnym sondażu zbadano łącznie 100 osób. Zasadniczą metodą pracy było dokładne badanie psychiatryczne. Badanie to uzupełniono w każdym przypadku zankietyzowanym zestawem ustalonych uprzednio pytań, tzn. wszystkim badanym zadano te same pytania. Starano się, ażeby badanie psychiatryczne, trwające od kilku do kilkunastu godzin, odbywało się w możliwie swobodnych warunkach i nieskrępowanej atmosferze. Poszczególne badania trzeba było przeważnie rozdzielać na kilka posiedzeń. Chodziło o to, by nie dopuścić do nadmiernego zmęczenia badanych, co mogłoby mieć niekorzystny wpływ na tok i wyniki badania.

Cel każdego badania polegał na uzyskaniu możliwie najdokładniejszych i najpełniejszych danych dotyczących osobowości osoby badanej, warunków życia obozowego, sposobu ich przeżywania i znoszenia, dotyczących stosunku do środowiska współwięźniów, adaptacji do życia poobozowego, przebytych chorób itd. W końcu przeprowadzano badanie somatyczne, w razie potrzeby badania dodatkowe, w poszczególnych przypadkach badanie elektro-

encefalograficzne. Zankietyzowane pytania zadawane badanym ustalono po przeprowadzeniu wspomnianego uprzednio próbnego sondażu. Mimo ankietowego charakteru tych pytań osoba badana nie była w odpowiedzi na nie krępowana. Wiele osób wypowiadało się znacznie szerzej, wykraczając poza zakres pytania. Z reguły nie przerywano tego rodzaju wypowiedzi. Uzyskiwano przez to wzbogacony materiał źródłowy, a równocześnie utrzymywano atmosferę nieskrępowania i swobody w czasie badań. Nadto przed rozpoczęciem badania wyjaśniano badanej osobie jego cel, podkreślając jego anonimowość, charakter naukowy oraz brak widoków na jakiekolwiek korzyści dla osoby badanej, jak np. uzyskanie odszkodowania, renty lub skierowania na leczenie sanatoryjne.

Na wstępie były pytania dotyczące danych osobowych. Z kolei następowały pytania uszelegowane według ustalonej kolejności, a dotyczące:

1) linii życiowej osoby badanej do czasu osadzenia w obozie; dane odnoszące się do tego punktu odtwarzano za pomocą rutynowego wywiadu psychiatrycznego; uwzględniano tutaj informacje o zaburzeniach psychicznych w rodzinie, o warunkach materialnych, o strukturze rodzinnej, o rozwoju fizycznym i psychicznym, o przebiegu nauki szkolnej, o uzyskanym wykształceniu, o przebiegu pracy zawodowej, o zainteresowaniach pozazawodowych, o życiu seksualnym oraz właściwościach charakteru i temperamentu, w końcu o przebytych chorobach i urazach;

2) przyczyny uwięzienia i umieszczenia w obozie;

3) czasu przebywania w więzieniach i w obozach;

4) reakcji na uwięzienie;

5) najcięższych przeżyć w czasie przebywania w obozie;

6) sposobu przystosowania się do życia obozowego; w rozwinięciu tego punktu ustalano reakcję na osadzenie w obozie, rodzaj pracy, znoszenie warunków życia obozowego, stopień inicjatywy i zaradności;

7) największych uciążliwości życia w obozie;

8) stosunku do zagrażającej śmierci;

9) przejawów popędu seksualnego;

10) pamięci okresu przebywania w obozie; chodziło tutaj o to, czy badana osobą ma luk amnestycznych spowodowanych zaburzeniami świadomości, wywołanymi chorobą lub urazami czaszkowo-mózgowymi;

11) chorób i urazów (uwzględniano tutaj również objawy choroby głodowej);

12) snu w okresie przebywania w obozie (okresy upośledzonego snu, bezsenności);

13) myśli i wyobrażeń dotyczących zemsty i odwetu na ciemiężcach;

14) czynników, którym osoba badana przypisuje decydujące znaczenie w przetrwaniu obozu;

15) stosunku do środowiska współwięźniów (tendencje przyłączania się do grup, trudności kontaktu z współwięźniami, tendencje do odosabniania się, konflikty);

16) reakcji na uwolnienie;

17) linii życiowej po uwolnieniu z obozu;

18) trudności przystosowania się po opuszczeniu obozu do życia na wolności (trudności w przyswojeniu sobie na nowo ogólnie przyjętych norm społecznych i wartości, trudność kontaktu i konflikty z bliższym i dalszym otoczeniem społecznym itp.);

19) subiektywnego poczucia zmiany osobowości (poczucie wyobcowania, poczucie krzywdy, zmiana hierarchii wartości, postaw etyczno-moralnych, poglądów, przetrwanie stereotypów wytworzonych w czasie przebywania w obozie itp.);

20) aktualnego stosunku badanej osoby do przeżyć obozowych (natrętne wspomnienia, lękowe sny o treści obozowej, stosunek do literatury obozowej, zainteresowanie problematyką obozową, aktywność w organizacjach obozowych itp.);

21) poczucia więzi ze współtowarzyszami niedoli;

22) dolegliwości i chorób w życiu poobozowym (choroby somatyczne, zaburzenia psychiczne).

W zakończeniu badania następowały uwagi badającego dotyczące sylwetki psychicznej osoby badanej, zachowania się w czasie badania, reakcji emocjonalnych i wegetatywnych podczas badania.

Na podstawie w ten sposób przeprowadzonego badania powstały kilkunastonicowe lub kilkunastostronicowe protokoły, oddzielne dla każdej badanej osoby.

Metoda, którą się posłużono w badaniach, nie może zapewne pretendować do miana doskonałej. Prawdopodobnie jednak każda metoda zastosowana do badania tak specyficznych problemów nasuwałaby również rozmaite zastrzeżenia. Tak więc za całkiem nieadekwatną w badaniu tych problemów należy uznać metodę opartą wyłącznie na pisemnych odpowiedziach na pytania zawarte w odpowiednich ankietach. Metoda taka nie może dostarczyć danych umożliwiających pełniejsze odtworzenie obrazu życia psychicznego człowieka. Nic więc dziwnego, iż zastosowana w badaniach duńskich — mimo że na materiale znacznie większym niż nasz — dała rezultat niezadowalający, umożliwiając autorom pracy sformułowanie tylko ogólnikowych i powierzchownych wniosków. Badania psychiatryczne przedsięwzięte u osób, które wniosły roszczenia o odszkodowanie, miały znów ten brak, że nie wyłączały pewnej tendencyjności, która ze zrozumiałych względów mogła towarzyszyć sytuacji badawczej. Nasze badania były wolne od tego rodzaju tendencyjnej interesowności. Zarówno brak widoków na jakiegokolwiek osobiste korzyści płynące z poddania się badaniu, jak i zapewnienie ano-

nimowości i korzystania z uzyskanych danych wyłącznie dla celów naukowych stanowiły rękojmię możliwie „czystej” atmosfery badania, zwiększając tym samym walor wiarygodności i rzetelności wypowiedzi osób badanych.

Również autopsja, będąca podstawą prac dotyczących życia psychicznego człowieka w czasie przebywania w obozie, zmian tego życia i reakcji psychicznych, posiada obok niewątpliwych zalet także i nie dające się pominąć wady. Do zalet jej należy zakres pola obserwacyjnego. Obserwator miał tutaj do dyspozycji cały „materiał eksperymentalny”, a więc również i tych, którzy w wyniku tego jedyne go w historii narodów cywilizowanych „eksperymentu” utracili życie. Tak więc obserwator mógł np. między innymi naocznie „ogłądać” zmiany somatyczne i psychiczne, jakie zachodziły u ludzi w rozmaitych fazach choroby głodowej.

W naszej pracy materiał poddany badaniu stanowi tylko część społeczności obozowej. Jest on reprezentacją tylko tej części społeczności obozowej, która się utrzymała przy życiu. Tak więc pod tym względem, w odniesieniu do badania życia psychicznego ludzi przebywających w obozie, metoda autopsyjna posiada niewątpliwą przewagę. Od razu jednak nasuwa się zastrzeżenie. Wprawdzie „obserwator” miał w tym wypadku znacznie szersze pole obserwacyjne, miał przed sobą niezafałszowany, bezpośredni eksperyment, to jednak sam nie mógł spełniać warunków, jakie stawia się chłodnej, nieuprzedzonej i krytycznej obserwacji. Obserwator ten bowiem mimo dążenia do zachowania najbardziej świadomej postawy nie mógł się ustrzec przed wypaczającymi widzenie wpływami środowiska.

Również i w naszych badaniach w związku ze specyfiką materiału i problemów nie można wyłączyć pewnych błędów wynikających głównie z dwóch momentów: po pierwsze — ze znacznego okresu czasu, jaki upłynął od uwolnienia z obozu do chwili przeprowadzenia badań. Okres ten wynosił przeciętnie 14—15 lat. Dlatego — jeśli mowa o przeżyciach obozowych — działanie wpływu czasu mogło zatrzeć ostrość wielu przeżyć i obrazów pamięciowych. Po drugie, przeżycia okresu obozowego i wspomnienia o nich są obciążone przeważnie niezwykle silnym ładunkiem uczuciowym. Ten bardzo silny, katatymny stosunek do przeżyć tamtego okresu mógł na przestrzeni kilkunastu lat doprowadzić do takiego psychologicznego przetworzenia wspomnień, że ich pierwotna treść i znaczenie być może uległy znacznemu zniekształceniu i zafałszowaniu. Na tej samej zasadzie pewne przeżycia mogły w ogóle ulec wyparciu ze świadomości badanych osób. Mimo wszystkich zastrzeżeń dotyczących metody zastosowanej w naszych badaniach wydaje się ona jednak — uwzględniając całą złożoność i swoistość problemu — najbardziej adekwatną i przydatną. Spełnia ona nadto dzięki warunkom badania postulat obiektywności.

Reakcje psychiczne w czasie działania psychofizycznego stresu u 100 byłych więźniów w obozie koncentracyjnym Oświęcim — Brzezinka

(Z Kliniki Psychiatrycznej A. M. w Krakowie.
Kierownik: Prof. dr K. Spett)

Jeden z tematów wchodzących w grupę problemów opracowywanych przez zespół pracowników Kliniki Psychiatrycznej A. M. w Krakowie w oparciu o badania przeprowadzone w latach 1959—1961 u 100 byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu—Brzezince stanowi próba psychiatrycznej analizy reakcji psychicznych i sposobów zachowania się tych osób w obozie oraz oceny stopnia znoszenia przez badanych sytuacji obozowej.

Jak wynika z dostępnego piśmiennictwa, dotychczasowe badania, prowadzone w różnych krajach miały na celu przede wszystkim ustalenie u byłych więźniów obozów koncentracyjnych trwałych, odległych następstw uwięzienia, spowodowanych w zdrowiu fizycznym i psychicznym. W odniesieniu natomiast do samego pobytu w obozie, to w piśmiennictwie znajdują się prawie wyłącznie prace oparte na autotypicznych obserwacjach poczynionych przez byłych więźniów (lekarzy, psychologów, socjologów), brak jednak prac, które by problem ten przedstawiały w oparciu o badanie psychiatryczne byłych więźniów, podczas gdy w niniejszej pracy metoda ta stanowi zasadniczą bazę źródłowo-poznawczą.

Piśmiennictwo wiążące się z podjętym zagadnieniem jest szczupłe, mimo to jednak — z uwagi na skrótowy charakter artykułu — nie można go tutaj wyczerpująco omówić. Spostrzeżenia i obserwacje autorów — byłych więźniów dotyczące życia psychicznego i zachowania się ludzi w warunkach obozu koncentracyjnego, w głównych swoich zarysach są ze sobą zgodne, a różnice wynikają dopiero z różnego teoretycznego podejścia do obserwowanych zjawisk i z różnej ich interpretacji, u jednych autorów bardziej somatycznej, u innych bardziej psychologicznej, psychoanalitycznej a nawet egzystencjalistycznej.

Większość autorów podkreśla uniformizm objawów psychopatologicznych występujących u przeważającej liczby więźniów. Jako zasadnicze zmiany wymienia się między innymi prymitywizację i degradację uczuciową oraz intelektualną, zaburzenia pamięci, osłabienie spontaniczności reakcji, tendencję do drażliwości i chwiejności emocjonalnej, stopienienie uczuciowe, zanik popędu seksualnego, dominowanie w myśleniu, odczuwaniu i działaniu instynktu samozachowawczego.

Niektórzy autorzy zorientowani psychoanalitycznie mówią o „regresji do zachowania infantylnego” (*Bettelheim, Cohen*), o dochodzeniu do głosu w procesie przystosowania do sytuacji obozowej różnych mechanizmów obronnych „ego”. Wymienione poprzednio zjawiska psychopatologiczne jedni autorzy są skłonni tłumaczyć przede wszystkim działaniem niezwykle obciążających czynników somatycznych, inni — obok czynników somatycznych — duże znaczenie przypisują skrajnym czynnikom psychotraumatyzującym. Dla niektórych wreszcie reakcje psychiczne i zachowanie człowieka w obozie nie były w ostateczny sposób zdeterminowane czynnikami somatycznymi i psychotraumatyzującymi. Reprezentują oni (m. in. *Frankl*) stanowisko egzystencjalistyczne, w myśl którego człowiek, jako istota szczególnego rodzaju, jest w stanie przeciwstawić się degradującemu i destrukcyjnemu wpływowi czynników somatycznych i psychologicznych na życie psychiczne i zachowanie.

Niektórzy autorzy (*Bettelheim, Cohen, Frankl*) wyróżniają w życiu obozowym więźnia kilka odmiennych faz przystosowania do sytuacji obozowej. Fazy te w ujęciu poszczególnych autorów kształtują się dość podobnie i dotyczą reakcji psychicznej na osadzenie w obozie, następnie długotrwałego okresu swoistych dla tej sytuacji przemian psychicznych prowadzących do przeobrażenia osobowości więźnia i do całkowitego przystosowania. Tę końcową fazę przystosowania *Cohen* określa jako „stadium rezygnacji”, *Frankl* natomiast jako trzecie stadium wyróżnia reakcje psychiczne związane z uwolnieniem.

Podstawę pracy własnej stanowi przede wszystkim badanie psychiatryczne byłych więźniów, w którym szczególne miejsce — jeśli idzie o ten problem — przypada autoanamnezie, retrospektywnej ewokacji i rekonstrukcji stanów i reakcji psychicznych oraz sposobów zachowania się osób badanych w czasie ich pobytu w obozie. Dla zabezpieczenia się przed pominięciem zagadnień istotnych dla opracowywanego tematu oraz w celu ujednolicenia badań posłużono się ułożonym uprzednio kwestionariuszem, stanowiącym podstawę anamnezy. W każdym przypadku rekonstruowano całą linię życiową badanej osoby. Co do od-

cinka linii życiowej zawartego między uwięzieniem a uwolnieniem z obozu, to uwzględniano przede wszystkim takie momenty, jak przyczyna uwięzienia, długość okresu przebywania w więzieniu i w obozie, przeżycia w więzieniu, reakcja na osadzenie w obozie, najcięższe przeżycia i największe uciążliwości życia obozowego, kształtowanie się nastroju, stosunek do śmierci, przebyte w obozie urazy i choroby, ewentualne luki amnestyczne, sen, przejawy popędu seksualnego, uczucia zemsty i chęć odwetu, stosunek osoby badanej do współwięźniów i wreszcie własna ocena badanej osoby sposobu pokonywania przez nią obciążeń życia obozowego oraz ocena własna czynników, które — jej zdaniem — zadecydowały o przetrwaniu obozu.

Analiza zebranego materiału ujawniła, że u większości badanych bezpośrednio po osadzeniu w obozie wystąpiła krótkotrwała reakcja psychiczna, objawiająca się przynębieniem, uczuciem lęku i grozy, poczuciem bezradności, zagubienia i osamotnienia, brakiem apetytu i bezsennością. Reakcja ta u poszczególnych osób miała różny stopień nasilenia, a czas jej trwania u większości więźniów, którzy reakcję tę przeszli, wahał się od kilku dni do dwóch tygodni, a tylko u nielicznych przedłużała się ona do jednego, dwóch, a nawet do trzech miesięcy. U niektórych osób reakcji tej towarzyszyły — szczególnie na jej początku — objawy wegetatywne takie, jak częstomocznica, biegunka, drżenie ciała, wzmożone pocenie się, niekiedy nudności a nawet wymioty. U kilku osób nastrój depresyjno-lękowy przeszedł w bardziej apatyczny, co wiązało się w czasie z rozpoczynającym się u nich wyniszczeniem głodowym.

Oprócz tej reakcji psychicznej występowały nadto u badanych w toku dalszego pobytu w obozie krótsze lub dłuższe, pojedyncze lub kilkakrotne kryzysy z nastrojem apatyczno-depresyjnym. Z przeprowadzonych badań wynika, że w tych krytycznych okresach dochodziło równocześnie do redukcji aktywnych kontaktów z otoczeniem, zachowanie stawało się bardziej biernie, następował spadek natężenia woli, osłabienie wiary w przetrwanie, obniżenie samodyscypliny, występowały myśli samobójcze, w poszczególnych przypadkach paradoksalnie powiązane z równoczesnym wzmożonym lękiem przed śmiercią. U osób, u których objawy te były szczególnie nasilone, towarzyszyły one wyniszczeniu głodowemu znacznego stopnia. U niektórych osób opisane stany wiązały się w czasie ze szczególnie ciężkimi przeżyciami, jak np. przesłuchanie w wydziale politycznym, utrata krewnych lub przyjaciół, niekorzystna zmiana warunków bytowych w obozie, wyrwanie z grupy, z którą dana osoba czuła się związana itp.

U przeważającej liczby badanych nastąpiło w okresie pierwszych 3—6 miesięcy pobytu w obozie odwrócenie, zubożenie uczuciowe, osłabienie reakcji emocjonalnej na różne urazy życia obozowego. Wśród badanych znajdujących się jednak osoby, które przez

długi okres wciąż głęboko reagowały na te urazy. Większość osób badanych w tym mniej więcej czasie równocześnie z wytworzonym odwróceniem uczuciowym zaczynała rozwijać mniejszą lub większą zaradność, inicjatywę w działaniu, przejawiającą się między innymi nawiązywaniem kontaktów z otoczeniem, wyrabianiem swoistej taktyki postępowania, organizowaniem dodatkowego pożywienia, wiązaniem się z jakąś grupą obozową, zwykle małą, złożoną z kilku osób, a u niektórych więźniów nawiązywaniem kontaktu z obozowym ruchem oporu.

Są wśród badanych osoby, które w czasie przebywania w obozie wykazywały dbałość o higienę osobistą, o stan zdrowia, a nawet — w granicach możliwych do zrealizowania — o estetyczniejszy wygląd zewnętrzny. Są i takie osoby, które potrafiły zdobyć się na wyuczenie się jakiejś umiejętności, np. jakiegoś obcego języka lub jakiejś sprawności o typie rzemieślniczym. Zaradność i inicjatywa działania u niektórych badanych osób graniczyła niekiedy z przebojowością, a nawet brawurą. Są wśród badanych osoby, które cechowała nie tylko postawa optymistyczna, wiara w przetrwanie, wola przeżycia, lecz również zdolność do korzystnego oddziaływania na innych. U niektórych badanych osób prawie przez cały czas ich przebywania w obozie nie pojawiały się myśli ani tendencje samobójcze. Są również takie osoby, które nawet w okresach nasilonego głodowania potrafiły ustrzec się przed spożywaniem odpadków, produktów zepsutych czy w ogóle niejadalnych, a i takie, które nie tylko nie wymieniały skąpego pokarmu na papierosy, ale potrafiły swoją wolę wyteżyc do tego stopnia, że odzwyczajały się w obozie od palenia. Wymienione cechy psychiczne i sposoby zachowania określono jako korzystne. Ich obecność lub ich brak w życiu obozowym osoby badanej wraz z faktem występowania lub niewystępowania dłużej trwających kryzysów posłużyły jako kryterium oceny stopnia znoszenia obozu przez badanych.

Przez termin znoszenia rozumie się tutaj sposób reagowania psychicznego na zespół bodźców typowych dla sytuacji obozowej.

W oparciu o opisane kryteria empiryczne, a więc wytworzone na podstawie analizy historii życia obozowego badanych wyodrębniono trzy grupy osób według stopnia znoszenia przez nie obozu. Grupę pierwszą stanowi 37% badanych. U osób tych w czasie przebywania w obozie nie było głębszych i dłużej trwających kryzysów psychicznych, tzn. stanów depresyjno-lękowych i apatyczno-depresyjnych. Osoby zaliczone do tej grupy charakteryzowały się korzystnymi cechami psychicznymi i sposobami zachowania.

Druga grupa obejmuje 44% osób badanych, u których stwierdzono albo przedłużoną ponad dwa tygodnie początkową reakcję psychiczną, albo trudności w rozwinięciu korzystnych cech psychicznych i sposobów zachowania, trwające przez okres dłuższy niż 3 miesiące, albo

poszczególne kryzysy psychiczne bądź psychofizyczne w czasie dalszego pobytu w obozie.

Trzecia grupa obejmuje 19% osób badanych, u których wystąpiły w obozie długotrwałe lub kilkakrotne kryzysy psychiczne bądź psychofizyczne.

Dla wymienionych trzech grup przyjęto umowne określenia stopnia znoszenia obozu: dla grupy pierwszej (I) stopień ten nazwano względnie dobrym, dla drugiej (II) średnim, dla trzeciej (III) złym.

Wprowadzenie rozgraniczeń, linii podziału, umownych terminów i określeń stanowi niewątpliwie pewne uproszczenie przy opracowywaniu tak złożonego problemu. Wyprowadzenie ich z konkretnego materiału na podstawie analizy 100 obozowych życiorysów wydawało się jednak słuszniejsze niż zastosowanie jakichkolwiek apriorycznych schematów i kryteriów. Postępowanie takie było niezbędne z uwagi na wymagania, jakie stawia przeprowadzenie analizy ilościowej uzyskanego materiału.

Przystępując do analizy ilościowej, skonstruowano na wstępie odpowiednie tabele korelacyjne, w które jako zmienne niezależne wprowadzono takie czynniki, jak płeć, wiek, zawód, poziom wykształcenia, przyczyna uwięzienia, całkowity czas pozbawienia wolności, długość pobytu w obozie, rodzaj pracy w obozie oraz przebyte urazy czaszkowo-mózgowe i dury (wysypkowy i brzuszny). Stopień znoszenia obozu traktowano jako zmienną zależną. Wyniki analizy ilościowej i badań w kierunku hipotetycznych związków zależności przedstawiają się następująco:

Nie stwierdzono statystycznie istotnego związku między wiekiem a stopniem znoszenia obozu. Najliczniejsze w całym zbiorze osób badanych klasy wieku 20—29 i 30—39 lat, stanowiące 75% ogółu badanych, wynoszą w grupie I 84%. Klasy wieku wyższe stanowią w grupie tej tylko 8%. W grupie II klasy wieku 20—29 i 30—39 lat stanowią 70%, natomiast klasy wieku wyższego wynoszą 27,4%. W III grupie klasy wieku 20—29 i 30—39 lat tworzą 63,2%, klasa wieku 40—49 lat — 21%. W grupie tej nie ma reprezentacji klasy wieku 50 lat i wyżej, natomiast większy jest niż w grupach I i II udział procentowy klasy wieku „najmłodszej”, do 19 lat, mianowicie wynosi 15,8%, podczas gdy w I grupie wynosi on 8%, a w II grupie 2,6%.

Nie stwierdzono również statystycznie istotnej zależności między płcią a stopniem znoszenia obozu. Na uwagę zasługuje, że odsetek kobiet jest największy w III grupie.

Również w odniesieniu do zawodu bądź charakteru pracy wykonywanej przed uwięzieniem nie stwierdzono statystycznie istotnego związku między tym czynnikiem a stopniem znoszenia obozu. Niemniej zwraca uwagę wybitna przewaga zawodów niefizycznych w I grupie, głównie pracowników umysłowych, w II grupie natomiast przewaga pracowników fizycznych.

Między poziomem wykształcenia a stopniem znoszenia obozu również nie stwierdzono wy-

starzającej istotności statystycznej, na uwagę zasługuje tutaj jednak progresywny wzrost od grupy I do grupy III liczby osób o wykształceniu podstawowym. Odsetek ludzi z wykształceniem podstawowym wynosi w grupie I 46%, w II grupie 63,6%, a w III grupie 73%.

Struktura grupy I i II wykazuje znaczne różnice, jeśli uwzględnimy stan cywilny w chwili uwięzienia. W I grupie jest wybitna przewaga osób wolnego stanu cywilnego (65%), w II grupie wyraźna przewaga ludzi mających rodzinę (60%). Jednak i tutaj nie stwierdzono statystycznie wymaganej istotności.

Doznane w czasie pobytu w obozie urazy czaszkowo-mózgowe i dury (wysypkowy i brzuszny) potraktowano łącznie jako czynnik obciążający. Odsetek osób w poszczególnych grupach według stopnia znoszenia obozu, które przeszły przynajmniej jedno z tych obciążeń, wzrasta progresywnie od grupy I do III. Wynosi mianowicie w I grupie 60%, w II grupie 73%, w III grupie 90%. Ta pozorna tendencja nie została jednak potwierdzona metodą statystyczną. Jeśli rozważymy wymienione czynniki obciążające, to na uwagę zasługuje fakt, że w środkowych klasach wieku zawartych między 20. a 49. rokiem życia wzrasta progresywnie odsetek osób, które przeszły przynajmniej jedno z tych obciążeń. I tak, w klasie wieku 20—29 lat wynosi on 58%, w klasie wieku 30—39 lat 72%, w klasie 40—49 lat 93%.

Nie stwierdzono statystycznie istotnego związku między długością okresu uwięzienia a stopniem znoszenia obozu.

Co się tyczy czynnika określonego jako „przyczyna uwięzienia”, to w grupach I i II udział procentowy osób, które zostały uwięzione w związku z przynależnością do organizacji konspiracyjnej, wynosi w każdej z tych grup 59%. W III grupie udział ten wynosi tylko 26%. Reszta osób III grupy została uwięziona z innych przyczyn, głównie (w 48%) chodziło o uwięzienie określone jako „przypadkowe”, np. w wyniku „łapanek” przeprowadzanych na ulicach, w pociągach, uwięzienie w charakterze zakładników itp. Zaznaczyć należy, że do zakresu „przyczyny uwięzienia” wynikłej z przynależności do organizacji konspiracyjnej zaliczano również te przypadki, w których osoba zaangażowana w konspirację była uwięziona z innych przyczyn, m. in. „przypadkowych”.

W korelacji między czynnikiem określonym jako „przyczyna uwięzienia” a stopniem znoszenia obozu stwierdzono statystycznie istotną zależność, co wykazano za pomocą metody χ^2 . Przy χ^2 teoretycznym wynoszącym 9,488, przy $n = 4$, $p < 0,05$, χ^2 empiryczne wynosi 9,630.

Pracę wykonywaną w obozie określono jako „sprzyjającą”, „średnio ciężką” i „ciężką”. Jako pracę „sprzyjającą” uznano obozowe funkcje administracyjne, nadzorcze, pracę w kuchni, w bloku szpitalnym itp. Jako „średnio ciężką” przyjęto pracę, która wprawdzie pod kątem wkładanego w nią wysiłku fizycznego mogła być obiektywnie ciężka, posiadała jednak pewne cechy korzystne, np. to, że była

wykonywana w przestrzeni zamkniętej, „pod dachem”, pracę w fabrykach oraz pracę wykwalifikowanych fachowców. Mianem pracy „ciężkiej” określono pracę, która wymagała nie tylko znacznego wysiłku energetycznego, ale była nadto wykonywana w przestrzeni otwartej, narażającej człowieka na różnego rodzaju niekorzystne wpływy fizyczne i atmosferyczne, jak np. prace ziemne, polowe, drogowe, praca w kamieniołomach itp. Ponieważ znaczna liczba osób badanych w różnych okresach swojego życia obozowego wykonywała różne rodzaje pracy, było rzeczą konieczną ocenienie jej przez wypośrodkowanie różnych jej rodzajów i czasu wykonywania. U wszystkich 100 badanych osób pracę „sprzyjającą” wykonywało 14%, pracę „średnio ciężką” 32%, a pracę „ciężką” 54%. W I grupie przeważała na równi praca „średnio ciężka” i „ciężka”, w II grupie (o przewadze pracowników fizycznych) przeważała praca „ciężka”. Również w III grupie przeważała praca „ciężka”. W grupie tej nie było w ogóle pracy „sprzyjającej”.

Stwierdzono statystycznie istotny związek między rodzajem wykonywanej pracy a stopniem znoszenia obozu. Przy χ^2 teoretycznym wynoszącym 9,488, przy $n = 4$ i $p < 0,02$ χ^2 empiryczne wynosi 9,630.

Dla ilustracji stopnia znoszenia obozu przedstawiamy w znacznym skrócie biografię obozowe orientującą o wyodrębnionych trzech stopniach znoszenia obozu.

Grupa I (znoszenie obozu „względnie dobre”):

Mężczyzna (nr prot. T-15) ze średnim wykształceniem, stanu wolnego, liczący w chwili uwięzienia 23 lata, aresztowany w r. 1942 w związku z działalnością konspiracyjną; z usposobienia zamknięty w sobie, nieśmiały z kompleksem mniejszej wartości, mający pewne trudności w kontakcie z ludźmi. Matka chorowała psychicznie, ojciec był człowiekiem nerwowym. W czasie 8-miesięcznego pobytu w więzieniu kilkakrotnie przesłuchiwany i torturowany. W tym czasie przeszedł krótki okres depresji i apatii, zamknięty w pojedynczej celi izolacyjnej monologował. Przebywał następnie przez 2 lata w obozie w Oświęcimiu, po czym został przeniesiony do innego obozu. Po przewiezieniu z więzienia do obozu w Oświęcimiu nie przeszedł wyraźniejszej reakcji psychicznej. Stosunkowo szybko i łatwo przystosował się do życia w obozie i „mimo że nie miał dostatecznego doświadczenia życiowego” dawał sobie nieźle radę. Podchodził do życia w obozie „sportowo”, szybko nawiązywał kontakt z innymi więźniami. Życie obozowe „chłonał jak gąbka”, uczył się języków obcych i „w ogóle wszystkiego, co się tylko dało”. W początkowym okresie pobytu w obozie był przeświadczony, że nie wyjdzie z niego cało, był bowiem znacznie „obciążony” politycznie. O śmierci myślał jednak w sposób „całkiem trzeźwy i spokojny”. W późniejszym okresie nastąpiła „rezygnacja”, wyrażająca się postawą „co będzie, to będzie”. Przez cały czas pobytu w obozie dobrze spał. Z chorób przeszedł krwawą biegunkę, kilkakrotne „grypy”, ciężką błonnicę. Wskutek dźwigania ciężarów powstała przepuklina,

która została w obozie zoperowana. Ubytek na wadze był stosunkowo niewielki, wynosił niespełna 200% wagi wyjściowej. Żył dobrze z innymi więźniami, nie licząc drobnych nieporozumień, konfliktów i utarczek, unikających, jak podał, ze wzmożonej drażliwości i pobudliwości własnej, a również innych więźniów. Pracę miał przeważnie „średnio ciężką”. Przez cały okres przebywania w obozie nie przeszedł stanów kryzysu psychicznego lub fizycznego. Jako największe uciążliwości podał widok fizycznego i moralnego znęcania się nad więźniami oraz sytuacje, z których opisu wynikało, że najbardziej cierpiał z powodu uczucia moralnego poniżenia.

Grupa II (znoszenie obozu „średnie”):

Mężczyzna (nr prot. T-3), w chwili uwięzienia mający 36 lat, żonaty, 1 dziecko; o wykształceniu wyższym. Dziedziczność pod względem psychiatrycznym bez znaczenia. Osobowość sensorywna, hiperrefleksyjna, z hiperkompensowanym kompleksem mniejszej wartości. Uwięziony został jako zakładnik w r. 1942. Po 7-dniowym pobycie w więzieniu przebywał w obozach koncentracyjnych przez okres z górą 3-letni. Bezpośrednio po osadzeniu w obozie popadł w depresyjno-lękową reakcję psychiczną ze wstrętem do jedzenia, nudnościami, wymiotami, zaburzeniami połykania, polidypsją i poliurią. Reakcja ta, stopniowo słabnąca, utrzymywała się przez okres około 2 miesięcy. W początkowej jej fazie wystąpiły przeżycia o charakterze derealizacyjnym: miał uczucie, „jak gdybym znalazł się w innym wymiarze, jak gdybym to nie był ja w tym świecie”. Po przebyciu tej reakcji psychicznej zaczął się przystosowywać do życia obozowego, wykazywał zaradność, inicjatywę i — jeśli można użyć do tej sytuacji takiego określenia — osiągnął znaczny stopień stabilizacji. Narzucił sobie wewnętrzną dyscyplinę polegającą na rygorystycznej dbałości o zewnętrzny wygląd i higienę osobistą, uczył się obcych języków, wykazywał aktywność w małej grupie więźniów. Przez krótki czas na początku pobytu w Oświęcimiu miał pracę „ciężką”, później przez cały pozostały okres pobytu w obozach koncentracyjnych — pracę „sprzyjającą”. W końcowym okresie i tuż po wyzwoleniu wystąpiły dwukrotnie epizody halucynacyjne o treści wyraźnie życzeniowej. Jako najcięższe przeżycie obozowe podał spoliczkowanie go przez więźnia Polaka, jako największe uciążliwości życia obozowego — łasknotę i niepokój o rodzinę, poczucie bezsilności i poniżenia oraz bezustannego zagrożenia. Poza reakcją na początku pobytu w obozie, spał dobrze. Przeszedł dur wysypkowy z majaczeniem i z następową cerebrasteniczną hipomnezją. Początkowo silny lęk przed śmiercią przeszedł po około 3 miesiącach w emocjonalne zobojętnienie w stosunku do ewentualnej śmierci.

Grupa III (znoszenie obozu „złe”):

Kobieta (nr prot. L-4) w chwili uwięzienia licząca 36 lat, wolnego stanu cywilnego, po 5 klasach szkoły podstawowej, do czasu wojny pełniąca obowiązki pomocy domowej; dziedziczność psychiatrycznie bez znaczenia. Została aresztowana w r. 1942 w „łapance” ulicznej. 2 miesiące spędziła w więzieniu, po czym 30 miesięcy w obozach koncentracyjnych. Po uwięzieniu była smutna, przygnębiona, płacziwa, przeżywała bardzo

silny lęk przed śmiercią, miała poczucie nierealności otaczającego ją świata. Powiedziała: „To było okropne, niesamowite, wszędzie trupy, wszy, a tu orkiestra gra”; „miałam wrażenie, że zwariowałam, że ulegam jakimś złudzeniom”. W obozie żyła w stałym przerażeniu, poczuciu grozy oraz ustawicznym lęku przed śmiercią. Kilkakrotnie miała okresy bezsenności, często zrywała się w nocy z łękiem, miewała koszmarne, lękowe sny o treści obozowej. Była zupełnie pozbawiona inicjatywy, uległa, zdawała się na pomoc innych więźniarek, o niczym nie decydowała, dawała sobą kierować, często miewała myśli samobójcze, pracowała tylko dlatego, „żeby mnie nie bili i nie zabili”. W swoim zachowaniu w sposób niemal automatyczny naśladowała zachowanie innych i z automatyczną powolnością spełniała polecenia innych więźniarek. Kiedyś na wiadomość, że ma być skazana na śmierć, dostała „szoku”, drżała na całym ciele, biła wokół siebie, rzuciła się do ucieczki, lamentowała, błagała o ratunek. W końcowym okresie pobytu w obozie przeszła stan wyniszczenia głodowego. Z chorób przeszła w obozie dur brzuszny, malarię, miała obrzęki nóg. Wykonywała pracę „ciężką”. Jako największe uciążliwości podała głód, stałe poczucie zagrożenia, lęk przed śmiercią.

Oprócz przytoczonych trzech przykładów, ilustrujących wyodrębnione trzy grupy, na osobne omówienie zasługują dwie inne osoby z analizowanego materiału.

Kobieta (nr prot. M-20), licząca w chwili uwięzienia 31 lat, stanu wolnego, biuralistka, ze średnim wykształceniem; brat psychopata, matka nerwowa. Aresztowana w r. 1942 jako zakładniczka. Po tygodniowym pobycie w więzieniu dostała się do obozu w Oświęcimiu-Brzezince, gdzie przebywała 31 miesięcy. Ani w więzieniu, ani też po osadzeniu w obozie nie wystąpiła u niej wyraźniejsza reakcja psychiczna. Również w czasie dalszego pobytu w obozie nie miała żadnego poważniejszego kryzysu psychicznego lub psychofizycznego. W obiektywnie dramatycznych sytuacjach pozostawała emocjonalnie nieporuszona. Nic nie wywierało na niej głębszego wrażenia. Podała, że z łatwością przystosowała się do życia obozowego. Przez cały czas przebywania w obozie żywiła przekonanie o swoim „specjalnym przeznaczeniu”. Pomimo ciężkich chorób, głodu, „czułam, jak gdyby mnie to bezpośrednio nie dotyczyło”, była przekonana, że będzie ocalona, „potrafiłam przewidywać przyszłość”. W czasie badania podała nadto, że nie miała w obozie ciężkich przeżyć i że nic nie było dla niej uciążliwe. W czasie pobytu w szpitalu obozowym jeden z lekarzy podał jej kromkę chleba. Fakt ten uznała za „symbol naszego połączenia”. Później przez jakiś czas słyszała głosy mówiące jej, że lekarz ten jest jej przeznaczony. Miała w czasie przebywania w obozie „pogodny stosunek do życia” i była „obojetna na to, co się wokół niej działo”.

Kobieta ta została zaliczona do grupy I. Była ona poddana obserwacji klinicznej, która potwierdziła powzięte w czasie badania podejrzenie, że chodzi o stary proces schizofreniczny. Przykład ten wskazuje, że schizofreniczne stępienie uczuciowe, autyzm i magiczne, de-realistyczne myślenie wpłynęło w korzystny sposób na znoszenie życia obozowego. Skłania on również do pewnych refleksji, jeśli mowa

o znaczeniu zachodzącego u większości więźniów badanych wybiórczego, częściowego stępienia uczuciowego, które następowało zwykle po kilku miesiącach. Należałoby oczekiwać, że gdyby człowiekowi o prawidłowej, mieszczałej się w granicach psychologicznej normy wrażliwości uczuciowej zdarzyło się przeżyć w zwykłym, uporządkowanym życiu jakąś z tych licznych, dramatycznych sytuacji, które spotykały na co dzień więźnia w obozie, to spowodowałyby one mniej lub bardziej głęboki wstrząs psychiczny. Gdyby człowiek wbrew naszemu oczekiwaniu pozostał obojętny, nieporuszony, zachodziłoby uzasadnione podejrzenie, że mamy do czynienia ze zjawiskiem patologicznym. Natomiast w warunkach obozowych zachowanie niezmienionej wrażliwości uczuciowej należy oceniać jako zjawisko niezdrowe, bo utrudniające przystosowanie, zaś zobojętnienie, odwrażliwienie uczuciowe było fenomenem przystosowawczym, pomocnym w znoszeniu warunków życia obozowego, chroniącym człowieka przed upadkiem, załamaniem i zgubą.

Mężczyzna (nr prot. T-4) z wykształceniem wyższym, żonaty, liczący w chwili uwięzienia 33 lata, pochodzący z rodziny obciążonej anomaliami psychicznymi, przedstawiający osobowość przedobozową nerwicową, psychasteniczno-obsesyjną, z uosobieniem nieśmiały, uczuciowy, o słabej woli, przy równocześnie silnie rozwiniętej uczuciowości wyższej, poczuciu odpowiedzialności i ambicjach, żyjący w ustawicznym poczuciu winy i swojej małej wartości, niepewny siebie, obsesyjnie przeżywający, ze skłonnością do ucieczki w marzenia na jawie. W swoim życiu do czasu uwięzienia miał duże trudności przystosowawcze. Uwięziony został w r. 1942 w związku z działalnością konspiracyjną. Po 5-miesięcznym pobycie w więzieniu spędził 33 miesiące w obozach koncentracyjnych. W więzieniu przeszedł okres bezsenności, nasilonej hiperrefleksyjności i obsesyjnego dociekania wszystkich możliwych wariantów, jakie mogą zajść w jego sytuacji. W czasie pobytu w obozie nie przeszedł głębszych i dłużej trwających kryzysów psychicznych lub psychofizycznych. Podał w czasie badania, że wszystkie typowe przeciwności życia obozowego — tak natury fizycznej, jak i częściowo psychicznej — „prawie go nie dotyczyły”, „nie drażyły w głębi”, nie pozostawiały śladu w psychice, „spływały” po nim. Przez cały czas pobytu w obozie wykazywał inicjatywę w działaniu, znaczny stopień woli przetrwania. Miał poczucie, którego nigdy przedtem nie doznawał, że „znalazł tam sam siebie i miejsce dla siebie”, miał poczucie bogactwa życia duchowego, moralnego. Na uwolnienie zareagował przygnębieniem i niejako żalem, że „skończył się jakiś zamknięty, dobry dla mnie okres”.

Mając na uwadze przedobozową, głęboko nerwicową osobowość badanego oraz jego trudności przystosowawcze, można by było oczekiwać u niego szczególnie złego przystosowania i znoszenia obozu. Tymczasem jego obozowa biografia świadczy o czymś zupełnie przeciwnym. Został on zaliczony do I grupy stopnia znoszenia obozu.

Przytoczone dwa ostatnie przykłady są

w zbadanej grupie byłych więźniów zupełnie wyjątkowe.

W związku z ostatnim przykładem należy jednak zwrócić uwagę na obserwacje *Krala*, poczynione przez niego w obozie internowanych Żydów w Teresinie, zgodnie z którymi w przypadkach ciężkich nerwic o charakterze obsesyjnym i fobijnym następowało w warunkach obozowych albo całkowite ustąpienie objawów, albo poprawa w takim stopniu, że chorzy mogli pracować i nie wymagali opieki lekarskiej.

Uzyskane od osób badanych dane autoanamnestyczne pozwoliły nadto rozpoznać pewne zjawiska patopsychiczne, występujące wśród osób badanych podczas pobytu w obozie w sposób incydentalny. I tak, u 4 osób można było rozpoznać majaczenie w przebiegu duru wysypkowego, u 4 — epizody zaburzeń świadomości z następową niepamięcią, związane prawdopodobnie ze stanem wygłodzenia, u 5 — epizody o charakterze derealizacyjnym w ramach reakcji psychicznej na osadzenie w obozie, u 5 — stany cerebrastenii po przebyciu duru wysypkowego i po urazach czaszkowo-mózgowych, u 1 osoby iluzje głodowe, u 1 — omamy w stanie ekstatyczno-histerycznym, u 1 — odurzenie senne, u 1 — reakcję paniczną o charakterze prymitywnym i u 1 — reakcję histeryczną pod postacią napadu spazmatycznego śmiechu w dramatycznej sytuacji. Dwie osoby miały w czasie pobytu w obozie napady epileptyczne, w tym u 1 padaczka wystąpiła w kilka miesięcy po urazie czaszkowo-mózgowym.

Przedstawione wyniki pozwoliły na usystematyzowanie reakcji psychicznych i sposobów zachowania się w obozie u zbadanej 100-osobowej grupy więźniów oraz poznanie roli czynników sprzyjających przetrwaniu obozu. Oba te zagadnienia nie znalazły dotychczas należytego odbicia w piśmiennictwie przedmiotu.

PIŚMIENNICTWO

(Wybór najważniejszych pozycji; pełna bibliografia u autora)

1. *Bettelheim B.*: Journal of Abnormal and Social Psychology, 1943, XXXVIII, 417—452. — 2. *Cohen E. A.*: Human behavior in the concentration camp. J. Cape, London 1954. — 3. *Fejkiel W.*: Wspomnienia oświęcimskie. I. Głód. Życie Literackie, 1960, 1. — 4. *Frankl V. E.*: Ein Psycholog erlebt das Konzentrationslager. Verlag für Jugend und Volk, II Aufl., Wien 1947. — 5. *Frankl V. E.*: Psychiatrie des Konzentrationslagers. W: Psychiatrie der Gegenwart. Band III: Soziale und angewandte Psychiatrie. Springer Verlag, Berlin-Göttingen-Heidelberg 1961. — 6. *Kogon E.*: Der SS-Staat. Das System der Deutschen Konzentrationslager. Europäische Verlagsanstalt, V Aufl. 1946. — 7. *Kowalczykowska J.*: Przegl. Lek. 1961, XVII, 1a, 58—60. — 8. *Kral V. A.*: Am. J. Psychiat. 1951, CVIII, 3, 185—192. — 9. *Thygesen P., Kieler J.*: Mental deterioration. W: Famine disease in german concentration camps. Complications and sequels. Ejnar Munksgaard, Copenhagen 1952. — 10. *Ullitz E.*: Psychologie des Lebens im Konzentrationslager Theresienstadt. Continental Edition Verlag, A. Seixl, Wien 1948.

11. *Ullitz E.*: Zur Psychologie der provisorischen Daseins. W: Essays in psychology, dedicated to D. Katz. Almqvist&Wiksell, Uppsala 1951.

MARIA ORWID

Socjopsychiatryczne następstwa pobytu w obozie koncentracyjnym Oświęcim — Brzezinka

(Z Kliniki Psychiatrycznej A. M. w Krakowie.
Kierownik: Prof. dr K. Spett)

Badając socjopsychologiczne przystosowanie do życia poobozowego byłych więźniów obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka poszukiwano odpowiedzi na pytanie: jakie trudności i konflikty życiowe mieli ludzie wracający na wolność z obozu koncentracyjnego, w jakich sprawach życiowych związanych szczególnie z kontaktem z innymi ludźmi oraz w życiu społecznym trudności te występowały i w czym różniły się od życia przedobozowego tych ludzi.

Sprawy te dotyczą w równym stopniu przeżyć psychicznych, jak oddziaływania badanych na ich otoczenie społeczne. Teoretycznie zjawiska tu rozpatrywane wiążą się z problemami przystosowania i częściowo można je w tych terminach ujmować. Zagadnienia te więc

w dużej mierze dotyczą sposobów przystosowania, ściślej przystosowania na nowo („readjustment” w ujęciu *Kroebera*) do warunków normalnego ludzkiego życia.

Sytuacja w obozie sprowadzała problemy przystosowania zasadniczo do sprawy przetrwania obozu (zob. pracę *Teutscha*). Więzień poddany był zupełnie wyjątkowym i silnym zespołom stresu zarówno psychologicznym, jak i biologicznym. Życie ludzkie było pozbawione tych elementów, które niesie z sobą normalna egzystencja, tzn. wykonywania pracy przynoszącej satysfakcję, a nie będącej tylko tragiczną koniecznością, realizowania ambicji osobistych, zwykłych kontaktów z innymi ludźmi, poczucia wolności i godności osobistej itd. Człowiek, który wrócił z obozu,

uwolnił się oczywiście od totalnego zagrożenia („dekompresja” wg *Frankla*), ale jednocześnie stanął wobec normalnych problemów i konfliktów ludzkiego życia, które wymagało od niego zajęcia określonej postawy i zaangażowania, spotkał się znowu ze zwykłymi wymaganiami swojego środowiska, musiał podbudować albo wytworzyć na nowo własny model życia w obrębie swojej grupy społecznej i nawiązać normalne, zwykłe stosunki międzyludzkie. Badano więc dynamikę powracania do normalnego życia społecznego i zachowania byłych więźniów od chwili uzyskania przez nich wolności.

W toku analizy protokołów badań ujawniały się pewne zjawiska, które wyróżniały się od innych w badanym materiale. Zjawiska te uznano za kryteria, według których następnie podzielono zbadaną grupę byłych więźniów. Można było oczywiście — posługując się danymi z piśmiennictwa — przyjąć *a priori* jakieś zasadnicze kryteria decydujące o tym, czy dany człowiek miał trudności przystosowania po powrocie, czy ich nie miał (np. sprawa podjęcia pracy, zachowanie w rodzinie, kontakt z innymi ludźmi), lecz tego rodzaju założenie pociągałoby automatycznie za sobą pominięcie innych ważnych zjawisk czy objawów. Zbadany materiał wykazał, że problemów przystosowania człowieka nie można rozpatrywać na zasadzie *continuum* od złego do dobrego przystosowania, gdyż zjawisko jest o wiele bardziej skomplikowane i sięga do wielu różnych, często nie wiążących się ze sobą dziedzin życia, tzn., że ten sam człowiek może mieć bardzo duże trudności np. w zakresie pracy, a jednocześnie może mieć bardzo dobrze ułożone sprawy uczuciowe; istnieje tu wiele wariantów. Być może, opisany podział materiału nie jest jednolity pod względem formalnym i metodycznym, ale wydaje się, że rozpatrując jakiegokolwiek aspekty zachowania człowieka należy raczej dążyć w miarę możliwości do adekwatnego odbicia tych problemów niż trzymać się apriorycznych i teoretycznych założeń.

Przed wynikami analizy — kilka wybranych i bardzo skrótowych uwag dotyczących literatury pomocniczej. Piśmiennictwo to jest nieźmiernie obszerne, toteż podane uwagi odnoszą się tylko do tych pozycji, które orientują o pewnych kierunkach badań problemu przystosowania.

Według np. *Kozieleckiego* obecnie cała psychologia jest nauką o przystosowaniu jako o centralnej funkcji lub zespole funkcji warunkujących zarówno procesy poznawcze, motywacyjne, jak i sposób zachowania jednostki w świecie.

Problem przystosowania jest w nauce ujmowany w kategoriach biologicznych (np. *Selye, Hunt*), biodynamicznych (np. *Massermann, Menninger*), socjopsychologicznych i prawnych (np. *Merton, Cohen, Kroeber, Keesing, Kelman, Lapierre, Fromm, Lazarus, Kluckhohn, Tamotsu, Turner, Kłosowska*) itp.

Według definicji słownikowej „przystoso-

wać się” znaczy ukształtować zachowanie jednostki w kierunku harmonijnego i efektywnego współdziałania z jej środowiskiem kulturowym. Wchodzą tu zatem takie zagadnienia, jak przystosowanie w sensie dobrego samopoczucia psychicznego, kształtowanie osobistych postaw i systemów wartości w oparciu o wzory przyjęte w danym środowisku oraz problem zakresów i grup odniesienia dla poszczególnego człowieka. Jak wynika z podanych uwag, termin „przystosowanie” nie jest jednoznacznie określony w nauce i obejmuje wiele różnorodnych i pozornie nie wiążących się z sobą problemów.

Wprawdzie w literaturze amerykańskiej dominowało dotąd hasło „zgody na świat” jako kryterium dobrego przystosowania, jednak tacy autorzy, jak np. *Fromm* i *Lazarus*, widzą w tym postulatcie dobrego przystosowania jako naczelnego celu jednostki ludzkiej ograniczenie indywidualnych możliwości rozwoju i działania człowieka. Pogląd ten zwalczą oczywiście również szkoła egzystencjalistyczna.

Dla zilustrowania opracowywanych zagadnień zostaną przytoczone wyłącznie te pozycje literatury, które w jakiś sposób łączą się z analizowanym problemem.

Jednym z głównych zagadnień współczesnej socjologii i psychologii społecznej jest teoria grup odniesienia, przyjmująca, że jednostka swoje własne poglądy i postawy kształtuje w odniesieniu do różnych grup, takich, do których należy i takich, do których nie należy. Członkowie różnych grup społecznych — według *Mertona* — mogą mieć wspólne zakresy odniesienia. Poszczególne jednostki mają swoje indywidualne konteksty, które wpływają na ich postawy, przy czym mogą to być np. bezosobowe kategorie społeczne, a także konkretni ludzie, z którymi jednostki pozostają w kontakcie. Grupa odniesienia — wg *Tamotsu* — może być także wyimaginowana, np. ludzkość, dla której pracuje uczony, potomność, albo przeszłość nadmiernie gloryfikowana w krytyce zdarzeń współczesnych.

Z zakresem odniesienia zachowania ludzkiego łączy się problem wzorów zachowania (*normative patterns, patterns of behavior*), zagadnienie to dotyczy zgodności zachowania się jednostki z powszechnie przyjętymi normami. *Kluckhohn* np. stwierdza, że zachowanie jednostki oraz przyjęty przez nią system wartości stanowią jedność wzoru kulturowego i osobniczej historii życia człowieka. Tak więc osobisty system wartości autor ten traktuje jako „prywatną” formę wartości grupy.

W każdym systemie życia i kultury, jak podaje *Keesing*, wzory zachowania i systemy normatywnych wartości są ze sobą ściśle połączone. Jeżeli zajdzie zmiana w już ustalonym sposobie i stylu życia jednostki — skutek czego jednostka wchodzi w nowe, zmienione sytuacje (wzory kulturowe) — musi wystąpić zmiana w postawach, nawykach i cechach człowieka. Jest to tzw. przystosowanie na nowo („*readjustment*” wg *Kroebera*).

Z polskich autorów zagadnieniem tym interesuje się między innymi Kłosowska, która zwraca uwagę na wzor, czyli powtarzalną strukturę zachowania się. Autorka ta podkreśla, że istnieją społecznie dopuszczalne zakresy zachowania się i że każda jednostka w swoim życiu musi poszukiwać odpowiedniego wzoru zachowania się, tzn. definiować swoją sytuację.

Przedstawione teoretyczne poglądy niektórych autorów wskazują na umiejscowienie omawianej problematyki w nauce i rzucają pewne światło na związek podjętego tematu z zagadnieniem teorii przystosowania. Należy jednak zaznaczyć, że grupa byłych więźniów i ich przeżycia stanowią tak swoisty zakres zagadnień, że trudno wyjaśnić go tylko za pomocą uznanych i przyjętych kategorii naukowych.

Pozycje z piśmiennictwa dotyczące KZ-Syndromu pomija się, ponieważ są one uwzględnione w następnym artykule A. Szymusika.

Opracowując podjęty problem dokonano ilościowej i treściowej analizy materiału dotyczącego 100 zbadanych byłych więźniów.

Wyniki analizy statystycznej są następujące:

1. Stwierdzono tendencję, a nie istotność w sensie statystycznym w ocenie trudności przystosowania u kobiet i u mężczyzn. Kobiety wykazywały pewną przewagę w zakresie trudności krótkotrwałych, a mężczyźni — w zakresie długotrwałych.

2. Ponieważ w wyodrębnionych grupach przystosowania struktura wieku badanych nie odbiega zbyt od siebie, nie można w zbadanym materiale ocenić statystycznie, jaki był wpływ wieku na ewentualne trudności przystosowania.

3. W zakresie badania korelacji pomiędzy przynależnością do warstw społecznych a trudnościami przystosowania stwierdzono, że 44% robotników wykazało dobre przystosowanie poobozowe. Istnieje statystyczna istotność wskazująca na największe trudności przystosowania u inteligencji. Rzemieślnicy zajmują pozycję pośrednią, nie różniąc się w sposób statystycznie istotny ani od inteligencji, ani od robotników.

4. Stwierdzono, że 80% spośród badanych nie wykazywało przed obozem trudności w przystosowaniu do życia, natomiast tylko 30% z tej grupy nie wykazywało tych trudności po przejściu obozu.

5. Istotny wpływ na nasilenie następstw poobozowych miała długość czasu pobytu w obozie. Okres pobytu w obozie, który dał największą liczbę poobozowych zaburzeń, wynosi 3,7 lat.

6. W badanej grupie stwierdzono, że ci sami ludzie wykazywali znacznie lepsze przystosowanie do życia w obozie (55,3%) niż po obozie (31,2%). Występuje więc znaczny wzrost trudności przystosowania w życiu normalnym w stosunku do obozowego.

7. Nie stwierdzono istotnego wpływu zastygłych na wolności warunków na fakt wystąpienia lub niewystąpienia następstw po-

bytu w obozie. Wpływ ten zaznaczył się wprawdzie, lecz w stopniu nieistotnym statystycznie.

Analiza treściowa jest próbą syntetycznego spojrzenia i ujęcia mechanizmów patopsychologicznych zaobserwowanych u zbadanej grupy. Problem tu rozważany jest dla psychiatry równie ważny, jeśli nie ważniejszy niż ścisła analiza statystyczna.

Niektórzy spośród badanych reagowali w sposób odmienny i nie można by ich podciągnąć pod opisane tutaj zjawiska. Jednak wydaje się, że psychiatra — jak każdy lekarz — jest uprawniony do posługiwania się swoją zawodową intuicją czy doświadczeniem jako instrumentem w analizowaniu pewnego chociażby aspektu opracowywanego zagadnienia. Uwagi poniższe nie są bezpośrednim, dosłownym cytowaniem danych z protokołów badań, natomiast stanowią rodzaj interpolacji psychiatrycznej, która pozwala, być może, na pewną próbę uogólnień konkretnego materiału.

Momentem, od którego rozważania się zaczyna, jest reakcja na odzyskanie wolności. Z całego bogactwa wrażeń podawanych przez byłych więźniów można — z dużym uproszczeniem — wyróżnić dwa typy reakcji.

Pierwszy typ — ogólnie rzecz biorąc — był steniczny; ludzie odczuwali radość, często żywiołową, czasem połączoną z podnieceniem psychoruchowym. Towarzyszyła temu zwykle rzeczowa postawa wobec określonej sytuacji, tzn. organizowanie żywności, warunków powrotu do kraju; udział w samosądach nad esesmanami albo pomoc wojskom zwycięskim w wymierzaniu sprawiedliwości. Wielu spośród badanych podkreślało, że odczuwali wtedy szczególne oszołomienie, mieli poczucie nierealności otaczającego świata. Zjawisko podobne opisał *Teutsch* w sytuacji zupełnie odmiennej, tzn. w momencie pierwszego zetknięcia ludzi z obozem koncentracyjnym i nazwał je szczególnym rodzajem zjawiska derealizacji. Oba te zjawiska można porównywać ze sobą mimo zasadniczej różnicy sytuacji obiektywnych: raz zamknięcie w obozie, tu wyjście z obozu na wolność, ale psychologicznie elementy ich były zbliżone. W obu wypadkach człowiek nagle przerzucony w świat zupełnie odmienny niż dotychczas.

To pierwsze oszołomienie często długo się utrzymywało: trwało kilka miesięcy do kilku lat. Wyrażało się gwałtownym „wskoczeniem” w wir rozmaitych spraw życia. Byli więźniowie wracając nie zostawiali sobie często nawet krótkiego czasu na odpoczynek i na spokojne rozejrzenie się po wolnym świecie. Wpadali w natychmiastową, nadmiernie aktywną działalność, głównie w trzech sektorach życia, tj. w pracy zawodowej, w pracy ideowo-społecznej oraz w aktywności towarzysko-zabawowej. Ludzie ci pracowali ponad potrzebę, ponad miarę, często ponad swoje możliwości, w każdym razie więcej niż inni oraz więcej i inaczej niż oni sami przed wojną. Hiperaktywność ta często doprowadzała ich do konfliktów z otoczeniem, tworząc rodzaj błędnego koła. Mechanizm psychologiczny tego zjawiska

jest oczywiście bardzo zawiły i różnie się kształtował u poszczególnych jednostek, jednak — zdając sobie sprawę z dużego uproszczenia — można wyróżnić pewne elementy typowe. Wszyscy oni prawdopodobnie odczuwali bardzo silny, nerwiczny niepokój, który uniemożliwiał im spokojne i stopniowe adaptowanie się do życia i zmuszał do ciągłych i stałych działań i „wyskoków”. Ludzie ci prawdopodobnie nie znaleźli zadowolenia i satysfakcji w realnym życiu, które zastali po powrocie. Codzienne szare warunki życiowe były dla nich zbyt ciasne, musieli więc szukać sobie innej rzeczywistości, sztucznie przez siebie stworzonej. W terminach psychiatrycznych: żyli w sferze celów i idei nadwartościowych. Prawdopodobnie wielu z nich chciało nadrobić lata stracone w obozie, często przypadające na okres najbardziej twórczej młodości. Inni sądzili, że przez udział w pracy społeczno-politycznej łatwiej będą mogli zrealizować swoją chęć zemsty. Jeszcze innym wydawało się, że przez tę aktywną walkę uda im się nie dopuścić więcej do tego, co stało się w świecie podczas drugiej wojny światowej. Wszyscy prawdopodobnie poszukiwali sensu życia, sensu swojego wielkiego cierpienia w obozie i przez nadmierną, życiową aktywność chcieli tę swoją pustkę zrekompensować.

Mówiąc znowu językiem psychiatrycznym: było to prawdopodobnie zjawisko nadmiernej ekspansji, hiperkompensacji tak częstej w wielu nerwicach przebiegających z poczuciem mniejszej wartości, z lękiem i niepokojem. Błędne koło, o którym już wspomniano, powodowało, że ludzie ci żyli stale w bardzo dużym napięciu psychicznym. W gruncie rzeczy nie wrócili do normalnego, zwykłego stylu życia, nie wyrazili zgody na otaczający świat, tylko dalej trwali w stanie walki. Walka ta dla wielu z nich stanowiła kontynuację ich wewnętrznej postawy z obozu, dla innych była nowym sposobem bycia w świecie. Ponieważ żyli w świecie w pewnym sensie nadwartościowym, ich tolerancja na normalne, zwykłe konflikty życia była bardzo mała. Często nawet drobne — w porównaniu z tym, co przeżyli w obozie — trudności życiowe wywoływały u nich okres załamania, depresji, tendencje samobójcze, nerwiczny alkoholizm. Wiele spośród nich po paru latach tego nadmiernego zrywu nie znalazło sobie właściwego miejsca w świecie. Miewali trudności w pracy, byli źle rozumiani przez ludzi z powodu swojej stale walczącej postawy, a prawie wszyscy spośród aktywistów partyjnych mieli w okresie stalinizmu duże konflikty w partii.

Opisaną formę życia można zaliczyć do trudności przystosowania, gdyż wystąpiło tu zjawisko dysharmonii wyrażającej się przezrzućceniem punktu ciężkości na jeden sektor życia, często z zupełnym pominięciem innych. Dysharmonia wyrażała styl życia tych ludzi, powodowała stałe kompensowanie swoich trudności psychicznych nadmierną, gorączkową aktywnością, szukaniem sensu lub intensywnym wypełnianiem czasu. W ten sposób za-

mykało się błędne koło, gdyż tego rodzaju postawa stanowiła nowe źródło konfliktów.

Niektórzy badani zdawali sobie świadomie sprawę, że ten ich styl życia był samoobroną, ucieczką od odczuwanej pustki. Inni — mimo że zachowywali się podobnie — nie rozumieli przyczyn swojego zachowania i w tym sensie można chyba okres hiperkompensacji byłych więźniów zaliczyć do mechanizmów obronnych — jak to zresztą bywa w przyrodzie — i w tych wypadkach często mechanizm obronny spełniał przeciwną rolę, tj. przyczyniał się do jeszcze większego załamania wewnętrznego czy odizolowania jednostek bądź całej grupy. Być może, odegrały tu także rolę czynniki biologiczne, gdyż byli więźniowie po latach głodu i nadmiernego stresu w obozie nie mieli właściwie czasu na regenerację chociażby tylko somatyczną z powodu form życia, które zaczęli uprawiać.

Oczywiście nie wszyscy byli więźniowie, którzy przeszli przez okres tego typu trudności przystosowania po obozie, wypadli z życia i nie ułożyli sobie normalnej egzystencji.

Drugi typ reakcji na uwolnienie był — znowu uogólniając — asteniczny. Ludzie ci nie cieszyli się z odzyskanej wolności, reagowali smutkiem, wątpliwościami, jak to będzie w przyszłości, lękiem przed życiem, byli nawet tacy, którzy odczuwali coś w rodzaju żalu, że skończył się jeden okres w życiu, a następny jest jakąś wielką niewiadomą (psychastenicy). Przerzątała ich perspektywa zdobywania żywności, przygotowania powrotu do kraju, nawiązywania na nowo normalnych stosunków międzyludzkich, podejmowania zwykłej życiowej aktywności. Byli też tacy, którzy wykazywali zupełną obojętność wobec faktu uwolnienia. Biernie pozwalali innym opiekować się sobą i decydować za siebie. Prawdopodobnie były to przypadki stanu zbliżonego do „mużułmaństwa”. Po powrocie ludzie ci do życia włączali się powoli. Często długie miesiące spędzali w szpitalu albo u rodziny. Odpoczywali, leczyli się, przyglądali się z pewnym lękiem wolnemu światu i nie mogli zdobyć się lub nie mieli siły, aby wrócić do normalnego życia, podjąć pracę, wykazać się zwykłą aktywnością. W skrajnych przypadkach przez cztery lata badani pozostawali na utrzymaniu innych, gdyż bali się lub nie mieli siły powrócić do pracy. Psychiatrycznie zjawisku temu towarzyszyła zwykle apatia, często połączona z abulią, nastroj depresyjny, lęk, nieustające wspomnienia obozu i stale utrzymujące się poczucie zagrożenia, zaburzenia snu, poczucie mniejszej wartości.

Losy tych ludzi kształtowały się później różnie. Są w tej grupie osoby, które właściwie nigdy nie ułożyły sobie życia, gdyż po podjęciu pracy znowu wpadały w zespół asteniczno-depresyjno-lękowy. Jednak bardzo wielu spośród nich po podjęciu pracy i włączeniu się do życia nie miało już później szczególnych trudności, okresów załamań i ułożyło sobie swoje życie zarówno w pracy, jak i osobiste.

Opisywana tu grupa jest zaliczana przez większość autorów do tzw. KZ-syndromu; po-

mija się tutaj jej opis z punktu widzenia klinicznego, gdyż nie to jest przedmiotem pracy. Natomiast interesujące wydaje się spojrzenie na ten syndrom z punktu widzenia problemu przystosowania. Z jednej strony, społecznie rzecz biorąc, kilkuletnia niemożność pracy, załamanie aktywności, zahamowanie lub zmniejszenie tego biegunu ludzkiego życia, jakim jest działalność w grupie społecznej — słowem wycofanie (Merton) — jest oczywiście głębokim zaburzeniem przystosowania do normalnego życia, ale z drugiej strony, niezależnie od etiologii, fakt wycofania się na pewien okres z życia po przejściu takiego zespołu „stressów”, jakim jest obóz, być może ułatwiał niektórym spośród byłych więźniów przyzwyczajenie się na nowo do tego wszystkiego, co niesie życie. Wydaje się, że ten powolny powrót umożliwił przywrócenie normalnych proporcji i hierarchii ważności niektórym sprawom i uchronił wielu spośród byłych więźniów przed ostatecznym zagubieniem się w świecie, co się tak często zdarzało w poprzednio opisaney grupie.

Oczywiście nie można mówić tutaj o jakiegokolwiek świadomej postawie obronnej lub mechanizmie obronnym w tej grupie, jednak „uboczne” działanie okresu astenii poobozowej bywało czasem pozytywne w skutkach.

Oba opisane sposoby zachowania w swojej istocie można by zaliczyć do tej samej grupy problemów, gdyż w obu grupach zaburzenia — w dwóch różnych krańcach tej samej skali — dotyczyły sfery aktywnego, ludzkiego działania.

Jednak głównym problemem patopsychologicznym w zakresie przystosowania byłych więźniów jest ich trudny kontakt z ludźmi, którzy nie przeszli obozu koncentracyjnego. Odnosi się to zarówno do grupy hiperkompensującej, jak i grupy astenicznej oraz do osób, które nie wykazywały żadnego z dwóch poprzednich typów reakcji. Można zaryzykować twierdzenie, że prawie wszyscy byli więźniowie, którzy mieli kiedykolwiek trudności po powrocie, zareagowali przede wszystkim utrudnieniem kontaktu międzyludzkiego. Zjawisko to występuje w różnych formach i stopniach nasilenia, np. ludzie ci źle się czują w towarzystwie osób obcych, tj. takich, które nie były w obozie, albo wręcz unikają rozmów z tymi ludźmi. Niechętnie zawierają nowe znajomości, a nawet z dawnymi przyjaciółmi nie znajdują wspólnego języka. Najlepiej czują się w towarzystwie byłych kolegów obozowych lub osób, o których wiedzą, że byli w obozie. Często mają poczucie, że inni ludzie śmieją się z nich, ponieważ stracili wiele czasu i powstały np. luki w ich wykształceniu. Wydaje im się, że ludzie źle się do nich odnoszą, ponieważ ich zachowanie różni się od zachowania osób, które obozu nie przeszły. Mają poczucie, że sprawy innych ludzi są błahе, nieważne i tylko oni wiedzą, co to znaczy cierpienie. Są przekonani, że obóz pokazał im jakieś ostateczne dno ludzkiego życia, którego nie widzieli i nie przeżyli inni i wobec tego trudno im z tymi innymi rozmawiać. Często

jest to jakiś żal w przestrzeń, do ludzi w ogóle, po prostu o to, że inni żyli mniej więcej normalnie, podczas gdy oni przeszli obóz. Sądzą, że nikt poza współtowarzyszami nie potrafi zrozumieć bezmiaru ich przeżyć i choćby to tylko izoluje ich wewnątrznie od środowiska, w którym żyją. Czasem ta świadomość swojej inności na zasadzie szczególnych przeżyć preradza się w poczucie krzywdy, która z kolei rodzi żądanie, aby w każdej sytuacji traktować byłego więźnia w sposób szczególny, specjalny, inaczej niż „zwykłych” ludzi.

Niektórzy byli więźniowie mają głębokie poczucie samotności i odrębności wobec nawet bliskich przyjaciół czy rodziny — poczucie, które zanika tylko w kontaktach z byłymi więźniami. Badani w sposób często dosłowny alienują się ze swego naturalnego środowiska, jakim jest rodzina, koledzy w pracy, nie umieją wytworzyć głębszych powiązań międzyludzkich, które niesie życie na wolności. Zjawisko to jest o tyle jeszcze szczególne, że byli więźniowie nie stanowią grupy w sensie dosłownym, tzn. nie wszyscy nawet się znają. Potocznie rzecz biorąc, każdy z nich, uprawiając normalne życie i normalne kontakty międzyludzkie, formalnie przynależy do innych grup. Po prostu sama świadomość, że ktoś, kogo nawet nie znaliśmy osobiście, był w obozie, wystarczy do nawiązania kontaktu z danym człowiekiem i okazania mu zaufania. Tak więc odpada tu problem np. osobistych przyjaźni osobowych jako determinujący zjawisko tej szczególnej alienacji. W naszym materiale jest kilka małżeństw zawartych już po wojnie, których głównym motywem był fakt, że obie strony przeszły obóz i fakt ten obie strony uważały za zasadniczy warunek wzajemnego zrozumienia.

Usiłowano rozpatrywać to utrudnienie kontaktu ze światem w zakresie zwykłych, psychiatrycznych ocen podobnych sytuacji. Np. próbowano uchwycić zależność tej sprawy od typu osobowości, od rodzaju przeżyć w obozie, wreszcie od stopnia frustracji, jaka przyniosło byłemu więźniowi życie na wolności. Nie udało się jednak — ogólnie rzecz biorąc — znaleźć wytłumaczenia tego zjawiska. Badani z grupy wyalienowanych reprezentują najrozmaitsze typy osobowości przedobozowej. bardzo często nawet można ich określić jako ludzi dawniej syntonicznych, towarzyskich. Co do przeżyć obozowych zauważono tylko, że duża część osób jako najcięższe przeżycia obozowe podawała czynniki, które można by określić jako „psychiczno-moralne”, np. niektórzy stwierdzili, że najbardziej łamało ich w obozie upokarzanie godności ludzkiej, bezsilność wobec przemocy, brak samotności, fatalna sytuacja higieniczna, widok cudzych cierpień, jednak również duża grupa przede wszystkim skarżyła się na głód, stałość zagrożenia, tortury fizyczne itp. Co do warunków zastanych po powrocie, to wprawdzie w indywidualnych przypadkach można doszukać się osobistych frustracji polegających np. na konfliktach rodzinnych albo na wyraźnej dyspro-

porcji pomiędzy tym, czego po powrocie oczekiwali, a tym, co stało się ich udziałem, jeżeli jednak wolno pozwolić sobie na uogólnienie, to wydaje się, że sytuacja „obiektywna” nie miała wpływu na poczucie samotności i utrudnienie kontaktu z ludźmi. Trzeba chyba przyjąć, że przyczyną zjawiska było przejście przez tego rodzaju zespół wrażeń, jaki stanowił obóz i tylko ten fakt świadomie czy nieświadomie łączy byłych więźniów ze sobą i alienuje od reszty ludzi. Należy dodać, że trudność kontaktu bywała różnie długa i różnie głęboka; czasami już po paru miesiącach ludzie ci nawiązywali normalne stosunki międzyludzkie, duża grupa była zdolna do tego dopiero po paru latach albo wcale nie mogła tego dokonać.

Rozpatrując sprawę w terminach socjologicznych, obserwujemy, że byli więźniowie stanowią dla siebie szczególnego rodzaju grupę odniesienia i nie mogą wytworzyć grup odniesienia w swoim normalnym, codziennym otoczeniu. Grupa ta jest szczególnego rodzaju, ponieważ jej treść nie dotyczy ani kontaktów osobistych, ani konkretnych powiązań międzyludzkich, ani nawet wspólnoty celów, o które się walczy; jest właściwie grupą abstracyjną, opartą na świadomości wspólnych przeżyć i doznań w obozie. Zakresem odniesienia dla tych ludzi jest zamknięty okres w ich życiu, zawierający tak bogaty ładunek najrozmaitszych treści, że każdy człowiek, który przeszedł przez podobne sytuacje, staje się znany i bliski.

Poczucie obcości, a czasem nawet śmieszność tego, co byli więźniowie zastali po powrocie, rozgrywało się u nich także w innych płaszczyznach życia. „Objawy” tu poruszane można by z dużym uproszczeniem nazwać „rozchwianiem” wzorów zachowania, ale termin ten nie zawiera w sobie wszystkich odcieni zjawiska. Mieszczą się tu bowiem bardzo różne warianty, mające różne zakresy odniesienia i dlatego trudno dla nich znaleźć termin zbiorczy spośród używanych w nauce. W codziennym, zwykłym życiu wykonujemy różne czynności, o których w ogóle świadomie nie pamiętamy. Uprawiamy różne formy towarzyskie, zwyczaje społeczne, które wydają się nam oczywiste, gdyż wychowywaliśmy się w danym kręgu kulturowym. Truizmem byłoby przypomnienie, że zachowanie ludzkie zawiera elementy różnych wzorów grupowych zinternalizowanych już we wczesnym dzieciństwie i uprawianych w późniejszym życiu, czasem nawet bez udziału świadomości. Wszystkie te elementy stanowią jakby powierzchownie stawką naszych związków z otoczeniem społecznym, na bazie której dzieje się dopiero właściwy proces kontaktu ze światem i ludźmi.

I właśnie również w tym zakresie spraw byli więźniowie przeżywali trudności. Wyszli z obozu, gdzie życie odatę było jakby z osłonek kulturowych, powszechnie przyjęte sposoby zachowania, formy, a także i normy były zniszczone i zmienione adekwatnie do szczególnej sytuacji. Wracając, często nie mogli podjąć na nowo zwykłych dawniej form i czynności. Zwykła struktura społeczna, proste me-

chanizmy społeczne stały się obce, dziwaczne i śmieszne. Doszło u nich do rozerwania zinternalizowanych sposobów zachowania, nie wymagających udziału świadomości. Wszystkiego musieli się uczyć na nowo: dziwiło ich na przykład, że ludzie mówią do siebie: pan, pani, a nie zwracają się do siebie przez: ty, że trzeba jeść łyżką, siedząc przy stole, że jedzenie po prostu można kupić. Nie umieli się posługiwać pieniędzmi, odzwyczajeni od tego, że są one społecznym-ekonomicznym uniwersalnym środkiem wymiany. Śmieli się z ceremonii pogrzebu i dopiero po wielu latach przyzwyczajali się, że jednostkowa śmierć także powinna być uszanowana. Nie mogli pojąć, że ludzie zwyczajnie chodzą po ulicach. Niektórzy usuwali się ludziom z drogi. Nie mogli zrozumieć zwykłych uprzejmości. Byli tacy, których najprostsza formalna uprzejmość doprowadzała do płaczu. Skarżyli się, że zupełnie nie wiedzą, jak się zachować w społeczeństwie lub w mniejszej grupie, jak należy z ludźmi rozmawiać i jak załatwiać najprostszą sprawę. Niektórzy badani stwierdzali, że mechanizm stosunków międzyludzkich na wolności wydaje im się bardzo skomplikowany, podczas gdy w obozie wszystko było prostsze i surowsze, zarówno w sensie „dobrym”, jak i „złym”. Rozeznanie tego, czy ma się do czynienia z człowiekiem „dobrym” czy „złym” nie wymagało w obozie specjalnego kunsztu, podczas gdy w wolnym świecie jest często niezmiernie trudne. Charakterystyczne, że wyrażali się w ten sposób ludzie, których przedwojenny zawód predystynował niejako do umiejętności obcowania z ludźmi (np. adwokaci). Przypadkiem odosobnionym, ale również bardzo interesującym, był badany, który stwierdził, że bał się życia bez rozkazów i regulaminów.

Jak widać z przedstawionych uwag, objawy te rzeczywiście trudno określić jakimś terminem zbiorczym używanym w nauce, gdyż dotyczy często spraw bardzo różnorodnych co do zakresu odniesienia, ale ponieważ zjawiska takie zaobserwowano, należało je mimo trudności metodologiczno-formalnych zasygnalizować i podjąć próbę ich analizy.

Przedstawiona tutaj pokrótce analiza linii życiowych byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu-Brzezince pozwala przjąć, że stress obozowy pozostawił u większości z nich mniej lub więcej trwały ślad w postaci trudności przystosowania się do normalnych warunków życia, szczególnie w zakresie utrudnienia w nawiązywaniu kontaktów międzyludzkich.

PIŚMIENNICTWO

(wybór najważniejszych pozycji; pełna bibliografia u autorki)

1. Cohen A. K.: The study of social disorganisation and deviant behavior. W: Sociology to-day. Problems and prospects. Edited by R. K. Merton, L. Broom, L. S. Cottrell. Basic Books Inc., New York 1960, 461—

483. — 2. Dictionary of sociology and related sciences. Editor: H. P. Fairchild and 100 authorities. Dittelfield, Adams et Co. Ames, Iwa 1957. — 3. Frankl V. E.: Psycholog w obozie koncentracyjnym. W: Apel skazanych. Pax, Warszawa 1962. — 4. Hunt J., McV.: Personality and the behavior disorders. The Ronald Press Company, New York 1945. — 5. Keesing F. M.: Cultural anthropology. The science of custom. Reinhardt Co., Inc., New York 1958. — 6. Kelman H.: Compliance, identification and internalisation. A theoretical and experimental approach to the study of social influence 1956. (Mazszynopis udostępniony przez docenta UJ dr Franciszka Studnickiego). — 7. Kluckhohn C.: Values and value orientation in the theory of action. W: T. Parsons, E. Shile (editors): Toward a general theory of action. Harvard Univ. Press. Cambridge, Mass. 1954, str. 388 i n. — 8. Kłoskowska A.: Modele społeczne i kultura masowa. Przegląd Socjologiczny, 1959, 2, 13: 46 i n. — 9. Kolle K.: Der Nervenarzt, 1958, 29, 4, 58—60. — 10. Kozielecki J.: Studia Filozoficzne, 1961, 2, 23: 121—141.

11. Kroeber A.: Anthropology to-day. The University of Chicago Press. Chicago 1957. — 12. Lazarus R. S.: Adjustment and personality. 3—24 i 303—381. McGraw-Hill Book Company, Inc. New York, Toronto, London 1961. — 13. Menninger K.: The human mind. A. Knopf, New York 1957. — 14. Merton R. K.: Social theory and social structure. Revised and enlarged edition. The Free Press, Glencoe. Illinois 1957 (Social structure and anomie), 131—160. — 14. Merton R. K.: Social theory and social structure. Free Press 1957. Streszczenie w: Sociology to-day. Problems and prospects. Edited by R. K. Merton, L. Broom, L. S. Cottrell. Basic Books Inc., New York 1960, 464—465. — 16. Merton R. K., Kitt A. S.: Przyczynki do teorii grup odniesienia. W: Zagadnienia psychologii społecznej. Wybór i opracowanie A. Maleskiego. PWN, Warszawa 1962, 124—150. — 17. Selye H.: Stress życia. PZWL, Warszawa 1960. — 18. Tamotsu S.: Amer. Journal, of Sociology 1955, 60: 564 i n. — 19. Turner R. H.: Amer. Journal of Sociology, 1956, 61: 326 i n.

ADAM SZYMUSIK

Astenia poobozowa u byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu

(Z Kliniki Psychiatrycznej A. M. w Krakowie.
Kierownik: Prof. dr K. Spett)

Problemem zdrowia byłych więźniów obozów koncentracyjnych pierwsi zajęli się Francuzi. W r. 1946 opisali oni zespół, który nazwali *asthenia progressiva gravis*. Badacze duńscy stworzyli nazwę *KZ-Syndrom* (zespół obozów koncentracyjnych). Podobne badania prowadzono w różnych krajach, przeważnie w związku z potrzebą orzeczeń rentalnych.

Od r. 1954 odbywają się zjazdy i sympozjony międzynarodowe poświęcone zagadnieniom lekarskim, psychologicznym i socjologicznym byłych deportowanych. Zjazdy takie odbyły się w r. 1954 w Kopenhadze, w r. 1957 w Moskwie, w r. 1961 w Liège. Ponadto omawiano sprawy stanu zdrowia byłych więźniów we Francuskiej Akademii Medycznej w r. 1956, a w r. 1961 w Paryżu odbyło się kolokwium poświęcone sprawom zdrowia Żydów, którzy przetrwali prześladowania hitlerowskie.

W zespołowym referacie na wspomnianym zjeździe w Moskwie ustalono następujące czynniki etiologiczne astenii poobozowej: 1) głód, brak białka, tłuszczów, witamin, soli Ca i Fe (pożywienie w obozie składało się głównie ze skrobi i wynosiło około 600 kalorii); 2) ciągłe zimno przy lichym ubraniu; 3) nadmierny wysiłek, trwający 15—17 godzin na dobę; 4) anty-sanitarne warunki, brak miejsca, ciasnota (4 osoby na 1 m²); 5) atmosfera strachu i terroru prowadząca do neuroendokrynnego wstrząsu opisanego przez Cannona i Selyego.

Następstwami tych czynników były: 1) szeregienie się zakażeń, 2) postępujący stan niedożywienia, powodujący spadek poziomu cukru we krwi, zanik mięśni i wynikający stąd negatywny bilans białkowy, zaburzenia gospodarki białek, zwiększona przepuszczalność kapilarów, gromadzenie się płynu w przestrzeniach międzytkankowych przy jednoczesnym odwodnieniu i wysuszeniu komórek. Z tym połączone było upośledzenie czynności gruczołów dokrewnych (przede wszystkim tarczycy i gruczołów płciowych); jedynie nadnercza długo utrzymywały swoją czynność, 3) stan przeciążenia nerwowego, który powodował, że czynniki fizyczne obniżały odporność nerwową, co prowadziło z kolei do zwiększonej podatności na bodźce fizyczne.

Przy rozpatrywaniu patogenezy przyjmuje się, że główną rolę w powstaniu astenii odegrały skutki dystrofii i wstrząsy psychiczne, jednak toczy się dyskusja nad znaczeniem tych czynników. Bastiaan jako przyczynę podaje urazy mózgu, Kreindler, Eitinger, Thygesen, Hermann, Kieler, Gukassian, Hagen, Hoffmeyer, Michel i Eicke uważają za główną przyczynę astenii dystrofię alimentarną i wywołane przez nią uszkodzenia mózgu. Badacze ci powołują się na doświadczenie w Minnesocie, które polegało na tym, że 36 mężczyzn poddano głodzeniu przez okres półroczny, podając im po 1570 kalorii dziennie, w wyniku

czego stwierdzono u nich zespół psychoneurotyczny nazwany przez Amerykanów *starvation neurose*.

Targowla i *Gilbert-Dreyfus* wysunęli koncepcję nerwowej hipertonii, polegającej na pobudzeniu *hypothalamus*, uważając, że główną rolę odgrywają czynniki psychiczne, stany napięcia i lęki, trudności adaptacji po powrocie z obozu. Tym tłumaczą, że często objawy astenii występują dopiero po powrocie do pracy.

Partnow, *Rapoport*, *Fiedotow* zwracają uwagę na czynniki psychogenne nawet w stanach pourazowych. *Hoffmeyer*, chociaż w zasadzie uważa, że głównym czynnikiem etiologicznym jest choroba głodowa, podkreśla jednak bardzo znaczną rolę warunków po wyzwoleniu. Dodaje, że dodatkowym czynnikiem może być u byłych więźniów poczucie bezsensowności ich poświęceń w związku z sytuacją polityczną.

Oprócz rozważań o etiologii i patogenezie, w pracach różnych autorów znajdują się opisy objawów i zespołów chorobowych w przebiegu astenii u byłych więźniów. Na zjeździe w Moskwie za *Targowlą* przyjęto następujące postacie kliniczne (we wszystkich charakterystyczna ma być faza utajenia trwająca kilka miesięcy): a) forma o średnim lub małym nasileniu, b) postać ciężka z objawami depresyjnymi, c) postać choleryczna, d) postać hipochondryczna z dominującymi zaburzeniami przewodu pokarmowego, a) zespół emocjonalnej paroksyzmalnej hipermnjezi.

Za osobną grupę uważa się przedstawiczy inwolucyjną neurastenię, podobną do depresji inwolucyjnej, od której jednak różni się ona występowaniem objawów przemawiających za zmianami organicznymi. Przebieg jej jest zwykle następujący: objawy ogólnego wyczerpania i osłabienia, w obrazie chorobowym na pierwszy plan wysuwają się zaburzenia pamięci, koncentracji uwagi, otępienie emocjonalne. Z innych objawów mogą wystąpić: lęk, chwiejność afektywna, niepokój, ciężkie zaburzenia snu, objawy depresyjne. Zespół ten występuje po 40. roku życia, przeważnie między 50. a 60. rokiem, choć zdarzają się też przypadki w 35. roku życia.

Za najbardziej typowe objawy astenii uważa się: szybkie męczenie się, które występuje u 90% badanych, a u 3/4 stanowi stałą przeszkodę w pracy. Pojawia się ono przeważnie rano i wzmacnia się pod koniec dnia. Występuje uczucie ściskania w piersiach, bóle okostnowe podudzi, bóle głowy w postaci ściskania czoła, uczucie pustki w tyle głowy i tzw. wysiłkowe osłabienie ostrości wzroku i słuchu. U 2/3 badanych zaobserwowano dolegliwości naczyniowo-sercowe w postaci *tachycardia paroxymalis*, skurczów dodatkowych, bólów prekardialnych, często pojawiające się tendencje do zwyżki ciśnienia tętniczego. Z zaburzeń przewodu pokarmowego nierzadko występują wrzody żołądka i dwunastnicy, przewlekłe owrzodzenia jelitowe, okresowe biegunki bakteryjne i amebowe. Podobne wnioski wysnuwa *Cattan* na podstawie badań grupy Żydów.

Wśród objawów astenii wymienić należy

zaburzenia wewnętrznego wydzielania, występujące czasem po kilkuletnim okresie utajenia. Zwiększenie się nerwowości w okresie przedmiesiączkowym. Zdarzały się również przypadki otyłości: u mężczyzn typu pletorycznego, u kobiet najczęściej gąbczastej.

Gilbert-Dreyfus pisze również o osłabieniu nadnerczy, które występowało wtórnie jako wyraz funkcjonalnego uszkodzenia przysadki. Cechowały je spadek ciśnienia tętniczego, wychudzenie, *anorexia*, zaburzenia trawienne, obniżenie ilości kortykoidów. Do wyrównania hormonalnego dochodziło dopiero po powrocie do pracy.

Do najpoważniejszych zaburzeń astenicznych należały zmiany neuropsychiczne. Charakteryzowały się stanami wyczerpania aktywności, okresowymi stanami depresyjnymi, poczuciem niższej wartości, skłonnością do nadmiernej samokrytyki, myślami samobójczymi. Często występowały wahania nastroju, drażliwość, dysforia. Innymi objawami były: brak samoopanowania, chwiejność afektywna, obniżenie życia uczuciowego, niezdolność do entuzjazmu, unikanie ludzi, szukanie samotności. Często pojawiało się poczucie, że się jest niezrozumianym przez otoczenie.

Ludzie ci wykazywali trudności w przyswajaniu sobie nowych wiadomości, trudności koncentracji uwagi, skarżyli się na rwanie się toku myśli. W testach ujawniały się: zaburzenia pamięci, uwagi, asocjacji pojęć, szybkie męczenie się.

Często pojawiały się zaburzenia czuciowe, nieokreślone bóle i parestezje w tyle głowy, w czole, skroniach i twarzy, promieniujące do kręgów szyjnych. *Cervicalgiae*, *lumbalgiae*, parestezje kończyn dolnych zmuszały do ciągłego ruchu i zaburzały sen. Ponadto występowały zawroty głowy, uczucie pustki w głowie, niepewność chodu, lęk przed upadkiem.

Sen jest zaburzony, ciężki, nie daje poczucia odpoczynku, często występują sny lękowe. Podanie środków nasennych wywołuje zrywanie się, drżenie, oczopląs, czasem objawy ogniskowe lub ataki padaczkowe. Badania dodatkowe, płyn mózgowo-rdzeniowy, rentgenogram czaszki, odma mózgowa nie wykazują stałych zmian. Elektroencefalogram jest czasem zmieniony, występują fale spłaszczone, niekiedy sporadyczne iglice.

Zaburzenia asteniczne dotyczą całej osobowości i prowadzą do jej wyraźnej zmiany. 3/5 badanych musiało zmienić pracę lub ograniczyć ją z powodu trudności adaptacyjnych. 60% się zdeklasowało.

Szczególną postać stanowią napady zaburzeń świadomości, nazwane przez *Targowlę* zespołem emocjonalnej paroksyzmalnej hipermnjezi z ekmnezią. Polegają one na występowaniu napadów psychoruchowych, w czasie których następuje aktualizacja scen obozowych, tworzących pewien ciąg. Ataki takie są zabarwione silnie lękowo i kończą się zwykle amnezją. Zdarzają się postacie poronne o charakterze onercydalnych automatyzmów i natręctw myślowych, połączone z zamgleniami świadomo-

ści. Zespół ten przypomina opisywaną dawniej histeroepilepsję.

Z innych szczególnych zaburzeń *Strauss* i *Kolle* wyodrębniają jednostkę, która, ich zdaniem, występuje głównie u Żydów. Zespół ten nazywają przewlekłą depresją reaktywną. Nie da się jej porównać z depresją po zwykłych urazach psychicznych. Nawet najbardziej przygnębiony człowiek nie traci trwale swojej zdolności do pracy, natomiast u Żydów, którzy przeszli prześladowania hitlerowskie, stwierdza się stany załamania psychicznego utrzymujące się przez wiele lat.

Drugim zespołem, który opisali ci autorzy (zresztą niezależnie od siebie) są zaburzenia rozwoju i przystosowania, które spotyka się u młodocianych. *Kolle* wypowiada pogląd, że ludzie ci stali się po wojnie rozbitkami i wolny świat, który otworzył się przed nimi, nie dawał im żadnych lepszych widoków. Zatrószono się jedynie o ich warunki materialne, ale pomocy moralnej, której było najbardziej potrzeba, nikt im nie mógł udzielić. *Levinger* uważa, że w Izraelu istniały dla tej młodzieży szczególnie korzystne warunki, gdyż młodzi dostawali się w zasięg organizacji społecznych. Tym tłumaczy fakt, że w swoim materiale spotyka niewiele tego rodzaju przypadków.

Kolle proponuje nazwać obie te grupy zaburzeń reakcją wyobcowania (*Entfremdungs-Reaktion*).

Nasze badania, przeprowadzone w Klinice Psychiatrycznej A. M. w Krakowie, pozwalają na stwierdzenie, że wśród 100 zbadanych byłych więźniów tylko u 36 nie było odchyień od normy psychicznej. Ponieważ omawiamy tylko zaburzenia psychiczne, przeto pominęliśmy przypadki ciężkich nawet chorób somatycznych powstałych w obozie lub wkrótce po wyzwoleniu oraz przypadki gruźlicy, goścca stawowego czy dychawicy, które to choroby wielu autorów zalicza do astenii poobozowej.

Spośród 100 badanych, w chwili badania 19 osób miało wykształcenie wyższe, 35 — średnie, 46 — podstawowe, 32 było robotnikami, 6 — rzemieślnikami, 49 — pracownikami umysłowymi i 13 miało inne zawody (przeważnie gospodynie domowe). Nie stwierdzono żadnej zależności między częstością występowania zaburzeń a wykształceniem i zawodem. Kobiet było 28, mężczyzn 72.

Granica pomiędzy zdrowiem a chorobą nie była ostra; często trzeba było stosować dodatkowe kryteria, np. zdolności do pracy, stopnia adaptacji, aby móc zaliczyć badanego do grupy zdrowych lub chorych.

W celu wykrycia ewentualnych nieprawidłowości rozpoczęto analizę od stwierdzenia, jakie objawy występują najczęściej.

Objawy:	U ilu osób wystąpiły:
drażliwość i wybuchowość	65
lęki	34
bóle głowy	29
apatia	26
zaburzenia pamięci	25

zaburzenia snu	19
dolegliwości serca (nerwicowe)	19
plączliwość	18
zwiększone męczenie się	18
osłabienie ogólne	15
zawroty głowy	13
dolegliwości żołądkowo-jelitowe (nerwicowe)	12
zaburzenia seksualne	9

Niezależnie od wymienionych objawów u bardzo wielu badanych występuje poczucie krzywdy, wyobcowania, często poczucie mniej-szej wartości.

Na podstawie stwierdzonych objawów i ich przebiegu można wyróżnić następujące zespoły chorobowe:

Z e s p ó ł	U ilu osób wystąpił:
padaczka	4
encefalopatia	8
przedwczesna inwolucja	7
astenia postępująca	24
nerwica neurasteniczna	10
nerwica lękowa	5
stany depresyjno-apatyczne	6

Wiele było zespołów mieszanych, np. w przebiegu astenii wystąpiły objawy nerwicy lękowej lub encefalopatia przechodziła po kilku latach w przedwczesną inwolucję. Było również kilka przypadków psychoz i alkoholizmu, jednak są one włączone do poszczególnych zespołów zależnie od tego, jakie objawy górowały w obrazie chorobowym.

Okres wystąpienia zaburzeń psychicznych kształtował się następująco: do roku po obozie — u 41 osób; od roku do 5 lat po obozie — u 9 osób; od 5 do 14 lat po obozie — u 14 osób.

U kilkunastu osób objawy zaburzeń psychicznych występowały już przed obozem lub po obozie zaistniały dodatkowe wyraźne czynniki, które nie pozwalają z całą pewnością przyjąć związku przyczynowego z pobytem w obozie. Jednak aż u 48 osób związek ten jest niewątpliwy.

Na podstawie przebiegu choroby i dominujących objawów można opisać u badanych następujące zespoły chorobowe:

P a d a c z k a, w której charakterystyczne były często występujące ataki. Wśród 4 osób dotkniętych tą chorobą jedynie u dwóch związek przyczynowy z obozem jest pewny, ponieważ u jednego z badanych wystąpiła już w 1919, a po obozie ataki tylko się nasiliły. W drugim przypadku ataki pojawiały się dopiero w r. 1958, chociaż poprzednio istniały wyraźne objawy astenii.

E n c e f a l o p a t i a. Rozpoznanie to ustalano ostrożnie, jedynie w przypadkach potwierdzonych obserwacją kliniczną lub wtedy, gdy stan psychiczny łącznie z odchyleniami neurologicznymi lub elektroencefalograficznymi nie budził żadnej wątpliwości. W wielu przypadkach na-

suwających podejrzenie co najmniej cerebra-
stenu z ostrożności rozpoznawano astenię lub
nerwicę.

Objawy zmian encefalopatycznych występo-
wały bezpośrednio po obozie lub wkrótce po
wyzwoleniu, po jakimś dodatkowym urazie
psychicznym. Na pierwszy plan w obrazie
chorobowym wysuwały się: drażliwość, wy-
buchowość, bóle głowy, zawroty głowy zwię-
sza przy pochylaniu się, duże męczenie się,
zaburzenia pamięci, chwiejność afektywna,
mała wydajność w pracy. W kilku przypadkach
można było zauważyć objawy otępienia in-
telektualnego. Rzadkie w tej grupie były stany
apatii i depresji, zaburzenia snu, skargi na do-
legliwości sercowe i żołądkowe. U niektórych
chorych obniżony był krytycyzm, często po-
dejowali się oni zadań, którym nie mogli
sprostać. W tej grupie stosunkowo często
(4 przypadki) wystąpił nałogowy alkoholizm
przy wyraźnie obniżonej tolerancji. W 4 przy-
padkach encefalopatii wystąpiło w ostatnich
latach zaostrzenie, mogące przemawiać za
przedwczesną inwolucją.

W grupie przedwczesnej inwolucji
na pierwszy plan wysuwają się: ogólne osła-
bienie, obniżenie zdolności do pracy, łatwe mę-
czenie się, obniżenie nastroju, apatia, zaburze-
nia pamięci, zaburzenia snu, dolegliwości serca.
Charakterystyczne jest osłabienie popędu
seksualnego. Dopiero na dalszym planie —
drażliwość i wybuchowość. Przedmiotowo
stwierdza się spowolnienie tempa psychoru-
chowego, chwiejność afektywną, zaznaczające
się objawy otępienia. W dwóch przypadkach
na 7 inwolucja była poprzedzona długoletnim
nadużywaniem alkoholu. Jest znamienne, że
w każdym przypadku badania z tej grupy wy-
kazywali od wielu lat miernie zaznaczone ob-
jawy nerwicowe.

W grupie właściwej postępującej
astenii charakterystyczny był przebieg cho-
roby. Po krótszym lub dłuższym okresie nie-
zdolności do pracy, trwającym od pół roku do
czterech lat, badani ci wracali do zajęć zawo-
dowych, jednak bardzo często nie mogli im po-
dołać, zmieniali pracę często na mniej odpowie-
dzialną, w końcu w większości przechodzili na
rentę, gdyż nie mogli sprostać stawianym im
wymaganiom. W chwili badania u wielu stwier-
dzono objawy przedwczesnej inwolucji, poczu-
cie niewydolności i mniejszej wartości. W obra-
zie chorobowym na pierwszy plan, prócz drażli-
wości i wybuchowości oraz dolegliwości wege-
tatywnych, wysuwały się lęki i myśli na-
trętne związane z obozem. Równie często wy-
stępowały: poczucie krzywdy i wyobcowania,
płaczliwość, zwiększone męczenie się i po-
czucie ogólnego wyczerpania. Znamienne dla
tego zespołu są również obniżenie nastroju,
apatia, zaburzenia snu. Mniej wyraźnie za-
znaczone są objawy cerebrałowe w po-
staci bólów i zawrotów głowy, zaburzeń pa-
mięci. Bardzo często, bo aż w 8 przypadkach
towarzyszy astenii okresowy lub stały alko-
holizm. Równie często, bo w 8 przypadkach
wystąpiły choroby psychosomatyczne takie,

jak choroba wrzodowa (1 przypadek) i nad-
ciśnieniowa (7 przypadków).

Zespół asteniczny posiadał nasilenie od sta-
nów, które wymagały długotrwałego leczenia
szpitalnego i sanatoryjnego do takich, w któ-
rych objawy były tylko poronne, a badani nie
tracili zdolności do pracy. Charakter zespołu
był zawsze chroniczny, a jego nasilenie zwięk-
szało się z upływem czasu. Zespół ten był
bardzo oporny na leczenie.

Spośród różnego rodzaju nerwic najlicz-
niejszą grupę stanowiła nerwica neurastenicz-
na, która występowała przeważnie w kilka lat
po obozie po jakichś dodatkowych niekorzyst-
nych bodźcach psychicznych. Głównymi obja-
wami były: drażliwość i wybuchowość, gwał-
towne zmiany nastroju, zaburzenia snu,
zaburzenia pamięci o typie funkcjonalnym,
duże męczenie się. Sporadycznie występowały
bóle głowy, lęki, płaczliwość, zaburzenia sek-
sualne. W nerwicach tego typu, które trwały
zwykle dłużej niż normalne zaostrzenia ner-
wicowe, wyniki leczenia były stosunkowo naj-
lepsze, jednak często dochodziło do nawrotów
z blahych nieraz przyczyn. W tej właśnie
grupie jest najwięcej przypadków, w których
związek przyczynowy schorzenia z pobytem
w obozie nasuwa wątpliwości.

W grupie nerwic lękowych znalazły się przy-
padki, w których początek choroby przypada
bezpośrednio na okres wyjścia z obozu, jak
i takie, w których pierwsze objawy chorobowe
wystąpiły w r. 1955. Niezależnie jednak od
czasu powstania lęki są tematycznie związane
z obozem, podobnie jak występujące w tej
grupie myśli natrętne.

Stany depresyjno-apatyczne wy-
stąpiły w czterech przypadkach bezpośrednio
po obozie, a w dwóch innych — w kilka lat po
obozie. Niezależnie od czasu ich pojawienia się,
na pierwszy plan wysuwa się obniżenie nastro-
ju, apatia, brak zainteresowań, zerwanie kon-
taktu z otoczeniem. Objawy chorobowe utrzy-
mują się — podobnie jak w nerwicy lękowej —
długo, praktycznie do obecnej chwili.

Szukając odpowiedzi na pytanie, jakie czyn-
niki wpływają na występowanie zaburzeń
psychicznych u byłych więźniów, wzięto pod
uwagę wiek badanych w chwili aresztowania:

Grupa wieku	Ogólna liczba badanych	Liczba osób wykazujących zaburzenia	%
10—19	8	8	100
20—29	34	19	56
30—39	36	24	66
40—49	19	13	68,4
50—59	3	—	0

Najmłodszy z badanych miał w chwili aresz-
towania 14 lat, najstarszy — 57. Wśród wszyst-
kich osób, które znalazły się w obozie przed
20. rokiem życia, występują obecnie zaburze-
nia psychiczne. W innych grupach wieku róż-
nice nie są charakterystyczne. Dane dotyczące
grupy wieku 50—59, niezgodne z danymi
z piśmiennictwa, należy uważać chyba za

przypadkowe, gdyż właśnie te osoby miały w obozie stosunkowo dobre warunki.

Spośród 100 osób kilkanaście wykazywało już przed wojną objawy nerwicowe, w poszczególnych przypadkach występowała padaczka, zaburzenia po urazach czaszki. Łącznie było takich przypadków 19. Pozostałe 81 osób, to ludzie, którzy byli weseli, energiczni, zaradni, spokojni, przeważnie aktywni społecznie; wśród nich zaburzenia psychiczne występują obecnie u 45 osób (55,5%), natomiast u 19 osób, które wykazywały cechy nerwicowe lub encefalopatyczne, objawy wystąpiły w 100% z tym, że są one bardziej nasilone.

Analizując przyczyny aresztowania podzielono wszystkich badanych na aresztowanych z przyczyn wyraźnie politycznych i zaliczono do nich te osoby, które brały udział w jakiejś organizacji nielegalnej, chociażby nawet zostały aresztowane przypadkowo oraz na aresztowanych z powodu dokonywania indywidualnych aktów sabotażu, ukrywania członków ruchu oporu itp. Do drugiej grupy zaliczono aresztowanych jako zakładnicy, w czasie łapanek, za nielegalny handel, ucieczkę z robót, nieoddanie kontygentu itp. Wśród 61 aresztowanych z przyczyn politycznych zaburzenia psychiczne wystąpiły u 34 osób (55,5%), natomiast u 39 aresztowanych z innych przyczyn u 30 osób (77%).

Wzięto również pod uwagę zależność występowania zaburzeń psychicznych od urazów czaszki doznanych w obozie. Spośród 68 osób, które zostały pobite, często do utraty przytomności, zaburzenia psychiczne wykazuje 54, czyli 77,8%. Natomiast wśród 32 osób, które nie doznały poważniejszych obrażeń czaszkowo-mózgowych zaburzenia psychiczne wykazuje 10 osób, czyli 31,8%.

Innym ważnym czynnikiem był czas pobytu w obozie. Poniżej 3 lat przebywały w więzieniach i w obozie 52 osoby, z których obecnie odchylenia od normy psychicznej wykazuje 28 osób (54%). Powyżej 3 lat przebywało tam 48 osób, z których zaburzenia wykazuje 36 osób (75%).

Każdy więzień marzył o przeżyciu obozu, każdy miewał chwile zwątpienia, czy w ogóle wróci do swoich bliskich, a równocześnie lękał się, co zastanie po powrocie do domu. Przeważnie więźniowie nie mieli wiadomości o losie rodziny; wielu wiedziało, że najbliżsi zostali również aresztowani, a czasem zesłani do obozu. Dla wszystkich więc utęskniony powrót do domu łączył się z uczuciem lęku, co zastaną i jak będą przyjęci. Zarazem każdy uważał, iż tak wiele przecierpiał, że ma prawo do szczególnej opieki ze strony innych ludzi, których nawet trudne warunki życiowe nie były porównywalne z tym, ci im dane było przeżyć. Z tych względów sprawa warunków życia po wyjściu z obozu stała się czymś bardzo istotnym dla całej dalszej linii życiowej badanych. Chodziło tu bardziej o stosunki rodzinne i społeczne, jakie zastawali po powrocie, niż o warunki materialne, które były sprawą wtórną.

Jeżeli te oczekiwania i nadzieje z jakichś powodów nie sprawdzały się, a więzień wróciwszy do normalnego życia nie zaznał ciepła i opieki lub co najmniej serdeczności i życzliwości ze strony bliskich, jego stan psychiczny się pogarszał. Niechęć otoczenia i brak zrozumienia z ich strony powodowały już po wyjściu z obozu spustoszenie psychiczne czasem większe niż sam pobyt w obozie.

Dobre warunki po obozie miało 50 osób. Wśród nich zaburzenia psychiczne wystąpiły u 23 osób (46%), natomiast u 50 osób, których warunki po obozie można określić jako złe, zaburzenia wystąpiły u 41 osób (82%).

Z innych danych na podkreślenie zasługuje fakt, że aż 32 osoby pobierają obecnie rentę lub nie pracują, mimo że nie osiągnęły wieku emerytalnego.

Na 100 zbadanych 6 osób usiłowało targnąć się na własne życie, z tego w dwóch przypadkach wynik był śmiertelny. Wymieralność w grupie byłych więźniów jest bardzo duża, np. spośród badanej grupy obecnie nie żyją już 4 osoby.

Z powodu zaburzeń nerwowych i psychosomatycznych z badanej grupy 29 osób leczyło się poprzednio ambulatoryjnie lub szpitalnie. Z pozostałych kilka osób leczy się od czasu badania ambulatoryjnie w Klinice Psychiatrycznej A. M. w Krakowie.

Podajemy wybrane przypadki, przedstawione w dużym skrócie:

1. Mężczyzna, lat 58. Nie chorował na żadne poważniejsze choroby. Kasjer. Aresztowany w r. 1940. W czasie pobytu w obozie wielokrotnie pobity. W r. 1942 doznał bardzo poważnego urazu czaszki (uderzony sztabą żelazną). Przez kilka miesięcy leżał w szpitalu obozowym. Zarówno przed wypadkiem, jak i później zatrudniony był jako ślusarz. Pracował przy otwieraniu i sporządzaniu zamków. Po wyjściu na wolność pracował znów jako kasjer. W r. 1947 włamał się do jednego z biur, biorąc kilkanaście tysięcy złotych. Skazany na karę więzienia, po odbyciu jej wielokrotnie dokonywał włamań, otwierając najbardziej skomplikowane zamki. Jednak przeważnie przy tym niczego nie kradł. Na podstawie orzeczenia psychiatrycznego uznany został za niepoczytalnego i przez wiele lat przebywał w zakładzie psychiatrycznym. W roku 1961, w czasie pobytu w klinice, popełnił samobójstwo, trując się gazem. Dokonywanych włamań nigdy nie umotywował, twierdził tylko, że nie mógł się oprzeć przemożnemu dążeniu do otwierania zamków. Badaniem somatycznym stwierdzono w linii środkowej czaszki bliźnię długości 15 cm, szerokości około 4 cm, z wgłębieniem kości na około 3 cm.

2. Mężczyzna, lat 45. Robotnik. Poważniej nie chorował. Aresztowany w r. 1940 w czasie łapanek. Do r. 1945 przebywał w Oświęcimiu. Był wielokrotnie pobity. Przechodził stan dystrofii głodowej. Po wyjściu z obozu zaczął nadużywać alkoholu. Wykazuje skłonność do stanów depresyjnych. Jest drażliwy, wybuchowy, skłonny do płaczu, skarży się na zaburzenia snu, bóle głowy. Od r. 1956 gruźlica płuc. Z powodu nałogowego alkoholizmu leczony 4-krotnie w zakładzie psychiatrycznym. Rencista.

3. Kobieta, lat 40, urzędniczka. Poważniej nie chorowała. Aresztowana w r. 1942 za pracę w AK. Do r. 1945

przebywała w Oświęcimiu. Przechodziła dystrofię głodową, dur brzuszny i plamisty. W czasie jednej z tych chorób wystąpił kilkutygodniowy okres zamykania. Od 4 lat nie pracuje. Z obecnych dolegliwości na pierwszy plan wysuwają się: lęki związane tematycznie z obozem, niepokój, ogólne osłabienie, zaburzenia pamięci, zaburzenia żołądkowe, bóle głowy o charakterze migrenowym. Eeg wykazał zapis patologiczny o typie padaczkowym. Od czasu badania lecz się ambulatoryjnie w klinice psychiatrycznej.

Sumując, u 100 zbadanych byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu w 64 przypadkach stwierdzono odchylenia w stanie psychicznym, w tym u 48 osób związek przyczynowy choroby z pobytem w obozie jest pewny, a u 16 — prawdopodobny.

Za związkiem zaburzeń psychicznych u byłych więźniów z pobytem w obozie przemawiają następujące czynniki:

1) osobowość przedobozowa badanych, którzy w większości przypadków nie wykazywali zaburzeń nerwicowych, a w olbrzymiej większości należeli do ludzi aktywnych, energicznych, spokojnych, wesołych;

2) zespoły organiczne, które wystąpiły po doznanych w obozie urazach czaszkowo-mózgowych (padaczki, encefalopatie);

3) okres wystąpienia objawów chorobowych, które u większości badanych pojawiły się bądź bezpośrednio po obozie, bądź w niewiele lat później, często po próbie podjęcia pracy;

4) brak innych istotnych przyczyn wystąpienia takich zespołów chorobowych, jak przedwczesna inwolucja lub stany depresyjno-apatyczne;

5) związek tematyczny lęków lub natręctw z przeżyciami w obozie;

6) bardzo duży odsetek stwierdzonych zaburzeń, nie spotykany w żadnej innej grupie społecznej;

7) głębokość i długotrwałość objawów oraz złe wyniki terapeutyczne;

8) podobieństwo obrazu chorobowego.

Trudno z całą pewnością odpowiedzieć na pytanie, jaki odsetek wszystkich żyjących byłych więźniów obozów koncentracyjnych cierpi na zaburzenia psychiczne, ponieważ nie podejmowano nigdzie badań obejmujących grupy reprezentatywne, jednak z naszych badań wynika, że w około połowie przypadków można się tych zaburzeń spodziewać. Liczba ta jest określona dość ostrożnie i jest mniejsza niż wykazują wyniki badań zagranicznych.

Zespoły chorobowe, które wystąpiły w badanej grupie, były różne, jednak wspólną cechą była ich długotrwałość i słabe wyniki leczenia. Z objawów, które najczęściej występowały, można wymienić: zwiększoną drażliwość, łatwe męczenie się, lęki, zaburzenia wegetatywne, obniżenie nastroju, zaburzenia pamięci, zaburzenia snu, chwiejność afektywną. Często jest również poczucie krzywdy, wyobcowania lub poczucie mniejszej wartości.

Wymienione zaburzenia są z jednej strony związane z takimi czynnikami, jak urazy czaszki, skutki dystrofii głodowej, przebyte choroby gorączkowe, z drugiej jednak strony równie wyraźny jest wpływ takich czynników, jak zaangażowanie polityczne, adaptacja obozowa, a zwłaszcza warunki poobozowe, które zdają się odgrywać szczególnie ważną rolę w powstawaniu zaburzeń psychicznych. Mniej wyraźnie wpłynęły na częstość występowania zaburzeń płeć i wiek, chociaż osoby, które przed 20 rokiem życia znalazły się w obozie wykazują najpoważniejsze zmiany. Nie udało się stwierdzić zależności zaburzeń od zawodu i wykształcenia.

W sporze na temat etiologii zaburzeń astenicznych (czynniki organiczne czy psychogenne) na podstawie tej pracy można stwierdzić, że czynniki organiczne odgrywają główną rolę, ale tylko jako usposabiające, natomiast wystąpienie zaburzeń psychicznych jest związane przeważnie z czynnikami psychogennymi. W porównaniu z innymi pracami dotyczącymi podobnych zagadnień zastosowana metoda badań pozwoliła uniknąć tych błędów, które są związane zawsze z badaniami dotyczącymi spraw rentalnych i odszkodowań. Zbadano próbkę całej społeczności byłych więźniów, nie ograniczając się do tych, którzy zgłaszali jakieś konkretne skargi chorobowe. Wydaje się, że badanie psychiatryczne przedstawione w tej pracy było dokładniejsze i głębsze przynajmniej w porównaniu z metodami stosowanymi przez znanych nam autorów. Jeśli chodzi o porównanie wyników tej pracy z doniesieniami zagranicznymi, to są one na ogół zgodne, przy czym najbardziej zbliżają się do wyników prac duńskich.

Różnicę w porównaniu z innymi publikacjami stanowi to, że przyjęto pojęcie „astenia” dla określenia zespołu chorobowego występującego po obozie u byłych więźniów, a nie w znaczeniu, że objawy we wszystkich przypadkach są identyczne. Podobne zresztą było na początku stanowisko Francuzów, którzy podkreślali, że pojęcia „astenia” używają głównie ze względu na sprawy rentalne, później jednak większość badaczy zaczęła tą nazwą określać wszystkie objawy i zespoły chorobowe występujące u byłych więźniów. Trudno również zgodzić się z tymi autorami, którzy przyjmują zależność wyłącznie od czynników organicznych, odrzucając zupełnie wpływ czynników psychogennych. Wydaje się, że wyniki tej pracy przeczą tak jednostronnemu ujmowaniu tego zagadnienia.

Ostatecznym wnioskiem opartym na wynikach przedstawionych badań jest bezsporne stwierdzenie, że nawet ci nieliczni, którym udało się obóz koncentracyjny przeżyć, cierpią na różnego rodzaju zaburzenia somatyczne i psychiczne i że obóz pozostawił trwałe ślady na ich zdrowiu zarówno fizycznym, jak i psychicznym. Ślady te są czasem widoczne w postaci choroby, często jednak nie występują wyraźnie, ale są na tyle głębokie, że utrudniają przystosowanie tych ludzi do życia.

PIŚMIENICTWO

(wybór najważniejszych pozycji; pełna bibliografia u autora)

1. Aertskonferenzen der Internationalen Föderation der Widerstandskämpfer. Die chronische progressive Asthenie. Materialien der Internationalen Konferenzen von Kopenhagen und Moskau, zusammengestellt vom Ärztlichen Sekretariat der Internationalen Föderation der Widerstandskämpfer. Band I. F.I.R. (bez roku wydania). — 2. Andere Spätfolgen (auf Grund der Beobachtungen bei den ehemaligen Deportierten und Internierten der nazistischen Gefängnisse und Vernichtungslager). Medizinische Konferenzen der Internatio-

nenal Föderation der Widerstandskämpfer. Band 2. F.I.R. Wien (bez roku wydania). — 3. Kolle K.: Der Nervenarzt, 1958, XXIX, 4, 148—158. — 4. Famine disease in German concentration camps, complications and sequels. Acta Psychiatrica et Neurologica Scandinavica, Copenhagen 1952, Supl. 83. — 5. Michel M.: Gesundheitsschäden durch Verfolgung und Gefangenschaft und ihre Spätfolgen. Röderberg-Verlag, Frankfurt am Main 1955. — 6. Pathologische Spätfolgen bei den jüdischen Opfern der NS-Verfolgung. Zusammenfassender Bericht über das Kolloquium vom 20—21 Juni 1961 (bez roku wydania). — 7. Strauss H.: Der Nervenarzt, 1957, XXVIII, 8, 344—350.

ROMAN LEŚNIAK —

Zmiany osobowości u byłych więźniów obozu koncentracyjnego Oświęcim—Brzezinka

(Doniesienie wstępne)

(Z Kliniki Psychiatrycznej A.M. w Krakowie.
Kierownik: Prof. dr K. Spett)

W toku badań przeprowadzanych zespołowo w Klinice Psychiatrycznej A.M. w Krakowie, dotyczących byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, okazało się, że wielu z nich uważa, iż pobyt w obozie spowodował istotne zmiany w ich zachowaniu się. W związku z tym poddano analizie 100 protokołów badań psychiatrycznych byłych więźniów Oświęcimia. Celem pracy było stwierdzenie: jaki typ osobowości przedstawiali badani przed uwięzieniem w obozie koncentracyjnym, czy według ich własnej oraz obiektywnej oceny lekarskiej wystąpiły u nich zmiany osobowości, jakie były ewentualne zmiany i z jakimi czynnikami należy je wiązać?

Zagadnienia te sygnalizowano w dotychczasowym dostępnym piśmiennictwie przedmiotu (1, 2, 3, 4, 5). Spostrzeżenia te nie były jednak przedmiotem prac monograficznych. Jakkolwiek większość autorów reprezentujących klasyczne piśmiennictwo stoi na stanowisku, że głównym kryterium odbiegających od normy reakcji i sposobów zachowania się na przeżycia „stressowe” jest ustąpienie ich równoległe z przyczynami, które je spowodowały (*Jaspers, Schneider, Kretschmer, Braun*), to kryterium zostało przez innych autorów — między innymi *U. Venzlaffa* — całkowicie lub częściowo poddane wątpliwości. Np. *Venzlaff* dochodzi do wniosku, że przeżycia mogą spowodować trwałe, nieodwracalne zmiany osobowości. Według badań *Straussa, Kollego* i *v. Bayera* przewlekłe, trwałe i nieodwracalne zmiany w sposobie przeżywania i zachowywania się u byłych więźniów obozów koncentracyjnych nie należą do rzadkości.

Z przeprowadzonych badań psychiatrycznych i analizy materiału wynika, że poczucie zmiany osobowości dominowało w wypowiedziach osób badanych i ta część uzyskanych danych jest tematem skrótowo tutaj przedstawionego komunikatu.

Materiał uzyskany od badanych nasuwa następujący podział:

- zmiany w stosunku do ludzi;
- zmiany postaw i poglądu na świat;
- zmiany w sferze nastroju;
- zmiany charakterologiczne.

Zmiany stosunku do ludzi stwierdzono u 90 zbadanych. W tym stronię od ludzi wystąpiło u 39 osób, nieufność u 30, ujemna ocena innych ludzi u 18, wzmożenie uczuć altruistycznych u 12 (w liczbach tych ujęto nie poszczególne przypadki, ale wypowiedzi).

Zmianę postaw i poglądu na świat ujawniło 90 osób. Przy tym zarysowały się trzy grupy tematyczne: grupa, która mówiła o bezcelowości życia, rozgoryczeniu, ogólnym pesymizmie, „cynizmie”, nastawieniu do prowadzenia życia „z dnia na dzień” oraz o przeżywaniu stałego lęku przed śmiercią (tutaj zaliczono 48 osób). Druga grupa charakteryzuje się tym, że badani zaliczeni do niej przesadnie cenili własne życie, przeceniali znaczenie wartości materialnych i wyrażali skłonność do nadmiernego używania życia (12 osób). Trzecią grupę charakteryzował wzrost tolerancji, nadmierne przypisywanie znaczenia wartościom moralnym i etycznym, wzrost religijności (30 osób).

Co się tyczy zmian w sferze nastroju, przytłaczająca większość badanych stwierdziła,

że od czasu uwięzienia w obozie stale odczuwa lęk, niepokój, drażliwość i płaczliwość.

Zmiany charakterologiczne (stwierdzone u 23 osób) polegały na głębokim poczuciu mniejszej wartości, na wzroście odwagi i samodzielności w postępowaniu, na wzmożonej aktywności, na poczuciu upośledzenia pamięci oraz na nadmiernej i przesadnej trosce o zdrowie.

W świetle analizy psychiatrycznej opisane zmiany osobowości u byłych więźniów są niewątpliwie wynikiem przeżyć obozowych. Świadczy o tym fakt, że nie było ich przed obozem i że ich obraz niejednokrotnie korelował z obrazem przeżyć obozowych.

ADOLF GAWALEWICZ

były więzień obozu koncentracyjnego Oświęcim-Brzezinka Nr 9225.

PIŚMIENNICTWO

(Wybór najważniejszych pozycji; pełna bibliografia u autora)

1. Bayer W. v.: *Nervenarzt*, 1961, XXXII, 12, 534—538.
2. Bettelheim B.: *The informed heart*. Glencoe, Illinois 1960.
3. Chodoff E.: *Arch of General Psychiatry*, 1963, VII, 4, 323—333.
4. Klein H., Zeller-Mayer J., Shanan J.: *Arch of General Psychiatry*, 1963, VIII, 4, 334—343.
5. Venzlaff U.: *Die psychoreaktiven Störungen nach entschädigungspflichtigen Ereignissen*. Springer Verlag, Berlin-Göttingen-Heidelberg 1958.

Numer wraca do nazwiska

I. Finał „epopei” lagrowej

Motto:

A jednak mimo wszystko jest
dużo ludzkiego w naturze
człowieka.

Wybaczcie egocentryczną nieco formę tej relacji. Posługiwać się będę często pierwszą osobą, ponieważ będzie to nadal próba przekazania niektórych osobistych przeżyć i refleksji na ich temat. O ile jednak moje oświęcimskie koleje losu z lat 1941—42, utrwalone w „Poczekalni do gazu”¹, traktuję jako nietypowe, nawet na tle rzeczywistości obozowej, tak odległej w całości od zwykłych norm życia i współzycia w ludzkich społecznościach, to obecnie przekazywane fragmenty wspomnień ujmują — jak mi się wydaje — przeżycia w pewnym sensie „typowe”. Przedmiot tej relacji, to jest finał „epopei” lagrowej i prolog powrotu do cywilnego, a raczej „ucywilizowanego” życia, przeżyłem bowiem w warunkach w zasadzie podobnych do wielu z tych niewielu, którym — na skutek jakiegoś błędu w rachunku prawdopodobieństwa, jakichś wad w funkcjonowaniu maszyny zagłady — udało się wymknąć z jej trybów.

Kiedy rozpoczął się ów „finał epopei lagrowej”? Odpowiedź musi tu mieć bardzo subiektywny charakter. Inną odpowiedź da ktoś, kto dostał się za druty wysokiego napięcia „dopiero” w r. 1944. Własną też miarą przeżyć i czasu określi początek końca „państwa lagrów” wieloletni więzień Oświęcimia i jakiegokolwiek innego obozu koncentracyjnego.

Dla mnie ten początek końca wiąże się z datą opuszczenia KL. *Auschwitz*, z decyzją nieszu-

kania sposobu obronienia się przed transportem, z subiektywną oceną, że nadszedł już właściwy do tego czas.

Ten szczególnie oświęcimski czas był tak cenny, bo tak trudny do przetrwania, że aż dotąd nie przedstawiał właściwie żadnej wartości. Przeżyłeś nieskończenie długie okresy, nazywane dawniej, obcymi, bo nieprzydatnymi tu, pozaobozowymi pojęciami: chwilą, godziną, dniem, miesiącem czy rokiem — no to cóż z tego? A jednak, rzecz nie do wiary: nastały dni, o których już przed laty i przez lat szereg głosili prorocтва fanatyczni obozowi optymiści, dni, w których czas zaczął odzyskiwać swą ludzką, wymierną wartość. Był czerwiec 1944 roku.

Na pozór wszystko szło jeszcze „zwykłym” utartym szlakiem; co więcej — można by powiedzieć, że kolosalna machina unicestwiania ludzi została usprawniona, bo późną wiosną 1944 roku dostała silniejszego piekielnego napędu. Gdyby ktoś zbudził mnie nagle z głębokiego snu i zadał pytanie — test na asocjacje łączące się z hasłem: „gazowanie Żydów z Węgier” — to jeszcze dziś, natychmiast, odpowiedział: ohydny, mdlący — słodkawy, silny odór spalanych zwłok i ... gęsi smalec. Co za cyniczne, amoralne zestawienie skojarzeń! Zapewne. Ale nic na to nie poradzę, że właśnie wtedy na prominenckich „ucztaach” i w pokątnym handlu obozowym pojawił się ten — zrabowany gazowanym dziesiątkom tysięcy przybyszów z Węgier przysmak, potwierdzający mi nagle,

¹ Przegląd Lekarski, 1963, 1a.

pod koniec czwartego roku uwięzienia, że rzeczywiście istniał kiedyś czas zaprzeszyty dokonany, owe szkolne *piusquamperfectum* ... Zaraz też rozszerzylibym odpowiedź na ów węgiersko-oświęcimski test, zmuszając egzaminatora do krótkiego postoju na jednej ze stacyjek mijających w tej przebytej przez nas podróży do kresu nocy. W sensie fizycznym było to piękne majowe przedpołudnie, druga połowa miesiąca. Pracowałem wówczas (że się tak wyrażę) znów jako ogrodnik. Komando „Gärtneri — D. A. W.” odgruzowywało na przedmieściu Oświęcimia niewielką parcelę i urządziło na niej coś w rodzaju ogródka działkowego dla jakiegoś *Scharführera*. A więc piękne majowe przedpołudnie, słoneczność dnia trochę przymglona krematoryjnymi dymami i ten wstrętny odór spalanych zwłok. Na planowo wydzielonej dla celów rekreacyjnych, ale jeszcze mizernej łączce leżak, na leżaku pani „*Scharführerowa*”, a w jej pobliżu igrają naprawdę miłe, jasnowłose pociechy. Przyjeżdża samochód ciężarowy. Wyładowujemy żużel do wysypiania nim ścieżek ogródka. „Chłopaki, coś to za żużel? Taki jakiś miejscami łysy...” Szept: auto jest przecież z „Kremo”. Czyścimy więc żużel, „nieodpowiednio” dopalone, jaśniejsze ludzkie kości idą na bok. Tak oto na tym samym miejscu, na przestrzeni kilkunastu metrów kwadratowych diabelski reżyser kazał rozegrać, spotkać się dwom scenom: właśnie mama głaszcze płowe główki dzieci, my rozsypujemy ów żużel, utrwalamy nawierzchnię ścieżek, a właśnie teraz być może, tatuś tych miłych dzieciaków fasuje dodatkowy przydział wódki i papierosów — premię za nocną pracę, której efektem jest między innymi ten żużel na ścieżki dla jego ogródka. Gdy cała, nie do opisania, ostrość tego kontrastu, tej symbiozy zwykłej sielanki z absolutnie niezwykłą makabrą, uderza w moją świadomość, niemal bezpośrednio doznaję uczucia ulgi. Jednak nie jest ze mną jeszcze tak źle, mimo wszystkich doświadczeń tych czterech lat, proces przystosowywania się ma pewne granice. Nie udało się im wykorzenić z nas ludzkich reakcji. W tej pocieszającej refleksji umacniając mnie rozmowy i komentarze sytuacji na lagrze. Nieomal wszyscy moi rozmówcy, w tym właśnie także starzy więźniowie odczuwają grozę i potworną anormalność dramatu rozgrywanego pod umownym tytułem „*Action Höss*”.

Coś się jednak najwyraźniej psuło w potężnym państwie lagrów. Trwały jeszcze wprawdzie „normalne” selekcje także wśród zarejestrowanych więźniów, ale już fama niosła, że będą zaprzestane, przynajmniej w odniesieniu do „*Nichtjuden*”. Fakty zdawały się to potwierdzać. Zlikwidowana została czarna ściana śmierci na dziedzińcu 11 bloku. Mówiono, że Oddział Polityczny niszczy niektóre akta. Pocziwe małe krematorium Nr 1 zostało zamienione na schron przeciwlotniczy. Mnożyły się ucieczki, a ci, którym się nie powiodły, nie byli już w zasadzie karani śmiercią i wracali do komand roboczych.

Coraz powszechniej słyszało się o działaniu

partyzantki w rejonie Oświęcimia. Powszechnie też było wiadomo, że wczesną wiosną 1944 roku potężne uderzenia „*der Russen*” na wielkim froncie od Prypeci do ujścia Dniepru osiągnęły Równe i Łuck... Przybywały transporty z obozu w Majdanku.

Że coś nie jest w porządku w tym naszym KL. Auschwitz, wskazywał też na to fakt, że i ja, byłem wieloletni mużulman, spożywałem na przełomie 1943 i 1944 roku swój oświęcimski „*panis bene merentium*”. Niewątpliwie moje zasługi dla społeczności obozowej były co najmniej problematyczne, gdyż moja „działalność” redukowałą się w zasadzie do doznawania i do starań o przetrwanie różnorodnych, nieraz bardzo nietypowych cierpień psychicznych i fizycznych. Widocznie to jednak wystarczyło, abym późną jesienią 1943 r. uzyskał znakomity przydział: obieranie kartofli w SS *Kartoffelschälerei*. Był to szczyt mojej oświęcimskiej kariery. Ani wcześniej, ani później nie dostałem się już do równie dobrych lub lepszych jeszcze komand. Wynikało to nie tylko z faktu, że nie potrafiłem zdobyć jakiegoś obozowego zawodu — fatalnie krótki wzrok i absolutny antytalent techniczny. W wyższym jeszcze stopniu drabinę ewentualnej (w razie powodzenia) „kariery” obozowej zagradzała ... filozofia stoików, zaadaptowana w sposób indywidualny przeze mnie na użytek oświęcimski. Filozofia ta wynikała z ogromnie silnie i stale odczuwanej przeze mnie nierealności rzeczywistości obozowej — nie potrafię w bardziej logicznym skrócie oddać tej myśli. Tezy owej własnej filozofii głosiły, że w staraniach o warunki osobiste pobytu w obozie nie warto pójść dalej, niż to jest niezbędne dla obrony przed pięcioma klęskami elementarnymi: głodem, zimnem, ciężką pracą, chorobą i niewygodnym obuwem. Reszta była nieważna. Daleko poza granicami moich aspiracji pozostawały więc takie prominenckie cele, jak szyte na miarę uniform i czapka więziarska, cywilna bielizna, zegarek itd. W tej rezygnacji z pogoni za nie najniezbędniejszymi dobrami oświęcimskiego świata pewną rolę grało też niewątpliwie zmęczenie, wyczerpanie energii przebytymi w latach 1941—42 kolejami i kolejami losu.

Ta wspañała posada w SS-mańskiej kartoflarni, którą cieszyłem się przez okres około trzech miesięcy, długo, w postaci wspomnień, krzepiła moje serce. Jakże miło, choć okrutnie było sobie i współwięźniom wspomnieć o nich, zwłaszcza w czasach niesamowitego, powszechnego głodowania ostatnich miesięcy przed wyzwoleniem. Siedział sobie człowiek wprawdzie w wilgoci, ale w cieple, pod dachem obierał kartofle i czekał tylko, kiedy koledzy z esmańskiej kuchni „podrzucą” jakiś „pusty” kociołek do „wymycia” lub coś w tym rodzaju. Owszem była norma dzienna dla każdego kartoflarza: dziesięć fasek po marmoladzie, czyli około 100 kg obranych kartofli. Ale oówek kol. Ceśka (z Nowego Sącza) — pisarza komanda kartoflarzy — miał względy dla starych numerów. A kol. Piksa, góral z Łącka, ten,

który tak pięknie przed wojną wygrywał, także w audycjach radiowych, na listku, wiedział co i umiał barwnie opowiadać. Parę razy kazano mnie obierać jabłka. Raz posłany po coś do piwnicy natknąłem się na stertę rodzyneków.

Jakież to honor było mieszkać na 23 bloku i móc swą obozową zupe pozostawiać bardziej potrzebującym!

Nadzieja, ta matka mądrych i silnych, krzepiała serca coraz realniejszą szansą przetrwania. Jest późny wieczór 24 grudnia 1943 roku — wigilia. Wracamy syci do obozu. Śnieg prosiły dokładnie tak pięknie, jak w bajkach Andersena. Podpity *Staszek*, *kapo komanda*, niewprawnym, ale donośnym głosem, można rzec intonuje: „*Es geht alles vorüber, es geht alles vorbei*”... Zziębnięta eskorta milcząca i zadumana. Piosenkę podejmuje za to całe komando. To już teraz nie jest niemiecka, hitlerowska piosenka, w tej chwili jest to nasza pieśń, pieśń nadziei.

Praca w kartoflarni, czyli szczęście, które *ex definitione* musiało trwać krótko, zakończyła się nagle — jak wspomniałem — po około trzech miesiącach. W moje skromne losy wkroczyły reperkusje zmian w ukraińskiej polityce *Hitlera*.

Faszystowski „rząd” *Bandery* został aresztowany i znalazł się w *KL. Auschwitz*. Zawsze to jednak eks-sprzymierzeńcy. Trzeba było zwolnić parę „etatów” w kartoflarni dla kilku byłych banderowskich ministrów. Remanent mużmańskich przeżyć, niezagojonych kilka wrzodów na twarzy i *Paschke* ma łatwą decyzję.

Na drugi dzień, na przełomie lutego i marca stoję już, co najmniej po kostki, w lodowatej wodzie. Należę do komanda budującego rowy drenarskie na polach w *Harmenzach*. Razem ze mną ani jednej znajomej twarzy, większość to „milionowcy”, oznaczeni numerami rejestracyjnymi rzędu około 170 000. Wraz z narastającym zimnem, zmęczeniem i złością na *Hitlera* i faszystów ukraińskich prowadzę ze sobą coś w rodzaju dialogu wewnętrznego. Człowieku! Co za degradacja! Takie zajęcie dobre dla „*zugangów*”, ty już swoją szkołę tego typu przeszedłeś w 1941 roku. Chcesz się wykończyć pod sam koniec wojny. Gruźlica tylko czeka, abyś stworzył korzystne warunki dla jej nawrotu. Nic dodać, nic ująć. Trzeba więc szukać sposobu oderwania się od tego zmarzłego błota i lodowatej wody, znowu z pomocą szpitala obozowego. W tym dniu, jak na złość, po apelu wieczornym natychmiast gong i gromkie ryki ogłaszające *Blocksperr*e. Ale stary numer nie dostaje pałką przez łeb. Szczęśliwie docieram do kol. *Fejkla*. Tym razem nie ma zamiaru wystawić mi, jak ongiś w 1941 roku, świadectwa zgonu. Wprawdzie niezyczliwy termometr w ambulatorium 28 bloku wskazuje temperaturę 36,6° C (I), ale *Fejkiel* rzeczowo tłumaczy: mam prawo przyjąć ciebie tylko na chorobę zakaźną. Proponuje mi różę. Za chwilę z zainteresowaniem obserwuję opuchniętego sąsiada pryczowego. Dzięki kolegom ze szpitala obozowego mogę

sobie wybrać lepszą chorobę i w kilka dni później znowu jestem z gruźlikami na 20. bloku. Sielanek tę przerwała wieść, która rozeszła się po szpitalu, niedługo przed świętami wielkanocnymi, że spośród chorych ma być wybrany transport osób, które przeszły malarię lub są podatne na tę chorobę. Gdy jeszcze wiadomość tę wzbogaciły pogłoski, że to ma być bardzo dobry transport, dobre warunki, wyżywienie w miejscu przeznaczenia, reakcja moja była natychmiastowa. Niedarmo na własnej skórze doświadczyłem dobrodziejstw skierowań „*zur leichten Arbeit*” i tym podobnych oszustw. Melduję: czuję się zdrow, jak ryba i proszę o wypisanie na lager, do komanda roboczego. Kol. *Staszek Witek* ma wówczas piękne komando: dziewięćosobowa grupa więźniów zatrudniona jest w *Volks-gemeinschaftsküche*. Jest to kuchnia gotująca dla pracowników cywilnych, mieszcząca się w baraku na przedmieściu Oświęcimia. Niestety nie ma wolnego „etatu” dla ciebie, mówi kol. *Witek*, ale tuż przy kuchni pracuje komando ogrodników — *Gärtner*ei D. A. W. *Kapo komanda* jest na naszym wikcie. Krzywdy ci nie robi, bo koniec z jego dożywianiem. Jeszcze tylko rozmowa z kol. *Pawłem* z obozowego urzędu pracy i za parę dni jestem ogrodnikiem. Machinacje niezupełnie legalne wobec zakazu zmiany komand i obowiązku kierowania z powrotem do tego samego komanda, do którego zwolniony na *lager* należał przed przyjęciem do szpitala.

Moja praca jako ogrodnika była wprawdzie niewątpliwie tak samo bezproduktywna, jak analogiczne zajęcie z 1941 roku, jednakże różniła się od niego w sposób zasadniczy. Kupiona przez kuchnię, na czas aż do odwołania, życzyliwa neutralność *kapa komanda Gärtner*ei D. A. W. pozwalała ograniczać wysiłek w zasadzie do szukania maksymalnie wygodnych pozorów pracy. Dzień więc miał na spacerze z grabiami, czy dla odmiany deską (lekką!) lub pustymi taczkami i temu podobnych zajęciach. Kulminacyjny i najważniejszy okres dnia, to pora wyczekiwania, kiedy kol. *Witek* „wyrzuci” dla mnie na śmietnik parę kostek z mięsem, zgrabnie zapakowanych w skrzyneczkę po tych okrągłych zgłiwiałych serkach, przypominających przedwojenne kwargle lub uraczy mnie gęstą zupą, albo porcją smakowitych ziemniaków z sosem. Sensacyjnym, jednorazowym, niepowtarzalnym przeżyciem natury kulinarnej był fakt, że pewnego dnia konsumowałem... lody. Lody w *KL. Auschwitz*! Mimo całej niezwykłości tego faktu nieporównanie ważniejsza była wiadomość, którą wtedy usłyszałem. Otrzymałem już swój „lewy” obiad z *Volks-gemeinschaftsküche*, przestałem się więc interesować najbliższym rejonem, a tu niespodziewanie, dyskretnie wywołuje mnie kol. *Witek*: masz tu dobrą leguminę — lody, bo dobre wiadomości; przed chwilą usłyszałem w sali jadalnej komunikat radia niemieckiego — alianci zachodni rozpoczęli inwazję w Europie, walki w Normandii...

Był to więc 6 czerwca 1944 roku. Ogólna radość w obozie. Skoro nareszcie drugi front, to

znaczy, że wojna już się kończy, to znaczy, że nie zdążą już nas ani zlikwidować, ani wywieźć.

Za parę dni po tej Normandii z lodami znalazłem się na kwarantannie przed wyjazdem. Szykował się duży transport. Wtedy bowiem — 11 czerwca 1944 r. — zakaz opuszczania obozu z komandami roboczymi i przeniesienie na kwarantannę otrzymało ponad 2 000 więźniów, a w tym około 1 300 Polaków i 800 obywateli radzieckich.

Znowu to niestrudzone serce bije przyspieszonym rytmem. Co robić? Nic nie działać i dać się tak potulnie wywieźć na nieznany los, w głąb głodujących i gęsto bombardowanych Niemiec? Teraz opuszczać Auschwitz, kiedy zbliża się front wschodni, a może jeszcze wcześniej ułatwić nam wyzwoleń partyzanci?! Teraz, kiedy warunki uległy tak znacznej poprawie? Ileż to razy powtarzaliśmy prawie każdemu przestraszonemu i narzekającemu nowo przybyłemu: „człowieku, dziękuj Bogu, że tutaj teraz przywieźli cię, przyjechałeś do sanatorium, gdy nasz transport,... to wtedy...” Ale zdania są podzielone. To „sanatorium” ma swoją potworną historię. Władze najwidoczniej zacierają ślady zbrodni. Czy można zatrzeć ślady zbrodni, nie likwidując żywych świadków oskarżenia? Na pewno wykończą nas, a zaczną od starych numerów! Kto by tam pamiętał, że numer 9225 był świadkiem wydarzeń poprzedzających bezpośrednio ruch maszyny masowej zagłady w Birkenau i zna historię pierwszych miesięcy „poczekalni do gazu”? Jednak intensywność przeżyć z tamtego okresu była tak silna, że pod jej wrażeniem byłem wówczas przekonany, iż mój numer mogą w „odpowiedniej” chwili odczytać z ewidencji i wywołać...

Dlatego chyba nie skorzystałem z szansy wymigania się od tego transportu. W łaźni podczas fikcji przeglądu lekarskiego podoficer służby zdrowia, obok którego gęsiego szybko przechodzimy, rzuca do zanotowania przy moim numerze „*transportfähig*”, kol. Staszek Głowa pyta szeptem „jedziesz”? Zanotowałby wtedy „*unfähig*” i spokój do następnego transportu. Być może.

I oto pamiętna data: 23 czerwca 1944 roku. Idę bodaj w trzeciej lub czwartej piątce „*numerweise*” uformowanej kolumny. Jeszcze fizycznie jesteśmy tu, w Auschwitz, ale w dwóch tysiącach kartotek przestaliśmy istnieć jako więźniowie tego obozu, *überstellt*. Co za przedziwne, fantastyczne przeżycie! Za chwilę mam przejść po raz ostatni przez bramę obozową. Żywy! Przypuszczacie może, że w tej, ważnej dla mnie chwili, myślałem o Matce? Nie. Myślałem o *Wilhelmie Żelaznym*, o moim pierwszym oświęcimskim sztabowym. O jego, tak przerażającej nas wtedy mowie, która — o czym jeszcze nie wiedzieliśmy — była tylko własną, niemniej zupełnie udaną, redakcją inauguracyjnych przemówień do *zugangów*, wygłaszanych przez SS *Obersturmführera* Karla *Fritscha*.

Sens tej mowy znany i zadziwiająco adekwatny do prawdy obozowej. Kwintesencja: wyjście stąd jest tylko jedno — przez ten komin krematoryjny. Tymczasem *Wilhelm Żelazny* odbył już, przy pewnej pomocy ze strony swych dawnych ofiar, ową drogę powrotną, a ja...

Wspomnienie o *Wilhelmie*, pierwszym moim oprawcy, było niemal tak rzewne, jak rzewne bywa wspomnienie o pierwszej miłości, o pierwszej kochance. Naturalną drogą skojarzeń myśl odwróciła się w kierunku tych wszystkich, którzy mi pomogli przeżyć te lata, do przyjaciół. Niewielu ich tu żywych zostawiam, bo oświęcimski los wiązał mnie najczęściej z ludźmi, którym tego losu uniknąć się nie udało w sposób nietypowy. Spośród tych, do tej pory żywych przyjaciół obozowych, myśl moja ze szczególnym zainteresowaniem stara się przeniknąć przyszłość, na spotkanie z którą oczekuje *Jurek B.* Bo w los Jurka wkroczyłem jakby kierowany klasycznymi kanonami greckiego dramatu. Było to lato 1943 roku, ponowny mój pobyt na szpitalnym bloku nr 20. *Jurek B.* liczący sobie wówczas niewiele ponad 20 lat zwracał na siebie uwagę z różnych względów. Cechowała go wysoka inteligencja, władał biegle kilkoma językami, żywo interesował się literaturą i polityką, liźnął lub opowiadał, że liźnął jakieś studia z zakresu orientalistyki i na tej podstawie wrózeniem z ręki „zarabiał” czasem na dodatkową zupę lub pajdkę chleba.

Przyczyny jego aresztowania były tajemnicze. Mnie opowiadał, że wkrótce po przerzuceniu go przez linię wschodniego frontu został nakryty. Tajemnicę jego aresztowania starał się oczywiście rozszyfrować Oddział Polityczny (*gestapo*). Często był tam wzywany i zawsze wracał trochę zmasakrowany. Niejednokrotnie polscy lekarze bronili go przed przesłuchiwaniami, wystawiając zaświadczenie, że ze względu na stan zdrowia nie nadaje się do badań. Z Jurkiem dzieliłem wspólną prycę szpitalną, zawiązała się między nami serdeczna przyjaźń. Aż tu pewnego sierpniowego ranka wywołuje mnie *Henek J.*: „*Jurek B.* jako podejrzany o spełnianie roli szpicla Oddziału Politycznego został skazany na śmierć. Ty, jako stary więzień masz być świadkiem przy egzekucji — dzisiaj w nocy”. Pytam o sposób. „Będzie zawinięty w parę kocy, trochę go się podusi i potłucze i to z takim wyliczeniem, aby sam w kilka godzin później umarł, ewentualna sekcja zwłok nic szczególnego nie stwierdzi”. Był to czas ofensywy Oddziału Politycznego. Świeże były w naszej pamięci krwawe rozprawy *Politische Abteilung* z kolegami z komanda mierników. *Jurek* — szpicel! Przyjaciel. Chyba tylko dlatego zdecydowałem się zapytać o dowody winy. „Są bardzo poważne poszlaki, podejrzany jest też fakt, że systematycznie prowadzi jakieś zapiski i tak często wzywa go *Politische*”. Pozwólcie, że sprawdzę te jego zapiski. Zgodzono się. Gdy Jurka wywołano pod jakimś pretekstem na dziedziniec między 20 a 21 blokiem, z napięciem szperałem w jego notatkach. Pisał wiersze... Uratowany.

Był to chyba typowy przykład ryzyka, jakie kryje w sobie każdy wyrok sądu kapturowego. Twarde były reguły gry. Pomyłka na korzyść podejrzanego o „kapusiowanie” mogła kosztować życie stu niewinnych. Błędna ocena poszlak na niekorzyść delikwenta i ginie jeden niewinny człowiek. Którą wybrać alternatywę, gdy okoliczności sprawy nie pozwalają absolutnie na zwłokę?

Odtwarzając przebieg asocjacji towarzyszących mi w chwili bezpośrednio poprzedzającej ostatnie „*Mützen ab*” pod napisem „*Arbeit macht frei*” na bramie obozowej wyznałem, że nie dopuściłem do swej świadomości myśli o Matce. Bronilem się przed rozczuleniem, które mogłoby osłabić uwagę, tak potrzebną, aby w maksymalnie rozsądny sposób dostosować się do nowych okoliczności.

Tymczasem blisko tysiąc matek, czy innych najbliższych ludziom ustawionym w piątki, czytało już może w tej chwili wypisane na urzędowym formularzu listowym to jedno jedyne zdanie, które pozwolono nam napisać: „*Briefe und Packete schicke mir nicht mehr, warte auf meine neue Anschrift*”....

Nie wiedzieliśmy jeszcze, że był to przed końcem wojny ostatni już znak życia dla naszych najbliższych.

Stało się. *Mützen auf!* Jeszcze tylko obawa, w kierunku której rampy skierują kolumnę.

W towarowych wagonach dla każdego jest skrawek podłogi, wystarczający na siedzenie. Mamy suchy prowiant. Opuszczamy więc *Auschwitz* w warunkach pełnego komfortu.

Mniej więcej po dwóch dniach jazdy przyrywanej postojami — stacja Weimar. Ktoś mówi... Goethe... ktoś drugi: to chyba do *Buchenwaldu*. Najsilniej odniesionym przeze mnie wrażeniem był brak mocniejszych wrażeń związanych z przyjęciem naszego transportu przez władze *KL. Buchenwald*. Odbyło się bowiem wszystko według znanego szablonu: wrzaski, psy, trochę strzelaniny... Jedyne topografia zmuszała do pewnych inowacji. Gdy poganiani do szybkiego marszu pniemy się piękną szosą w górę, eskorta jest bądź na motorach, bądź na rowerach i ćwiczy się w strzelaniu do nas, na ogół na postrach. To *Blutberg* — Krwawa Góra, mówi któryś ze współtowarzyszy z naszego transportu wracający ponownie do *Buchenwaldu*.

Do jak wielu rzeczy można przywyknąć! Jak niewinna wydaje się teraz identyczna w zasadzie inscenizacja przyjęcia transportu, która przeżywana ongiś po raz pierwszy była tak wielkim, przerażającym wydarzeniem.

Natomiast wydarzeniem, przynajmniej dla wszystkich starszych więźniów *Auschwitzu* stał się fakt, że przetrwane trudem i cudem lata nie liczą się. Jesteśmy znowu *zugangami*...

W komentarzach na temat ewidencjonowania nowo przybyłych do obozów koncentracyjnych więźniów z reguły pisze się, że znaczną rolę w psychicznym unicestwianiu indywidualności człowieka odgrywał fakt, iż pozabawiano go nie tylko tego, co go w sensie materialnym mogło łączyć ze światem ze-

wnętrznym, ale odbierano mu nawet nazwisko i imię. Od chwili rejestracji numer był jedynym znakiem rozpoznawczym więźnia, tak w *Oświęcimiu*, jak i w innych obozach. Ale w *Auschwitz* numeracja była w zasadzie bieżąco narastająca. Numer był więc jednak „mój”, nie po jakimś tam nieboszczyku, czy przeniesionym do innego obozu. Dzięki temu numer istotnie w coraz wyższym stopniu zaczął z biegiem czasu zastępować nazwisko. Gdy sprawy z okresu życia przedobozowego, z okresu *plusquamperfectum* coraz dalej odchodziły na boczny plan, ustępowały pod względem swej ważności bezpośrednio istotnym problemom i warunkom życia obozowego, numer więcej mówił niż nazwisko. Spojrzałeś na numer i już wiedziałeś: ach to z tego transportu, który przywieźli w kwietniu 194... r. Stali tyle godzin na placu apelowym, większość z nich poszła na Bunę i tam się wykończyła...

A teraz odebrali nam nie tylko ten, jakże niezbędny dobytek osobisty, owe zorganizowane w *Auschwitz* trochę żywności, czy odzieży („celem sprawiedliwego podziału między wszystkich”), ale odebrano nam nawet „nasze” numery! Odebrano więc wszystko, nawet „staż” lagrowy. Dla niektórych ten ponowny upadek do roli bezimiennego *zuganga* oznaczał wówczas, że osiągnęli dno dna. Jakże bardzo mylili się dzięki dobroczynnej niewiedzy! Jeszcze bowiem byliśmy razem. Jeszcze łączyła nas więź wspólnych przeżyć, która różnojęzycznemu, dla postronnego obserwatora tłumowi użyczala wspólnego języka. Wprawdzie ukształtowany w *Oświęcimiu* podział, *sui generis*, klasowy, został unicestwiony niemal równocześnie z przejściem katalizmu, który nazwany słowami prozy był owym odebraniem oświęcimskich numerów i paczek i przebraniem w *buchenwaldzką* rejestrację i pasiaki, ale byliśmy razem. O, jakże to wielki wstrząs był dla niektórych prominentów, gdy niedawni wasale nagle zapomnieli o wyświadczonych dobrodziejstwach i zaczęli mówić językiem ludzi sobie równych lub — co jeszcze bardziej gorzko smakowało — wpadali w protekcyjalny ton...

Ale jeszcze dni zasadniczej wspólnoty trwały. Byliśmy przejściowymi lokatorami *KL. Buchenwald*. Nie dostąpiliśmy bowiem szczytu zakwaterowania we właściwym obozie, tylko w prowizorycznych pomieszczeniach pod namiotami. Jednak w przemarszu do kamieniołomów udało się niektórym nawiązać krótkie, ważne kontakty z dawniej przybyłymi tu oświęcimiakami. Tu jest już nieźle, ale żeby was tylko nie posłali do podobozu Dora, tam jest okropnie. Prawie nie zdziwiłem się, gdy z bardzo nieliczną grupą Polaków, a w ogromnej większości z transportem reprezentującym wiele krajów Związku Radzieckiego znalazłem się w Dorze. W Dorze historia powtórzyła się. Tu już się trochę poprawiło, ale ratujcie się przed transportem do Ellrichu. Konieczna mała dygresja: w górach Harcu (o których większość wiedziała dotychczas

tylko, że babcia lub ciocia piły „zioła z Gór Harcu”) niemiecki przemysł zbrojeniowy w morderczym tempie budował podziemne fabryki produkujące ową tajemniczą *Wunderwaffe* — pociski rakietowe V 2. Czas nagle, bo minęły bezpowrotnie czasy, gdy *Luftwaffe* królowała na „niemieckim niebie!” Byliśmy więc *Kriegsgeheimnisträger*.

Dora, wówczas już podobóz KL. *Buchenwald* i jej *Aussenkommando* — filia, mały obozisk w Ellrich (Turyngia), położone były równolegle po obu stronach tego samego pasma górskiego Gór Harcu. Zadania obu „obozików” były identyczne: wiercenie podgórskich tuneli i urządzanie w nich hal fabrycznych oraz prace przy uruchamianiu produkcji w oddawanych do eksploatacji obiektach. Ellrich niedługo przed naszym przybyciem przeszedł przez gwałtowne bombardowanie. Zabudowania obozowe zostały bardzo uszkodzone. Zginęło wiele setek więźniów. Byliśmy więc koniecznym uzupełnieniem siły roboczej.

Wkracamy na mały plac apelowy małego lagru. O, małe lagry! Nienapisana i chyba już nigdy nie będzie napisana wasza historia! Przesłonił was cień demonicznej złej sławy wielkich kombinatów masowej zagłady! A jednak wydaje się, że bardzo interesujące i pouczające byłoby studium, którego głównym celem, bardzo lapidarnie określonym, byłby temat: „Wielkie i małe obozy koncentracyjne — podobieństwa i różnice”. Studium to zapewne wykazałoby, że zasadnicze podobieństwa i różnice sprowadzają się do proporcji zachodzących między makro i mikro-organizacją opartą na analogicznych zasadach, metodach i celach. Jeżeli w ogóle istnieje jakaś zobiektywizowana miara ludzkiego cierpienia, to udręczenie człowieka było takie samo w wielkim, jak i małym kacecie. Co za różnica, z punktu widzenia ofiary, między wielkim a małym piecem krematoryjnym, selekcją pożerającą tysiące, czy „tylko” dziesiątki ludzi, wyniszczająca praca w towarzystwie stu, czy tylko kilku tysięcy współwięźniów? Najważniejsze różnice między wielkim a małym lagrem sprowadzają się chyba tylko do tego, że duży obóz dawał organizacji więźniarskiej (w całym wieloznacznym sensie tego pojęcia) większą możność manewru. W małym obozie, uboższym w środki materialne, stosunek pomiędzy uzbrojoną i bezbronną załogą był bardziej bezpośredni. Dlatego też w wyższym stopniu odgrywały tu rolę indywidualne, bardziej ludzkie lub bardziej zwierzęce cechy charakteru reprezentantów *Himmlera*.

Ale wróćmy do pierwszego dnia w Ellrichu. *Lagerältester* i inne wysokie szarże funkcyjne tupią drewniakami po wyboistej kostce placu apelowego. *Lagerältester* w drewniakach! Patrzymy na to wszystko z uczuciem protekcyjnalno — drwiącego pobłażania; chyba tak właśnie przybysz ze stolicy przyjmuje wielkość prowincjonalnych notablów. Nie czas teraz na refleksje. Jeszcze jest lato, nie dajcie się zapędzić do pracy w tunelu — radzą tutejsi. Jeszcze obok rzadkiej brukwiastej zupy do-

stawiamy małe, coraz mniejsze racje chleba. Jest równocześnie kłamstwem i prawdą, że historia się powtarza. Znowu noszę progi kolejowe, worki z cementem lub z grupą roboczą borykam się z kamienistą masą wygarnianą przez koparki. Ale umiem w sposób maksymalnie możliwy pozorować tylko wysiłek. Znowu wracają wszy, miliony wszy. Koszula zafasowana w Buchenwaldzie po paru tygodniach jest już tylko brudną, coraz bardziej wystrzępioną szmatą. Do końca wojny nie zafasujesz już, człowieku bielizny. Chyba że uśmiechnie się do ciebie szczęście i pierwszy dopadniesz trupa z dobrą koszulą. Braki w konfekcji uzupełnia uniwersalny wówczas w wielu lagrach papierowy worek po cemente. Nie wiadomo, co bardziej gryzie, świerzbi, pali: czy te worki, czy wszy w ropiejących ranach, czy brud, bo mydło nie istnieje, a kilka kurków w *Waschraumie*, dla paru tysięcy... i to nieładzkie zmęczenie. Jednak nie to było dla mnie najstraszniejsze, lecz narastające poczucie całkowitego osamotnienia. Oderwany od przyjaciół i znajomych i w zasadzie od Polaków, zmuszony do współistnienia z obcą mi masą ludzi niedawno uwięzionych, a więc ludzi, których zetknięcie się z rzeczywistością obozową, owych czasów głodu i upodlenia, czyniło dużo łatwiej wrogimi sobie wilkami, myślałem, że dotarłem już do kresu nocy. Myliłem się. Jeszcze wydawano trochę chleba. Jeszcze ludzie zdolni byli interesować się nieindywidualnymi sprawami. Ulotki rozrzucone przez alianckie lotnictwo informują nas szybko o zamachu na *Hitlera*. Jaka szkoda, że nieudany! Mówią nawet, która zmiana straży była pod rozkazami zamachowców. Dociera skrawek gazety. Wiadomość o „*Aufstand in Warschau*” czyni na nas, nielicznych tu Polakach, przynębiające wrażenie. Czy jeszcze konieczne te ofiary? Przecież trzeba, żeby po wojnie w Polsce pozostali przy życiu Polacy...

W listopadzie 1944 r. kończy się wydawanie chleba, a zamiast zupy, tej ciepłej wody z nielicznymi płatkami brukwi dostajemy rzadki wywar z rozgotowanych łupin kartoflanych. Odtąd 0,75 do 0,5 litra takiej zupy, to jedyne pożywienie na dobę! Nadszedł więc okres coraz bardziej potwornego i powszechnego niedostatku głodu. Potęgą głodu atakująca każda zbiorowość ludzka jest zapewne zawsze przerażająco wielka. Ale nie jednakowa! Tempo zanikania ludzkich uczuć jest powolniejsze w społeczności, którą wiążą jakieś wspólne tradycje, u ludzi, których emocjonalnie zbliżyły wspólne przeżycia, którzy znają siebie z okresu, gdy byli jeszcze ludźmi. W owych czasach wielkiej wędrówki lagrowych ludów także załoga Ellrichu charakteryzowała się zmiennym składem osobowym, zbiorowiskiem ludzi, którzy zetknęli się z sobą w zasadzie po raz pierwszy i to od razu w tego rodzaju warunkach. Co gorsza, dla dużego procentu więźniów Ellrich znalazł się na początku ich obozowych doświadczeń.

W języku obozowym pracą w „tunelu” nazywano zatrudnienie przy budowie podziemnych, a dosłownie podgórskich chodników i hal

fabrycznych. To było zajęcie podstawowej masy więźniarskiej. Przez cieplejsze miesiące starałem się — ze zmiennym zresztą szczęściem — wymigiwać od pracy w tunelu. Jesienią było już właściwie wszystko jedno.

Tunel! Wyobraźcie sobie człowieka, który pracuje tam na jednej z trzech zmian, np. w tym tygodniu na najlepszej, na dziennej (przedpołudniowej). Przejdźmy z nim razem przez czterdzieści osiem godzin. Pierwszy dzień był dobry. Praca zakończyła się o godz. 14, formalności z odliczeniem żywych i umarłych nie trwały długo. Także przemarsz przez miłe, schludne miasteczko odbył się spokojnie. Dzieci nie obrzucały tym razem kolumny kamieniami, a dorośli przechodnie nie spluwali na widok maszerujących pasiaków i nie słyszałeś przekleństw „*verfluchte Banditen*” itp. Także tory kolejowe naprawione po bombardowaniu przed kilku dniami nie zostały wczoraj na nowo uszkodzone, podstawiono pociąg i nie trzeba było iść tych kilka kilometrów piechotą.

Już około godz. 17 byłeś więc w obozie i dostałeś szczęśliwie dobrą, gorącą, szarą cieczech. A mogłeś przecież zamiast zupy dostać chochelkę lub pejcem przez łeb albo wskutek paru sekund nieuwagi ktoś inny chłepnąłby twój życiodajny nektar. Byłeś także roztropany, nie łudziłeś się, że w handlu obozowym uda ci się zdobyć jakieś pożywienie, bo i za co? Za to szybko wtargnąłeś do bloku. Usiłowała tam jeszcze spać nocna zmiana, której dopiero koło południa udało się przepędzić popołudniową zmianę, ale ich minuty są policzone. Zaraz będą fasować swoją zupe. Trzeba się spieszyć z szukaniem legowiska. Najgorsze jest na cementowej podłodze. Ale najgorsze miejsce ma jeszcze swoje klasy. Najlepiej, gdy w najgorszym miejscu można maksimum swego ciała, a zwłaszcza głowę (bo depczą) schować pod dachem, który nad tą lodowatą zimną posadzką tworzy parterowa prycza. Prycze są dla silnych, a spośród słabszych dla tych szczęściarzy, którym udało się szybko wślizgnąć na miejsce zwolnione przez odchodzącą do roboty zmianę. Koce są tylko dla atletów. Wiesz, że nie trzeba zwracać uwagi na gwałtowne kłótnie o skrawek miejsca, strzęp koca, na pogoń za złodziejem, który niezręcznie ukradł trep, spodnie, albo jakę. Trzeba pilnować swoich skarbów. Gdy byłeś mądry, to zorganizowałeś za dnia papierowe worki po cemencie. Teraz jeden z nich może służyć ci za materac, a drugi za koszulę, co znakomicie pomoże w daremnych w zasadzie usiłowaniach wysuszenia bielizny i chwilowego oderwania się od wszy, których roje w niej także się gnieżdżą. Trzeba spieszyć się z zaśnięciem, kiedy tylko zaparuje z ciżby ludzkiej zbawcze ciepło, które dla estety nie z tego świata byłoby najprawdopodobniej jedynie wstrętnym odorem niemytych ciał. Trzeba też zasnąć zanim wszy ożywione ciepłem spotęgują swą działalność. Czas nagli. Około północy — po powrocie z pracy — zaatakują każdy wolny skrawek miejsca popołudniowa zmiana. Nie ma właściwie dla nich miejsca pod dachem, ale miejsce to zdobeda scbie. Może uda ci się

jeszcze usnąć przed świtem, który także tu, w tym małym lagrze, jest codziennie czymś więcej: jest apelem żywych i umarłych. Należysz do tych, których nadzieja przetrwania jest silniejsza od wstrętu, z jakim idziesz na spotkanie z dniem. Poznałeś aż nadto dobrze niską cenę życia. Ale ciągle jeszcze zdolny jesteś odczuwać zdziwienie. Właśnie w tym porannym kotłowisku przekleństw, bójek i jęków słyszysz łagodną naganę: po co ten drań uduślił w nocy swego sąsiada, przecież mógł mu bez tego zabrać jego łyżkę. Patrzysz na człowieka, który w celu zrabowania łyżki uduślił swego kolegę i dziwisz się. Żeby to był ziemniak, burak cukrowy, brukiew, ale za łyżkę! Więzień, któremu towarzyszymy, jak tysiąc innych drży z zimna; po koszarze wypoczynku nocnego na cementowej podłodze wieje na ciało listopadowy, oślizgły, wilgotny ziąb poranka. Nie ma problemów z ubieraniem się. Kto ma siły i ochotę, tłoczy się na chwilę przy kilku krnach wodociągowych w umywalni, głównie chodzi o łyk wody.

Jak dobrze było w Oświęcimiu! Rano można było, przynajmniej bardzo często, dostać trochę gorącego płynu: kawy żołądźkowej lub herbaty ziołowej. W Ellrich apele są tylko rano. Im dłuższy apel, tym późniejsze wyruszenie do roboty. Apele z reguły nie trwają tu długo. Drugi dzień jest też dobry. Bo specjalnie wybraliśmy takie 48 godzin, które byłyby reprezentatywne, przeciętne dla statystycznego szeregu zjawisk w nieopracowanej statystyce dla nienapisanej historii wydarzeń w małym obozie Ellrich.

Dobry dzień oznacza, że także nie maszerujemy piechotą, tylko przy zwykłym ujadaniu psów, eskorty i funkcyjnych siadamy po turcku w wagonach towarowych i wszystkich momentalnie łapie sen. Wreszcie jest tunel! Być może, że normalnie odżywiony, ubrany i wypoczęty człowiek w obrazie tunelu nie zauważyłby jakichś cech odróżniających to miejsce od kopalń w budowie lub temu podobnych podziemnych robót. Gdy dobry pan bierze w rękę rzemień z obrożą lub laskę, w oczach jego przyjaciela, psa, błyska radość: zaraz miły spacer. Na ten sam widok bity, zagłodzony pies drży z przerażenia. Tunel napełniał nas przerażeniem. Pozostawiamy już tam naszego statystycznego więźnia. Głowię się nad tym, jakich środków wyrazu artystycznego trzeba by użyć, aby choć w części oddać obraz pracy w tunelu, trwale zarejestrowany w mej pamięci. Gdyby to miał być film, to koniecznie kolorowy. Główny chodnik jest szeroki, środkiem biegną dwie, a czasem trzy pary torów podziemnej kolejki. Przez powietrze, czasem aż mleczno-białe od kamiennego pyłu, prześwieca blask górnego elektrycznego oświetlenia. Cdzeniegdzie barwi się fantastycznymi tęczami acetylenowy płomień spawaczy. Z ciemniejszych załomów błyskają ruchliwe ogniki karbidówek, snop iskier i kłęby pary dorzucają niektóre parowe małe lokomotywy. Szumią elektryczne wentylatory, w powietrzu drga cała gama gwizdów: świszczą lokomotywy, gwizdają funkcjonariusze z obsługi kolejek, najważniej-

sze jednak to bardzo zróżnicowane gwizdki majstrów cywilnych, *oberkapo*, *kapów* i *vorarbeiterów*.

W tej mgle prześwieconej różnymi kolorami i dźwiękami, wraskiem majstrów, *kapów* i innych funkcjonariuszy, którzy starają się przetrząsnąć dźwięki mechaniczne wszystko jest w ruchu. Najruchliwsi są Cyganie. Szybsi od kolejek majstrów i robotników cywilnych i od *kapów*. Tutaj na szczęblu *vorarbeiterów* prym wiodą Cyganie. Świetnie mówią po niemiecku, bo są obywatelami tego kraju, uwięzieni z racji rasistowskich teorii. Na niestrzyżonych głowach czarne włosy, czarne oczy błyszczą, jak złe diamenty, w rękach ich świszczą pejcze, pręty, gumy. Stanowią doskonałe uzupełnienie obrazu dantejskiego piekła niestworzonego przez artystę. Oczywiście film musiałby też pokazać więźniów ładujących kamienny urobek na wagoniki, walących kilofami w skaliste podłoże, zatrudnionych przy różnych innych robotach budowlanych. Można by też wśród efektownych migawek uchwycić scenę wysadzania kolejnych partii skały, przewidzianych dokumentacją budowy fabryki. Ustaje świst elektrycznego świdra. Wtedy człowieku pilnuj się. Za chwilę załóż materiał wybuchowy i potężny huk zagłuszy wszystko. Nikt, ciebie więźnia, nie ostrzeże i możesz łatwo zginąć pod lawiną skalnego urobku. Uciekaj bez względu na Cyganów w tę stronę, w którą spieszy cywilna załoga i zatkaj rękami i czym możesz uszy! Do dziś nie udało się wyleczyć mojego lewego ucha, w którym nagły wybuch uszkodził część bębienka. Uciekając z zagrożonego rejonu, o sekundy za późno zatkałem uszy. Tu już chyba wyczerpują się możliwości filmu i innych plastycznych form przekazywania wrażeń. Na zewnątrz jest listopadowa, górska, deszczowośnieżna pogoda. W pierwszym momencie po wejściu do podgórskich grot — hal odczuwamy cieplejszą temperaturę. Jednak będzie to ciepło, które nie grzeje. Powietrze jest ciężkie nie tylko wskutek mniejszej zawartości tlenu. Robotnicy cywilni zaopatrzeni są w tampony przeciwpylowe. Więzień rąbie skałę kilofem i wdycha szorstki kamienny pył. Za godzinę usta, nos, drogi oddechowe niemiłosiernie pali i gryzie tak, jak wszy na zewnątrz, coraz to potęgujące się uczucie suchości. Masz szczęście, jeżeli znajdziesz się w pobliżu ściany, po której cieniutką strużką sączy się zaskórna woda. Liżesz wtedy tę wilgotność, chociaż zjadasz wapienny pył, chociaż wiesz, że grozi ci nieuniknienie krwawa biegunka.

Durchfal, ten mój stary oświęcimski znajomy z r. 1941, teraz w listopadzie 1944 r. postanowił wziąć odwet za to, że mu się ongiś wyrwałem. Człowiek, którego trawi ta wysoka gorączka związana z *durchfalem* mógł w warunkach ellrichowych odpocząć po pracy tylko na cementowej posadzce. Już na początku tej choroby z przerażeniem stwierdzam, że w nocy ukradziono mi drewniaki. Boso „na złodowaciłym” placu apelowym, boso w tłoku do pociągą, gołe nogi tną, jak noże, ostre, zimne kamienie tunelowych chodników i hal. Na

drugi dzień można by zobaczyć mułmana, który jest „obuty” w dwie deszczułki przewiązane szmatami. Znowu mija jedna doba i rano muszę się umyć w związku z biegunką. Wtedy ukradli mi spodnie, w biegu na plac apelowy gubię moje deszczułki — namiastki obuwia. Gdy tak stoję na placu apelowym w mokrych, z braku czasu nawet niewyżętych po przepierce kałesonach, chory, boso na kałuży ze zwolna topniejącego śniegu, który wciąż prószy, czy można się dziwić, że mnie, od tyłu lat niepoprawnego optymistę (*contra spem spero*) ogarnia pewność: tym razem to już nieodwołalny koniec! Tkwią w grupie chorych, którzy wiedzą, że nie będą przyjęci do szpitala obozowego, ale nie mają już sił iść do roboty.

Apel się skończył, nikt się jeszcze nami (na szczęście) nie zajmuje. Wraca nocna zmiana (C — *Schicht*). Pisarz tego komanda, nieznany mi dotychczas dawny oświęcimiak, Polak, *Jacek Szpilman* (w każdym razie takie wtedy podawał nazwisko). Jacek widocznie wiedział, że „pochodzę” z polskich oświęcimiaków. Co z tobą? Pytanie retoryczne. Widzisz, mówię, tyle przetrzymałem i teraz pod sam koniec muszę się wykończyć. Jacek radzi — staraj się ten dzień zahaczyć o szpital. Wprawdzie do szpitala przyjmują w zasadzie tylko tych nielicznych, którzy otrzymują jeszcze paczki i mogą złożyć jakiś okup, niemal z reguły są to Belgowie i Holendrzy, ale znam pewnego lekarza... tymczasem porozmawiam z moim *oberkapo*. Może... Mam dosyć dobrą temperaturę — 39,8°, lekarza chyba też *Jacek* nastawił życzliwie. Przyjmują mnie, zaznaczając od razu, że tylko na jeden dzień.

Po południu *Jacek* przynosi... sweter i wiadomości, że mam szansę, jeżeli spodoba mi się *cberkapie* otrzymać na nocnej zmianie wspaniałe zajęcie jako *Kaffeekoch*. *Oberkapo* z jakichś powodów zlikwidował właśnie dotychczasowego „kucharza kawy” — Belga. *Oberkapo*, zawodowy kryminalista, nienawidzi policji. *Jacek* zarekomendował mu moją osobę jako kryminalnego profesjonalistę, noszącego przypadkiem czerwony winkiel, który swego czasu zamordował między innymi pewnego policjanta. Od tego, w jaki sposób opowiem *oberkapie* historii tego zabójstwa zależy ostatecznie moje engagement na *Kaffeekocha*. Przywołuję na pomoc wszystkie złodziejskie opowieści przyjaciela z Oświęcimia *Lucia Lasoty* (zawodowy złodziej — specjalność: okradanie plebanii). Był to analfabeta o wspaniałym talencie narracyjnym, ogromnie uczciwy i honorowy w stosunku do współwięźniów. Potrafił nocą, jak lunatyk po dachach, dostać się do najstarringiej strzeżonych magazynów, zdobyć pożyteczny łup i obdzielać nim najbardziej potrzebujących kolegów. To *Lucio* zapłakał prawdziwymi rzewnymi łzami rozczulenia, gdy czytaliśmy mu wyjątki z jakichś zorganizowanych szczątków opowiadań Urke Nachalnika. *Lucio* i Urke Nachalnik w połączeniu z gorączkowo (dosłownie i przenośnie) pracującą wyobraźnią i *oberkapo* otrzymuje opowiadanie, które najwyraźniej wywołuje jego życzliwe

zainteresowanie. Zostają *Kaffeekochem*. Praca odbywa się wyłącznie w nocy. W małej budzie stojącej na zewnątrz, w zapleczu gospodarczym tunelu trzystalitrowy kocioł na koks i węgiel. W kotle gotuje się namiastkę kawy, przeznaczonej wyłącznie dla eskorty i pracowników cywilnych. Jest ciepło! Można jeść fusy, co zbawiennie wpływa na zahamowanie *durchfallu* i oszukiwanie głodu. Można oprzeć się o ścianę i po wydaniu kawy, czujnie, na stojąco, trochę pospać. Strażnik z eskorty, przydzielony do pilnowania *Kaffeekocha* jest z reguły życzliwie usposobiony. Zamiast stać w nocy na mrozie, siedzi sobie w ciepłej budzie.

A jednak istnieje jakaś samopomoc więziarska. Donoszą mi, żebym starał się, jeżeli to możliwe, przekazywać wiadro kawy dla więźniów. Umawiamy sposób. Dobra, to znaczy możliwie najgęstsza kawa idzie do wiader lub dzbanów („kan”) dla więźniów.

W ciepłe wyczuły tną niemiłosiernie. Lepsze warunki bytu wyostają luksusowe pragnienia. Zrobię sobie prywatne *Entläusung* koszuli i swetra! *Post* najwyraźniej zdrzemnął się, karabin wymknął mu się z rąk i oparł o kolana. Moment właściwy. Kawa jeszcze niewydana, ale woda wrze. Chwytam wiadro, wrzucam moje ciuchy i szybko zalewam ukropem. Mentalnie powierzchnia wody pokrywa się zielonawo-różową skorupą. Ta różowość, to oczywiście z wszy tyfusowych. Nie ma czasu na kontemplowanie zjawiska. Wiadro należy oczywiście do tych, w których kawę pobierają gorsi od eskorty, cywile. Gdyby mój życzliwy strażnik otworzył oko, zastrzeliłby mnie natychmiast lub zginałbym w torturach. Otwieram drzwi na dwór, gdy wychodzę, zasłaniając sobą widok na zawartość wiadra, strażnik budzi się, ale nic się przecież nie dzieje — płuczę wiadro. Oczywiście wiadra nie płuczę, tylko z godną potępiania satysfakcją wlewam tam wkrótce „kawę dla nich”.

Coś się w *SS-mańskich* psyche załamuje. Z pewnością, nie są to już w ogromnej większości esmani ze „szkoły orłów”, ale z przymusowego zaciągu. W wigilię Bożego Narodzenia w węglu znajduję porzucone jabłko. Jabłko! W tym czasie, kiedy na lagrze coraz częściej zdarzają się wypadki kanibalizmu, kiedy zwłokom znoszonym pod krematorium coraz częściej wycina się pośladki, kiedy wybuchają całe afery. Na czarnym rynku obozowym na przełomie 1944/45 roku pojawia się — sprzedawane za zupe, tytoń, czy inne artykuły wymienne — gotowane mięso. Mięso ma podejrzenie słodkawego smaku... Później grupa tych makabrycznych „przemysłowców” zostaje wykryta i przykładnie powieszona. Ale bardziej mięsne pośladki zmarłych w dalszym ciągu nie są bezpieczne...

A więc jabłko! Kilka razy strażnik „zapomniał” kawałek chleba! Którejś nocy do kawowej budy wchodzi, żeby się ogrzać, kilku, skądś i pociąg przybyłych, młodych oficerów. Schemat nakazuje w takich razach koniecznie podawać, że goście tego typu są pijani. Nic na to nie poradzę — ci „moi” byli naprawdę silnie pod-

chmieleni. Po kilku minutach chaotycznej rozmowy nagle dostrzegają moją nędzną osobę. Stosunek ich do mnie początkowo wrogi, po chwili łagodnieje. Opowiadają o Grecji, są z wykształcenia filologami. Może dadzą papierosa (wyhandlowanie odzieży itp.), dlatego ujawniam się ze znajomością greki. Nie wierzą, więc deklamuję. W budzie kawowej dźwięczny heksametr Homera opiewa piękność Nauzykai. Jakąż to drogę rozwoju kulturalnego przeszła ludzkość przez te dwa i pół tysiąca lat od barbarzyństwa (?) homeryckich czasów do ludźstwa XX wieku? O tym mówimy. Zaraz jednak potem, zupełnie niepotrzebnie, wtajemniczają mnie, że wojna wprawdzie kończy się przegraną Rzeszy, ale my-więźniowie będziemy, zgodnie z rozkazem „*in Stollen sonder behandelt*”...

Którejś nocy stycznia 1945 r. „działam” w mojej kawowej budzie pod dozorem *posta*, który wyróżniał się szczególnym sadyzmem. Nie tak jeszcze dawno nie tylko zamordował, ale jeszcze usiłował wdeptać jednego więźnia w twardo ubity śnieg. I ten *post* nagle przed świtem zaczyna ze mną rozmowę. Ze mną! Skąd ty jesteś? Z Krakowa. Tam już są Ruscy. Staram się ukryć gwałtowną radość i mówię: ach, to na pewno tylko plotki nieprzyjacielskiej propagandy. Nie, to prawda. I co wy z nami zrobicie? Po czym wymowny gest rąk wskazujący na zamianę strojów oraz na karabin. Nie, nie jestem bohaterem i tylko myślę: a cóżbyś ty bydlaku chciał? Oczywiście, że trzeba będzie wszystkich was ukarać, to znaczy po paru latach przymusowych robót, z małymi wyjątkami, powyszczać. On jeszcze ma w rękach karabin i jesteśmy sami w tej budzie. Głośno więc mówię: ten kto był dobry, to nic mu nie grozi, pan był dobry. Chyba ta ocena nie brzmiała zbyt szczerze. W budzie aż do świtu zalegało milczenie. Ja milczałem wesoło, a on ponuro...

Pewnego dnia na początku lutego wydano nam dodatek do chleba, którego w dalszym ciągu nie wydawano. Był to konserwowy salceson, tak zwany *Blutwurst*, którego dalekim kuzynem była późniejsza unrowska „krwawa kobasica”. *Blutwurst* wydano w ostatniej chwili przed wyruszeniem nocnej zmiany do pracy. *Oberkapo* (ten „mój”) skonsumował sam prawie cały przydział dla swego *komanda*, tj. chyba około 100 porcji i w kilka godzin później dostał skrętu kiszek lub coś w tym rodzaju i zmarł krótką, a bolesną śmiercią. Oznaczało to jednak koniec mojej posady *Kaffeekocha*.

Wiosna, ostatnia lagrowa wiosna. Znowu pracuję w tunelu, ale częściej z *komando* „Kipe”. Praca na powierzchni, polegająca na wysypywaniu wagoników — wywrotek, wywożących kamienie z tunelu i na odpowiednim ustawianiu i przesuwaniu torów pod szyny kolejki wożącej te kamienie. Praca ciężka. Luty, brak płaszczy, od listopada brak chleba. W obozie wysoka śmiertelność. Pamiętam wyliczenie, z którego wynikało, że w ciągu miesiąca co trzeci więzień umierał.

W czasie nocnej zmiany najłatwiej było pod pozorem naturalnej potrzeby zejść parę kroków na pole, które się zasypywało kamieniami i przykucnąwszy wygrzebać cukrowego, pastewnego buraka. Gdy majster był dobry, to pozwolił przy swoim piecyku węglowym, lub kosiaku upiec tego buraka. Jakież to było dobre! Przysięgałem sobie, że na wolności na leguminę będę przyrządzał sobie wyłącznie pieczone buraki pastewne. Ci z komanda „Kipe”, którym udawało się przetrwać przez noc, mieli okazję podziwiać piękno wschodu wiosennego słońca w górach. Widok ten budził jednak tylko nienawiść. Myślę, że zbyt bolesny był kontrast pomiędzy pięknem przyrody a nędzą, głodem, zimnem i upodleniem człowieka.

Trzeba zdobyć się tu na niełatwe wyznanie. W tym okresie ludożerstwa ogólny niemal proces coraz słabszego działania hamulców etycznych nie ominął także i mojej osoby. W piątym roku uwięzienia nie umiałem się oprzeć pokusie, aby spróbować wyludzić dodatkową porcję zupy. Jako „kucharz kawy” pracowałem stale na nocnej zmianie, wychodząc z tym komandem, które w danym tygodniu miało noc. Należałem więc do wszystkich trzech zmian. Postanowiłem to wykorzystać i podejść do kotła z zupą raz ze swoją nocną zmianą i z tą, której wydawano zupeę. Kilka razy udało się.

Raz jeden ze współwięźniów dał mi trzy ziemniaki, abym mu je upiekł w popielniku kawowego kotła. Jeden ziemniak zjadłem, nieomal bezwiednie. Raz też pewien Polak, Romek, sprawujący jakąś funkcję w Ellrich, z którym pod koniec lutego zaprzyjaźniłem się, poprosił mnie o przypilnowanie mlecznej zupy. Skądś zdobył mleko w proszku. Niestety był nalot, co tak przedłużyło okres pilnowania, że moja wola okazała się za słaba... Jesteś świnią, zeżarłeś moją zupeę. To był koniec naszej przyjaźni.

A jednak byli ludzie, którzy oparli się procesowi odczłowieczenia. W lutym albo w marcu dociera wiadomość, że w sąsiedniej Dora powieszono kilkunastu sabotażystów. Grupa złożona z kilku więźniów — oficerów radzieckich, paru Polaków i więźniów reprezentujących inne narodowości precyzyjne części do pocisków V-2 zanieczyszczała moczem. Później rdza powodowała wadliwe funkcjonowanie tej broni i różne wypadki.

W marcu naloty były tak częste, tory kolejowe ciągle niszczone, że przeniesiono część komand do baraków w pobliżu tunelu. Jako nasz przełożony pojawił się więzień nr 1 z Auschwitz — Bruno Brodniewicz. Wbrew namowom ze strony niektórych kolegów bałem ujawnić się mu jako stary oświecimiak. Bruno z zapalem zaczął organizować roboty związane z upiększaniem terenu: ścieżki, kwietniki itp....

Jedno, czego nam ta wojna zaoszczędziła, to strach przed nalotami bombowymi. Jeden tylko nalot wzbudził wielkie zaniepokojenie, a następnie rozgoryczenie i to bynajmniej nie dlatego, że walili na nasz, wiatrem podszyty barak,

z broni pokładowej i paru postrzelili, ale dlatego, że lotnik zaatakował zbliżającą się do naszego baraku grupę niosącą kotły z zupą. Niewielu tylko udało się trochę zupy wylizać z ziemi.

Wojna zbliżała się ku końcowi. W lutym słyszę w tunelu rozmowę cywilów na temat sukcesów i załamania się ofensywy *Rundstedta* w Ardenach. Kraków jest nasz od miesiąca. Byle wytrwać. Ale mam znowu gorączkę — 39,3° C — za mało, nie przyjmują do szpitala. Brzmi to patetycznie i nieprawdziwie, ale nieprzyjęty do szpitala dłużałem kilofem skałę — może gorączka nadała mi takie sformułowanie: oto cena wolności. To jeszcze nie była pełna cena. W dniu, który łatwo ustalić nastąpiła krótka przerwa w pracy — to cywile słuchają przez radio okolicznościowej mowy *Führera* w marcową rocznicę objęcia władzy przez NSDAP.

W przeddzień świąt wielkanocnych uderza nas w tunelu przedziwna cisza. Brak prądu — nie działają elektryczne świdry, brak paliwa unieruchamia lokomotywy tunelowych pociągów. Szczególnie utrwaliła mi się jedna refleksja przeżyć ostatniego dnia pracy w tunelu. Stoję przed wagonem i czytam ogromny napis „*Gross Deutschland*”. Wielkie Niemcy zakończyły swoją jazdę...

Podjęmuję teraz próbę z góry skazaną na niepowodzenie: odtworzenie klimatu podróży pociągiem ewakuacyjnym z Ellrich do *KL Bergen Belsen*. Owego czasu chaosu i nowej wędrówki ludów, w przededniu upadku Trzeciej Rzeszy, po Niemczech krążyły dziesiątki pociągów — widm. Doświadczenia ewakuacyjne są więc udziałem tysięcy. Ale mimo to są nieprzekazywalne! Mój transport do Belsen trwał osiem dni. Osiem dni bez jedzenia i wody. Podkreślam: bez w o d y. Do towarowych wagonów załadowano po stu więźniów. Chciałem napisać „ludzi” — ale zawahałem się. Częściowo były to bowiem już tylko dzikie, rozjuszone bestie. Na szczęście, jeśli wolno tak się wyrazić — większość dzikich bestii była już zbyt osłabiona, aby czynnie zagrażać otoczeniu. Opuszczaliśmy przecież lager Ellrich, w którym głód doprowadzał do przypadków ludożerstwa. Nie łatwo jest ulokować stuosobową wycieczkę w jednym wagonie towarowym. A to nie była wycieczka ludzi połączonych wspólną życzliwością, wspólną pieśnią i perspektywą miłej przygody.

Silne dzikie bestie zapewniły sobie na podłodze wagonu miejsca leżące. Słabsze dzikie bestie usiadły po krótkiej walce. Reszta była kłębowskiem ciał, przekleństw i jęków. Najtragiczniejsza była sytuacja ludzi kompletnie wyczerpanych. Nie mieli sił, aby wygodnie siedzieć, gdyby nawet takie miejsca można było dla wszystkich znaleźć. Nie można było im nawet pomóc. Nie chcę bowiem powiedzieć, że wagon zapełniało sto dzikich bestii. Osoby, które zachowały mniej lub więcej cech ludzkich tworzyły w tej setce także pewien niezupełnie minimalny procent. Uchyliam się od oceny, w jakim stopniu ja zdolny byłem jeszcze re-

prezentować właściwości *hominis sapientis* w tej widmowej podróży. Wydaje mi się jednak, że dzięki bardzo bogatym doświadczeniom opartym na długotrwałym obcowaniu z głodem i makabrą zdobyłem pewną, większą od wielu współtowarzyszy odporność i zachowałem jakąś kontrolę nad swoimi odruchami. A zatem jak pomóc człowiekowi zupełnie wyczerpanemu? Nie może siedzieć, a więc wywraca się na innych takich, jak on sam, lub siedzących. Ten siedzący jest też zbyt słaby, aby zgodzić się przez dłuższy czas utrzymywać duszącą ciężar. Póki ma jeszcze siłę, odpycha od siebie nieszczęśnika, ten wywraca się na innego siedzącego, ten z kolei musi go odtrącić... Chyba żeby powiedział: „proszę bardzo, poleż sobie na mnie, aż mnie zadusisz, a potem to już mi wszystko jedno”. Ale to nie jest wzruszająca opowieść o pierwszych chrześcijanach. Kto stracił swój skrawek podłogi, ten z reguły tak długo odrzucany jest z miejsca na miejsce, przechodzi z rąk do rąk, aż litościwe jego serce zakończy swoją pracę. Wtedy jego zwłoki, nawet gdy napęcznieją trupa opuchlizną i będą wydawać upiorne odgłosy, posłużą za materac lub ławkę dla kogoś jeszcze żywego. Walka o skrawek podłogi, to tylko jeden z rozdziałów małej historii owych ośmiu dni.

Drugi, chyba co najmniej równie ważny, rozdział tej historii powinien by nosić tytuł: woda. W tym piątym roku więziarskich doświadczeń wydawało mi się, że poznałem już dostatecznie smak wszystkich zasadniczych udręk. Tymczasem dopiero w kwietniu 1945 roku poznałem torturę pragnienia. Dopóki oddawałem moc, spróbowałem raz czy dwa razy tak, jak inni...

Którejś nocy, gdy „normalna” walka o podłogę nieco chwilowo przysłała, patrzę z przerażeniem na jednego z grupy silnych dzikich bestii. Najwyraźniej wpadł w obłąd. W rękę własnej produkcji kozik, ogromne oczy błyszczą. Dopada upatrzonej ofiary, nacina tętnicę i chłepcze krew. Wampir. Serce bije mi bardzo mocno, po kilku dniach głód nieco mniej dokucza, myśl o wodzie opanowuje mnie całkowicie. Pojawiają się halucynacje. Najczęściej jest to źródło u skraju pięknego lasu, zbliżam usta i... coś zwykłe, nawet w tej malignie przeszkadza fikcji ugaszenia potwornego pragnienia. Pewnej nocy złudzenie źródła jest tak silne, że wstaję, aby do niego podejść. Ten lekkomyślny krok drogo będzie mnie kosztował. Straciłem mój skrawek podłogi. Staję się przedmiotem, który przez wszystkich odpychany przerywany jest po wagonie. Wtedy przytomnieję. Za wszelką cenę trzeba znaleźć jakiś punkt oparcia dla nóg, bo ta przymusowa dla wszystkich grających makabryczna zabawa w piłkę w postaci mojej osoby, za kilka minut zrobi ze mnie materac. Jest! Jest wolny kawałek belki przy ścianie wagonu. Czepiam się żelaznej sztaby ryglującej drzwi wagonu. Stoje. Nikomu nie przeszkadzam. Jeszcze dziś czuję ożywczy chłód żelaznej sztaby. Na sztabie lekka wilgocią osiadają wydechy pasażerów wagonu. Mijają nieskończenie długie godziny tej nocy

spędzonej stojąco na belce. Zlizuję wilgotność sztaby i trwam. Nawet ta jedna chyba z najstraszniejszych nocy, które dotychczas przeżyłem, nie odebrała mi pomimo poczucia oczywistej beznadziejności sytuacji uporów, ażeby ze swej strony uczynić wszystko, co możliwe dla przetrwania. Wojna przecież się kończy...

To, co teraz podam, może wydać się zupełnie nieprawdopodobne i przytoczone tylko dla efektownego zamknięcia dramatycznej sytuacji owej nocy. Ale to jest prawda. Wierzcie mi, że bogactwo faktów było tak ogromne, iż zbyt wiele są wszelkie wyimaginowane efekty.

Ta zlizywana przeze mnie sztaba najwyraźniej drga. Słychać głosy w języku niemieckim i włoskim. Otwierają wagony. Pod nadzorem strażników kilku Włochów, niedawnych kombatanów, obecnie jeńców wojennych Rzeszy, rozdziela... wodę. Znałem z Ellrich tych Włochów, a dzięki pewnej znajomości włoskiego stosunek ich do mnie był bardziej życzliwy. W ten sposób nagle ją znajduję się na najlepszym, wymarzonej miejscu, tuż przy drzwiach. Włoch podaje mi — pełną menażkę wody! Zanim mi ją wyrwali, dużo łyków życiodajnego nektaru zdażyłem wchłępać. Sen o źródleku sprawdził się. Woda złagodziła nieco właśnie. Znowu siedzę. Znaczna liczba pasażerów mojego wagonu nie dawała się jednak do wody. Pewien fryzjer z Częstochowy, z owej grupy „silne, dzikie bestie”, zdobył natomiast pełną menażkę wody już po zaspokojeniu swego pragnienia. Ludzie błagają go o jeden łyk, bodaj o parę kropli. Fryzjer wyjmując brzytwę i... wodę zużywa na golenie siebie i swoich paru kompanów. Przez lata wygasły we mnie nienawiści do różnych indywiduów spod ciemnej gwiazdy. Ale do dziś świeży jest okrutny żal, który mnie wówczas przenikał, że miałem zbyt mało siły, aby zarządzić fryzjera z Częstochowy jego własną brzytwą. Nawet mydliny wylał. Chodzi tylko o to zużycie wody do golenia. Bo sprawę buraka rozumiem i rozgrzeszam z niej fryzjera. W tym bowiem pamiętnym dniu, rozpoczętym rozdawaniem o świcie wody, jakaś litościwa ręka, jacyś cudzoziemcy, może Polacy, przebywający na przymusowych robotach, zorientowali się w sytuacji w wagonach i przez małe okienko nagle wpadło kilka buraków.

W wagonach rozgorzała bitwa dosłownie na śmierć i życie. W tym bitewnym zamęcie w którym chyba tylko z przyczyn obiektywnych nie byłem zdolny do brania aktywnego udziału, nagle burak potoczył się do mnie. Co za szalona, choć krótka radość! Usiadłem na zdobyczy, starając się przybrać wygląd człowieka zupełnie niezaangażowanego w toczące się walki o buraki. Fryzjer dostrzegł jednak moje buraczane machinacje. „Oddaj buraka dobrowolnie, dostaniesz trochę łupin, albo...”. Łupiny dostałem.

Okresem kulminacyjnym obfitującym w najzacieklejsze spory, przypadki furii i obłądów oraz cichego umierania były w wagonie noce, a szczególnie godziny między północą a świtaniem. Wtedy też występowały najczęściej

objawy załamania psychicznego i akty rozpacz. Na gęsto zamieszkałym ellrichowym bezludziu poznałem pewnego lekarza z Poznania. Połączyła nas sympatyczna znajomość — prawie przyjaźń. Niedawno aresztowany, nawet w wagonie reprezentował stosunkowo dobrą kondycję fizyczną. Ale nie wytrzymał. Gdy pociąg, na którymś z niezliczonych, wielogodzinnych postojów, gdzieś w rejonie bombardowanego Hamburga czekał na swój los — z okrzykiem „mam tego dość, duszę się, powietrza” zaczął dobijać się gwałtownie do drzwi wagonu. Strażnik otworzył wagon. Lekarz wybiega — strażnik z ociąganiem wyjmując pistolet. „Człowieku, wracaj do wagonu, bo będę strzelał”. Ten jednak rozchyła bluzę na piersi i krzyczy: „wal... synu”. Ot jeszcze jedna zupełnie niepotrzebna śmierć u progu wyzwolenia.

Ósmego dnia kończy się ta niesamowita podróż. Wszyscy żywi z wagonów „*raus*”! Wzrost nie do wiary, że tak jeszcze dużo żyje. Z setki, załadowanej w Ellrich do mojego wagonu, odlicza się 36 żywych. Każą wynosić zwłoki. Świeże, zimne powietrze uderza jak żelaznym łomem. Nogi nie chcą utrzymać tak przecież lekkiego ciała. Podobnie chyba czułby się człowiek, któremu po ciężkim, bardzo wykrwawiającym zabiegu chirurgicznym kazano by prosto ze stołu operacyjnego iść, jeszcze w narkotycznym zamroczeniu do domu.

Kolumna ustawiona w tradycyjne piątki rusza do obozu. Nie wiem, czy tak pięknie wyglądała w rzeczywistości ta droga do Bergen Belsen. Może działał tu kontrast i oszołomienie po wyjściu z wagonu. Wczesna wiosna zazieleniła aleję, która prowadziła przez las, a może park? Po pewnym czasie trud marszu staje się nie do zniesienia. Raz po raz ktoś z kolumny występuje i rozsiada się na skraju drogi. Po czasie odpowiednim do odległości od końca tego pochodu żywych szkieletów słysząc oczywiście strzały, które likwidują morderów. Jednak ja też czuję, że muszę się do nich przyłączyć. Siły wyczerpały się kompletnie. Widzę dorodne, rozłożyste drzewo okolone miękkim, zielonym, puszystym dywanem poszycia mchów. Obraz wymarzony w halucynacjach wagonowych. O, tak, tu jest piękne, właściwe miejsce, tu zaczekam na nich. Niech przyjdą. Ledwo usiadłem na mchu i oparłem się wygodnie (o, jak dobrze) o pień drzewa strażnik z eskorty, starszy człowiek, zdaje się landsturmista — woła: „człowieku wstań, już niedaleko, a tam strzelają”. W głosie wyczuwam dawno niesłyszana nutę — pewną życzliwość. Jaka to wielka potęga, wielka, nieodowna potrzeba życia. Te ludzkie słowa potrafiły podnieść mnie z ziemi.

Wejście do obozu w Belsen na zawsze kojarzy mi się tylko z gwałtowną nadzieją ugaszenia pragnienia i gorzkim zawodem. Nie ma żadnych formalności związanych z przyjęciem nowego transportu. Nikt się nami nie interesuje. Jedna myśl: gdzie jest umywalnia, woda. Dopadam, jeżeli można tak określić maksymalnie przyspieszone wleczenie się, *Waschraum*.

Instalacja wodociągowa nieczynna! Ale w drewnianej rynnie pozostało trochę cuchnącej szaro-białej cieczy. Odsuwam jakieś zawzione, mokre, obozowe łachy i razem z innymi chłopce ten rzadki gnój...

Obóz jest przepełniony ponad wszelką miarę. Nawet marzyć nie mogę, aby przy mojej kondycji fizycznej dostać się pod dach baraku. Takich, jak ja są setki, zalegamy mokry, błotnisty plac przed blokiem. Byle zedrzeć z trupa jakiś koc, byle, choć przy samym wejściu, dostać się na podłogę w baraku, gdy nastanie noc. W dalszym ciągu nie dostajemy ani jedzenia, ani wody. Nie potrafię wytłumaczyć, skąd znalazło się we mnie tyle jeszcze siły, by dotrzeć do chwili wyzwolenia. W sumie przecież — pomijając już wszystkie inne dolegliwości — wytrzymałem niemal zupełnie bez jedzenia i bez wody blisko 15 dni. Prawda — parę dobrych łyków wody otrzymałem raz w wagonie. Parę razy jakiś dobry człowiek uraczył mnie łupinami z brukwi i buraków.

Nie byłem wyjątkiem. Setki innych współtowarzyszy potrafiło także przetrzymać podobny lub nieco dłuższy okres absolutnego głodowania. Raz wydano zupeł. Było to na dwa — trzy dni przed wyzwoleniem. To rewelacyjne wydarzenie było niewątpliwie związane z toczącymi się wówczas pertraktacjami niemiecko-angielskimi w sprawie zneutralizowania i przekazania bez walki terenów obozowych. Oczywiście nie mieliśmy o tym żadnych informacji. Ale dnia tego nastąpiła bardzo widoczna zmiana w postawie funkcyjnych i tych, których określiłem jako „silne, dzikie bestie”. Powiedzieli „zupeł dostaną wszyscy, także ci, co nie chodzą”. Należę już (albo dopiero?) od pierwszych dni przybycia do Belsen do tej, bardzo zresztą licznej kategorii, zwolna pełzających ludzkich czworonogów. Tak jak inni ściskam w reku szczęśliwie zdobytą uniwersalną puszkę po konserwie. Puszka ta, strzeżona jak oko w głowie, służy do oddawania potrzeb fizjologicznych — zawartość jej wylewa się wtedy na najbliższe otoczenie, byle nie na siebie. Sąsiedzi odwzajemniają się oczywiście tym samym. Puszka ta jest też przewidziana na tę fantastyczną chwilę, w której będą wydawać jedzenie. Serce bije z wysiłku, ale uparcie czołgam się w kolejce do kotła. W puszcze wreszcie zachlupotała odrobina zupy z brukwi. Ale czyjaś łapczywa łapa wyciąga z mojej zupy parę płatków brukwi. Drogocenny płyn rozchlapuje się. Mam uczucie, jakby z tej puszkii wdzierał ktoś moje serce. Tak wielki to był ból.

Do Belsen transport nasz przybył 8 kwietnia, obóz formalnie został wyzwolony 15 kwietnia 1945 r. Przez te siedem dni vegetowałem przeważnie na placu przed blokiem w charakterze pełzającego lub leżącego ludzkiego czworonoga, nieraz w deszczu, zawsze drżąc z zimna i gorączki, dręczony pragnieniem i zwolna zanikającym uczuciem głodu. Coraz bardziej malało moje pole widzenia, skala zainteresowań i możliwość odbierania wrażeń. Ale mimo wszystko ani na chwilę nie opuszczała mnie

świadomość, że to są ostatnie godziny lagru. Motorem przetrwania był jakiś przedziwny upór w dążeniu do doczekania się końca wojny, ogromna ciekawość, co będzie potem. Byłe dożyć wyzwolenia, sprawdzić, jaki będzie ten świat okupiony tak bezmiernie wielką ceną masowego, podłego umierania.

To nieprawda, że stosy półżywych istot zalegających lagrowe tereny Belsen myślały wyłącznie o zupie z brukwi, wodzie i suchym cieple. Któregoś wieczoru przez koczujący na wolnym powietrzu półżywy tłum przebiega wieść: umarł Roosevelt.

Wypadki, zresztą częste, ludożerstwa, wywoływały jednak zawsze potępienie. Pamiętam, jak ktoś z tego tłumu koczowników krzyknął: „trzymajcie go — on obgryza ludzką kosteczkę”.

Front słysząc było coraz donośniej, aż owej pamiętnej niedzieli 15 kwietnia 1945 roku, gdy serce biło zmęczonym, ale chwilami przyspieszonym silnie rytmem, gdy znowu powtarzałem sobie „zaczekaj jeszcze godzinę” — wielki krzyk zatargał lagrem. Ludzie w różnych językach witali wolność. Za chwilę przyjechało auto wojskowe. Angielski oficer przez głośnik obwieszczał wolność i informował o zarządzeniach porządkowych. Sytuacja moja i moich leżących na ziemi dziesiątków współtowarzyszy nie mogła, rzecz jasna, ulec w sensie fizycznym jakiejś zmianie w ciągu najbliższych dni. Gdy głośnik obwieszczał wolność tak strasznie długo wyczekiwaną i tak drogo okupioną, uświadomiłem sobie, że nie mam sił, aby się cieszyć tak, jak sobie to zawsze wyobrażałem. Moment wyzwolenia kojarzy mi się z potwornym pragnieniem i nadzieją na jego zaspokojenie. Znikły przedziały pomiędzy obozem męskim a kobiecym. Przez jakiś przypadek grupa, z którą leżałem zdobywa skarby: czerwoną miskę. Mówią, że niedaleko jest zbiornik wody na cele przeciwpożarowe. Przechodzi obok mnie kobieta — pierwsza po latach kobieta, do której mówię. Kobiety mają dobre serca, lepsze od mężczyzn, pamiętałem to z zamierzchłych czasów przedobozowych. Jej mogę zawierzyć miskę. Koleżanko, przynieś mi trochę wody, za to później możesz zabrać sobie miskę. Do dziś czekam na tę wodę. Nie udało się to pierwsze na wolności spotkanie z kobietą! A może ona wtedy jeszcze nie zdążyła przekształcić się w człowieka?...

Ten pierwszy dzień wolności nawet nam, setkom leżącym na rozmokłej kwietniowej ziemi, zżeranym przez miliony wszy i przeróżne choroby, nam, którzy nie potrafili ani na chwilę o własnych siłach stanąć na nogi, przyniósł w darze herbatę! Rozdzielono ją dosyć sprawnie, a chociaż nalewana do tych uniwersalnych puszek po konserwach smakowała, jak nektar. Wojsko ofiarowało swe żelazne porcje. Mówiono, że frontowi żołnierze byli przerażeni i do głębi wstrząśnięci tym, co się kryło za *Erholungslager Bergen Belsen* (tak czasem władze niemieckie oficjalnie określały ten obóz koncentracyjny).

Zjadłem mojego sucharka, ale mnie dostała się w przydziale także puszka ze smalcem

wieprzowym. Gdy po długich błaganiach ktoś otworzył mi tę puszkę, chciałem ruchem nabrałem na palce grudkę smalcu. To była niesamowita rozkosz lizać tę szczyptę smalcu. Czynność ta zmęczyła mnie do tego stopnia, że błogo wyczerpany (herbata, suchar i grudka smalcu) usnąłem. Na szczęście natychmiast ukradziono mi mój smalec. Nie byłbym absolutnie zdolny do takiego zapanowania nad sobą, aby powstrzymać się od skonsumowania za jednym razem zawartości całej puszkii.

Do Belsen w ostatnich miesiącach kierowano liczne transporty ewakuacyjne z różnych obozów koncentracyjnych. Dlatego mimo bardzo wysokiej śmiertelności w obozie tym w chwili wyzwolenia przebywało około 60 tysięcy więźniów. Byli to w ogromnej większości ludzie chorzy. Obszar obozu był równoznaczny ze strefą najgroźniejszych chorób zakaźnych, wśród których królowały tyfus i gruźlica. Zorganizowanie wyżywienia, opieki lekarskiej, zapewnienie porządku i rozwiązywanie innych problemów administracyjnych w odniesieniu do takiej masy ludzi przebywających w szczególnych warunkach było zadaniem niełatwym. Działania frontowe trwały. Jest rzeczą zrozumiałą, że musiało upłynąć co najmniej kilka dni, zanim organy administracji wojskowej mogły przystąpić do stopniowego opanowywania sytuacji.

Pierwsze dni po wyzwoleniu były więc, praktycznie biorąc, okresem niemal całkowitego bezkrólewia. Dla postronnego obserwatora były to niewątpliwie dni chaosu i grozy. Wszelkie tamy zostały zerwane. Szeroko rozlał się żywioł ludzkich namiętności. W przeciwieństwie dla kogoś patrzącego na to wszystko z zewnątrz okres pierwszych dni po wyzwoleniu dla mnie — i jak sądzę dla większości wyzwolonych — był wprawdzie okresem chaosu, ale nie wywoływał grozy. To, co się działo, było tylko bardzo interesujące. Silni, to jest ci, co chodzili, rozbili magazyny żywnościowe. W polu mego widzenia, na placu, na którym koczowałem, zapłonęły liczne ogniska. Przy ogniskach szkielety ludzkie ubrane w pasiaki i najdziwniejsze cywilne, nowo zorganizowane stroje. Oczy ich płoną i blaskiem zapożyczonym od ognia i chorobliwą gorączką i żądzą wywołaną skwierczącym na zaimprovizowanym rożnie wielkim płatem słoniny, czy mięsiwa. Nierzadko niedawny konsument słoniny skreca się w śmiertelnych bólach. To nic, dziesiątki rąk wyrrywają mu niedojedzony kęs czy połęć. To nic, że rozrzucony w zapamiętaniu bitewnym żar z ogniska parzy pokonanego przeciwnika i już nawet nie wiadomo, co skwierczy: jego ciało, czy na nowo dopiekana, wydarta mu słonina. My — pełzająco-leżące maskary nie umiemy, rzecz jasna, uczestniczyć w tak kwintnych uctach. Ale ludzie nasyceni już odrzucają tym biednym jakiś ochłap. Kolego, daj wody po kluskach, które gotujesz! Kolega daje.

Śmierć wczorajszym oprawcom, sadystycznym funkcyjnym! Nie ma dla nich litości. Zapiekły żal za doznane krzywdy, żądza odwetu,

krwawej zemsty, muszą być zaraz, natychmiast zaspokojone. To nic, że przy tej akcji ktoś czasem porwie tłum do likwidacji jego własnego, nieczystego rachunku. Nieważne. Wymierza się sprawiedliwość, sprawiedliwość jako taką.

Zemsta jest rozkoszą bogów! Tylko tę część antycznej maksymy afirmowały pierwsze dni wyzwolenia. Ilustrację tego niech stanowi wypadek, którego jakkolwiek nie byłem naocznym świadkiem, ale relację o nim przyniesiono nam leżącym na gorąco, bezpośrednio z miejsca egzekucji. Otóż w którymś rejonie obozu na wokandy samosądu dostał się pewien *kapo*. Bito go różnymi przedmiotami a w szczególności prętem żelaznym, tak dozując ciosy, aby zapewnić mu dłuższe, trudne umieranie. Wtem do grupy wykonawców egzekucji zbliża się straszliwie nędzna postać, z najwyższym trudem powłócząca nogami. „Koledzy, pozwólcie, że ja też dołożę coś temu draniowi, on...” Wyśłuchano błagalnej prośby, pomogli mużłanowi utrzymać się na nogach, dali mu do ręki ten pręt żelazny. „A ja dziobnę — draniowi — jedno oczko, a potem, jak odpocznę, drugie, tym prętem...”

Słuchaliśmy tej ponurej informacji z żywym zainteresowaniem, z pełną aprobatą, niejeden z żalem, że los poskąpił sił, aby bardziej aktywnie uczestniczyć w tego rodzaju scenach.

Minął chyba tydzień od dnia wyzwolenia, a ja wciąż jeszcze tak, jak tysiące innych wegetowałem na placu przed barakiem. Ale właśnie dotarła do nas wieść, że podobno przyjmują do szpitala na terenie obozu. Uradziłem z pewnym Polakiem, że spróbujemy szczęścia. Nie potrafię powiedzieć, czy nasze legowiska dzieliła od tego szpitala droga długa na 500 czy 1000 metrów. Pokonaliśmy ją w czasie około połowy dnia, z najwyższym trudem, pełzając na kolanach i zdobywając metr za metrem. Miałem oczywiście znowu krwawą biegunkę, miałem też, z czego nie zdawałem sobie wówczas sprawy, paratyfus i odnowioną, czynną gruźlicę płuc.

W baraku szpitalnym wielka radość. Dział tam jako pielęgniarz dobry kolega z *Auschwitz* — *Stasio Ochmański*. Zdobył dla nas najwyższą (trzecią) prycę i po jakimś czasie wystarał się o mydło (!) i węgiel.

Po dwóch — trzech dniach pobytu w tym szpitalu pierwsze nasze spotkanie z owadobójczym środkiem DDT. Patrzyliśmy na angielskich żołnierzy, którzy do izby szpitalnej wkroczyli z aparatami rozpylającymi ten środek, z lekceważącym politowaniem. Oni tym białym pyłkiem chcą zlikwidować te miliony wszy! Nie pomogły przecież setki najbardziej radykalnie przeprowadzonych *Entlausung*. Ale na oczach naszych spełnia się coś w rodzaju cudu! Gdy stopniowo ustępuje nieznośny jęczący świąd, szczególnie dotkliwy w ropiejących wrzodach, dopiero wtedy utwierdza się w nas przekonanie, że naprawdę zostaliśmy wyzwoleni. O Wielki, Potężny Dobroczyńco, Wynalazco Białego Proszku!

W trzeciej dekadzie kwietnia *Stasio Ochmański* tajemniczym szeptem informuje mnie, że Anglicy w byłych zabudowaniach koszarowych w Bergen Belsen urządzili szpital i że udało mu się wpisać mnie na listę jednego z pierwszych transportów do tego prawdziwego szpitala.

Później przez całe lata słowo *anioł* kojarzyło mi się nie z jasnowłosą lalunią ze skrzydełkami, ale z ogromnym, rosnącym Murzynem. To Murzyn — sanitariusz uniósł mnie jedną ręką, owinał pieczętówicze nagi szkielet kocem, zaniósł do sanitarki i rzecz zupełnie niezrozumiała, ale wydawało nam się, że jemu i jego kolegom po wejściu do sztuby lagrowego szpitala jakoś dziwnie zwilgotniały oczy.

Pielęgniarki z *Rote Kreuz* troskliwie, gąbką (!) myją powłoki naszych szkieletów.

Po pięciu latach leżę na prawdziwym łóżku, pościel ze śnieżno-białej masy papierowej! Nie słysząc żadnych wrzasków, nie ma piętrowych prycz. Zmęczony transportem, a chyba jeszcze bardziej tak gwałtowną zmianą warunków, wpadam w głęboki, spokojny sen.

Budzi mnie z niego dopiero pytanie, które nie mogę sobie wyobrazić, że jest do mnie, sponiewieranego, nędznego ochłapa, skierowane. Łagodny, melodyjny, kobiecy głos dźwięczy polską mową: „Może P A N napije się herbaty”?

Długo nie otwieram oczu, bo i po co? Na pewno umarłem i mimo wszystko dostałem się do nieba.

HENRYK WIELICZAŃSKI

były więzień obozu koncentracyjnego Majdanek Nr 3348
i Oświęcim-Brzezinka Nr 182928

Spóstrzeżenia nad obecnym stanem zdrowia byłych więźniów hitlerowskich

Międzynarodowe konferencje medyczne FIR w oparciu o liczne badania uznały przewlekłą astenię i przedwczesną starość za zasadnicze następstwa pobytu w hitlerowskich więzieniach i obozach koncentracyjnych.

Nieustające maltretowanie fizyczne, długotrwałe apele, głód, złe warunki sanitarne, stałe poniżanie godności ludzkiej, lęk przed torturami i moralnym załamaniem się, niepokój o bliskich, tęsknota za rodziną, niepewność

jutra, codzienny widok katowanych i mordowanych, wreszcie mordercza ewakuacja i groźba męczeńskiej śmierci w likwidowanych obozach — doprowadzały większość więźniów do głębokiej prostracji z zupełną utratą wiary w przetrwanie oraz do krańcowego wyniszczenia cielesnego. Taki stan zupełnego załamania się życiowych zdolności adaptacyjnych, znany jako „zmuzułmanienie”, prowadził z reguły do nieuchronnej śmierci. Jednak duża część więźniów hitlerowskich od samego początku ustunkowała się czynnie wobec zaistniałych niekorzystnych warunków, co uratowało ich przed załamaniem się i pozwoliło na przetrwanie gehenny obozowej. Taką czynną adaptację należy przypisać silnej kondycji psychicznej i fizycznej, więzi ze społecznością towarzyszy niedoli, wyrażającej się pozytywną pracą w obozie oraz świadczeniem i doświadczaniem pomocy. Ta grupa więźniów w większości ocalała.

Na wolności zaczęły się nowe kłopoty, związane z przystosowaniem się do innych warunków życia. Część uratowanych wpadła w tak zwany zespół astenii poobozowej, cechującej się między innymi uczuciem społecznego wyobcowania, utratą zaufania do ludzi, niewiarą w przyszłość, dolegliwościami psychosomatycznymi, trudnościami w życiu seksualnym. Wielu z nich szukało zapomnienia w alkoholu.

Stany psychicznego i fizycznego zmęczenia z następowymi objawami nasilającej się astenii i nawrotem wspomnień obozowych opisał Targowla jako zespół astenii poobozowej i nazwał *asthenia progressiva gravis*. Objawiał się on zaburzeniami naczynioruchowymi, utratą wagi ciała i szybkim przedwczesnym starzeniem się. Stan ten ma zależeć od zmian korowo-podwzgórzowych i w pewnej części przypadków może być odwracalny. Według autorów francuskich i duńskich astenia ma być stanem charakterystycznym dla byłych więźniów hitlerowskich.

Poobozowe zaburzenia asteniczne utrzymywały się u nich niekiedy przez wiele lat. Nic dziwnego. Na przeżycia obozowe składały się tak silne bodźce, że przekraczały one możliwości każdego układu psychonerwowego. Dlatego też byli więźniowie hitlerowscy mają z reguły osłabiony układ nerwowy i na sytuacji życiowe nawet w normalnych warunkach reagują nerwicą, psychozą lub nałogowym alkoholizmem.

Wśród ocalałych z kaźni hitlerowskich znalazła się grupa ludzi, którzy zaraz po wyzwoleniu bez żadnych kompleksów obozowych pełni sił i energii stanęli do pracy w takim stanie psychicznym, jak gdyby nigdy przedtem nie przechodzili gehenny więziennej. Na 746 byłych więźniów hitlerowskich, zbadanych od końca 1945 roku do chwili obecnej, kierowanych do mnie przez oddział łódzki Związku byłych Więźniów Politycznych, a potem przez Związek Bojowników o Wolność i Demokrację, odsetek ludzi, którzy jak gdyby wykreślili ze swej pamięci przeżycia obozowe i z wiarą w lepsze jutro przystąpili do pracy, był niewielki. Spośród ogólnej liczby zbadanych wielu

z nich w tym czasie straciłem z oczu (zmienili miejsce zamieszkania, część zmarła). W wieloletniej obserwacji mam zaledwie 76 osób. W trzyletnim okresie po wyzwoleniu liczba byłych więźniów hitlerowskich, która bez nawarstwienia astenicznego wróciła do czynnego życia, wynosiła 105 osób. U tej grupy, w której mężczyźni czterokrotnie przeważali nad kobietami, a wiek badanych nie przekraczał 60 roku życia, po 15—18 latach pobytu na wolności wśród wyraźnych objawów znużenia i zaznaczającego się utrudnienia w zapamiętywaniu świeżych wydarzeń, zaczęły wracać wspomnienia przeżyć obozowych, początkowo od czasu do czasu we śnie, potem coraz częściej i intensywniej i to na jawie. W powtarzających się snach wracali do koszmarnych przeżyć obozowych, do wielogodzinnych apeli w mroźne dni i noce, do pracy niewolniczej w biegu, przeżywali dawne przesłuchania z katowaniem. Nawrót wspomnień po wieloletnim okresie zupełnego wyłączenia się z przeżyć obozowych spowodował, że zaczęli oni szukać pomocy lekarskiej w obawie o swój stan psychiczny, albowiem zakłócały one sen, utrudniały pracę i zabierały spokój. U tych chorych badaniem fizykalnym w narządach wewnętrznych nie stwierdzałem szczególnych odchyśleń od normy. Dno oka zwłaszcza u mężczyzn dawało obraz wężykowatego przebiegu małych tętniczek, często z różańcowatymi zgrubieniami. Objaw „srebrnego druta” i objaw Gunna bywał zaznaczony u osób, których wiek wahał się w granicach 38—55 lat.

Ilustracją powyższego mogą być następujące przykłady:

1. Mężczyzna lat 50, inteligent, od 1940 roku w organizacji podziemnej, aresztowany w 3 roku okupacji z podejrzeniem o przynależność do ruchu oporu. W czasie przesłuchiwań wielokrotnie torturowany, nikogo nie wydał. Przesłany z więzienia do obozu, tam nawiązał kontakt z grupą konspiracyjną. Wierzył w przeżycie. Pracował, współtowarzyszy niedoli podtrzymywał na duchu. Po uwolnieniu wrócił do pracy zawodowej. Spokojny i zrównoważony, bez nałogów, sprawy obozowe wyłączył ze swej jaźni, niechętnie je wspominał, literaturą obozową nie interesował się. Od dwóch lat zaczął uskarżać się na zmęczenie niezależne od wysiłków fizycznych. Zwrócił uwagę na fakt gorszego zapamiętywania świeżych wydarzeń, natomiast niespodziewanie przeżycia obozowe w całej wyrazistości i realizmie zaczęły go coraz częściej i silniej nawiedzać początkowo tylko w czasie snu. Zaczął spotykać się z dawnymi kolegami z obozów koncentracyjnych i rozczytywać się w książkach o tematyce okupacyjnej. Równocześnie wróciły wspomnienia przeżyć lat młodych. Uprzednio towarzyski, odsunął się od ludzi. Najlepiej czuje się w otoczeniu najbliższej rodziny.

2. Rzemieślnik lat 48, w czasie okupacji przebywał w łódzkim getcie. Mimo potwornych warunków bytowania pracował ciężko fizycznie i zdawał sobie sprawę z nieuchronnie oczekującego go losu. Stracił żonę, 2 dzieci i prawie resztę krewnych. Uchowal się dzięki przypadkowemu zbiegowi okoliczności. Po wyzwoleniu nadal pracował fizycznie. Po kilku latach ożenił się ponownie. Do przeżyć w getcie nie wracał nawet w myśli.

Przed 5 laty wyjechał z kraju. Od trzech lat bezsenność, wzmożona drażliwość, nawrót do wspomnień okupacyjnych, załamanie się psychiczne, stany depresji. Utrata wiary w pokój na świecie, lęk przed możliwością powtórzenia się przeżyć ubiegłej wojny. Leczy się u psychiatry.

3. 42-letni działacz chłopski, uparty i wytrwały, przechwycony z bronią w rękę, przez pół roku katowany w śledztwie, trzymany w odosobnieniu, z wyrokiem śmierci przesłany do obozu. Na kończynach blizny od kajdan i słupka, pośladki wysiekane pokryte rozległymi piaszczynowymi bliznami. W obozie wiączył się do ruchu oporu i nawiązał więzi przyjaźni. Postawa zawsze czynna, niezłomna wiara w klęskę okupanta i w wyzwolenie. Dzięki pomocy kolegów z kancelarii obozowej skierowany do transportu, kilkakrotnie zmieniał obozy. To prawdopodobnie ocaliło mu życie. Po wojnie ukończył wyższe studia i poświęcił się pracy naukowej. Od wspomnień obozowych, które obecnie w postaci natrętnej wracają i zabierają spokój, w ciągu ubiegłych 16 lat zupełnie się odgrodził i nie utrzymywał nawet kontaktów towarzyskich z byłymi kolegami obozowymi.

4. 58-letni mężczyzna, od połowy r. 1940 w konspiracji, oddany sprawie, konsekwentny, biorący udział w poważnych akcjach, aresztowany z listy, przeszedł przesłuchania z torturami, nikogo nie wydał. W obozie koncentracyjnym nadal czynny w ruchu oporu. Pracował, pomagał innym. Wierzył w przetrwanie. W czasie transportu do innego obozu uciekł z grupą współtowarzyszy i włączył się do partyzantki przeciwhitlerowskiej. Po wyzwoleniu wrócił niezwłocznie do pracy, pogłębiał swoje kwalifikacje zawodowe, wiele czasu i energii poświęcił zagadnieniom społecznym. Z wspomnień wykreślił niejako przeżycia okupacyjne i mimo kontaktowania się z byłymi kolegami obozowymi nie wracał myślami do okresu ubiegłej wojny. Dopiero po 17 latach wystąpiły uporczywie nawracające wspomnienia okupacyjne. Wielokrotnie w nocy budził się z krzykiem zlanym potem, gdy ponownie przeżywał fragmenty gehenny więziennej czy obozowej. Nawrót do wspomnień zakłócił spokój i wyzwolił nie istniejące uprzednio zaburzenia nerwicowe.

Objawy stwierdzane u tej grupy byłych więźniów hitlerowskich są charakterystyczne dla starości. W odniesieniu do naszych chorych należy myśleć o starości przedwczesnej tak z uwagi na ich wiek, jak i na to, że potworne psychosomatyczne urazy w okresie pobytu w więzieniach, obozach koncentracyjnych i w gettach doprowadziły w znacznie krótszym czasie niż normalnie do wystąpienia przedwczesnych zmian organicznych ustroju. Zmiany te, spowodowane przez przeżycia okupacyjne w najlepszym okresie życia naszych pacjentów, są charakterystyczne dla objawów starzenia się i w warunkach prawidłowych winny pojawić się co najmniej kilkanaście lat później.

Jeżeli starość jest fizjologicznym okresem rozwoju ontogenetycznego, to przedwczesną starość należy uważać niejako za stan patologiczny.

Prace międzynarodowych zjazdów lekarskich FIR uznały przedwczesną starość za następstwo pobytu w hitlerowskich więzieniach i obozach. Wydaje się, że nasze spostrzeżenia są przyczynkiem potwierdzającym słuszność tego poglądu.

PIŚMIENNICTWO

1. Aerkonferenzen der Internationalen Foederation der Widerstandskampfer. Band I. FIR. Moskau. Tamże: *Anochin, Targowla, Fischer, Hoffmayer* i współpracownicy: Die chronische progressive Asthenie. — 2. Internationale Medizinische Konferenz ueber die Therapeutik, Wiederherstellung und Umschulung der Kriegsinvaliden, Widerstandskampfer und Deportierten. Moskau, 25—28. VII. 1937. Tamże: *Bastiaan J.*: Die psychosomatischen Folgen der Unterdrueckung der Widerstandskampfer. — 3. *Olbrycht J.*: Przegl. Lek., 1962, 1a, 37. — 4. *Opalski A.*: Choroby ośrodkowego układu nerwowego pochodzenia naczyniowego i choroby starcze. Warszawa, 1951. — 5. *Orwid M.*: Przegl. Lek., 1962, 1a, 94. — 6. *Szymusik A.*: Przegl. Lek., 1962, 1a, 98. — 7. *Teutsch A.*: Przegl. Lek., 1962, 1a, 90.

FRANTIŠEK BLAHA — Praga

były więzień obozu koncentracyjnego w Dachau Nr 22526

W sprawie patogenezy miażdżycy tętnic

(na podstawie własnych obserwacji w obozie koncentracyjnym Dachau)

(Z Instytutu Higieny Społecznej Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Karola w Pradze.

Dyrektor: Prof. dr F. Blaha)

Od Redakcji

Autor pracy, prof. dr med. *František Blaha* urodził się 9 czerwca 1896 r. w Pisku w Czechach południowych. Przed drugą wojną światową pracował w Iglawie jako ordynator oddziału. Z początkiem r. 1939 został uwięziony

i skazany na śmierć wyrokiem sądu we Wrocławiu, a następnie w Lipsku w r. 1940. Ponieważ nazistowskie władze sądowe nie zdecydowały się na wykonanie wyroku, został wysłany z początkiem r. 1941 do obozu koncentracyjnego w Dachau z notatką: „powrót niepożądany” i od razu przydzielony jako numer 22526 do karnej

kompanii. Następnie był używany przez obozowych lekarzy nazistowskich jako ludzki „królik doświadczalny” i dwukrotnie zakażany dudem plamistym i brzusznym. Jak gdyby cudem przeżył te doświadczenia, po czym został przydzielony jako patolog do stacji badań doświadczalnych. Ponieważ nie miał nigdy powrócić, przeto uważano, że nie będzie miał sposobności ujawnienia widzianych przez siebie zbrodni.

„W ciągu miesięcy i lat — pisze prof. *Blaha* — zgromadziliśmy stopniowo materiał przy pomocy nielegalnego komitetu, więźniów-lekarzy, a także profesorów uniwersytetu Niemców, Austriaków, Jugosłowian, Rosjan, Francuzów, Polaków, i Holendrów, którzy pracowali razem z nami przy sekcjach zwłok. Nigdy nie sądziliśmy, że któryś z nas będzie mógł snuć z tej pracy wnioski naukowe, ponieważ nie mogliśmy mieć nadziei powrotu. Jedynie jako materiał dla potomności ukrywaliśmy odpisy protokołów, preparaty, wyniki i zdjęcia, które następnie za pośrednictwem naszej nielegalnej organizacji schowaliśmy w wiejskich komandach, aby kiedyś po wojnie były dokumentem historycznym.

Gdy z polecenia *Himmlera* w maju r. 1945 naziści nie zdołali już wykonać likwidacji naszego obozu i zostaliśmy wyswobodzeni 30. IV. 1945 r., zostałem wybrany przedstawicielem więźniów. Przekazałem wówczas cały materiał amerykańskiej komisji śledczej. Ponadto dodałem do tego jeszcze wiele wyjaśnień ustnych w czasie przesłuchań procesu załogi Dachau w r. 1945, podczas międzynarodowego procesu w Norymberdze, podczas procesu niemieckich lekarzy w r. 1946—1947 oraz w procesie przeciw koncernowi *I. G. Farbenindustrie*. Ostatni raz słyszałem o tym materiale w r. 1947; znajdował się on wtedy w rękach doc. dr *Alexandra* z Chicago, ówczesnego rzeczoznawcy przy amerykańskim sądzie wojskowym w Norymberdze. W swoich pracach ogłosił on wiele z tego materiału. Od tej chwili — mimo wszelkich starań — nie zdołaliśmy się niczego dowiedzieć o tym materiale”.

Po powrocie z obozu prof. *Blaha* został naczelnym lekarzem centralnej ubezpieczalni społecznej w Pradze, a w r. 1948 dyrektorem praskich szpitali. W latach 1945—1955 był posłem do parlamentu czechosłowackiego i przewodniczącym wydziału zdrowia i opieki społecznej. W r. 1952 został mianowany profesorem uniwersytetu Karola w Pradze i dziekanem nowo utworzonego wydziału higieny. Obecnie jest dyrektorem Instytutu Higieny Społecznej tegoż Wydziału.

Artykuł niniejszy został napisany przez prof. *Blahę* dla wychodzącego w Moskwie czasopisma „Archiw Patologii”. Przy jego ocenie nie należy zapominać o tym, że autor nie pracował jako naukowiec w pracowni uniwersyteckiej, ale jako skazany na śmierć więzień w hitlerowskim obozie koncentracyjnym. Praca ta ma dwojaką wartość: dla historyka jako dokument barbarzyństwa nazistowskiego, dla lekarza jako

przyczynę do teorii powstawania miażdżycy tętnic oraz możliwości jej zapobiegania.

To doniesienie dla tych, którzy cierpieli prześladowania ze strony reżimu nazistowskiego, dla ich organizacji i zastępców prawnych ma jeszcze specjalne znaczenie. Podaje ono mianowicie na podstawie bogatego materiału dowody, że miażdżycę tętnic była powodowana albo pogłębiana przez pobyt w obozie koncentracyjnym i że stanowi ona zatem klasyczny przykład „choroby uwarunkowanej pobytem w obozie”, nawet wtedy, gdy nie dało się stwierdzić jej objawów klinicznych ani w czasie pobytu w obozie, ani zaraz po uwolnieniu.

Oto tekst pracy prof. *Blahy*:

W obozie koncentracyjnym w Dachau pracowałem jako więzień, wykonujący przede wszystkim najcięższe roboty przy zwłokach, a następnie przy sekcjach. Dało mi to możliwość sekcjonowania wszystkich ofiar nazistowskiej stacji badań lekarskich. Ofiar tych było już wiele w Dachau na początku wojny, a liczba ich stale wzrastała. Do r. 1942 przeprowadzałem wyłącznie sekcje ofiar doświadczeń nazistowskich. Później przyszedł nakaz sekcjonowania zwłok wszystkich więźniów, którzy umierali na rewirze. Od r. 1943 sekcjonowaliśmy zwłoki wszystkich zmarłych w obozie, zwłaszcza wskutek chorób zakaźnych.

Przeprowadzenie sekcji wszystkich zwłok było niekiedy niemożliwe, gdyż czasami w jednym transporcie było 200—300 zmarłych wskutek represji i epidemii. Wówczas sekcjonowaliśmy tylko dla kontroli po kilka zwłok. Do r. 1942 liczba sekcji wynosiła dziennie średnio do 10, w latach 1942—1943 do 20, a od r. 1944 po 35 i więcej. W ten sposób zebrano materiał z około 10 tysięcy autopsji, z których sporządzono stosunkowo dokładne protokoły. Do r. 1944 przebywali w Dachau wyłącznie więźniowie-mężczyźni; między sekcjonowanymi zwłokami zdarzały się tylko wyjątkowo zwłoki kobiet skazanych na śmierć. Dopiero w r. 1945 przybywały do Dachau z transportami czasem także kobiety. Materiał sekcyjny składał się wobec tego prawie wyłącznie ze zwłok męskich.

W szpitalu i kostnicy zatrudnieni byli jako pomocnicy więźniowie-lekarze oraz profesorzy uniwersytetu najrozmaitszych narodowości. Zbierali się oni wcześniej rano nielegalnie w sali sekcyjnej i omawiali uzyskane wyniki. Tutaj także wykonywało prace pomocnicze kilku profesorów uniwersytetu. Wielu profesorów różnych wydziałów lekarskich w Niemczech, jak również wielu współpracowników naukowych interesowało się wynikami i działalnością nazistowskiego oddziału doświadczalnego, a więc także i naszą robotą. Dzięki temu można było uzyskać w ostatnich latach (1944—1945) urządzenia i środki dla prac histologicznych i bakteriologicznych, jak również i dla biopsji. W rezultacie mogliśmy wzajemnie, a także i odwiedzającym z Rzeszy demonstrować preparaty makro- i mikroskopowe. (Do tego czasu wysyłano materiały —

zwłaszcza z oddziału doświadczalnego — przez posłańców samochodami do Monachium, gdzie wykonywano preparaty i demonstrowano je w instytutach).

Następstwa głodu były wspólną cechą patologiczną wszystkich zwłok. W latach 1940—1945 mieliśmy możliwość zbadania klinicznego i pośmiertnego wielu dziesiątków tysięcy więźniów z przypadkami „choroby głodowej”. Kliniknym obserwacjom poddano około 25% więźniów, ponieważ reszta musiała pracować aż do zgonu. Natomiast po śmierci zbadano sekcyjnie 100%; u 90% z nich stwierdziliśmy powikłanie ze starymi lub nowymi procesami swoistymi. Ponadto 50% więźniów wykazywało ostre sprawy zakaźne lub powikłania epidemiczne. Najczęściej stwierdzano dur plamisty, którym było zakażonych więcej niż 30 tysięcy więźniów, czerwonkę, dur brzuszny, posocznicę i malarię. Te dwie ostatnie choroby stwierdzano u ofiar oddziału doświadczalnego.

Od początku musieliśmy przyjąć, że nie istnieje „choroba głodowa” w czystej postaci. Wskutek tego nie ma czystej hipoproteinemii w chorobie głodowej, o czym się wspomina przy doświadczaniu w Minnesota z r. 1951, przeprowadzonym w warunkach można powiedzieć chronionych, *in vitro* — wykonywano je bowiem na ochotnikach studentach, którzy poza głodem znajdowali się w optymalnych warunkach laboratoryjnych. Podobnie optymalnych warunków nie spotyka się nigdy praktycznie w chorobie głodowej. W obozie koncentracyjnym więźniowie podlegali wpływom różnych ciężkich urazów neuropsychicznych, złych warunków higienicznych i klimatycznych oraz ciężkiej pracy fizycznej. Należy więc brać pod uwagę, że w chorobie głodowej poza zaburzeniami przemiany materii działają jeszcze różne wpływy szkodliwe.

Obiektywnie w chorobie głodowej stwierdzało się gwałtowny lub powolniejszy spadek wagi ciała, aż do jednej trzeciej wagi wyjściowej, a nawet poniżej (takie spadki wagi występowały oczywiście tylko wtedy, gdy nie było obrzęków). Wyżywienie w obozie koncentracyjnym wynosiło (przy tendencji spadkowej w miarę zbliżania się końca wojny) 1000 do 600 kalorii dziennie, a obejmowało w przybliżeniu 30 g białka roślinnego, 5 g tłuszczów, 200 g węglowodanów, 10 mg wapnia, 800 mg fosforu i 5 mg żelaza. Witaminy A było w tym pożywieniu około 140 jednostek międzynarodowych, witaminy B 250 mg, a witaminy C 50 mg.

Niewątpliwie nie było bezpośredniego związku między stopniem niedożywienia a rozmiarem obrzęków bądź wyczerpania. Zazwyczaj występowały ogólne albo miejscowe obrzęki w tych przypadkach, w których głód prowadził do szybkiego i znacznego spadku wagi ciała. Objawy te spostrzegano przede wszystkim u osób, które ze stosunkowo dobrych warunków życiowych zostały nagle przeniesione bezpośrednio do obozu. Niedobór żywnościowy, do którego dochodziło się stopniowo, dawał możliwość do-

stosowania się i prowadził do suchych postaci niedożywienia.

Oznaką tego schorzenia było pojawienie się wyraźnego obniżenia czynności mózgu. Według badań zarówno makro-, jak i mikroskopowych zaniki mózgu i nerwów przebiegały znacznie wolniej niż pomniejszenie i zanik innych narządów. Przede wszystkim uszkodzenia dotyczyły mięśnia sercowego. Występowały czynnościowe przerwy spoczynkowe, niemiarowość, skłonność do krwawień, z początku o rozmiarach mikroskopowych, potem dochodziło do ogólnej skazy krwotocznej z rozległymi krwawieniami we wszystkich narządach i jamach ciała oraz do zawałów i zakrzepów. Dalej ujawniała się stopniowo postępująca bezsoczność bądź niezdolność przyswajania pokarmów wskutek zaniku śluzówki żołądka i jelit oraz trzustki. Przede wszystkim jednak zanikała czynność wątroby tak, że stawała się ona niezdolna do wytwarzania albumin z fitoprotein. Bilans azotowy był ujemny. Wszystkie czynności wewnątrzwydzielnicze były zaburzone. Tarczycza ulegała zanikowi, stwierdzało się spłaszczenie nabłonka, słabo barwiący się koloïd i wysoki poziom cholesterolu. Kliniknie ten stan doprowadzał do typowego obozowego obrzęku śluzowego. Ciekawe jest, że u znacznej części tych chorych po powrocie do domu i przestrojeniu przemiany materii występował obraz ciężkiej toksycznej nadczynności tarczycy. U przeszło 70% badanych obserwowaliśmy zaniki jąder. Poziom 17-ketosteroidów spadał do minimum. Ten stan był bardzo oporny na leczenie, nawet po powrocie z obozu, mimo że następowała stopniowa poprawa. Zaburzenia i dysfunkcja narządów kobiecych (*vulvovaginitis* i zaburzenia miesiączkowania) występowały prawie u wszystkich kobiet w obozie.

W korze nadnerczy stwierdzono odchylenia morfologiczne. Krzywa cukrowa po obciążeniu cukrem miała przebieg płaski. Ciemniejsze zabarwienie skóry wskazywało na zmienioną czynność enzymów. Zanik przysadki mózgowej ujawniał się najpierw w przednim płacie i powodował rozkojarzenie wielogruczołowe oraz zaburzenia w wydzielaniu hormonów. Tylny płat przysadki pozostawał zwykle nieuszkodzony. Szyszynka nie wykazywała żadnych zmian. Poziom wapnia był obniżony. Przeciwnieństwem tego były zmiany kataboliczne w układzie kostnym, uwiadczenia się w postaci osteomalacji i osteoporozy, przy czym wapń z kości magazynowany był głównie w osierdziu i w naczyniach, a przy tym był wydalany z kałem. Często można było obserwować zanik kości przy wzmożonej aktywności osteoklastów i krańcowym spadku poziomu cholesterolu.

Obraz krwi wykazywał niedokrwistość: ilość hemoglobiny wynosiła 70—75% i mniej, przy niewielkim obniżeniu białka w surowicy krwi; była to niedokrwistość niedobarwliwa lub nadbarwliwa z makrocytozą; stwierdzano zmniejszenie liczby retikulocytów, leukopenię ze względną limfocytozą, opadanie krwinek było

przyspieszone. Całkowity poziom białek wynosił znacznie poniżej 5 g⁰%, a poziom albumin w osoczu do 3 g⁰% przy ogólnej hydremii (zaledwie 15⁰% składników stałych). W początkach okresu niedożywienia spadał najpierw poziom globulin przy normalnym poziomie albumin, następnie spadał szybko poziom albumin tak, że względna zawartość globulin wzrastała. Według Gsella zachodziło tu zmniejszenie ilości gamma-globulin, a zwiększenie alfa i beta-globulin. Byłby to zatem zespół hipalbuminemii, jakkolwiek pewną rolę odgrywało również zwiększenie ilości wody i soli.

Jako podmiotowe objawy choroby głodowej występowały najpierw objawy ze strony układu nerwowego: parestezje w zakresie kończyn (drętwienie), a następnie ogólne obniżenie aktywności ruchowej. Z biegiem czasu czynność wszystkich narządów dochodziła do stanu tzw. *vita minima*. Autorzy leningradzcy opisują, że w czasie blokady miasta zacierały się wszystkie typowe cechy indywidualne. Autorzy polscy spostrzegali w warszawskim getcie podobne zjawisko, jak my w obozie koncentracyjnym, że nawet zupełnie młodzi ludzie stawali się całkiem obojętni na otaczające ich okropności i ich własny los. Zasypiali wszędzie, gdzie się tylko dało, a przejście od życia do śmierci dokonywało się stopniowo, jak to bywa u ludzi starych tak, że nieraz trudno było ustalić dokładnie chwilę zgonu. Typowym zjawiskiem obozowym obrazującym ten stan byli „muzulmanie”. U nich występował końcowy okres zaburzeń wegetatywnych i obniżenie aktywności fizycznej i psychicznej. Szkielety pokryte popielatą wysuszoną skórą z nieznacznymi pozostałościami mięśni wlokły się powoli z miejsca na miejsce, potykając się o najmniej-sze przeszkody. Zgon następował zawsze wskutek śpiączki wątrobowej albo hipoglikemicznej, jeśli jeszcze przedtem nie wystąpiła zapaść sercowa albo naczyniowa wskutek najmniejszego obciążenia lub urazu, jak się to najczęściej zdarzało.

W kilku tysiącach przypadków sekcyjnych spostrzegłem — tak jak inni lekarze w obozie — bardzo ciężkie zmiany w wątrobie, która — jeśli nie było zastojów na tle powikłań zakaźnych — wskutek zaniku glikogenu bywała pomniejszona do jednej piątej wagi wyjściowej. Równocześnie spostrzegaliśmy w obrazie mikroskopowym rozległe nacieki tłuszczowe z wodniczkami wewnątrzkomórkowymi (*intrazellulärer Hydrops*). Klinicznie stwierdzało się często ostry zanik wątroby o przebiegu błyskawicznym, ze wszystkimi zwykłymi objawami klinicznymi i anatomicznymi, kończący się szybko śpiączką wątrobową.

W płucach stwierdzało się obok zmian swoistych liczne małe lub większe zawały albo też rozmiękanie płuca. Przy badaniach klinicznych doprowadzało to do błędnego rozpoznawania jam bądź rozstrzeni oskrzelowych. Serce zwłok więźniów niedożywionych było wyraźnie zanikłe i pomniejszone. Utraciło ono swoją masę mięśniową zupełnie tak samo, jak inne mięśnie. Wskutek tego nie wytrzymywało już żadnego

fizycznego obciążenia. Z tym stanem wiązał się występujący u ogromnej większości więźniów znaczny spadek ciśnienia krwi, zwłaszcza rozkurczowego. Mięsień sercowy był kruchy, jakby „ugotowany” (zanik brunatny). Serca o małych wymiarach ulegały znacznie częściej tym zmianom niż serca wiotkie o dużym wymiarze (*cor bovinum*).

W ogromnej większości przypadków stwierdzałem na stole sekcyjnym makroskopowo i histologicznie miażdżycę tętnic. Występowała ona również u zupełnie młodych osób. Zgodnie z doniesieniami lekarzy belgijskich (*Lanny, Halshoffer, Uehlinger, Mollison*) i lekarzy getta warszawskiego (*Fliederbaum, Stein*), stwierdzaliśmy nawet u 17—30-letnich zmarłych rozległą miażdżycę tętnic z wyraźnym lipidowym nacieczeniem błony wewnętrznej wielkich naczyń i z obrzękiem błony zewnętrznej i tkanki łącznej pod błoną wewnętrzną.

Wszyscy ci ludzie za życia mieli wyraźnie niskie ciśnienie krwi, najwyżej 100 mm Hg. W związku z tym występowała wyraźna bradykardia z liczbą uderzeń 40—50 na minutę, a nawet mniej oraz obniżenie ciepłoty ciała do 35° lub poniżej. Z początku przypuszczaliśmy, że zmiany miażdżycowe, które stwierdzaliśmy przede wszystkim w aorcii, w naczyniach wieńcowych i mózgowych — były następstwem przejścia choroby zakaźnej (kiła, zimnica). Ale przy sekcjach w czasie masowych epidemii (dur brzuszny, dur wysypkowy, czerwotka) przekonaliśmy się, że tak nie jest. Nie było bowiem różnicy, jeżeli chodzi o występowanie tych zmian u ludzi, którzy przeszli te choroby, a tymi, którzy w ogóle nie byli zakażeni. Większość więźniów, którzy umierali w czasie epidemii, pochodziła ze środowisk nieuodpornionych. Po przyjeździe do obozu ulegali oni szybko zakażeniu i wkrótce umierali. U tych zmarłych zmiany miażdżycowe były znacznie mniej zaznaczone aniżeli u tych zmarłych, którzy od lat przebywali w obozie i byli znacznie odporniejsi na zakażenia. Na podstawie tych wszystkich wyników okazało się, że miażdżycę tętnic ze wszystkimi cechami klinicznymi i anatomicznymi wiąże bezpośrednio z długotrwałym pobytem w obozie koncentracyjnym i że występuje częściej przy postaciach suchych choroby głodowej niż obrzękowych.

Jak już wspomniano, nasz materiał sekcyjny składał się prawie bez wyjątku ze zwłok ludzi, którzy przez szereg lat aż do śmierci nie dostawali nigdy ani grama tłuszczu zwierzęcego. Wyżywienie w obozie koncentracyjnym nie zawierało białka zwierzęcego, jedynie białko roślinne. Składało się ono prawie wyłącznie z węglowodanów (oczywiście bez cukru), z względnie dostateczną ilością witaminy C. W ostatnich latach więźniowie — z wyjątkiem tych, którzy pracowali w zakładach ważnych dla przemysłu wojennego — byli żywieni prawie wyłącznie burakami pastewnymi. Rzadko kiedy dostawali marchew i to zawsze w postaci zupy; do tego kawałek czarnego chleba. Całymi latami więźniowie nie mieli możliwości

wypicia kropli alkoholu albo wypalenia papierosa (z wyjątkiem nielicznych, tzw. „prominentów obozowych”, którzy byli w uprzywilejowanym położeniu). Mieli natomiast dużo ruchu na świeżym powietrzu i wykonywali ciężką pracę fizyczną.

W czasie sekcji zwłok osób, u których już od kilku lat waga ciała była o połowę mniejsza od wagi wyjściowej, stwierdziliśmy szczególnie daleko posunięte zmiany miażdżycowe, zarówno w postaci złogów w błonie wewnętrznej, jak i w postaci zwapnień. Najsilniej zaznaczone zmiany znajdowaliśmy we wsierdzu, na zastawkach sercowych, w naczyniach wieńcowych serca, w całej aorcie aż do rozgałęzienia aorty brzusznej, nieraz nawet w tętnicach miednicy. Również często spotykaliśmy się ze zmianami miażdżycowymi naczyń mózgowych, zwłaszcza w śródmózgowiu oraz w tętnicach podstawy mózgu (nawet u młodych ludzi). Niezwykle ciekawym zjawiskiem jest to, że bardzo rzadko stwierdzało się zmiany miażdżycowe w nerkach. Choroby nerek występowały w ogóle rzadko, jakkolwiek w obozie koncentracyjnym było wiele powodów do ich wystąpienia. Zmiany miażdżycowe zastawek serca i wsierdza dawały różne obrazy, jak np. brodawkowate złogi w postaci pęczków, rzadziej w postaci płaskich nawarstwień. Usadowione na nich świeże lub starsze zakrzepy były tak silnie przytwierdzone, że często powstawały polipowate twory, zwąsające światło naczyń. W innych przypadkach zastawki ulegały skróceniu i zniszczeniu przez procesy włóknisto-wytwórcze, przechodzące na otaczające wsierdzie. Dotyczyło to przede wszystkim zastawki dwudzielnej i zastawek aorty, rzadziej zastawek tętnicy płucnej. Nierzadko się zdarzało, że cała zastawka była oderwana i pozostawały z niej tylko drobne resztki.

Dalsze daleko idące zmiany miażdżycowe stwierdzało się prawie zawsze w naczyniach wieńcowych serca. Spostrzegano je już po otwarciu klatki piersiowej na stole sekcyjnym, jeżeli mięsień sercowy był zanikły. Rozgałęzione, kruche naczynia ściany przedniej i tylnej zawierały świeże i stare zakrzepy, rozmiękłe lub też zwłókniałe ogniska zawałowe. Bardzo często były w mięśniu sercowym mniejsze lub większe wylewy krwawe, zwłaszcza jeżeli istniał przy tym zakażenie.

Największe zmiany spotykano zazwyczaj w aorcie i to nie tylko w łuku, ale i w aorcie wstępującej i zstępującej. Nawet w tętnicach podobojczykowych i szyjnych, jak również w naczyniach brzucha i kończyn dolnych widzieliśmy często miażdżycowe zwapniałe płytki, a pod nimi zmiany martwicze. Zwapnienia aorty lub innych naczyń wypełniały nieraz całe światło. Na zwapnieniach usadawiały się mocno zakrzepy, które zniekształcały światło. Złogi te, uciskając, powodowały owrzodzenia, drażąc przez wszystkie warstwy ścian naczyń, nawet do otaczających tkanek.

W preparatach histologicznych spostrzegaliśmy odczyn włóknisty otaczających tkanek, włókna kolagenowe, przesiąknięte mikro- i ma-

kroskopowymi wybroczynami. W ogóle najczęściej spotykano przy sekcji wszystkich narządów rozrost tkanki włóknistej. Należały tu przypadki *pachypleuritis*, *pericarditis*, *perisplenitis*, *perihepatitis* i *perinephritis*, które wraz z często występującymi swoistymi zmianami włóknisto-marskimi w płucach sprawiały ogromne trudności przy sekcjach.

Z powodu tych zrostów i zlepow, które powstawały w miejscach chorobowo zmienionych, jak i w miejscach martwicy i owrzodzeń, nie dochodziło do znacznych krwotoków, które by doprowadziły do szybkiego zejścia śmiertelnego. Niemniej widywaliśmy często wylewy krwawe do osierdza, opłucnej i otrzewnej. Tego rodzaju krwawienia do jam ciała i do tkanek narządów występowały najczęściej w chorobach zakaźnych, zwłaszcza w durze plamistym i brzusznym, niewątpliwie jednak również na tle miażdżycy, a po części także przy dystrofii pokarmowej. Przy badaniach histopatologicznych stwierdzaliśmy tylko nieznaczne stosunkowo objawy *endomeso-* i *periarteritis* bądź inne odczyny zapalne w naczyniach.

W obozie koncentracyjnym stwierdzono występowanie słabych odczynów zapalnych przy wszystkich uszkodzeniach i urazach. Była to reguła zarówno przy owrzodzeniach, jak i sprawach ropnych, urazach pooperacyjnych i innych chorobach. Było to następstwem anergii, jaką się spotyka przy procesach patologicznych w stanie znacznego niedoboru pokarmowego. Podobne wyniki dawało badanie histologiczne naczyń mózgowych. Dokoła stwardniałych, miażdżycowo zmienionych naczyń, zawierających skrzepy obserwowaliśmy wiele wylewów krwawych mikro- lub makroskopowych albo też ogniska zaniku i rozmiękania. W tych przypadkach istniał też rozrost gleju w otaczającej tkance.

Należy podkreślić, że wszyscy ci ludzie za życia nie skarżyli się nigdy na dolegliwości charakterystyczne dla miażdżycy tętnic, co w ciężkich warunkach życia obozowego wobec takich zmian patologicznych trudno jest zrozumieć. Normalnie chodzili i pracowali prawie bez wypoczynku, bez uczucia zawrotów głowy, często musieli wytrzymywać wielkie obciążenie fizyczne, a nade wszystko ciężkie urazy psychiczne przy egzekucjach, torturach, nieustannych bombardowaniach, w zupełnej nieświadomości swych dalszych losów, a więc w warunkach, które byłyby niebezpieczne nawet dla zupełnie zdrowego człowieka. Jak już wspominałem, do nagłej śmierci dochodziło u więźniów zazwyczaj nie w następstwie miażdżycy. Przyczyną były najczęściej ostre zakażenia lub choroby zakaźne, którym ludzie z miażdżycą szybko ulegali. To samo zdarzało się przy stosunkowo nieznacznych urazach i aktach przemocy bez widocznych oznak zewnętrznych.

Interesujące jest zagadnienie, skąd pochodziły gromadzące się w ścianach naczyń tak wielkie ilości cholesterolu. Może nam to wyjaśnić fakt, że z reguły stwierdzało się rozległe nacieczenie tłuszczowe wątroby takie, jakie się

rzadko widuje nawet u ludzi z dużym zwyrodnieniem tłuszczowym. Sekcje przeprowadzaliśmy na zwłokach ludzi w najwyższym stopniu wyczerpanych, wychudzonych o wadze około 30 kg. O możliwości transportu wewnętrznego świadczą rozległe zwapnienia osierdzia, dookoła śledziony lub wątroby i nerek, przy czym słosunkowo często spotykało się serce opancerzone. Dochodziło do całkowitego odwapnienia kości tak, że można było długie kości lub czaszki z łatwością krajać nożem lub nożyczkami.

Niewątpliwie pewną rolę odgrywał w tym również czynnik hormonalny, ale na pewno większe znaczenie miała czynność kory mózgowej. Hipertonia ani też dolegliwości związane z nadciśnieniem nie występowały w obozie nawet u ludzi starszych mimo nieustannych ciężkich urazów fizycznych i psychicznych. Podobnie nie spotykało się cukrzycy, dychawicy oskrzelowej, nadczynności tarczycy i innych chorób występujących na wolności, a cofających się szybko w obozie. Istnieją przy tym obszerne dane statystyczne, które dowodzą, że te choroby występowały u byłych więźniów po powrocie do domu znacznie częściej i wykazywały szybki postęp w normalnym otoczeniu, zwłaszcza w tych przypadkach, w których dołączały się nowe sytuacje stressowe.

Cały zespół obozowy można by wyjaśnić przytoczonymi zmianami miażdżycowymi naczyń mózgowych, pomimo że pod innym względem można go uważać za wynik niedożywienia, które prowadziło do zaniku i zwyrodnienia komórek nerwowych, jakkolwiek te zjawiska ujawniały się w układzie nerwowym o wiele wolniej niż w innych narządach. Potwierdzały to zarówno badania makroskopowe i histologiczne, jak i waga ciała.

Nasze obserwacje nie pokrywają się z tym, co stwierdzono w niektórych obozach jenieckich lub np. w obłożonym Leningradzie. Oczywiście pod wieloma względami głód miał tam odmienny charakter. Dochodziło do niego mianowicie stopniowo, w miarę, jak ubywało zapasów domowych i wspólnych i w miarę, jak — co uważam za najważniejsze z punktu

widzenia psychologicznego — wszyscy mieszkańcy Leningradu stawali do czynnej walki. W przeciwnieństwie do tego więźniów zaraz po przybyciu do obozu i otrzymaniu przydziału oraz po wytatuowaniu numeru był krótko strzyżony i rozpoczynał nowe, niewypowiedziane straszne życie w okropnym głodzie. U ludzi otyłych nierzadko spadek wagi ciała wynosił 15—20 kg miesięcznie. W obozie znajdowali się ludzie, którzy tam już przeżyli 10 lub 12 lat. Stopień rozwoju miażdżycy tętnic pozostawał w prostym stosunku do długości pobytu w obozie. Poza tym, jak już wspomniano, dużą rolę odgrywały momenty psychiczne, bądź nawet nieznaczne urazy mózgu.

Istniała zasadnicza różnica między walką z bronią w rękę dla obrony ojczyzny (albo przynajmniej pomocą w tej walce), gdzie choć do pewnego stopnia zachowywało się swoją wolną wolę, a życiem w obozie, gdzie praktycznie biorąc było się z góry skazanym na śmierć. Np. z naszego obozu w Dachau, przez który przeszło w ostatnich 6 latach jego istnienia (1940—1945) 260 tysięcy ludzi, wróciło do ojczyzny zaledwie 20 tysięcy; podobne stosunki były i w innych obozach. Sami na sobie obserwowaliśmy te różnice, porównując nasze przeżycia w czasie I wojny światowej na froncie z przeżyciami z II wojny światowej w obozie.

Na podstawie opisanych faktów jestem zdania, że byłoby nadmiernym upraszczaniem, gdyby zagadnienia patogenezy i profilaktyki miażdżycy tętnic sprowadzać do leczenia otyłości i ograniczania materiałów cholesterologenych, innymi słowy — opierać zapobieganie miażdżycy głównie albo nawet wyłącznie na odpowiednim żywieniu i diecie. Należy najpierw przeprowadzić analizę stanu ustroju w oparciu o wszystkie czynniki patogenezy, kliniczne i anatomiczne, a na ich podstawie ustalić postępowanie zapobiegawcze i lecznicze o charakterze zespołowym. Dotyczy to zwłaszcza wszelkich wpływów wewnątrzpochodnych, a więc i psychicznych, które odgrywają wielką rolę w powstawaniu i przebiegu miażdżycy tętnic.

FRANCISZEK WALTER

Zmarli podczas wojny profesorowie i docenci Wydziału Lekarskiego UJ¹

Wydział Lekarski UJ poniósł w czasie ostatniej wojny ciężkie straty. Spośród jego profesorów i docentów ubyło ośmiu. Straty te są wielkim ciosem dla nauki polskiej, zginęli bowiem ludzie wielkiej wiedzy, zasłużeni działacze społeczeństwa, opromienieni sławą nie tylko wśród nas, ale i poza granicami kraju. Jedni zginęli jako ofiary okrutnej przemocy okupanta

w więzieniach, inni na skutek działań wojennych lub w następstwie ciężkich uszkodzeń zdrowia, nabytych w obozach koncentracyjnych bądź w związku z ciężkimi warunkami, w jakich pozostawali w czasie okupacji.

¹ Z „Kroniki Uniwersytetu Jagiellońskiego” za lata wojny 1939—1945 i rok akad. 1945, Kraków 1946.

Kazimierz Telesfor Kostanecki, profesor honorowy, członek czynny Polskiej Akademii Umiejętności, jej były sekretarz generalny i prezes, pochodził z rodziny o pięknej tradycji i wybitnych zdolnościach. Powołany w r. 1891 na katedrę anatomii porównawczej, później (1894) opisowej, zreformował gruntownie sposób nauczania anatomii. Badania zawiłych stosunków podziału jaj jeźowców pod wpływem samych tylko czynników chemicznych i fizycznych postawiły go w rzędzie najwybitniejszych współczesnych cytologów i zjednały mu rychło uznanie w postaci honorowych doktoratów uniwersytetów, w tym trzech zagranicznych, najwyższych odznaczeń i wyboru na członka honorowego wielu towarzystw naukowych. Szczytową pracą naukową *Kostaneckiego* była jego ostatnia wielka publikacja o kątnicy i wyrostku robaczkowym w całym świecie zwierzęcym. Wszystkie prace naukowe *Kostaneckiego* cechuje nadzwyczajna jasność i przejrzystość, niezwykła ścisłość określeń i wniosków oraz znakomita konstrukcja. Obok zasług czysto naukowych i nauczycielskich *Kostanecki* zasłużył się niezwykle w organizacji polskiej nauki lekarskiej, przede wszystkim doprowadzając do wzbogacenia Akademii Umiejętności Wydziałem Lekarskim przez złączenie z nią warszawskiej Akademii Lekarskiej. Zalety charakteru i umysłu *Kostaneckiego* sprawiły, że w czasie pierwszej wojny światowej, w najtrudniejszych dla Uniwersytetu Jagiellońskiego czasach, powierzono mu urząd rektora, a równocześnie powołano na I wiceprezidenta miasta. W tym czasie *Kostanecki* współdziałał czynnie i wydatnie w tzw. Książęco-Biskupim Komitecie, niosącym pomoc ofiarom wojny. Zdawało się, że pod koniec życia los zapewni *Kostaneckiemu* zasłużony wypoczynek. Wbrew nadziei, utracił nagle w katastrofie samolotowej żonę i ukochanego syna, a potem wolność ojczyzny i wolność osobistą. By się nie ugiąć, nie załamać, nie zwątpić, trzeba tak stalowego hartu ducha, jaki miał *Kostanecki*, do końca życia pocieszający i podtrzymujący towarzyszy w obozie w Sachsenhausen. Wśród strąt, poniesionych przez Uniwersytet Jagielloński, jest to może najcięższa, a pamięć o tym niepospolitym mężu nie powinna nigdy zagać. Zmarł w obozie w Sachsenhausen 11 stycznia 1940 r.

Stefan Kazimierz Pieńkowski, od r. 1932 profesor nadzwyczajny neurologii i psychiatrii, członek Rady Naukowej Lotniczo-Lekarskiej w Warszawie, członek Towarzystwa Wiedzy Wojskowej, naczelny redaktor czasopisma „Neurologia Polska”, członek korespondent Polskiej Akademii Umiejętności, odznaczony dwukrotnie Złotym Krzyżem Zasługi i Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski, posiadał bogaty dorobek naukowy z zakresu swojej specjalności i pokrewnych jej dziedzin. Był ogromnie lubiany przez młodzież z powodu swych wykładów, utrzymanych na poziomie najwyższym zarówno pod względem naukowym, jak dydaktycznym i stylistycznym. Został powołany w dniu 31 sierpnia 1939 r. do czynnej służby wojskowej i przydzielony do Centrum

Wyszkolenia Sanitarnego w Warszawie. Zginął w Katyniu.

Docent doktor *Kazimierz Ściesiński* *veniam legendi* z zakresu anatomii patologicznej uzyskał w Uniwersytecie Jagiellońskim w r. 1938, w r. 1939 zaś został przez Wydział Lekarski proponowany na stanowisko profesora anatomii patologicznej. Zmarły był doświadczonym proktorem i histopatologiem oraz samodzielnym pracownikiem naukowym w swojej specjalności. Jego działalność naukowa grupuje się dookoła trzech zagadnień, mianowicie spraw nowotworowych, chorób układu krwiotwórczego oraz chorób nerek. Najważniejsza jest jego działalność w dziedzinie nowotworów, sztucznie wywołanych u zwierząt. W osobie K. *Ściesińskiego* nauka polska straciła jednego z młodych pracowników, przed którymi możliwości twórcze stały szeroko otworem. Zginął w Katyniu.

Marian Gieszczykiewicz, profesor zwyczajny bakteriologii, wyniósł z domu rodzinnego wielkie zamiłowanie do słowa pisanego. Pobyt w Instytucie Pasteura w Paryżu i zetknięcie się bezpośrednio z kolebką nowoczesnej bakteriologii, z głównym ośrodkiem nauki francuskiej, wzbudziły w nim podziw dla odkrywczych zdolności umysłu francuskiego. Nic więc dziwnego, że w pracy naukowej zmarłego, w jej kierunku i metodyce wpływ nauki francuskiej górował zawsze nad innymi. W dorobku twórczym prof. *Gieszczykiewicza* zaznaczyła się wszechstronność jego umysłu i wielokierunkowość zainteresowań. Obok prac z zakresu bakteriologii czystej spotykamy prace z zakresu bakteriologii klinicznej, bakteriologii stosowanej oraz z zakresu epidemiologii i leczenia swistego chorób zakaźnych. Umysł niezwykle ścisły oraz zdumiewająca wprost pamięć popchnęły go w ostatnich latach przed wybuchem drugiej wojny światowej do prac w najtrudniejszym bodaj dziale mikrobiologii — nad systematyką bakterii. Wystąpił z projektem własnego układu bakterii, który — wypełniając braki piśmiennictwa polskiego w tej dziedzinie — zdumiewa zarazem trafnością i przejrzystością. Aresztowany w r. 1941, po dłuższym pobycie w więzieniu przy ul. Montelupich w Krakowie, został przewieziony do obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu, gdzie okrutna dłoń okupanta gasi 30 lipca 1942 r. to owocne życie. Barbarzyństwo gestapo zniszczyło również i jego dzieło. Zabraną w czasie aresztowania rękopis przygotowanego podręcznika bakteriologii lekarskiej i odbitki prac naukowych zginęły bezpowrotnie. Uniwersytet Jagielloński stracił swego profesora, ludzkość — człowieka i uczonego, stojącego w okresie rozkwitu twórczości, młodzież akademicka — nauczyciela nacechowanego serdeczną dla niej przyjaźnią, której niejednokrotnie jako profesor, a zwłaszcza jako dziekan, dawał dowody.

Leon Wachholz, profesor honorowy, dwukrotny dziekan Wydziału Lekarskiego, członek wielu towarzystw naukowych krajowych i zagranicznych, członek czynny Polskiej Akademii Umiejętności, od r. 1938 wiceprezes Między-

narodowej Akademii Medycyny Sądowej, był znakomitym uczonym i pedagogiem. Wychował szeregi uczniów, którzy w r. 1926 uczcili jego zasługi naukowe wydaniem książki pamiątkowej. Działalność naukowa *Wachholza* była bardzo obfita. Prac naukowych w różnych językach ogłosił 128, w tym dwa podręczniki medycyny sądowej, z której pierwszy ukazał się w r. 1899, drugi w trzech kolejnych wydaniach w latach od 1918 do 1933. Obok fachowych studiów pociągała zmarłego wielka dziedzina przeszłości kultury narodu. Rozmiałowany był w dziejach starego Krakowa, jego ulicach, gmachach, instytucjach i ludziach; szereg studiów poświęcił rozświetleniu historii medycyny w Polsce, zwłaszcza działalności Wydziału Lekarskiego naszego Uniwersytetu, łącząc w tych pracach fakty wydobyte przez ścisłe badania źródłowe z przyczynkami pamiątnikarskimi, czerpanymi z bogatej skarbnicy własnych wspomnień. Obdarzony talentem poetyckim, przetłumaczył obie części „Fausta” *Goethego*, z których pierwsza ukazała się w druku. Znakomity mówca, obdarzony niezwykle swadą, czarował słuchaczy pięknem słowa polskiego, którym władał po mistrzowsku. Zmarł 1 grudnia 1942 r. jako ofiara ciężkich udręczeń przeżytych w więzieniu i obozie Sachsenhausen.

Odo Bujwia profesor doktor, pierwszy z polskich bakteriologów, zapoznawszy się z pasteurowskimi metodami leczenia wścieklizny w Paryżu u samego mistrza, założył w r. 1886 pierwszy w Polsce instytut leczenia tego cierpienia w Warszawie. Powołany w r. 1893 na katedrę bakteriologii i higieny w UJ rozwijał obok pracy naukowej owocną działalność na polu społecznym. Był założycielem trzeciego koła Towarzystwa Szkoły Ludowej oraz Uniwersytetu Ludowego w Krakowie, pracował około założenia szkoły polskiej w Morawskiej Ostrawie. Po ustąpieniu z czynnej służby uniwersyteckiej prowadził własny zakład wyrobu surowic i szczepionek i był niezwykle czynny na polu propagowania sztucznego języka *esperanto*. W latach 1926 i 1929 odbył podróże po Brazylii celem zaznajomienia się z warunkami kulturalnymi i sanitarnymi naszych osadników. W r. 1930 i 1931 w Holandii i w Danii wygłosił odczyty o Polsce po *esperancu*. Mimo sędziewego wieku, żywotność i działalność prof. *Bujwida* były niespożyte. Oprócz ogłaszania licznych artykułów z zakresu higieny interesował się żywo sprawami Zakładu Wyrobu Szczepionek i Surowic, który na początku ostatniej wojny rozszerzył na wyrób szczepionek przeciw durowi wysypkowemu. Zasługi *Bujwida* na polu zwalczania i zapobiegania tej chorobie były niezwykle i godne wielkiego uznania, więczącach stylek jego pracowitego życia, które zakończył 26 grudnia 1942 r.

Zmarły 27 maja 1943 r. docent higieny Wydziału Lekarskiego i wykładowca higieny ogólnej dla farmaceutów na Wydziale Filozoficznym UJ *Leonard Bier* oprócz obfitej pracy naukowej nad zagadnieniami higieny położył przede wszystkim duże zasługi na polu organizacji, urzędowania i poprawy ochrony zdrowia szero-

kich warstw ludności polskiej. Interesował się zwłaszcza żywo sprawą dozoru higieny i środków żywności i w tym kierunku rozwinął niezmordowaną działalność najpierw jako adiunkt, a następnie jako kierownik Państwowego Zakładu Badania Środków Żywności i Przedmiotów Użytku w Krakowie. Ciągła styczność z terenem pozwalała mu na dokładne zapoznanie się ze stosunkami zdrowotnymi panującymi w kraju. Oddany całą duszą ich poprawie, prowadził kursy przygotowawcze dla lekarzy kandydatów do publicznej służby zdrowia oraz kursy dla komisarzy targowisk miejskich. Od r. 1925 reprezentował Polskę w międzynarodowych komisjach badania przetworów mlecznych. Ostatnią swą pracę ogłoszoną drukiem poświęcił chorobom zakaźnym w odniesieniu do obronności państwa.

Przez śmierć prof. dr *Emila Godlewskiego* (zmarł 25 kwietnia 1944 r.) Uniwersytet Jagielloński, nauka i społeczeństwo polskie poniosły niezwykle ciężką stratę. *E. Godlewski* nie należał do typu uczonych pracujących w cichym gabinecie, stroniących od zagadnień, jakie bieżący nurt życia narzuca do rozwiązania. Był to wielkiej miary uczony, zarazem wielki społecznik i gorący miłośnik swego narodu. Dom i otoczenie rodzinne, przede wszystkim wpływ ojca, znakomitego botanika, profesora UJ, oddziaływały na skrytyzowanie się i rozwój jego zainteresowań naukowych oraz na wyrobienie gorącego patriotyzmu. Służbę dla kraju rozpoczął *Godlewski* z chwilą powołania go w roku 1916 przez metropolitę krakowskiego ks. Sapiechę na stanowisko dowódcy kolumn epidemicznych tzw. Książęco-Biskupiego Komitetu do walki z szerzącymi się chorobami epidemicznymi. Po likwidacji Komitetu w r. 1919 i oddaniu dziecięcych zakładów przeciwgruźlicznych i przeciwjaglicznych w Zakopanem i w Witkowicach na rzecz UJ pracował niezmordowanie w charakterze kuratora z ramienia Uniwersytetu nad ustaleniem ich bytu i rozbudową. W r. 1938 mógł otworzyć trzeci zakład w Rabce. Powołany wiosną 1920 r. przez rząd polski na nadzwyczajnego komisarza do walki z epidemiami w całym kraju, położył na tym stanowisku ogromne zasługi. Wyrazem uznania było powołanie go na członka honorowego wielu towarzystw lekarskich i przyrodniczych, na członka Polskiej Akademii Umiejętności, nadanie doktoratu *honoris causa* na wydziałach filozoficznych Uniwersytetu Jagiellońskiego i Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, przyznanie nagrody naukowej Kasy im. Mianowskiego, w r. 1932 nagrody miasta Warszawy, w r. 1937 zaszczytne powołanie w poczet członków nowo utworzonej Papieskiej Akademii Nauk. Lata wojny były dla niego znacznie cięższe niż dla innych, którzy nie widzieli tak zniweczonej pracy swego życia.

Wśród strat poniesionych przez Uniwersytet Jagielloński w czasie okupacji niemieckiej utrata życia tak znacznej liczby znakomych uczonych jest ciosem najboleśniejším i najcięższym. Pamięć o tych niepospolitych mężach nauki, znakomych Polakach, którzy ofiarą

swego życia zaznaczyli swą młodość, przywiązanie i wdzięczność dla ojczyzny z pewnością nigdy nie zaginie.

OD REDAKCJI:

W powyższym opracowaniu opuszczono nazwiska następujących profesorów i docentów habilitowanych w Uniwersytecie Jagiellońskim, którzy zginęli lub zmarli w czasie okupacji: prof. dr *Eugeniusz Artwiński*, ur. w r. 1892, zmarł 10. IX. 1944 r. we Lwowie jako ofiara okresu okupacji; prof. dr *Adolf Beck*, ur. w r. 1863 zmarł we Lwowie w r. 1942; prof. dr *Włodzimierz God-*

łowski, ur. w 1900, zginął w Katyniu; prof. dr *Steian Horoszkiewicz*, ur. w r. 1874, zmarł 12. III. 1945 r. w Krakowie; prof. dr *Roman Nitsch*, ur. w r. 1873, zastrzelony przez Niemców w czasie drugiej wojny światowej podczas oblawy ulicznej; prof. dr *Kazimierz Pelczar*, ur. w r. 1894, zastrzelony jako zakładnik przez Niemców 17. IX. 1943 r.; prof. dr *Zygmunt Radliński*, ur. w r. 1874, zmarł 31. XII. 1941 r.; *Hilary Paulin Schramm*, ur. w r. 1857, zmarł we Lwowie w r. 1941; prof. dr *Włodzimierz Sieradzki*, ur. w r. 1870, zastrzelony przez Niemców we Lwowie 4. VII. 1941 r.; prof. dr *Zygmunt Szantroch*, ur. w r. 1894, zginął w Katyniu; doc. dr *Aleksander Ślęczka*, ur. w r. 1893, zginął w Katyniu; prof. dr *Marian Zieliński*, ur. w r. 1866, zginął w Katyniu.

O staraniach czynionych dla uwolnienia profesorów Uniwersytetu Jagiellońskiego

(na podstawie relacji członków rodzin profesorów)

Wiadomość o aresztowaniu profesorów w dniu 6 listopada 1939 r. rozeszła się w Krakowie lotem błyskawicy. Widziano ich wyprowadzanych z Uniwersytetu, ustawionych w kordonie żołnierzy w brutalny sposób, opowiadano o tych, którzy spóźniwszy się usiłovali się przedostać do Uniwersytetu przez kordon żołnierzy, nie zdając sobie sprawy, że za chwilę zostaną wyprowadzeni już jako więźniowie. Wymieniano nazwiska. Nie zdawano sobie jednak sprawy, jak duża była to grupa. W godzinach popołudniowych było już wiadomo, że przewieziono wszystkich do wojskowego więzienia przy ul. Montelupich. Ale po nocy spędzonej tam w kaplicy przewieziono ich do koszar wojskowych przy ul. Mazowieckiej. Komendant i dozorujący żołnierze zachowywali się przyzwoicie, ale komendant nie mógł o niczym sam decydować i o wszystko pytał się telefonicznie gestapo. Pod murem gromadziły się liczne grupy rodzin profesorów, ale przez zamknięte okna na piętrze trudno było porozumieć się.

Profesorowie przypuszczali, że są zakładnikami przed dawnym świętem narodowym 11 listopada, aby powstrzymać studentów od jakichś demonstracji i na migi pokazywali „jedenaście”. Na drugi dzień pobytu w koszarach uwięzieni otrzymali pozwolenie odebrania paczek. Przetrzymano rodziny prawie do wieczora i wtedy dopiero pozwolono oddać paczki. Nie wiedząc, jak długo potrwa uwięzienie, podano im, poza osobistymi rzeczami, ciepłe ubrania, płaszcze, które niestety nie były im potrzebne. Prof. *Kowalskiemu* posłała żona ostatnie tomy „Potopu”, który właśnie czytał. Po powrocie z obozu, na końcu ostatniego tomu prof. *Kowalski napisał*: „Ten tom Potopu, jak poprzednie był ze mną w więzieniu we Wrocławiu”. Czytany przez wszystkich kolegów, był bodaj ostatnią książką polską, jaką czytał przed

śmiercią prof. *Ignacy Chrzanowski*. Dnia 9. XI. 1939 r. o godz. 14.45 profesorów nagle wywieziono. Któraś z pań była już wtedy koło koszar i widziała, jak ich ładowano do wagonów. Nadchodzące później rodziny dowiadywały się przerażone, że już ich nie ma. Żadna wiadomość od nich nie nadchodziła i nie wyłączano nawet wiadomości, że wywieziono ich na śmierć. Po naradzie wydelegowano prof. *Stołyhwową* i dr *Kowańską*, jako władające językiem niemieckim, by poszły do gestapo czegoś się dowiedzieć pod pretekstem, że chcą posłać ciepłe ubrania. Tam już przy bramie, bo dalej ich nie puszczono, jakiś młodzik pogardliwie oświadczył, że nie potrzebują ciepłych rzeczy i że gdy nauczą się na pamięć „Mein Kampf”, to może zmądrzeją. Wynikało z tego, że żyją.

Pod koniec listopada 1939 r. nadeszły kartki z więzienia we Wrocławiu z 15. XI. 1939 r. Tymczasem w dniu 27. XI. wywieziono ich już do obozu. W kilka dni później wrócili do Krakowa prof. *Dąbrowski* i prof. *Sarna*, zwolnieni na skutek interwencji Węgier. Ale nie wiedzieli, dokąd resztę wywieziono. W połowie grudnia nadeszły pierwsze listy pisane 3. XII. 1939 r. i z nich rodziny dowiedziały się, że profesorowie są w obozie w Sachsenhausen. Prawie równocześnie zaczęły nadchodzić pierwsze wiadomości o śmierci profesorów. Przynosili je zawsze osobiście dwaj gestapowcy. Wszelkie próby dotarcia do jakichś władz niemieckich okazywały się niemożliwe. Wreszcie prof. *Stołyhwowa* i dr *Kowska* dotarły do kancelarii *Bühlera* w siedzibie rządu *General-Gouvernement*. Tam przyjął je jakiś oficer i dowiedziawszy się o jaką sprawę chodzi, skierował je do jakiegoś wyższego oficera. Okazało się, że ten znał dokładnie sprawę profesorów i trochę go zaskoczyła wiadomość, że już 8 profesorów zmarło w obozie, bo on słyszał tylko o dwóch. Podyktował podanie i tytuł

instytucji, do której ono miało być skierowane. Prawie na pewno nie wpłynęło to na los profesorów, ale rodziny miały nadzieję, że coś tym pomogą. Niektóre żony próbowały na własną rękę szukać dróg do Niemców. Okazało się później, że było to raczej niekorzystne. Dalsze próby dotarcia do władz niemieckich okazały się niewykonalne. Całkiem przypadkowo ktoś dowiedział się w połowie stycznia 1940 r., że pewna Polka w Krakowie jest żoną Węgra, którego kolega jest oficerem gestapo. Zwrócono się do niej, a ona obiecała, że mąż jej będzie się dowiadywał, jakie plany ma gestapo w stosunku do profesorów. Po kilku dniach dała odpowiedź, że mają oni niedługo wrócić. Chociaż mogło to nie być prawdą, był to jednak pierwszy promień nadziei. Dnia 8 lutego 1940 r. wrócili starsi profesorowie. Z dworca przewieziono ich do więzienia na Montelupich, a dopiero stamtąd zwolniono do domów. Ale na dworcu ich już rozpoznano i w ciągu godziny wszystkie rodziny były zawiadomione.



Prof. Tadeusz Kowalski krótko przed wojną

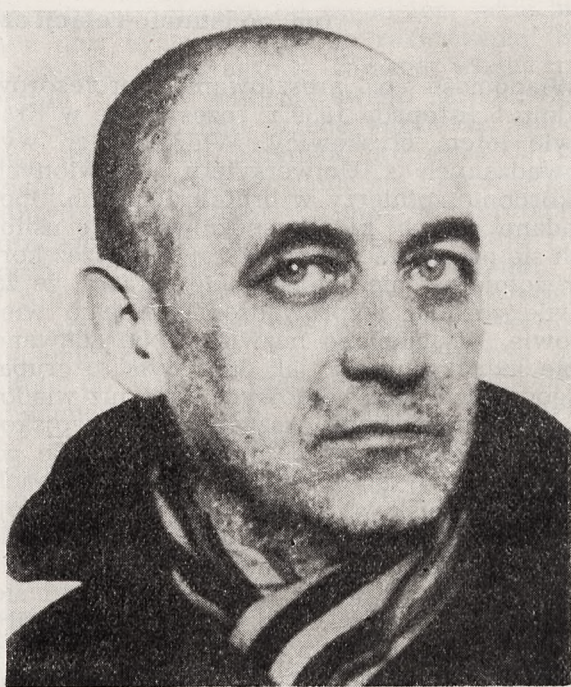
Niestety 9 starszych profesorów i wszyscy młodzi, których przewieziono do Dachau, wrócili dopiero znacznie później małymi grupami. Z tych, którzy wrócili pierwsi, kilku zmarło po kilku dniach; wrócili oni już beznadziejnie chorzy. Teraz rozpoczęły się starania o tych, którzy pozostali. Prof. *Stołyhrowej* udało się dotrzeć do delegata niemieckiego Czerwonego Krzyża, który przyjechał do Krakowa i który potem wyrobił pozwolenie przesyłania paczek do obozu.

Dzisiaj patrząc na te sprawy z perspektywy czasu jest jasne, że wszelkie starania rodzin profesorów musiały być bezcelowe. Chodziło przecież Niemcom o wyniszczenie polskiej inteligencji i nie potrzebowali liczyć się z opinią Polaków.

Uwolnienie profesorów nastąpiło wskutek interwencji z zagranicy. Sprawa stała się głośna w Europie właśnie dlatego, że zabrano wszystkich profesorów równocześnie. Wielu z nich, znanych w Europie uczonych, miało przyjaciół we wszystkich krajach, łącznie z Niemcami. Zaraz w pierwszych już miesiącach wojny udało się licznej osobom wyjechać legalnie za granicę. One informowały o tym, co się u nas dzieje. Wyjazd ich trzymany był jednak w tajemnicy, aby nie rozgłosiło się, że poza oficjalnym powodem wyjazdu mają one starać się o poinformowanie wpływowych kół za granicą o losie profesorów.

Jakimi drogami szły te starania mówi nam artykuł prof. *Władysława Konopczyńskiego* w *Tygodniku Powszechnym* (rok III, nr 45 z dn. 9. 11. 1947), pt. „Jak to się stało, żeśmy ocaleli?“, z którego cytujemy fragmenty:

„...Od listopada 1939 r. do lutego 1940 r. na rząd Rzeszy mogły wpływać tylko państwa z nią



Prof. Tadeusz Kowalski po zwolnieniu z obozu

nie wojujące. Co do Szwecji zdołaliśmy sprawdzić najautentyczniej, że w listopadzie 1939 r. *chargé d'affaires* w Warszawie p. *Grafström* (zajmujący później wpływowe stanowisko w szwedzkim urzędzie spraw zagranicznych) czynił przedłożenia w obronie aresztowanych profesorów, specjalnie wymieniając mnie jako członka jednej ze szwedzkich akademii, potem robił jakieś kroki jego kolega w Berlinie, obaj bezskutecznie. Rząd węgierski, powiadomiony przez konsula *Schabla* ujął się za dwunastu profesorami, ale uzyskał zwolnienie z wrocławskiego więzienia tylko dwóch: *J. Dąbrowskiego* i *Z. Sarny*. Później dużo zainteresowania i współczucia okazali swym polskim kolegom profesorowie węgierscy.

Najbliższy powód do ujmowania się za nami,

mieli ci naukowcy niemieccy, którzy nie zdzičili w hitlerowskim reżimie, zwłaszcza jeśli przeczuwali hańbę i klęskę. Oto, co mi odpisał na ten temat członek Polskiej Akademii Umiejętności prof. Max Vasmer:

„Chętnie dałbym Panu dokładniejsze informacje co do pytań, które Go interesują, gdybyśmy mieli możliwość traktować o tym ustnie. Jak na list bowiem jest tego za dużo, a Pańskie przypuszczenia co do możliwości, jakieśmy wtenczas mieli, są może nie zawsze trafne. Musi Pan zważyć, że w r. 1939 ogół profesorski był rozbity na dwa całkiem osobne obozy. Byli narodowi socjaliści, z którymi nie mieliśmy stosunków i koło których zabiegały liczne lękliwe duchy, ci niezdecydowani stanowili bodaj większość. Dalej była mała grupka energicznych przeciwników ruchu, która zawsze musiała się liczyć z możliwością udręczeń (*Drangsalierungen*), a dobrze była znana rządowi jako opozycja. Dziekanów i rektorów już nie wybierano, tylko mianowano. Kierownictwo uniwersytetu berlińskiego i akademii było w czasie waszego aresztowania tak niezdatne (*ungeeignet*), że nie było widoków na przeprowadzenie większością uchwały w sprawie uwolnienia aresztowanych polskich profesorów. Zresztą taka uchwała niewielki odniosłaby skutek, bo zakuty (*verbohrt*) rząd pomyślałby wtedy, że to jest otwarty bunt i na złość nic by nie zrobił.

Kiedy powzięta została decyzja co do masowego aresztowania profesorów, nie mogę stwierdzić, w naszych gazetach o tym nie było wzmianki. Ja dowiedziałem się o uwięzieniu dopiero w styczniu 1940 r. od żony byłego ukraińskiego lektora w Krakowie (*Janiny Bednarskiej*, wdowy po *Stefanie B.*, lektorze języka rosyjskiego, którą później w Tarnowie zamordowali Niemcy — przyp. nasz), której udało się przyjechać do Berlina i która w Sachsenhausen otrzymała wiadomość, że jej mąż tymczasem umarł. Ona mnie odwiedziła pierwszego, bo miała od kolegów krakowskich mój adres. Omówiłem z nią plan różnych kroków i od razu wyraziłem zapatrywanie, że wasze wypuszczenie najskuteczniej dałoby się przeprowadzić, gdyby spróbować oddziaływać na rząd hitlerowski przez wpływowe czynniki neutralne. Później mówiłem o tej sprawie z kilku bezwzględnie pewnymi politycznie kolegami, do których przede wszystkim należeli historyk *Robert Holtzmann*, afrykanista *Westermann*, sinolog *Haenisch*, dalej przyrodnicy *von Laue* i *Otto Hahn*. W braku jakichkolwiek bezpośrednich stosunków z właściwymi kołami nazistowskimi postanowiliśmy, że każdy z nas spróbuje wyrobić uwolnienie kolegów za pośrednictwem pewnych znajomych. Kilku wniosło podania do Wydziału Kultury w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Ja znalazłem zupełnie zrozumienie zwłaszcza u byłego ambasadora niemieckiego w Warszawie *von Moltkego*, następnie u tajnego radcy *Rotha*, byłego gener. konsula w Odessie i u dwóch innych tajnych radców Urzędu Spr. Zagr., których nazwiska niestety zapomniałem. W rozmowach tych podkreśla-

łem, że tu chodzi o wielką liczbę wybitnych naukowców. Gdyby który z nich tam umarł, nie zapomniano by tego przez lat pięćdziesiąt. Panowie ci oświadczyli mi wtedy, że sprawę można by najlepiej przeprowadzić, gdyby Akademia albo Uniwersytet poczyniły jakieś kroki. Wyjaśniłem im bardzo szczegółowo, dlaczego uważam, że na tę drogę nie możemy wejść.

Przy podaniach do MSZ zdało mi się ważne, żeby je wносиło kilku kolegów na raz, aby to nie wyglądało zbyt jednostronnie. Przede wszystkim podałem listę, na której figurowali mój najstarszy polski przyjaciel *K. Nitsch*, *I. Chrzanowski*, *W. Semkowicz* i ktoś czwarty (prawdopodobnie Pan). Zależało mi na tym, żeby najpierw wydobyć starszych, bo życie młodszych nie wydawało się tak zagrożone.

W jakiś czas potem otrzymałem od wspomnianej polskiej Pani całkowity wykaz uwięzionych profesorów na spisie wykładów krakowskich.

Na podstawie tych danych profesorowie *Holtzmann* i *Westermann* przygotowali dalsze podania, gdzie były podane inne nazwiska, m. in. turkolog *Kowalski* i *Lehr-Splawiński*. Gdy chodzi o Pana, szczególnie zwracano uwagę na wrażenie, jakie to aresztowanie robi w krajach skandynawskich. *Westermann*, rzecz charakterystyczna, przejmował się koniecznością tej akcji, chociaż nie znał osobiście żadnego z wymienionych w podaniu panów: dla samego dobra sprawy oświadczył gotowość podpisania ułożonego przeze mnie tekstu. Z tą postawą jaskrawo kontrastuje zachowanie się wielu kolegów, którzy odmówili interwencji na korzyść polskich przyjaciół. Bezpośrednich kroków u Szwedów i Holendrów nie podejmowaliśmy, ale skłaniałiśmy przyjezdnych przedstawicieli tych narodów, by w domu dokładnie o tym opowiedzieli. Zainteresowaliśmy też koła jugosłowiańskie i bułgarskie. Dużo pomagali mi w rozpowszechnianiu tych wiadomości różni moi uczniowie, m. in. profesorowie *Woltner Philipp* i późniejszy sławista *von Armin*, majacy krewnych w Holandii. Która z tych dróg doprowadziła do celu, nie jest mi jasne; w każdym razie nic więcej zrobić nie mogliśmy. Gdy później aresztowano Norwegów i Francuzów, mogliśmy już działać bardzo celowo... Dopiero po waszym uwolnieniu wyjaśniło się, że do tego rodzaju starań można było dobrze używać Izby Lekarskiej Rzeszy. Za to wciąganie czynników neutralnych stało się później trudniejsze, bo komunikacja z nimi się pogorszyła, a liczba ich bardzo stopniała."

Inne źródło, to relacja żony jednego z wykładowców UJ, który 26 maja 1939 r. został przez Wydział Filozoficzny przedstawiony na katedrę, ale we wrześniu udał się do wojska, potem miał inne obowiązki za granicą i dlatego teraz profesorem nie jest. Gdy z Oranienburga co parę dni nadchodziły straszne, żałobne telegramy, udało się tej młodej osobie uzyskać paszport i wizę od konsula włoskiego w Katowicach i wymknąć się z granic G. G. „Gdy dnia 24 stycznia 1940 r. opusz-

czałam granice Polski, postanowiłam sobie, że jeśli uda mi się wydostać cało do wolnego świata, zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby pomóc do uwolnienia aresztowanych przez Niemców mojego ojca i jego uniwersyteckich kolegów. W dwa dni po opuszczeniu Krakowa przejechałam granicę włosko-niemiecką, a na trzeci znalazłam się w Mediolanie. Zamiarem moim było dostać się do męża, który we Francji zgłosił się do tworzącego się wojska polskiego. W Mediolanie bez pieniędzy (z granic Reichu wolno było wywieźć 10 RM, co wystarczyłoby na spędzenie jednej nocy w hotelu) i bez wieści, gdzie szukać męża — znalazłam opiekę i pomoc u ludzi dotychczas nieznanym mi i spotkanych przypadkowo — pp. *Kaftalów*, którzy wielu Polakom pomogli w podobnej sytuacji. Za pożyczone pieniądze zadepeszo wałam do dyrektora Stacji Akademii Umiejętności w Rzymie *J. Michałowskiego* o moim przybyciu do Włoch. Równocześnie zapytywałam, czy jako świadek aresztowania profesorów nie mogłabym w jakiś sposób przyczynić się do akcji ich uwolnienia. Dyr. *Michałowski* oddepeszo wał natychmiast, żebym przyjechała do Rzymu na koszt Akademii. Pierwszego lutego znalazłam się w Rzymie. Zamieszkałam w domu Akademii. Natychmiast po moim przybyciu p. *Michałowski* zwołał zebranie przebywających w Rzymie w tym czasie naukowców i profesorów polskich, rodzaj komitetu do spraw aresztowanych. Opowiedziałam zebranym szczegółowo o przebiegu aresztowania (rodziny profesorów znały te szczegóły na pamięć z relacji paru zwolnionych profesorów), o wysiedleniu rodzin profesorskich z domów uniwersyteckich i o próbach interwencji podejmowanych w Krakowie. Po wysłuchaniu mojej opowieści komitet przedyskutował plan akcji. Ponieważ mówiłam nieźle po włosku, postanowiono, żebym odwiedziła kilka osóbistości ze świata naukowego i politycznego, opowiedziała o aresztowaniu i prosiła o zorganizowanie interwencji Włoch (wówczas jeszcze kraju neutralnego). Nie pamiętam już dokładnie kolejności, w jakiej odbywałam moją pielgrzymkę.

Chodziło o poruszenie możliwie szerokich kół, więc ludzi nauki zainteresowanych Polską, rodziny królewskiej oraz o dotarcie do kogoś zbliżonego do szefa rządu. Spotkanie aranżował dyr. *Michałowski* z jednej strony, z drugiej prof. *Maciej Lore*t.

Z władz polskich odwiedziłam ambasadora *Wieniawę-Długoszowskiego*, który z wielkim przejęciem wysłuchał mojego opowiadania i sam ze swej strony poinformował mnie o krokach wszczętych przez ambasadę przy Kwirynale. Wynikało z tego, że ambasada już przed moim przyjazdem bardzo energicznie działała w tej sprawie. Moją rolą było niejako przypomnienie i osobiste zainteresowanie tą sprawą, którą znano tylko z raportów i prasy.

Wizyty moje u naukowców włoskich spotkały się z różnym przyjęciem. Wymienię tutaj

parę ważniejszych. Niestety znanego mi sprzed wojny prof. *Mavera* nie było w Rzymie. Byłam natomiast u prof. *Damianiego*, który bardzo żywo przejął się całą sprawą. Gorączkowo chodząc po pokoju snuł plany, gdzie i do kogo powinnam pójść i jak najskuteczniej trafić do szefa rządu. Jego, jeżeli dobrze pamiętam, pomysłem była moja późniejsza wizyta u *Del Croix*.

Z krańcowo różnym przyjęciem spotkałam się u prof. *Volpe*, członka zagranicznego Polskiej Akademii Umiejętności, profesora historii współczesnej. Pamiętałam, jak uroczystie przyjmował go w Krakowie przed wojną prof. *Kutrzeba*. Sądziłiśmy teraz, że jest on specjalnie powołany do bronienia polskich kolegów. Po zapowiedzeniu telefonicznym mojej wizyty wybrałam się sama do jego willi pod Rzymem. Prof. *Volpe* otworzył mi drzwi osobiście i własną osobą zatarasowując wejście, zapytał czego chcę. Zdziwiło mnie, że nie prosi mnie do mieszkania, ale postanowiłam swoje powiedzieć. Widząc, że tak łatwo się mnie nie pozbędzie, profesor niechętnie puścił mnie do pokoju, nie prosił, żebym usiadła, ale zrobiłam to bez zaproszenia i zaczęłam mówić. *Volpe* siedział, jak na szpilkach, na brzeжку fotela. Nie zadał mi ani jednego pytania, nie zapytał o nikogo ze znajomych, widać było, że pragnie tylko jednego; żebym sobie poszła, żeby go nie wciągać w żadne kłopotliwe sprawy. Potraktował mnie tak, jakbym przyszła żebrać u niego o parę lirów. Ponieważ jednak o liry nie prosiłam, więc nie miał pretekstu do zakończenia rozmowy. Zakończyłam ją jednak sama możliwie szybko, widząc, że tu nic nie wskóram.

Do rodziny królewskiej postanowiono trafić przez zaprzyjaźnioną z królową rodzinę *Czartoryskich* spokrewnionych z Bourbonami. Audiencja odbyła się w jednym z hoteli. Był tam obecny któryś Bourbon, kilka pań i panów, których imion w tej chwili nie pamiętam. Powtórzyłam moje opowiadanie, kiwano głowami ze współczuciem, zadawano pytania, obiecano zrobić, co się da u królowej Heleny.

Tymczasem moi doradcy zorganizowali wizytę, która miała poruszyć samego szefa rządu. Mówiono, że ogromny wpływ na niego ma jego osobisty przyjaciel, *Presidente dei Mutilati di Guerra, Del Croix*. Ten inwalida z czasów Wielkiej Wojny, w czasie walki z Niemcami stracił wzrok, obie nogi i rękę. Nienawidził Niemców, usiłował powstrzymać szefa rządu od wiązania się z nimi, poza tym, jako prezes organizacji inwalidów wojennych, stał na czele akcji charytatywnych. Cieszył się ogromnym mirem wśród Włochów jako ich naczelny bohater narodowy. Jeżeli kto, to on mógł odpowiednio przedstawić sprawę szefowi rządu.

O oznaczonej godzinie w towarzystwie dyr. *Michałowskiego* znalazłam się na audiencji. Wniesiono *Del Croix*, sekretarz przedstawił mnie i zaczęłam mówić. To nie była rozmowa z panem *Volpe*. Od początku zrozumiałam, że człowiek, do którego mówię, wprawdzie mnie

nie widzi, ale przeżywa i rozumie wszystko. Rozmowa trwała przeszło godzinę. *Del Croix*, głęboko poruszony, zadawał pytania szczegółowe, musiałam opowiadać mu nie tylko o aresztowaniu, o pochodach rodzin pod koszary na Wrocławską, o ostatnim pożegnaniu na dziedzińcu więzienia, wypytywał o szczegóły wyrzucania nas z domu, potem o warunki życia codziennego, o dzieci w Polsce, o wszystko.

się krótko i formalnie, wstawiennictwo *Del Croix* może być skuteczniejsze. W drodze z Rzymu do Mediolanu i Francji zboczyłam do Bolonii, żeby wypełnić obietnicę daną prof. *Stołyhrowej* i prosić o interwencję w sprawie zwolnienia jej męża u kolegi jego, antropologa.

Dnia 8 lutego opuściłam Włochy".

„A my starsi więźniowie w liczbie stu tegoż dnia opuściliśmy Sachsenhausen. Zważywszy,



Prof. Stanisław Kutrzeba krótko przed wojną



Prof. Stanisław Kutrzeba po zwolnieniu z obozu

W końcu ściskając mi rękę na pożegnanie, zapewnił wzruszonym głosem, że zrobi, co będzie mógł i poprosił o podanie nazwisk kilku osób, na uwolnieniu których najbardziej mi zależy. Jeśli nie będzie mógł dopomóc wszystkim, to może tych kilku uda się uwolnić. Podałam oprócz ojca nazwiska mojego szwagra, rektora *Kutrzeby*, dyrektora *Birkenmajera* i paru innych.

Zastanawiałam się potem, czy nie próbować jeszcze dostać się do czynnika najwyższego. Zdecydowałam, że nie. Starania potrwałyby parę tygodni, audiencja na pewno odbyłaby

że cała ta rzymska wizyta niedoszłej profesorkowej trwała od 1 do 6 lub 7 lutego, należy przejmującą rozmowę z prezesem kalek umieścić na dzień 4 lub 5 lutego. Czy wynika stąd, że to, co się nie udało w Berlinie jednej kobiecie, udało się innej szczęśliwszej w Rzymie? Niekoniecznie. Już połączenie profesorów krakowskich we wspólnym bloku 45 dnia 1 lutego pozwalało wróżyć jakąś odmianę ich losu. Mogły się skupić w tym momencie różne zabiegi mniej lub więcej skuteczne. Ale czasami znaczy coś w przebiegu spraw ludzkich, ostatnia kropla lub ostatnia iza..."

ZYG MUNT ALBERT

Zamordowanie 25 profesorów wyższych uczelni we Lwowie przez hitlerowców w lipcu 1941 r.

25 profesorów wyższych uczelni wraz z członkami ich rodzin i współlokatorami którzy zostali zamordowani przez hitlerowców w lipcu 1941 r. stanowi wprawdzie drobny ułamek ogółu wymordowanej ludności polskiej przez okupanta niemieckiego, jednak ze względu na programowe niszczenie inteligencji polskiej fakt ten zasługuje na szczególne wyróżnienie.

Wyświetleniem tego niesłychanego morderstwa, zebraniem faktów i okoliczności jemu towarzyszących zająłem się natychmiast po aresztowaniu profesorów, a więc od 4 lipca 1941 r. Wówczas nie zdawałem sobie jeszcze sprawy, że Niemcy zdolni byłiby mordować niewinnych ludzi; wówczas odcięty od ziem polskich okupowanych przez Niemców nie znałem faktów masowych egzekucji, akcji AB¹ i innych, mających za zadanie planowe niszczenie inteligencji polskiej. W przedstawieniu zebranych faktów, co było czasem bardzo żmudne, nie siłę się na literackie opracowanie tekstu. Wydaje mi się, że wystarczy, gdy przemówią wdowy po naszych wielkich nauczycielach i gdy usłyszymy suche a jakże wstrząsające relacje naocznych świadków aresztowania i rozstrzeliwania naszych najlepszych uczonych. O morderstwie dokonanym na lwowskich profesorach ukazały się już niejednokrotnie artykuły w prasie polskiej i zagranicznej. W każdym z nich znalazły się jednak mniej lub bardziej istotne błędy, które, wydaje mi się, zostały sprostowane w mojej pracy. Starałem się dotrzeć wszędzie tam, gdzie mógłbym spodziewać się jakiegokolwiek wyjaśnienia i naświetlenia tej tragedii naszych nauczycieli i przyjaciół. Dlatego pragnę podziękować wszystkim wdowom i członkom rodzin zamordowanych profesorów za udzielenie mi szczegółowych relacji ustnych i pisemnych o tragicznej nocy z 3 na 4 lipca 1941 r.

1) AB-Aktion — Ausserordentliche Befriedungsaktion — nadzwyczajne zarządzenie bezpośredniej eksterminacji Polaków.

i poszukiwaniach swych najbliższych po urzędach III Rzeszy. Również dziękuję licznym osobom wymienionym i niewymienionym w tekście, które bądź to opisywały widzianą przez siebie scenę rozstrzeliwania profesorów, bądź też udały się ze mną na grób lub na miejsce spalania zwłok. Panu prof. *Antoniemu Knotowi* dziękuję za pomoc w dotarciu do niektórych nieznanych mi źródeł wyjaśniających okoliczności opisywanego morderstwa. Panu prof. *Kupcowi* szczególnie dziękuję za bezinteresowne sporządzenie reprodukcji zdjęć wszystkich zabitych profesorów i miejsca kaźni.

30 czerwca 1941 r. nad ranem wojska niemieckie wkroczyły do opuszczonego przez wojska radzieckie Lwowa. Chodząc po mieście ujrzałem z przerażeniem i zdumieniem jak przy całkowitej aprobacie niemieckich władz wojskowych młodzi nacjonaści ukraińscy z niebiesko-żółtymi wstążeczkami w klapie lub opaskami na rękawach poganiali starych i młodych Żydów, którzy umęczeni zbierali gołymi rękami rozbite pociskami szkło, zalegające warstwami chodniki i ulice. Nadto dochodziły wiadomości o masowych aresztowaniach przez gestapowców i Ukraińców inteligencji żydowskiej i tych nielicznych oficerów radzieckich, którzy zmuszeni byli do pozostania we Lwowie.

2 lipca poruszyła nas i zaniepokoiła wiadomość, że *Kazimierz Bartel*, ur. 3. III. 1882 r. profesor geometrii wykresłnej na Politechnice, autor znakomitego podręcznika „*Perspektywa malarska*”, wielokrotny premier Polski, został około godziny 11 rano aresztowany.

Oto relacja jego żony Marii:

„...Ponieważ wszyscy mieli być w miejscach swej pracy — mąż mój, mimo że miał złamaną nogę w biodrze, poszedł o kulach na Politechnikę. Odprowadziłam go. Wkrótce przyjechało do mieszkania 3 gestapowców po mego męża: nie zastawszy go, zabrali naszą córkę i kazali się zawieźć na filię Politechniki przy ul. Leona Sapiehy 56, gdzie był gabinet mego męża.

Dr fil. *Rudolf Pechel* — Deutsche Gegenwart. Aufsätze und Vorträge, 1945—1952. Wydawca antyfaszystowskiej „Deutsche Rundschau”, więzień obozu w Sachsenhausen 1942—1945. Po wojnie żyje w Szwajcarii. Ukończył 80 lat.

„Przy rzetelnym poczuciu prawnym bezprawie pozostaje bezprawiem nie tylko wtedy, gdy spotyka bezpośrednio nim dotkniętego, lecz pozostaje na zawsze bezprawiem, zaś przewiny w stosunku do bezbronnych oznaczają zawsze hańbę nie do zmazania i nigdy nie świadczą o odwadze, lecz o nędznym tchórzostwie.”

(„Für ein wahres Rechtsgefühl ist Unrecht nicht nur dann Unrecht, wenn es einem selber geschieht, sondern bleibt immer Unrecht und Vergehen an Wehrlosen bleibt immer unauslöschliche Schande und beweist niemals Mut, sondern nur elende Feigheit.”)

Córkę zatrzymano w samochodzie, a dwóch gestapowców poszło na górę. Mąż siedział ze wszystkimi asystentami. Był tam: *Franciszek Otto, Szymborski, Szerszeń* i inni. Spytały tylko: „*Sie sind Bartel?*” „*So kommen Sie mit!*”. Pojechali prosto na ul. Pełczyńską (do dyrekcji Elektrowni, gdzie mieściło się gestapo), męża zabrali, a córce kazali iść do domu. Gdy wróciłam po 11 godzinie do domu zastałam kilku gestapowców w domu: jeden z nich oświadczył, że za 10 minut mam dom opuścić. Wysłaliśmy z kilkoma walizkami, resztę wszystko nam zabrano. Przechodząc przez pokój stołowy, powiedziałam do Niemca, że nawet jeść nie będziemy miały czym, ale gdy zbliżyłam się do kredensu i wyjęłam parę sztuk srebra, wyrwał mi to z ręki i wyszukał po dwa stalowe widelce, noże i łyżki. Do biurka męża nie pozwolono mi nawet zbliżyć się. Bibliotekę polityczną za parę dni spalono na podwórzu, a naukową wywieziono do Berlina...”

W dwa dni potem, tj. 4 lipca po przyjeździe o 8 rano do Zakładu Anatomii Patologicznej, w którym pracowałem, dowiedziałem się, że tuż po północy aresztowano mego szefa prof. *Witolda Nowickiego* z 27-letnim, jedynym synem *Jerzym*. Profesor *Nowicki* ur. 18. VII. 1878 r. kierownik Zakładu Anatomii Patologicznej Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, członek Polskiej Akademii Umiejętności, dwu-



Prof. dr med. Witold Nowicki

кратно dziekan Wydziału Lekarskiego, był wybitnym pedagogiem, naukowcem i działaczem społecznym. Był autorem 82 prac naukowych, a pod jego kierownictwem wykonano 194 prace doktorskie, habilitacyjne i inne. Kilka dni przed śmiercią ukończył monografię o twardzieli. Ten

światny organizator postawił na wysokim poziomie swój Zakład, urządził o wysokich wartościach dydaktycznych i naukowych muzeum preparatów anatomopatologicznych, które wzbudzało podziw zwiedzających polskich i obcych uczonych, był współorganizatorem Muzeum Higieny, przewodniczącym Kasy Zpomogowej dla wdów i sierot po lekarzach, i współodnowicielem uzdrowiska Morszyn-Zdrój, wieloletnim sprężystym naczelnikiem Izby Lekarskiej. Jako zamiłowany pedagog napisał nadzwyczaj cenny i pożyteczny 3-tomowy podręcznik „*Anatomia Patologiczna*” bogato ilustrowany zdjęciami i rysunkami wykonanymi pod jego kierownictwem.

Ten wybitny uczony żegnając się z żoną szepece jej: „*Nigdy więcej nie zobaczymy się*”. Gdy żona pyta gestapowca, czy może dać mężowi mydło i ręcznik, słyszy brutalną odpowiedź: „*On tego więcej nie potrzebuje*”. Inny gestapowiec siada przy sekretarzyku i centymetr za centymetrem naciska drewno, próbując odkryć skrytkę. Nie udaje mu się to na szczęście, gdyż istotnie skrytki zawierały biżuterię. Tragedia pani *Nowickiej* jest tym boleśniejsza, że syn *Jerzy* dr med., dostał się w r. 1939 do niewoli i po rocznym staraniu udało się go przed kilku miesiącami zwolnić. Powrócił do domu, by obecnie wpaść w ręce Niemców.

Tegoż przedpołudnia 4 lipca napływały wiadomości o aresztowaniach dalszych profesorów, głównie Uniwersytetu i Politechniki. Aresztowania rozpoczęły się po godzinie 22. Kilka grup złożonych z 1—2 oficerów, 1—2 podoficerów gestapo i 1—2 żołnierzy lub podoficerów polowej żandarmerii rozjechało się autami po mieście i według z góry ustalonej listy z dokładnymi adresami wpadało do mieszkań uczonych polskich. Ponieważ profesorowie Politechniki mieszkali często blisko siebie, np. przy ul. *Nabielaka*, a profesorowie medycyny przy ul. *Romanowicza*, niektóre grupy gestapowców aresztowały po kilku profesorów. Gestapowcy otrzymali rozkaz aresztowania poza profesorami wszystkich przebywających w mieszkaniu mężczyzn powyżej lat 18, co na ogół bardzo skrupulatnie wypełniali.

Tej nocy został aresztowany *Antoni Cieszyński* ur. 31 maja 1882 r. w Oleśnicy na Śląsku. Wybitny, o światowej sławie stomatolog-chirurg, uczęszczając do szkół niemieckich uczył się potajemnie gramatyki i historii polskiej. Medycynie, dentystyce, filozofie studiował w Monachium i w Berlinie. Opublikował pionierskie prace z rentgenologii stomatologicznej i jak większość tego rodzaju pionierów przypłacił badania rentgenologiczne trwałym oparzeniem rąk. W r. 1913 obejmuje katedrę dentystyki przy Uniwersytecie we Lwowie, a w latach 1919—1920 przeprowadza organizację Państwowego Instytutu Dentystycznego w Warszawie. Był autorem 371 prac naukowych i społecznych pisanych w różnych językach. Ze wszad ślą mu najwyższe słowa uznania i wdzięczności za wspieranie rozwój rentgenologii, anestezjologii i chirurgii stomatologicz-

nej. W r. 1936 na kongresie FDJ w Wiedniu otrzymuje międzynarodową nagrodę im. W. D. Millera w uznaniu jego zasług na polu naukowym. Był członkiem licznych towarzystw naukowych w kraju i za granicą. Był gorącym propagatorem zbliżenia naukowego narodów słowiańskich, założył i redagował „Słowiańską Stomatologię”. Pozostawił po sobie licznych uczniów, z których wielu jest profesorami akademii medycznych.



Prof. dr med. Antoni Cieszyński

Posłuchajmy co mówi o aresztowaniu ojca dr med. *Tomasz Cieszyński*, wówczas 20-letni student IV roku medycyny:

„...Z głębokiego snu obudziło mnie długie dzwonięcie i kopanie w drzwi wejściowe. Zapaliłem światło i spojrzałem na zegarek — była 2 w nocy. Niemal jednocześnie usłyszałem, że ojciec mój idzie do drzwi i otwiera je. Zabrzmiało podniesionym głosem rzucone pytanie w języku niemieckim: — czy pan jest profesor *Cieszyński*? Na potwierdzającą odpowiedź kazali się wprowadzić do pokoju ojca. Wszedłem tam również i spostrzegłem lufy rewolwerów wymierzonych we mnie. — Kto to jest? — zapytał oficer z trupa główką na furazerce. Ojciec odpowiedział, że jestem jego synem. Oficer z kolei zapytał, czy jestem również lekarzem. Gdy ojciec odpowiedział, że jestem studentem medycyny, oficer rozkazał mi sięść naprzeciw w fotelu i zagroził, że jeśli poruszę się, zastrzeli ojca. Następnie kazał

ojcu ubierać się. Na pytanie ojca, czy jest aresztowany — padła odpowiedź: „Dowie się pan na miejscu, niech się pan spieszy”. Moja matka zapytała, czy jedyną legitymacją oficera jest jego rewolwer, czy też ma pisemny rozkaz aresztowania. „Wystarczy mój mundur”.

Nie pozwolono ojcu pójść ani do ubikacji, ani wziąć flaszeczki z *digitalis*, który to lek zażywał od pewnego czasu z powodu choroby serca. Oficer przeszukując szafę znalazł kasetkę zawierającą złoto dentystyczne i złote monety, którymi wraz z drugim oficerem wypełnili swoje kieszenie. Jeden z oficerów zapytał, czy mamy w domu radio, na co ojciec odpowiedział, że zgodnie z zarządzeniem zostało oddane do zbiorczego punktu.

— Na pewno? — zapytał. — Daję słowo honoru — zapewnił ojciec.

— Pan nie jest Niemcem, żeby dawać słowo honoru!

Ojciec zmienił się na twarzy, ręka mu drgnęła, ale w tej chwili matka ją chwyciła i zawołała: — Antku, on cię nie jest w stanie obrazić. Po chwili ojca wyprowadzono do auta, gdzie siedział przed chwilą aresztowany prof. *Stanisław Pilat*, mieszkający w tym samym domu. W dwie godziny potem usłyszałem kilka salw dochodzących od strony ulicy Wóleckiej. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, co one znaczą...”

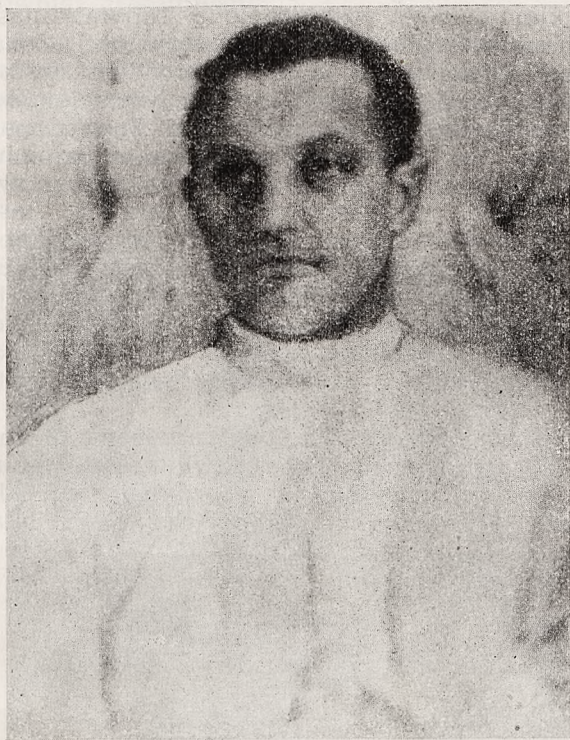
Prof. *Roman Rencki*, emerytowany kierownik Kliniki Chorób Wewnętrznych, urodzony w 1867 r., a więc mający w chwili aresztowania 74 lata, był nie tylko wybitnym internistą, świetnym znawcą białaczek, ale również fundatorem licznych stypendiów dla studentów medycyny, współodnowicielem uzdrowiska Morshyn-Zdrój, współorganizatorem pierwszej



Prof. dr med. Roman Rencki

w Polsce i jednej z najlepszych w Europie „Opieki zdrowotnej lwowskich szkół akademickich” dla studentów wyższych uczelni oraz domów dla studentów gruzlików. Na kilka dni przed wkroczeniem Niemców do Lwowa był zwolniony z więzienia i obecnie powróciwszy do domu został aresztowany.

W tej samej kamienicy przy ul. Romanowicza mieszkał również doc. dr med. *Władysław Dobrzaniecki*, ur. w r. 1897, ordynator Oddziału Chirurgicznego Państwowego Szpitala Powstanieckiego. Aresztowano go wraz z gospodynią i kolegą z okresu gimnazjum dr praw *Tadeuszem Tapkowskim*.



Doc. dr med. Władysław Dobrzaniecki

Prof. dr *Tadeusz Ostrowski*, ur. 4. VII 1881 r. był kierownikiem Kliniki Chirurgicznej. Mieszkał wraz z rodziną przy ul. Romanowicza 5. W chwili aresztowania poza kucharką, pokojówką i szoferem mieszkali u niego: jego przyjaciel, również chirurg dr *Stanisław Ruff* z żoną Anną z Blumenfeldów i synem Adamem, ksiądz *Stanisław Komornicki*, spowinowacony z żoną profesora, *Maria Reymanowa* pielęgniarka i społeczniczka oraz *Katarzyna Demko* obywatelka Stanów Zjednoczonych Ameryki Półn., wieloletnia nauczycielka języka angielskiego całej rodziny *Ostrowskich*.

Jak podaje córka z pierwszego małżeństwa pani *Ostrowskiej* — *Krystyna Komornicka*:

„.... Gestapowcy po wtargnięciu do domu zachowywali się od pierwszego momentu brutalnie i ordynarnie, plądrowali mieszkanie tak, że moja matka powiedziała po polsku „bandyci” na co jeden z gestapowców odwrócił się do niej i krzyknął „stul pysk”. Zabrali profesora i wszystkich pozostałych mężczyzn. Po wyjściu



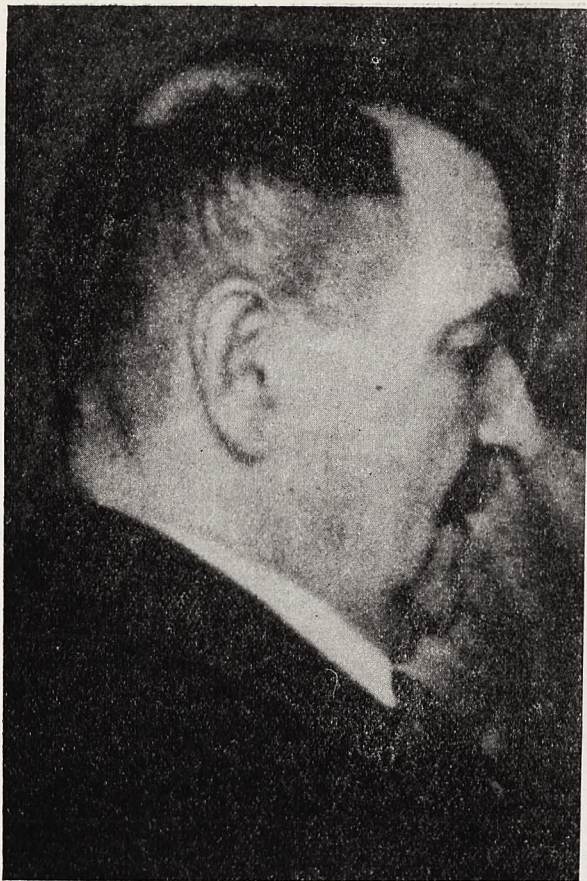
Prof. dr med. Tadeusz Ostrowski

ich matka moja zemdląca. Po dwóch godzinach znów dzwonek u drzwi, wszyscy rzucili się otwierać pewni, że to wracają aresztowani. Niestety, było to znowu gestapo; w szybkim tempie kazali wszystkim kobietom, również służbie, schodzić. Pośpiech był tak wielki, że nie pozwolono im zabrać cieplejszego okrycia. Zabrali ich do Bursy Abrahamowiczów, gdzie byli zgromadzeni aresztowani inni profesoro- wie...”.

Prof. dr med. *Jan Grek*, urodzony w r. 1875, był profesorem przy Klinice Chorób Wewnętrznych i prowadził wykłady z zakresu kliniki propedeutycznej. Związany uczuciem przyjaźni ze swym starszym kolegą i szefem prof. *Renckim*, pracują wspólnie naukowo, dydaktycznie i społecznie. Był ożeniony z *Marią* z domu *Pareńską*, która biorąc udział w weselu Rydla została uwieczniona przez Wyspiańskiego w „Weselu” jako Maryna. Jej siostra *Zofia* (Zosia z „Wesela”) wyszła za mąż za *Tadeusza Boya-Żeleńskiego* i dlatego ten słynny pisarz po ucieczce przed Niemcami z Warszawy zamieszkał u *Greków*.

Córka pani *Grekowej* — *Anna Michałowska* pisze:

„.... Według relacji naszej długoletniej kucharki, która mieszka u mego brata, przebieg tych zdarzeń był następujący: Dnia 3 lipca 1941 r. około godziny 9 wieczorem przyszli do mieszkania *Greków* przy ul. Romanowicza 7 funkcjonariusze gestapo, pytając o mojego ojczyzna *Greka*. Podczas rewizji trwającej parę



Prof. dr med. Jan Grek

godzin zidentyfikowano *Tadeusza Boya-Żeleńskiego*, którego po ukończonej rewizji aresztowano wraz z *Janem Grekiem*. Zabrano też wiele kosztowności i biżuterii. W ciągu tej samej nocy gestapo przybyło powtórnie, zabierając tym razem moją matkę i dwie służące, w tym wymienioną kucharkę. Zawieziono je do Zakładu Abrahamowiczów, gdzie znajdowali się już poprzednio aresztowani..."

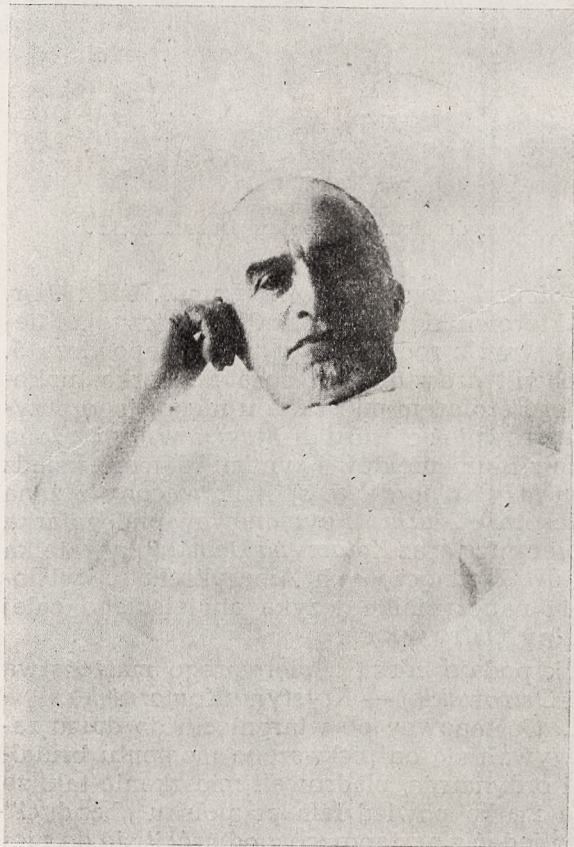
Wtedy został aresztowany także prof. dr med. *Franciszek Groër*, który kończył studia medyczne we Wrocławiu, a pod kierunkiem wielkiego reformatora pediatrii profesora *Pirqueta* specjalizował się w Wiedniu. W r. 1919 objął Klinikę Pediatriczną we Lwowie. Ten znakomity uczony postawił swą klinikę organizacyjnie i naukowo na najwyższym poziomie. Po zajęciu Lwowa przez wojska radzieckie zorganizował Instytut Matki i Dziecka, który sam prowadził.

Oto co mówi o chwili aresztowania:

"... Dnia 3 lipca był u nas na kolacji p. *Bylicki*, który opuszczając nasze mieszkanie pozostawił drzwi niedomknięte, czego nie zauważyliśmy. Około godz. 11 rozległo się dzwonięcie u wejścia i równocześnie wchodzili już tamtędy gestapowcy w mundurach z trupimi główkami. Było ich pięciu, w tym jeden oficer. Rzucili rozkaz: *Hände hoch!* i przyłożywszy mi rewolwer do czoła obmacali kieszenie ubrania. Zapytano mnie, czy jestem

profesor *Groër*, po czym zaczęli się wściekle miotać, że ktoś z naszego mieszkania uciekł, bo drzwi były niedomknięte. Wyjaśniłem, co zaszło, a oni opanowali się, gdy zetknąwszy się z moją żoną dowiedzieli się, że jest Angielką. Ów oficer gestapo zaczął z nią rozmowę w języku angielskim, którym świetnie władał, po czym usiadł przy stole w jadalni i wdał się w dłuższą, spokojnym tonem prowadzoną rozmowę, wypytując co robiłem ja i inni profesorowie za czasów bolszewickich. Równocześnie przeszukano niektóre pokoje. Na parterze w jadalni leżał stos biletów wizytowych Polaków i cudzoziemców, którzy nas odwiedzali. Kazali mi je wsadzić do torby i razem z aparatem fotograficznym, dokumentami i kluczykiem do auta wziąć ze sobą. Zapytano nas, czy mamy waluty obce i kosztowności. Żona moja oddała oficerowi papierową dwudziestodolarówkę. Ten wsadził ją z lekceważeniem do górnej kieszeni mojej marynarki. Zapytał następnie, dlaczego nie ma w naszym mieszkaniu żadnych cennych przedmiotów, np. dywanów, obrazów i dlaczego całe mieszkanie jest w takim zaniedbanym stanie. Żona moja bowiem, jakby tknięta przecuciem, bezpośrednio przed tym kazała wynieść wszystkie cenniejsze przedmioty do naszych znajomych. Krótco po północy kazali mi zejść na dół, gdzie stało ciężarowe auto, w którym znajdowali się prof. *Grek* i prof. *Boya-Żeleński*..."

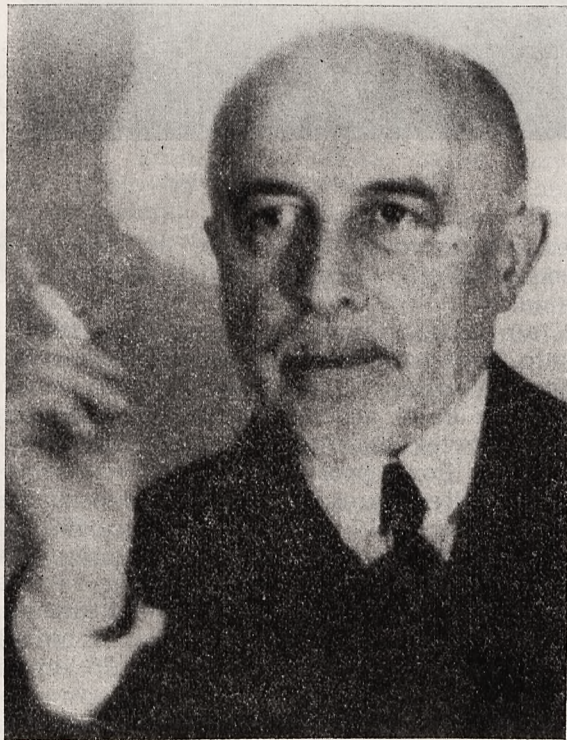
Prof. dr med. *Adam Sołowij*, urodzony 16 maja 1859 r., a więc mający w chwili aresztowania 82 lata, był emerytowanym ordynatorem Oddziału Ginekologiczno-Położniczego Szpitala



Prof. dr med. Adam Sołowij

Powszechnego i dyrektorem Szkoły Położnych. Aresztowano go wraz z 19-letnim wnukiem *Adamem Mięśowiczem*. W czasie powierzchownej przeprowadzonej rewizji, podczas której nic nie zabrano, córka prof. *Sołowija*, a matka aresztowanego *Adama Mięśowicza* rozmawiała z oficerem gestapo. Ten zapytał ją, czy ma jeszcze kogoś poza synem. Gdy pani *Mięśowiczowa* powiedziała, że ma córkę, oficer zagadnął, czy może się z nią widywać, na co ona odpowiedziała twierdząco. Oficer zapewnił, że zabiera jej ojca i syna tylko dla przesłuchania i że o godz. 6 rano wrócą. Gdy minęła ta godzina, pobiegła do mieszkania swej siostry, która była żoną prof. *Sieradzkiego*. Tam dowiedziała się, że szwagier został również aresztowany.

Prof. dr med. *Włodzimierz Sieradzki*, kierownik Zakładu Medycyny Sądowej Wydziału Lekarskiego ur. w r. 1870, a więc w chwili aresztowania miał 70 lat. Wraz z nim aresztowano sublokatora *Wolischa*.



Prof. dr med. Włodzimierz Sieradzki

Doc. dr med. *Stanisław Progulski*, urodzony w 1874 r. był autorem przeszło 50 prac naukowych z zakresu pediatrii. Pracował pod kierunkiem prof. *Raczyńskiego*, a potem prof. *Groëra*. Aresztowali go gestapowcy wraz z 29-letnim synem *Andrzejem*, inżynierem elektrotechnikiem. Drugi syn przebywał na szczęście w chwili aresztowania w Warszawie.

Tejże nocy aresztowany został jeszcze doc. dr med. *Stanisław Mączewski* urodzony w 1892 r. ordynator Oddziału Ginekologiczno-Położniczego Państwowego Szpitala Powszechnego i dyrektor Państwowej Szkoły Położnych. Jako



Doc. dr med. Stanisław Progulski



Doc. dr med. Stanisław Mączewski

świetny operator stworzył własną szkołę, z której wyszło wielu doskonałych chirurgów. O aresztowaniu prof. dr med. *Henryka Hilarowicza*, urodzonego w r. 1890 znanego chirur-

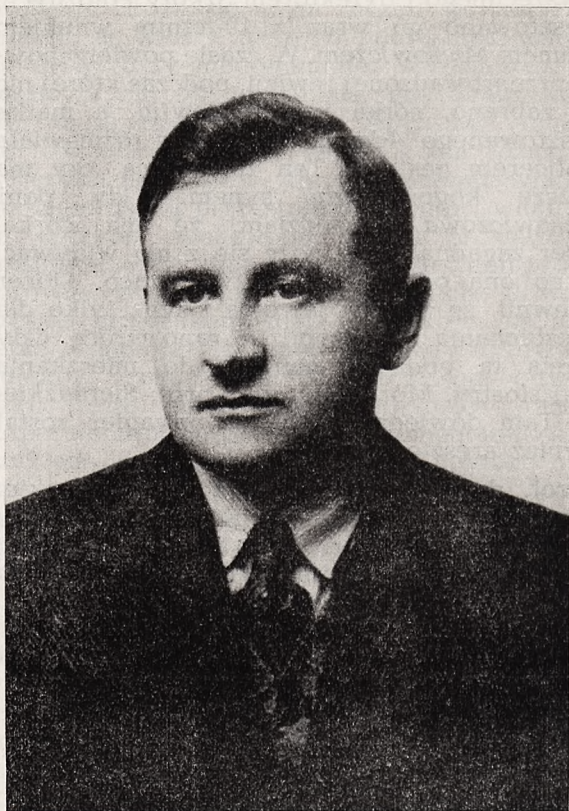
ga i eksperymentatora, podaje jego żona dr *Wanda Hilarowiczowa*: „.... Aresztowanie nastąpiło około godziny 23. Weszło siedmiu umundurowanych gestapowców, którzy rozbiegli się po pokojach, robiąc powierzchowną rewizję w czasie której zabrali biżuterię i pieniądze. Kazali ubierać się mężowi, a tymczasem dwóch z nich wzięło na ręce nasze koty i przechadzając się po pokojach głaskali je. Na pytanie męża czy jest aresztowany, odpowiedzieli, że to tylko kwestia pewnych wyjaśnień. Widząc moje silne zdenerwowanie, jeden z nich zapytał drwiąco: „Dlaczego Pani się tak denerwuje, czyż nie wierzy Pani w niewinność męża?” Zaczęłam się również ubierać ale jeden z nich radził mi raczej nie iść z mężem i pozostać w domu...”



Prof. dr med. Henryk Hilarowicz

Nie uszedł hitlerowcom doc. dr *Jerzy Grzędzielski*, urodzony 17. V. 1901 r., jeden z najlepszych okulistów polskich. Pracował pod kierunkiem prof. *Adama Bednarskiego*, po którego śmierci objął kierownictwo kliniki. Był autorem 25 prac naukowych, wśród których wiele zyskało szeroki rozgłos w kraju i za granicą.

Tej samej nocy gestapowcy wpadli do mieszkania wdowy po profesorze okulistyki *Adamie Bednarskim* i wdowy po profesorze dermatologii *Romanie Leszczyńskim*. Obaj zmarli już w czasie wojny. Od pani *Bednarskiej* żądano okazania świadectwa zgonu męża, którego ona jednak nie posiadała. Wynika z tego, że lista aresztowań pochodziła jeszcze sprzed wojny, albo też sporządzono ją w Krakowie przed napadem hitlerowskim na Związek Radziecki i autorzy listy nie wiedzieli, że tymczasem profesorowie ci zmarli. Nie



Doc. dr Jerzy Grzędzielski

przeszkodziło to gestapowcom, by pani *Bednarskiej* zabrać w czasie rewizji maszynę do pisanja.

W ten sposób w nocy z 3 na 4 lipca 1941 r. zostało aresztowanych 13 profesorów i docentów Wydziału Lekarskiego.

Drugą z kolei uczelnią, która tej nocy poniosła największe straty osobowe, była Politechnika. Poza prof. *Bartlem*, który został dzień przedtem aresztowany, do mieszkania prof. dr *Kaspra Weigla*, urodzonego 10. VI. 1880 r., kierownika Katedry Miernictwa, autora 35 prac naukowych, odznaczonego za swe zasługi Komandorią Orderu Polonia Restituta, wpadło 4 gestapowców, z których jeden mówił po ukraińsku, zabierając go wraz z 33-letnim synem mgr prawa *Józefem*. Gestapowcy rozbiegli się po pokojach, pytając czy nie ma innych jeszcze mężczyzn.

Prof. dr *Włodzimierz Stożek* urodzony 23. VII. 1883 r. Kierownik Katedry Matematyki został aresztowany przez 6 gestapowców wraz z dwoma synami: 29-letnim *Eustachym* — inżynierem elektrykiem, asystentem Politechniki i 24-letnim *Emanuellem*, absolwentem Wydziału Chemii Politechniki. Trzeciemu synowi 18-letniemu *Tadeuszowi* kazano początkowo ubierać się, potem jednak pozostawiono go w domu. Podobnie pozostawiono w domu kolegę najmłodszego syna, który mieszkał u pp. *Stożków* po zbombardowaniu jego mieszkania.

Prof. dr *Stanisław Pilat*, ur. 25. I. 1881 r. wybitny petrochemik polski, organizator i kierownik Katedry Technologii Nafty i Gazów

Ziemnych Politechniki, z której wraz z żoną Ewą stworzył światowy ośrodek badań w dziedzinie technologii nafty. Mieszkając w tym samym domu co prof. Cieszyński, został równocześnie z nim aresztowany.

Prof. dr Antoni Łomnicki, urodzony 17. I. 1881 r. kierownik Katedry Matematyki Politechniki, współtwórca znanej w świecie lwowskiej szkoły matematycznej. U niego przebywało 6 gestapowców około 20 minut. Nie znalazłszy więcej mężczyzn w mieszkaniu zabrali tylko profesora.

Prof. dr Włodzimierz Krukowski, urodzony 19. IX. 1887 r. kierownik Katedry Pomiarów Elektrycznych i kierownik laboratorium elektrotechnicznego Politechniki, autor 18 prac naukowych, świętego podręcznika „Grundzüge der Zählertechnik” i 38 wynalazków opatentowanych. Gestapowcy wtargnąwszy do mieszkania nie pozwolili nawet zapalić światła elektrycznego. Wypytywali czy państwo Krukowscy posiadają dzieci, mając widocznie polecenie zabierania synów powyżej 18 roku życia.

Prof. dr Roman Witkiewicz, urodzony w 1886 r. był kierownikiem Katedry Pomiarów Maszyn w Politechnice. Jego prace nad silnikiem bezkorbowym, zagadnienia ruchowe, różne idee energetyczno-ciepne, jak elastyczność kotła, zasobników ciepła, użycie pary odlotowej do ogrzewnictwa, technika kontroli palenia itd. wzbudzały ogólne i olbrzymie zainteresowanie wśród teoretyków i praktyków. Aresztowano go wraz z mieszkającym u niego woźnym Politechniki Józefem Wojtyną.

Dalszy aresztowany tej nocy, to profesor dr Kazimierz Vetulani, urodzony 3. I. 1889 r., kierownik Katedry Mechaniki Teoretycznej Politechniki.

Tych dziesięciu aresztowanych profesorów Politechniki, to niepowetowana wyrwa w polskiej i światowej myśli technicznej, nic więc dziwnego, że właśnie tę uczelnię poza Wydziałem Lekarskim najsilniej Niemcy uderzyli.

Inne wydziały uniwersyteckie we Lwowie nie poniosły tak licznych strat personalnych.

Wydział prawa stracił jednego ze swych wybitnych przedstawicieli. Jest nim profesor dr Roman Longchamps de Bérrier, urodzony 9. VIII. 1884 r. kierownik Katedry Prawa Cywilnego.

Żona Aniela Longchamps opowiada:

„....Wszyscy byli w mundurach niemieckich, czterech z odznakami SS oraz trupimi czaszkami na czapkach, inni w furazerkach z karabinami. Obstawili dom. Rozmawiali po niemiecku. Mieli gotową listę nazwisk z datami urodzenia męża i synów. Zachowywali się brutalnie, krzyczeli. Mężowi wytrącili papierośnicę z ręki, nie pozwolili wziąć płaszczy, krzycząc, że nie będą im potrzebne. Nie pozwolili mi pożegnać się z mężem i synami, ani odprowadzić do bramy. W czasie aresztowania był w mieszkaniu najmłodszy syn Jan oraz 16-letni siostrzeniec — niezauważeni przez Niemców (spali)...” Wraz z ojcem zostali aresztowani trzej synowie: 25-letni Bronisław i 23-letni Zygmunt — obydwaj absolwenci Po-

litechniki oraz 18-letni Kazimierz, absolwent liceum.

Wydział Humanistyczny Uniwersytetu Lwowskiego stracił profesora dr Tadeusza Boya-Żeleńskiego, urodzonego 21. XII. 1874 r. wybitnego pisarza, krytyka, publicystę, społecznika, tłumacza arcydzieł francuskich na język polski i teatrologa. Boy-Żeleński z wykształcenia lekarz, z zamiłowania i talentu literat, po ucieczce przed hitlerowcami z Warszawy, przybył do Lwowa i tu został na Uniwersytecie profesorem literatury francuskiej. Mieszkając u swego szwagra prof. Greka, został wraz z nim aresztowany. Gdy gestapowcy weszli do mieszkania zajęli się profesorem Grekiem. Po chwili wyszedł w piżamie do pokoju pełnego gestapowców Boy-Żeleński.

— O, jeszcze jeden mężczyzna! — wykrzyknęli gestapowcy. — Pójdiesz z nami! Po identyfikacji kazali Boyowi ubrać się i zabrali go wraz z profesorem Grekiem. Oczywiście słaba była nadzieja, by Boy mógł ocaleć, gdyby nie wyszedł ze swego pokoju. Z reguły gestapowcy przebiegali wszystkie pokoje w poszukiwaniu mężczyzn powyżej 18 lat.

Inna uczelnia lwowska — Akademia Medycyny Weterynaryjnej utraciła profesora dr Edwarda Hamerskiego, urodzonego 16. XI. 1897 r. kierownika Kliniki Chorób Wewnętrznych Zwierząt Małych.

O godzinie 6 rano, gdy minęła godzina policyjna, a więc można było wychodzić z domu, większość żon i córek aresztowanych profesorów rozpoczęła gorączkowe poszukiwania swych mężów i ojców. Większość z nich władając doskonale językiem niemieckim miała ułatwione porozumienie się z władzami wojskowymi i gestapowskimi.

Doc. dr med. Krukowska podaje:

„.... W następnych dniach po zabraniu męża byłam w sądzie wojskowym, w dowództwie niemieckim, w gestapo. Wszędzie mi mówiono, że o aresztowanych nic nie wiedzą. W kilka dni później gestapowcy powiedzieli, że aresztowani zostali wywiezieni ze Lwowa. 4 sierpnia udałam się znów do gestapo i tam jeden z oficerów powiedział mi, że mąż zmarł na serce 7 lipca. Inny gestapowiec zdemontował to jednak, twierdząc, że wszyscy aresztowani zostali wcześniej wywiezieni. Napisałam do znajomego inżyniera Niemca w Norymberdze, żeby się dowiedział. Odpisał, że mu odpowiedziano, że mąż żyje, „ist bei der deutschen Wehrmacht gut aufgehoben”.

Aniela, żona prof. Longchamps de Bérrier mówi: „....Kierując się doraźnymi informacjami udałam się do Bursy Abrahamowiczów i do więzienia przy ul. Jachowicza. W obu miejscach oświadczono mi, że o niczym nie wiedzą. Następnego dnia udałam się wraz z prof. Jerzym Manteufflem do budynku sądu przy ul. Batorego, skąd skierowano nas do gestapo przy ul. Pełczyńskiej. Tam oficer dyżurny oświadczył, że aresztowania widocznie dokonał oddział frontowy SS, który wyjechał, a wszystkie akta zabrał tak, że oni o niczym nie wiedzą...”

Julia, żona aresztowanego doc. *Progulskiego* relacjonuje:

„...Rano poszłam do p. *Olgi Nowickiej* i tam dowiedziałam się, że i jej męża wraz z synem lekarzem zabrano w nocy. Razem poszliśmy do gestapo, potem do dowództwa wojskowego w Ratuszu. Sama byłam na drugi dzień w Zakładzie Abrahamowiczów, ale nigdzie niczego nie mogłyśmy się dowiedzieć. Ponieważ mam krewnych mojej matki w Wiedniu, właśnie w kołach wojskowych, napisałam do wuja *Artura Bogusza*, opisując wszystko dokładnie. Po kilku dniach przyjechał z Wiednia oficer z polecenia pułkownika *Lahousena* i kazał sobie opowiedzieć wszystko najdokładniej, co zanotował i z tym pojechał do Berlina, mówiąc, że za trzy dni będzie z powrotem. Nigdy jednak więcej nie pojawił się, a od kuzynki z Wiednia później dowiedziałam się, że im po powrocie powiedział, że mąż z synem nie żyją”.

Olga, żona prof. *Nowickiego*, opowiadała mi, że gdy przybyła do siedziby dowództwa niemieckiego w Ratuszu spotkała wyższego oficera, któremu, mówiąc biegle po niemiecku opowiedziała co zaszło ubiegłej nocy. Oficer ów był wyraźnie przerażony i ponaglał p. *Nowicką*, by natychmiast udała się do gestapo, gdyż „może nie jest jeszcze za późno...”

Wanda Mięśowicz, córka aresztowanego prof. *Sołowijskiego*, matka aresztowanego *Adama Mięśowicza* podaje:

„...Potem chodziłam przez wiele tygodni do gestapo przy ul. Pełczyńskiej, gdzie zawsze otrzymywałam odpowiedź: „*Kommen Sie in 8 Tagen*”. Po kilku tygodniach udało mi się tam spotkać tego komisarza, który aresztował ojca i syna. Złapałam go dosłownie za rękę, błagając o wiadomość. Potem już zawsze pytałam o niego w gestapo. Urzędniczki w gestapo nazywały go *Herr Komissär Gurt*, co mogło znaczyć również *Kurt*. Razu pewnego powiedział mi: „Zrobiłem pani krzywdę, ale naprawię ją i dowiem się o synu. Proszę przyjść za tydzień”. Potem już go więcej nie widziałam, a córka moja bojąc się, że i mnie zabiorą, wymogła na mnie, że przestałam tam chodzić...”

Kazimiera, żona aresztowanego doc. dr *Mączewskiego* opisuje:

„...W pięć dni po aresztowaniu męża przyszło po południu znów 4 oficerów na rewizję. Gdy na pytanie: „Gdzie jest mąż?” — odpowiedziałam: został wzięty jako zakładnik (tak ogólnie mówiono), jeden z nich krzyknął oburzony: „My zakładników nie potrzebujemy”. A gdy na ich pytanie, kiedy to się stało, odpowiedziałam, że w nocy z 3 na 4 lipca, zobaczyłam na ich twarzach zmieszanie; umilkli i cicho stąpając wyszli bez słowa. Zrozumiałam już wszystko, nie czekałam już i nie szukałam...”

Posłuchajmy obecnie, jakie były dalsze losy aresztowanych profesorów i ich współtowarzyszy. Wiadomości o tym zaczęły już następnego dnia krążyć wśród mieszkańców Lwowa.

Profesor *Groër* w pierwszych dniach na moje pytanie, co się tam w Bursie Abrahamowiczów działo, krótko odpowiedział: „To było straszne, potworne.” Później opowiedział mi i dr *Tomaszowi Cieszyńskiemu* szczegółowo:

„...Zawieziono nas do Bursy Abrahamowiczów. Samochód wjechał na podwórze; brutalnie popychając wtłoczono nas do budynku i ustawiono w korytarzu twarzą do ściany. Było tam już wielu profesorów. Głowy kazali nam opuścić w dół. Jeżeli ktoś się poruszył, uderzali go kolbą albo pięścią w głowę. Raz, gdy wprowadzono nową grupę aresztowanych, spróbowałem odwrócić głowę, ale otrzymałem natychmiast uderzenie kolbą, więcej tego nie próbowałem. Była może 12.30 w nocy, a stałem tak nieruchomo mniej więcej do godziny 2. Tymczasem przywożono coraz to nowych profesorów i ustawiano ich obok. Mniej więcej co 10 minut z piwnicy budynku dobiegał krzyk i odgłosy wystrzałów, a jeden z pilnujących nas Niemców wypowiadał po każdym wystrale: *Einer weniger*, co raczej uważałem za próbę zastraszenia nas. Co kilka minut wywoływano nazwisko któregoś z profesorów i wzywano pojedynczo do pokoju na lewo. Pamiętam dobrze, że wywołano profesora *Ostrowskiego*, a po nim wezwano mnie jako dziesiątego, może dwunastego z rzędu. Znalazłem się w pokoju, gdzie było 2 oficerów: jeden młodszy, ten który mnie aresztował i drugi wyższy stopniem, olbrzymiego wzrostu i postawy. Ten drugi od razu wrzasnął na mnie: Ty psie, jesteś Niemcem, a zdradziłeś ojczyznę! Służyłeś bolszewikom! Dlaczego, gdy to było możliwe, nie wyjechałeś ze wszystkimi Niemcami na Zachód? Zacząłem wyjaśniać, naprzód zwykłym tonem, potem w miarę jak tamten coraz bardziej krzyczał — podniesionym głosem, że jestem wprawdzie niemieckiego pochodzenia, ale jestem Polakiem. Po wtóre nawet gdybym chciał wówczas przenieść się na Zachód, władze radzieckie nigdy by mi na to nie pozwoliły ze względu na wysokie stanowisko społeczne, które zajmowałem i na którym byłem potrzebny. Pytano mnie dalej co znaczą bilety wizytowe konsułów angielskich w moim posiadaniu. Odpowiedziałem, że jestem żonaty z Angielką i że konsulowie angielscy składali nam zawsze wizyty. Pod koniec zaczął mówić spokojniej i rzekł: „Muszę z szefem porozmawiać, zobaczymy, co się da dla ciebie jeszcze zrobić”, po czym wybiegł z pokoju.

Oficer, który mnie aresztował, powiedział szybko: „To zależy tylko od niego, on nie ma tu nad sobą szefa. Powiedz mu, że zrobiłeś ważne odkrycie w medycynie, które przyda się dla Wehrmachtu. Moze to ci pomoże”. W tej chwili tamten powrócił, ale nie miałem czasu odezwać się, bo natychmiast mnie wyrzucił za drzwi. Skierowano mnie na przeciwną, tj. na lewą stronę korytarza, pozwolono usiąść na krześle i zapalić papierosa. Dano mi nawet szklanek wody. Obok mnie stali w postawie swobodnej profesorowie: *Sołowij* i *Rencki*. Po chwili któryś z gestapowców zapytał ich,

ile lat mają, na co oni odpowiedzieli zdaje się, że 73 i 76. Byłem pewny że ich ze względu na wiek zaraz puszczą wolno. Zorientowałem się, że sprawa moja stoi może już lepiej. Po chwili ów szef kazał mi wyjść na podwórze i spacerować dodając: „Zachowuj się tak, jakbyś nie był aresztowany”. Zacząłem krążyć po podwórzu, paląc papierosa za papierosem. Ręce wsadziłem do kieszeni. Znowu minęła dłuższa chwila. Wtem od zewnątrz, od ulicy, weszło na podwórze dwóch gestapowców. Należy zaznaczyć, że podwórze z budynkiem było strzeżone przez warty. Nowo przybyli spostrzegli mnie, rzucili się ku mnie, uderzyli w twarz, wrzeszcząc z wściekłością, poco kręcąc się po podwórzu i do tego z rękami w kieszeniach. Wyjaśniłem, że mam polecenie zachowywania się jak niearesztowany. Burknęli coś, z miejsca przestali się mną interesować i weszli do budynku.

Była może 4 rano, kiedy z budynku wyprowadzono grupę około 15—20 profesorów. Na czele pochodu czterech niosło krwawiącego trupa młodego *Ruffa*. Nieśli go profesorowie: *Nowicki*, *Pilat*, *Ostrowski* i zdaje się *Stożek*. Zaraz za nimi podążał *Witkiewicz*. Gdy ten pochód wyszedł przez bramę na ul. *Abrahamowiczów* i zniknął mi z oczu, gestapowcy zmusili panią *Ostrowską* a może *Grekową* i *Rufową*, by myły krew ze schodów.

Minęło około 20 minut, kiedy usłyszałem strzały dochodzące gdzieś od wzgórza *Wóleckiego*. Po krótkim czasie przez te same tylne drzwi budynku wyszła na podwórze nowa grupa złożona z 20—30 osób i stanęła w 2—3 rzędach twarzą do ściany. Wśród tych rozpoznałem jedynie doc. *Mączewskiego*. Zaraz potem wyprowadzono z budynku służbę *Dobrzanieckiego*, *Ostrowskich* (kucharkę i młodszą), *Greków* (kucharkę i młodszą) oraz nauczycielkę angielskiego mieszkającą u *Ostrowskich*. Znany mi z przesłuchania szef gestapowców zapytał, czy wszyscy oni są służbą, czemu nauczycielka zaprzeczyła, mówiąc kim jest. Wówczas poirytowany kazał jej natychmiast przejść do grupy stojącej twarzą do ściany, a następnie powiedział głośno swemu koledze, że ci (wskazał na grupę stojącą pod ścianą) idą do więzienia, a ci (wskazał na służbę i na mnie) są wolni. Jak zauważyłem służba rozmawiała z gestapowcami i agentem w cywilu¹. Gestapowcy tłumaczyli służbie: „że mogą pójść do domu, zabrać swe rzeczy i odejść dokąd chcą. Niech sobie poszukają pracy, teraz im będzie dobrze, że już nie będzie więcej ani Polski, ani Sowietów, że będą już zawsze tylko Niemcy”.

Gdy miałem odchodzić do domu podszedłem do gestapowca, zapytując dokąd mam się udać po odbiór aparatu fotograficznego. Ten wskazał mi pokój, w którym siedział jakiś gestapowiec i porządkował zebrane rzeczy. Bojąc się, że mogą sobie przypomnieć o 20-dolarówce oddałem ją temu gestapowcowi, a on mi

zwrócił moje rzeczy. Gdy wyszedłem z pokoju wybiegł za mną mówiąc: „Słuchaj, podaj nam swój dokładny adres, bo jak przyjdzie inny oddział, gotowi cię znów zabrać, a my tu zapiszemy, by cię więcej nie czepiali”. Zapisał adres w notesie, po czym opuściłem budynek, wyszedłem na ulicę i udałem się do domu. Tego samego ranka, ale w późniejszej porze, idąc z domu do kliniki spotkałem koło mieszkania profesora *Ostrowskiego* jednego z podoficerów gestapo, który mnie aresztował. Podoficer ten rzekł do mnie z uśmiechem: „Panu się bardzo poszczęściło.” W kilka dni później przyszło do mojego mieszkania dwóch podoficerów, którzy mnie uprzednio aresztowali z zapytaniem, czy mogę im sprzedać aparat fotograficzny i dywany. W czasie tych odwiedzin poznałem ich nazwiska: jeden nazywał się *Hacke*, drugi *Köller*, a może *Köhler*. W ciągu 2—3 miesięcy mimo wyrzucenia mnie z mego mieszkania przez Niemców, niejednokrotnie przychodzili do mnie, wyłudzać różne cenniejsze przedmioty, jak np. aparaty fotograficzne, których miałem całą kolekcję. Razu pewnego odważyłem się zapytać *Köllera*, co się stało z pozostałymi profesorami. Machnął tylko ręką i powiedział: „Ich wszystkich rozstrzelali wówczas w nocy...”

Pośrednio przez panią *Bednarską* dowiedziałem się od zwolnionej służby, że gestapowcy rozkazali prof. *Ostrowskiemu*, by wypłacił służbie zaległą należność za pracę. Gdy kazono myć schody z krwi pani *Jadwidze Ostrowskiej*, chciała ją wyreć jej służąca, lecz gestapowcy na to nie pozwolili (wiadomość od *Krystyny Komornickiej*, córki pani *Ostrowskiej*).

Natychmiast po opuszczeniu Lwowa przez Niemców, prosiłem profesora *Groëra*, by udał się z *Tomaszem Cieszyńskim* i ze mną do Zakładu im. *Abrahamowiczów* i podczas wizji lokalnej na miejscu jeszcze raz wszystko opowiedział. Wyrysowałem szkic budynku i podwórza oraz zapisywałem w notesie całą drogę, jaką prof. *Groër* przebył przed 3 laty. Mimo że prof. *Groër* zastanawiał się czasami i mylił, jednak po chwili całkiem pewnie stwierdził, w którym miejscu co się działo, gdzie stał wraz z profesorami, gdzie go przesłuchiowano, na który korytarz go wyprowadzono itd.

Mieliśmy do dyspozycji jeszcze drugiego świadka, który aresztowany tej nocy z profesorami, został nad ranem wypuszczony. Jest to *Józef Wojtyna* woźny Politechniki zabrany z mieszkania prof. *Witkiewicza*. Poprosiliśmy go również do Zakładu im. *Abrahamowiczów* i tam prof. *Politechniki Stanisławowi Ochęduszcze* i mnie opowiedział dzieje tej tragicznej nocy. *Wojtyna* znacznie lepiej przypominał sobie szczegóły budynku i podwórza, ale zasadniczo potwierdzał relację prof. *Groëra*. Niemniej jednak warto zaznaczyć się z jego opowiadaniem.

„...Wszystkich sześciu wprowadzono do budynku i ustawiono we wnęce, w której już stało twarzą do ściany z głową spuszczoną

¹ Nie był to agent, lecz woźny *Wojtyna*, aresztowany wraz z prof. *Witkiewiczem*. Patrz niżej zeznania *Wojtyny*.

kilkanaście osób. Z tyłu za nami na schodach prowadzących na ulicę Abrahamowiczów siedziało również kilkanaście osób. Gdy wprowadzano nową partię więźniów, prof. Stożek obejrzał się, za co pilnujący gestapowiec uderzył go teczka po głowie, mówiąc po polsku, by nie był zbyt ciekawy. Jeden z więźniów obok stojących miał na sobie narzucony rosyjski płaszcz wojskowy. Zapytany przez gestapowca, czy jest Sowieciem, zaprzeczył mówiąc że jest Ukraińcem. Popchnięto go brutalnie z 3 innymi więźniami za drzwi wahadłowe. Po chwili usłyszałem kilka pojedynczych strzałów. W ciągu całego stania słyszałem jeszcze kilka dalszych strzałów dochodzących jakby z piętra. Jako przedostatniego zapytano mnie, co za jeden jestem. Gdy odpowiedziałem, że jestem kowalem, gestapowiec dotknął moich dłoni, po czym rzekł, że będę zwolniony, ale muszę poczekać do rana. Później kazał mi pozamiatą już pustą wnekę, zabrać z niej płaszcz rosyjski i kilka kapeluszy i wynieść na wskazane miejsce w podwórzu, gdzie był już stos ubrań, kapeluszy i płaszczy. Następnie kazano mi pójść za drzwi wahadłowe, gdzie ujrzałem stojące kobiety, jakby służące. Po chwili zauważyłem, jak z przeciwległego korytarza gestapowcy ciągną trupy czterech mężczyzn w cywilnych ubraniach, które wywleczono

w kierunku podwórza. Dwom kobietom kazano obmyć z krwi korytarz i schody prowadzące na podwórze. Mnie zaś dano łopatę i kazano zacierać ślady z krwi na podwórzu biegnące od schodków przez podwórze do wyjścia na ulicę, a potem ulicą ku Wólce, gdzie zniknęły w trawie.

Na podwórzu zauważyłem w kilku rzędach stojących twarzą do ściany grupę kilkunastu Żydów. Były tam również kobiety. W przeciwnym końcu podwórza spacerował jakiś inteligent². W czasie zacierania śladów krwi na podwórzu, a było już całkiem jasno, widziałem 4—5 gestapowców powracających z łopatami z ulicy. Łopaty rzucili na podwórzu i weszli do budynku. Około 6 lub 7 rano, gdy pozwolono mi odejść, zapytałem przechodzącego gestapowca, który mnie aresztował, czy mogę otrzymać z powrotem portfel. Gestapowiec przytaknął i razem weszliśmy do pokoju, w którym kilku gestapowców dzieliło się stosami pieniędzy leżących na stole. Jeden z tych gestapowców ujrzawszy mnie wrzasnął tak, że przerażony wycofałem się na podwórze i opuściłem je. Mimo że miałem krótszą drogę przez Wólkę, bojąc się, aby mnie nie posądzono, że coś podpatruję, zszedłem ulicą Ka-

² Był to prof. Groër.



Ostatnia droga profesorów i ich rodzin. Na lewo Zakład Wychowawczy im. Abrahamowiczów mieszczący się na Wzgórzu Wóleckim, z którego wyprowadzili hitlerowcy aresztowanych, a następnie widoczną na zdjęciu ulicą Abrahamowiczów poprowadzili ich w głąb ku zboczom Wzgórza i tam rozstrzelali.

decką w dół i udałem się do domu. Mimo że otrzymałem ostrzeżenie, że nie wolno mi mówić co się działo w bursie, wszystko zaraz opowiedziałem pani profesorowej Witkiewiczowej..."

Większość aresztowanych profesorów Politechniki mieszkała w kamienicach i willach przy ul. Nabelaka, która biegła wzdłuż południowego zbocza wąwozu oddzielającego tę ulicę od Wzgórza Wóleckiego, na którego szczycie znajdowała się bursa Abrahamowiczów. Turkot zajeżdżających aut, walenie gestapowców do bramy, tupot podkutych butów na schodach, wszystko to zbudziło nie tylko rodziny aresztowanych, lecz również ich sąsiadów. Nic dziwnego, że przerażeni miesz-

oknie długie godziny, czekając dnia, aby wyjść i starać się o wyjaśnienie tej napaści. Gdy nastał świt zobaczyłam z okna mojego mieszkania na II piętrze, jak na Wzgórzach Wóleckich zaczął się jakiś ruch. Ukazały się sylwetki ludzi, potem grupa osób oddzieliła się od reszty pozostającej pod Bursą Abrahamowiczów, zeszła po pochyłości terenu niżej i skryła się za domem dr Nowaka-Przygodzkiego. Usłyszałam pierwszą salwę — zrozumiałam, wybiegłam na klatkę schodową, której okna wysunięte nieco na prawo dawały mi możliwość szerszego widzenia i wtedy zobaczyłam, że ludzie, którzy schodzą z góry, zatrzymują się mniej więcej w połowie zbocza w niewielkiej kotlinie. Rozpozna-



Miejsce rozstrzelania profesorów lwowskich przez hitlerowców na zboczu Wzgórza Wóleckiego. Na miejscu tym stoi dziennikarz radziecki Bielajew, który w książce „Pod cudzymi sztandarami” podał wiele szczegółów o tragedii lwowskich profesorów.

kańcy, a tym bardziej rodziny aresztowanych, czuwały do rana, patrząc co chwilę w okna czy nie zacznie świtać. Z okien wielu domów przy ul. Nabelaka można świetnie widzieć Wzgórze Wóleckie wraz ze zboczem leżącym naprzeciw okien.

Oto co mówi na ten temat żona aresztowanego profesora Łomnickiego:

„...Po wyprowadzeniu męża zostałam sama, przerażona i oszołomiona tym niesłychanie gwałtownym napadem na nasze mieszkanie. O śnie nie byłomowmy, stałam struchlała przy-

łam żołnierzy niemieckich i mężczyzn w cywilnych ubraniach. Były również jakieś kobiety, a jedna postać zrobiła na mnie wrażenie księdza w sutannie. Widziałam postać w popielatym ubraniu, zupełnie o odcieniu męzowskiego, ale nie chciałam nawet dopuścić tej myśli do siebie. Kilkakrotnie sprowadzano po pięć osób i widziałem, jak po salwie ludzie ci padali. Stałam przykuta do miejsca nieprzytomnie patrząc na to katowskie widowisko, a przy mnie stały dwie panie z sąsiedztwa: Janina Więckowska, później żona sędziego

Zeneka w Krakowie i *Solecka*, żona profesora gimnazjum przy ul. Kazimierzowskiej. Z powodu odległości nikogo z rozstrzelanych nie rozpoznałam..."

Podobne obserwacje poczyniły całe rodziny z innych domów przy ul. Nabelaka, a więc dr *Zofia Nowak-Przygodzka* wraz z swymi rodzicami, inż. *Tadeusz Gumowski* z żoną, *Maria Załęska* z synem i inż. *Karol Cieszkowski* z rodziną.

Ten ostatni relacjonuje: „Nocą z 3 na 4 lipca około godziny 22 usłyszałem gwałtowne dobijanie się do sąsiedniej willi, zamieszkałej przez prof. *Witkiewicza*. Gdy nikt dobijającym się nie otwierał strzelili. Przez dalszą część nocy nie spałem, ponieważ byłem silnie podenerwowany. O godzinie 4. nad ranem, a godzinę tę dokładnie pamiętam, ponieważ właśnie liczyłem sobie tętno za pomocą fosfo-

w połowie zbocza ujrzałem nad wykopaną jamą cztery cywilne osoby zwrócone twarzą do zbocza a plecami do mnie. Za plecami tych osób stali czterej żołnierze niemieccy z karabinami w rękę, a obok nich oficer. Zapewne na słowną komendę tego oficera żołnierze równocześnie strzelili i wszystkie cztery osoby wpadły do jamy. Wówczas sprowadzono z góry ścieżką nowe cztery osoby i cała scena powtórzyła się. Trwało to tak długo, aż wszystkie osoby cywilne zostały sprowadzone nad jamę i zastrzelone. Ostatnią osobą rozstrzelaną była kobieta w długiej czarnej sukni. Schodziła ona sama, słaniając się. Gdy wprowadzono ją nad jamę pełną trupów — zachwiała się, ale oficer podtrzymał ją, żołnierz strzelił i wpadła do jamy. Niektóre z rozstrzelanych osób rozpoznałem bardzo dokładnie. Rozpoznałem nie tylko dlatego, że patrzyłem



Widok z ul. Nabelaka na Wzgórze Wóleckie z miejscem kaźni (oznaczonym strzałką) w kotlinie na stoku.

ryzującego zegarka, usłyszałem strzały od strony Wzgórze Wóleckiego. Szarzało wówczas i zaczęło być widno. Na krawędzi Wzgórze, dobrze widocznego z okna mego narożnego pokoju, ujrzałem kilkadziesiąt cywilnych osób stojących w jednym rzędzie, a nieco dalej od nich na prawo i lewo stali bardzo szybko, powiedziałbym elegancko ubrani oficerowie niemieccy z rewolwerami w rękę. Nie liczyłem tych cywilnych osób, ale oceniłem je na około 40—50 osób. Mniej więcej

przez lornetkę, ale niektóre osoby doskonale znałem i rozpoznawałem je nawet gołym okiem po ubraniach, charakterystycznych ruchach itp.

Z całą pewnością rozpoznałem prof. *Stożka*, który stanął nad jamą w swej charakterystycznej pozie z rękami założonymi w tył. Rozpoznałem jego obu synów, a również profesorów: *Łomnickiego*, *Pilata* i *Witkiewicza*. Nie widziałem lub nie rozpoznałem profesorów *Weigla* i *Krukowskiego*. Zaznaczam jednak,

że egzekucji pierwszych osób nie widziałem, bo dopiero po pierwszych strzałach podszedłem do okna. Również nie zauważyłem więcej kobiet poza tą jedną na samym końcu zastrzeloną. Doskonale pamiętam, że jedna z czwórek skazańców schodziła nad jamę, niosąc zemdlonego³. Inna czwórka schodziła bardzo wolno, bo jeden ze skazańców mocno utykał, przypuszczam, że był to prof. *Bartel*, ale nie rozpoznałem go⁴.

Pamiętam, że gdy jedna z czwórek stanęła nad jamą już tyłem do żołnierzy, wówczas jeden ze skazańców obrócił się ku żołnierzom i trzymając kapelusz w ręku (wszyscy skazańcy kapelusze zdejmowali, zapewne na rozkaz), zaczął coś mówić, żywo gestykulując. Na to oficer stojący z boku zrobił gest, by się odwrócił, co też ten uczynił; wówczas żołnierze strzelili. Z innych szczegółów zapamiętałem,

Jama była wykopana w kształcie prostokąta przedzielonego w poprzek nie przekopanym pomostem, wobec czego skazaniec na nim stojący, padając po strzale czy to wprzód czy też w tył, zawsze wpadał do jamy. Raz tylko zdarzyło się, że jeden z synów prof. *Stożka*, stojący na kraju czwórki padł po strzale poza jamę i wówczas żołnierze ściągnęli go do jamy. Po zakończeniu egzekucji, koło jamy pozostał pluton egzekucyjny z oficerem. Żołnierze zdjęli płaszcze, zakasali rękawy i zaczęli łopatami zasypywać jamę. Robili to początkowo bardzo ostrożnie, ponieważż ziemia dookoła była silnie zbryzgana krwią, którą widziałem w postaci dużych, czerwonych plam. Żołnierze od czasu do czasu przerywali pracę, przysłuchiwali się oficerowi, który coś im opowiadał, jakby wyjaśniał..."

Inżynier *Tadeusz Gumowski* opisuje:



Ulica Nabelaka widziana z miejsca kaźni profesorów lwowskich na Wzgórzach Wóleckich.

że jeden ze skazańców na ułamek sekundy przed wystrzałem wpadł do jamy (przypuszczam, że zrobił to celowo by się ratować) i zaraz po wystrzale wyskoczył z jamy, ale żołnierz strzelił, ten się zachwiał i wpadł do jamy.

³ Niesiono zastrzelonego podczas przesłuchania *Adama Ruffa*, który dostał napadu epileptycznego.

⁴ Był to okulista doc. *Grzędzielski*, który również mocno utykał.

„...W nocy z 3—4 lipca 1941 r. obudziło nas gwałtowne dobijanie się do bramy. Bramę otworzyłem ja w obecności ojca i siostry. Do sieni wpadło około 5 osób, w tym 3 umundurowane i 2 cywilne. Zajechali autami. Zażądali książki meldunkowej, którą siostra wydała. Książkę czytali półgłosem cywilni, którzy byli przewodnikami umundurowanych. Cywilni mówili do nas po ukraińsku, z gestapowcami dość biegle po niemiecku. Wyglądali na ludzi

należących do sfery inteligencji. ... Po zapytaniu, czy nikt tu nie mieszka niezameldowany wyszli. Będąc pod wrażeniem tej wizyty nie kładliśmy się spać. Po pewnym czasie zobaczyliśmy, że w willi szwagra mego prof. Witkiewicza zaświeciły się światła, a w chwilę potem usłyszeliśmy dwa strzały. Rewizja trwała około 15 minut. Jak się wszystko uspokoiło podszedłem pod okno w willi prof. Witkiewicza i przez parkan dzielący obie parcele dowiedziałem się, że profesora wraz z woźnym, który u nich mieszkał, aresztowano. Zranili psa. Kilka chwil posiedziałem w ogrodzie. Zaczęło świtać i wtedy zauważyłem, że na stokach Wzgórz Wóleckich żołnierze kopią dół. Zaniepokoiło mnie to ogromnie. Powiadomiłem rodzinę i od tego czasu nie opuszczaliśmy okna. Dół był wykopany w ciągu 30 minut. Skazanych przyprowadzano czwórkami od strony zabudowań Abrahamowiczów (bo tak, o ile sobie przypominam, te zabudowania się nazywały) i ustawiono ich nad samym brzegiem dołu twarzą do nas. Pluton egzekucyjny stał po drugiej stronie grobu. Po salwie prawie wszyscy wpadali bezpośrednio do dołu. Prof. Witkiewicz przeżegnał się i w tym momencie runął. Między skazanymi były zdaje się 3 kobiety. Po egzekucji szybko zasypano grób i ubito ziemię. Grób zasypywali żołnierze. Egzekucję obserwowaliśmy jedną lornetką, którą wzajemnie podawaliśmy sobie. Moja rodzina rozpoznała wśród rozstrzeliwanych szereg osób, między innymi: prof. Ostrowskiego z żoną, prof. Longchamps zdaje się z żoną i innych. Jedna z pań miała błękitny szal. Jedną kobietę, która nie mogła iść zaciągnęło dwóch żołnierzy. Żaden ze skazanych nie otrzymał po salwie strzału z rewolweru. Jest zatem prawdopodobne, że niektórzy zostali zasypani żywcem..."

Niektórzy z obserwatorów egzekucji udali się w następnych dniach na grób, którego wygląd wszystkich dziwił, był on płaski, wskutek czego mało był widoczny. Zapewne żołnierze nadmiar wykopanej ziemi rozrzućili. Inż. Gumowski zauważył na grobie złożoną wiązanek kwiatów.

Aleksander Drożdżyński i Jan Zaborowski w swej książce „Oberländer przez Ostforschung, wywiad i NSDAP do rządu NRF” (Wydawnictwo Zachodnie, Poznań—Warszawa 1960) sugerują, że tragicznej nocy z 3 na 4 lipca 1941 r. odbyły się dwie egzekucje profesorów w dwóch różnych miejscach zbocza Wzgórz Wóleckiego. Autorzy pokazali p. Kucharowej, naoczemu świadkowi egzekucji otrzymaną ode mnie fotografię miejsca stracenia, którą ona rozpoznała bez wątplenia jako miejsce rozstrzelania profesorów. Nie wiem, na jakiej podstawie autofzy wysnuwają mniemanie, że to jest miejsce drugiej egzekucji. Zdjęcie to (jak i inne opublikowane przez powyższych autorów) zrobione było na moją prośbę i według moich dokładnych wskazówek przez redaktora Andrzeja Ziemińskiego i dotyczyło właśnie miejsca tej egzekucji, którą obserwowano z ul.

Nabielaka i jak się okazuje, widzianą również z ulicy Małachowskiego przez małżeństwo Kucharów. Prostuję ten fakt jedynie dla ścisłości, bo nie posiada on zasadniczego znaczenia dla całej sprawy.

Nie było dane ciałom profesorów i ich współtowarzyszy pozostać w miejscu tak zwanego wiecznego spoczynku. 8 października 1943 r. wieczorem dwudziestu Żydów ze specjalnej jednostki „Sonderkommando 1005” uformowanej dla odgrzebywania i palenia pomordowanych przez hitlerowców ludzi, udało się autami pod silną eskortą gestapowców na Wzgórz Wóleckie.

Oto, co opowiedział i opisał dr Tomaszowi Cieszyńskiemu jeden z tych 20 Żydów, Leon Weliczker:

„...Zaczynamy robotę, dwóch robi „Stichprobe”, ziemia jest usypana, a więc tu trupy leżą. Zaczynamy kopać. Gdy do 2 metrów głębokości zwłok nie znaleźliśmy, każą nam przerwać robotę. Jeden z Scharführerów odjechał i wraca z powrotem z oficerem z Sonderdienstu. Ten śmieje się z nas, prowadzi 30 m dalej i tu każe kopać. Stąd widzimy niedaleko parów, a w nim drogę. Kopiemy i istotnie wkrótce ukazują się na głębokości 50 cm trupy w ubraniach. Wydobywamy hakami trupy i nosimy na auta. Ziemia była sucha, więc trupy nie są rozłożone, ubrania mało zbutwiałe. Z ubrań widać, że to ludzie z lepszej sfery. Przeważnie w czarnych ubraniach; u jednego wystaje złoty kieszonkowy zegarek z ładnym łańcuszkiem, u innych wypadły złote pióra. Jedno złote pióro miało szeroką złotą obrączkę z nazwiskiem właściciela. Trupów było około trzydziści kilka, w tym kilka kobiet. Grób splantowaliśmy i usypaliśmy. Około 11.30 w nocy znajdowaliśmy się z powrotem w naszym obozie w lesie Krzywczym. Następnego dnia (był to Jomkipur — Sądny Dzień, uroczyste święto żydowskie) inna grupa Żydów — więźniów wyładowała trupy z auta i zanosila je na stos, dorzucając do olbrzymiej ilości wygrzebanych zwłok z innych grobów. Żydzi ze specjalnej grupy „układaczy” wyciągnęli z kieszeni profesorów dokumenty, z których przekonali się, że chodziło tu o profesora Bartla⁵, Ostrowskiego, Stożka i innych. Według obliczeń układaczy było ich 38. Podpalony stos, zawierający około 2000 ciał pochłonął też tych profesorów...”

W 1944 r. wraz z dr Tomaszem Cieszyńskim i kilku Żydami byłymi więźniami pracującymi w „Sonderkommando 1005” udałem się do lasu Krzywczyskiego, gdzie wpierw odbywały się masowe morderstwa jeńców radzieckich, Żydów i Polaków, a potem po utworzeniu „Sonderkommando 1005” zwożono tu wydobyte trupy z okolicy Lwowa i innych miast południowo-wschodnich terenów Generalnego Gubernatorstwa celem spalania. Oprawdzaający nas Żydzi nazywali się: Wind, Welisch i Raschke (Reschke?)

⁵ Jestem przekonany, że zwłok prof. Bartla w tym grobie nie było. Został on zamordowany o 23 dni później niż pozostali profesorowie.

Opowiadali nam oni, że podczas palenia zwłok profesorów znaleziono również złote pióro z napisem „prof. dr Witold Nowicki”. Pióro to prokurator radziecki prowadzący dochodzenie pokazywał pracownikom naszego Zakładu i ci rozpoznali je jako to, które ofiarowali swemu szefowi z okazji imienin. Tomasz Cieszyński był w lesie Krzywczyckim również z Weliczkerem. Szczegółów naszej obserwacji i opowiadań Żydów nie podaję, gdyż dostatecznie zostało to podane w książce Leona Weliczkera pt. „Brygada Śmierci” (Sonderkommando 1005), wydanej w Łodzi w 1946 r.

Nie koniec to ofiar wśród profesorów wyższych uczelni lwowskich. W tydzień po masakrze polskich uczonych, tj. 11 lipca 1941 r. około godziny 17 zostali aresztowani w swych mieszkaniach położonych przy różnych ulicach dwaj profesorowie Akademii Handlu Zagranicznego: prof. matematyki dr Stanisław Ruziewicz, urodzony 28. 8. 1889 r. i prof. ekonomii dr Henryk Korowicz. Pierwszego aresztował mężczyzna w cywilnym ubraniu, który mówił po polsku i okazał aresztowanemu legitymację, drugiego — dwaj ludzie w mundurach niemieckich. Wszelkie poszukiwania aresztowanych po komisariatach milicji ukraińskiej, jak również w gestapo nie dały żadnego rezultatu, ślad po nich zaginął.

Pozostaje jeszcze sprawa profesora Bartla, który został aresztowany 2 lipca, a więc o dzień wcześniej od pozostałych profesorów. Osadzono go w małym pokoju na parterze w gmachu gestapo przy ul. Pełczyńskiej. Pozwolono mu donosić jedzenie z domu, na które był wyłącznie zdany, pisywać listy do rodziny i je otrzymywać. Dzięki uprzejmości pani Bartłowej jestem w posiadaniu fotokopii niektórych listów.

Bibbe (wurst räum fürchten Hand) ein ein Glas.
samm: ein Hand, ein Paar Socken
(keine Mütchen!), Best nicht prim
sondern geirregenes (peristoles), ocudisell
alwas Zwieback oder Kaker. (Magen
sich gereizt.) Tee nicht so stark!
Bibbe auch ein O Wierfel Zucker.
Ich grüße Sie herzlichst!

15. 7. 1941.

D. H. Bartel.

W jednym z nich prof. Bartel pisał:

„...Do dnia 16. 7. nie przesłuchiowano mnie. Z rozmów prywatnych z oficerami wnoszę, że niebezpieczeństwo może wyphywać z mego stanowiska premiera. W Moskwie umawiałem się ze Stalinem, tu miałem jakieś wielkie stanowisko (!) „Echa tego dochodziły przecież i do nas tu — mowa Churchilla i Sikorskiego” tak mi wprost mówili. „Każą organizować współ-

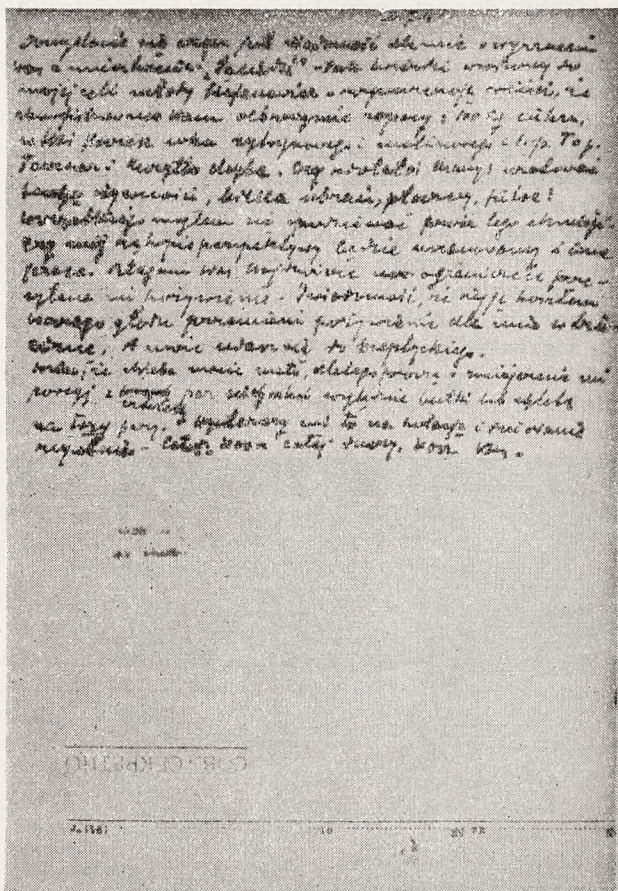
pracę z bolszewikami, a któż do tego jest najbardziej przygotowany”. Wiem, żeś Maryś chciała wczoraj dostać się do szefa SS, ale bezskutecznie. W pokoju jest jeszcze 6 różnej konduity. Dla mnie strażę są bardzo grzeczne, oficerowie też. Zdany jestem tylko na to, co mi przysłecie. Kuracja odchudzająca. Nie śmiem prosić o mięso, bo pewnie sami nie macie. Historia ze swetrem, obce termosy, obca torba, wszystko to jest niezrozumiałe i niepokoi mnie w najwyższym stopniu. Wszystko zniósłbym, gdybym tylko mógł wiedzieć, że z Wami nie dzieje się nic złego. Od przeszło 2 tygodni nieogolony, wyglądam jak stary dziad... K.”

19 lipca pisze prof. Bartel: „Wiem o Krukowskim, Pilacie, Witkiewiczu, Stożku, Łomnickim, Szymkiewicz, Weiglu, Longchamps, Cieszyńskim, Korowiczu. Czy są i inni? Jakies łajdackie donosy, przy tym podłe i nielogiczne. Czy dostęp do domu macie zamknięty? Czy to prawda, że to niby tylko czasowo? Czy to prawda, że wyrzucili i innych z domów na ul. Kadeckiej? Zawijajcie mi coś w nowszą ukraińską gazetę, która wychodzi. Będą tam komunikaty wojenne, które nas tu interesują. Gdzie siedzą wymienieni wyżej? O Cieszyńskim wiem, że tu, chociaż go nie widziałem. Mnie, ale ciekawe, również innych w mojej tzw. Befehlsszelle Nr 22 nie przesłuchują. Piszę memoriały, prośby zapytania. Bezskutecznie. Na wszystko zaklinam Was, nie martwcie się! Tyle ludzi cierpiało tak strasznie, dlaczego ja miałbym być uwolniony od odrobiny niewy-

19. 7. 41.
Wiem o Krukowskim, Pilacie, Witkiewiczu, Stożku, Łomnickim, Szymkiewicz, Weiglu, Longchamps, Cieszyńskim, Korowiczu. Czy są i inni? Jakies łajdackie donosy, przy tym podłe i nielogiczne. Czy dostęp do domu macie zamknięty? Czy to prawda, że to niby tylko czasowo? Czy to prawda, że wyrzucili i innych z domów na ul. Kadeckiej? Zawijajcie mi coś w nowszą ukraińską gazetę, która wychodzi. Będą tam komunikaty wojenne, które nas tu interesują. Gdzie siedzą wymienieni wyżej? O Cieszyńskim wiem, że tu, chociaż go nie widziałem. Mnie, ale ciekawe, również innych w mojej tzw. Befehlsszelle Nr 22 nie przesłuchują. Piszę memoriały, prośby zapytania. Bezskutecznie. Na wszystko zaklinam Was, nie martwcie się! Tyle ludzi cierpiało tak strasznie, dlaczego ja miałbym być uwolniony od odrobiny niewy-

gód. Trzeba, aby tak było, jak jest. Przeciwnie byłoby „wstydno”. Świat drży w posadach, posiedzenie w ciupie to drobiazg. Przecież pomyślcie, ilu ludzi zginęło niewinnie. Ot biedny Chmura np. Co robią moi asystenci? W górę serca, idziemy ku nowemu światu. Wasz K. Wszyscy tu są uprzejmi i *entgegen* kommem... K.”

List z 20. 7. 1941 r.: „Domyślcie się, czym jest wiadomość dla mnie o wyrzuceniu Was z mieszkania. Wszystkiego mogłem spodziewać się, prócz tej eksmisji. Do mojej celi został wsadzony młody Stefanowicz. Czy mój rękopis perspektywy będzie uszanowany i inne prace? Błagam Was najdroższe, ograniczcie przesyłane mi pożywienie... Całuję Was z całej duszy Wasz K.”



Pani Bartłowa mówi:

„...Zaraz na drugi dzień po aresztowaniu byłam u szefa gestapo, ale zbywano mnie niczym, tyle, że pozwolono przynosić codziennie obiad, zmianę bielizny, nawet książki. Zanosząc obiady, dostawałam co dzień krótki list i ja też pisywałam, było to dozwolone...”

Jak wspominał prof. Bartel w liście z 20. 7. 1941 r. w tej samej celi siedział wraz z nim Stefanowicz. Bartłowie odkupili od jego matki willę przy ul. Herburtów 5. Rodzinę Stefanowiczów znał prof. Bartel dobrze, a ja również znałam ją od wielu lat przed wojną.

Inż. Antoni Stefanowicz opisuje:

„... Aresztowano mnie gdzieś pod koniec

czerwca 1941 r. Po nocy przesłuchania — 7 godzin bitych w dosłownym znaczeniu — zniesiono mnie do pokoju na parterze, a po kilku dniach do drugiego pokoju, gdzie zetknąłem się z prof. Bartlem. Przebywałem razem z nim cały czas tu i potem po przeniesieniu nas do więzienia przy ul. Łąckiego zamknięto nas również w tej samej celi. Jeśli chodzi o odnoszenie się Niemców do prof. Bartla — to początkowo było ono bardzo dobre. Zezwolono mu na korzystanie z posiłków przynoszonych z domu, zezwolono palić papierosy i zwracano się bardzo grzecznie. Dzięki wstawieniu się profesora wezwano do mnie lekarza, który mnie zbadał i zastrzykami ulżył mi w bólach, które stale miałem po nocy przesłuchania. Po przeniesieniu jednak na ul. Łąckiego stosunek ten zmieniał się z dnia na dzień na gorsze. Pamiętam, jak pewnego razu gestapowiec kazał prof. Bartłowi czyścić buty Ukraińcowi z *Hilts-gestapo*, mówiąc ironicznie „by polski profesor i minister czyścił buty ukraińskiemu parobkowi od koni”. W tym czasie prof. Bartel był psychicznie bardzo załamany i nie mógł zrozumieć istoty całej tragedii. Zarzucano mu kontakty z Żydami, stale nazywając go pacholkiem Żydo-komuny. Jeśli dobrze pamiętam, z końcem sierpnia lub na początku września wyprowadzono o świcie profesora nie pozwalając mu włożyć bucików i marynarki, co było dla nas wiele mówiące. Więcej profesor nie wrócił, rzeczy jego zabrano. Zdaje się, że profesor nigdy nie był przesłuchiwany, bo nic na ten temat nie mówił. Domagał się rozmowy z kimś z góry, twierdząc, że go niesłusznie trzymają w więzieniu...”

Pani Bartłowa dodaje:

„...Gdy 26 lipca nie przyjęto obiadu dla męża, poszłam do kierownika więzienia *Michaelisa*; on mi pokazał depeszę i powiedział, że mąż na rozkaz *Himmlera* został dziś rano rozstrzelany. Na moje pytanie „za co?” — odpowiedział: „*Das war doch der grösste polnische Kommunist.*” Treści depeszy, którą *Michaelis* mi pokazywał, nie pamiętam; byłam przerażona tą wiadomością, że nie wiem czy czytałam i zapomniałam, czy nie czytałam w ogóle. Widziałam tylko nazwisko mego męża i podpis *Himmlera*. Polski strażnik więzienny powiedział mi: „Wywieźli tej nocy kilku i pani męża”. Później dowiedziałam się, już nie wiem od kogo, że wtedy zginął także lekarz Żyd z *Kulparkowa*, ale nazwiska nie pamiętam...”

W ten sposób w ciągu 3 tygodni zabili Niemcy 25 wybitnych naukowców polskich oraz 20 osób spośród ich najbliższej rodziny i przyjaciół.

Kto dokonał tych bezpodstawnych i okrutnych morderstw? Niemcy czy Ukraińcy? Wśród niektórych Polaków nadal krąży pogłoska, że zrobili to Ukraińcy, ale chyba każdy zdaje sobie sprawę, że w państwie hitlerowskim nie wolno było nic robić bez rozkazu. Należy wyłączyć możliwość, by Ukraińcy, i do tego w służbie niemieckiej, odważyli się aresztować

wać tak liczną grupę czołowych osobistości w mieście zajęтым przez władze niemieckie wojskowe i policyjne bez ich wiedzy. Oczywiście, że Niemcy wykorzystywali faszystów ukraińskich do aresztowania i mordowania Polaków i Żydów, ale wszędzie, jak wynika z zeznań rodzin profesorów co najmniej dowodzącymi grupami aresztujących byli Niemcy. Pani Miegowiczowa spotykała przecież wielokrotnie w siedzibie gestapo przy ul. Pełczyńskiej komisarza Kurta, który przed kilku tygodniami aresztował jej ojca i syna. Gdy docent interny dr Karol Schulze z Berlina w r. 1942 w stopniu Oberstabsarzta organizował jako namiastkę Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu „*Staatliche Medizinische Fachkurse*” we Lwowie, zwrócił się, jak mi opowiadał za przyjaźniony z nim anatomopatolog Oberstabsarzt Sponholz z Hamburga, do gestapo z zapytaniem, czy może liczyć na zaangażowanie aresztowanych profesorów na wykładowców. Tam odpowiedziano mu, że nikt z nich nie pozostał przy życiu.

Doc. Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie dr Karolina Lanckorońska, która otrzymała z Rady Głównej Opiekuńczej (jedynej charytatywnej organizacji polskiej dozwolonej przez Niemców) w Krakowie polecenie założenia placówek w dystrykcie Galicja, została aresztowana w Stanisławowie przez szefa tamtejszego gestapo *Hauptsturmführera Krügera*, który w r. 1941 w tym mieście aresztował i zamordował 250 nauczycieli szkół powszechnych i średnich, adwokatów, lekarzy, inżynierów, praktycznie niemal całą inteligencję. *Krüger* prawie stale podchmielony, będąc pewny, że doc. Lanckorońska nie ujdzie z jego rąk, w czasie wielogodzinnego przesłuchania pozwolił sobie na odsonięcie przyłbicy.

Oto wyjątek z artykułu pt. „Niemcy we Lwowie” drukowanego w londyńskim „*Orle Białym*” w r. 1948 w numerach 46—48:

„...Wtem *Krüger* zapytał, co o nim myślą w Stanisławowie. Odpowiedziałam wymijająco. Zaczął się znowu pienieć i powtórzył pytanie. — Boją się Pana. Z Pana nazwiskiem łączą się aresztowania 250 osób — nauczycieli, inżynierów, lekarzy.

Po prostu inteligencji polskiej — przerwał mi, śmiejąc się i potakując głową.

Szczególną uwagę zwraca się na fakt aresztowania chirurga dr *Jana Kochaja*, który uratował życie czterech lotników niemieckich, narażając własne. I ten znikł bez śladu. Podziękowanie z „*Reichsluftfahrtministerium*” nawet przyszło, lecz go już nie zastało.

Podziękowanie *Kochaj* otrzymał. Przeszło przez moje ręce — powiedział *Krüger*.

I tego człowieka pomimo tego nie zwolniono? Zapytała.

Co to ma jedno do drugiego? zapytał zdziwiony, przecież my, gdy wkracamy, zawsze już mamy gotowe spisy tych osób, które mają być aresztowane. To zawsze tak jest. Wie Pani, gdzie również tak było? — tu roześmiał się dziko. Byłam zdezorientowana, nie wiedziałam do czego zmierza, a on już mówił dalej.

We Lwowie! Czy Pani wie o czym myślę w tej chwili? We Lwowie (i znowu dzięki śmiech). Tak, tak. Profesorowie Uniwersytetu, Ha, ha, to moje dzieło, moje. Dziś, gdy Pani już nie wyjdzie, mogę jej to powiedzieć. Tak, tak w... (tu wymienił jakiś dzień tygodnia, wydaje mi się, że czwartek) o kwadrans po trzeciej rano...

Tak wtedy byłem we Lwowie krótko z oddziałem gestapo, przydzielonym do *Wehrmachtu* (przypomniałam sobie „*Feldgestapo*”). Pozostałszy zaraz dalej na wschód, później wróciłem tutaj...”

Doc. Lanckorońska tylko dlatego nie zginęła, że włoska rodzina królewska interweniowała w jej sprawie i na rozkaz *Himmlera* została przewieziona do więzienia we Lwowie. Tu spotkała wroga *Krügera*, komisarza *Kutschmanna*.

Doc. Lanckorońska pisze dalej:

„... Opowiedziałam mu (*Kutschmannowi*) wtedy cały przebieg mego ośmiotygodniowego „stażu” u *Krügera*. Mówiłam o głodzie, o ciemnicy, o egzekucjach pod celą, o wizytach *Krügera* w celi i o prowadzeniu mnie w ciągu jednej doby pozornie to na śmierć, to na wolność. *Kutschmann* słuchał uważnie. Z początku mogłam wyczuć u niego w silniejszym stopniu niż poprzednio wstyd i upokorzenie, później rosnące wzburzenie. Wstał. Chodził po pokoju i zaciskał zęby. Wtedy zaczęłam mówić o traktowaniu Polaków w Stanisławowie w ogóle. Mówiłam, że cała prawie inteligencja przez *Krügera* aresztowana znikła bez śladu, że sądząc po tym, co widziałam w więzieniu, nie mogę mieć cienia nadziei, aby ci ludzie byli jeszcze przy życiu. Wtem *Kutschmann* przerwał mi głośno wołając: Przecież on ma jeszcze inną straszną rzecz na sumieniu tu we Lwowie.

Wówczas wstałam i ja i postanowiłam mu powiedzieć wszystko, co wiem o *Krügerze*. Nawet dziś, po latach, trudno mi jest usprawiedliwić się rozumowo ze swego postępowania. Czułam, że ten akt pozornie szaleńczy jest koniecznością, że trzeba temu człowiekowi dać wszelką możliwą broń do ręki, by mógł zwalczać swego przeciwnika, a naszego kata. Gdy więc *Kutschmann* wspominał, że *Krüger* ma inną straszną rzecz na sumieniu, tu we Lwowie, odpowiedziałam spokojnie: — Wiem o tym.

Co Pani wie?

Że *Krüger* zastrzelił lwowskich profesorów Uniwersytetu.

Skąd Pani to wie?

Od *Krügera* — i powtórzyłam mu słowa tegoż z 13 maja 1942 r.

Kutschmann stał przede mną oko w oko i zapytał trzykrotnie z rosnącym napięciem:

On to powiedział?

Na moją trzykrotną odpowiedź twierdzącą oświadczył:

Przecież ja byłem przy tym. Służyłem pod nim. Kazał mi owej nocy przyprowadzić drugą grupę profesorów według spisu oraz szereg innych osobistości lwowskich. Oświadczyłem, że nikogo w mieszkaniach nie zastałem, dlatego ci ludzie żyją.

Skąd mieliście spisy skazanych? — zapytałam.

Naturalnie od marnych (*hergelaufen*) studentów ukraińskich..."

Doc. *Lanckorońska* po tych zeznaniach została przewieziona do Berlina, gdzie toczyło się śledztwo przeciw *Krügerowi*, oczywiście nie za morderstwa dokonane na profesorach, lecz za zdradzenie tej tajemnicy. Następnie została odesłana do Ravensbrück, skąd dzięki staraniom swego przyjaciela prezesa Międzynarodowego Czerwonego Krzyża w Genewie prof. *C. Burchardta* została zwolniona i udała się do Szwajcarii. Dzięki uprzejmości doc. *Lanckorońskiej* jestem w posiadaniu fotokopii listu zastępcy *Himmlera* generała SS *Kaltenbrunn* z dnia 2. IV. 1945 r., który zawiadamiając prof. *Burchardta* o zwolnieniu doc. *Lanckorońskiej* pisze: „...Należała się jej surowa kara, jednak urzędnik przesłuchujący hrabinę *Lanckorońską* zachował się wobec niej niezgrabnie, poza tym usiłował się robić ważnym i interesującym, przy czym opowiadał o swych „pełnomocnictwach” i „odrażających metodach” w zwalczaniu przeciwnika tak, że już z powodu tych wykroczeń nie tylko urzędnik musiał być ukarany, ale i więziarka lepiej traktowana...”

W ten sposób *Krüger* i *Kutschmann* bezpośrednio, a *Kaltenbrunner* pośrednio przynali, kto popełnił ten bestialski mord na profesorach lwowskich. Nie jest tu istotne, kto sporządził listę, gdyż adresy można było wypisać również z książki telefonicznej; ważniejsze jest, kto w tak okrutny sposób je wykorzystał.

A więc nic się nie działo bez wiedzy hitlerowców. Grupa „Słowików” *Oberländera* była wykorzystana do tej haniebnej roboty, ale panem życia i śmierci profesorów pamiętnej nocy lipcowej był *Krüger*, późniejszy kat inteligencji polskiej w Stanisławowie. Nie przypuszczajmy ani chwili, że *Krüger* mordował na własną rękę. Nie ulega wątpliwości, że otrzymał on bezpośrednio odpowiedni rozkaz od *Himmlera*.

Generalny Gubernator *Frank* przemawiając w dniu 30 maja 1940 r. w Krakowie do przedstawicieli SS i policji oświadczył:

„...Kłopoty, jakie mieliśmy z profesorami krakowskimi były okropne. Gdybyśmy tu załatwili tę sprawę, miałaby ona inny przebieg. Dlatego usilnie proszę panów, aby nikogo więcej nie odstawiać do obozów koncentracyjnych w Rzeszy, lecz tu przeprowadzać likwidację lub wymierzać odpowiednie kary. Wszystko inne jest obciążeniem Rzeszy i stałym utrudnieniem. My tu mamy zupełnie inną formę traktowania i ta forma musi być zachowana...”¹ Istotnie, tym razem postąpili hitlerowcy z profesorami lwowskimi radykalniej niż z krakowskimi.

Wypełniając swój wciąż aktualny program niszczenia polskiej inteligencji, postanowili po wkroczeniu do Lwowa zastosować się do wskazania generalnego gubernatora. Ale ani na chwilę nie zapominajmy, że nie był to jakiś

osobisty pomysł *Franka*, lecz planowo uzgodniona z *Hitlerem* i *Himmlerem* akcja wyniszczania przewodnich warstw narodu polskiego, co wystarczająco udowadnia szczegółowo i przez Międzynarodowy Sąd Norymberski jako dowód rzeczowy przyjęty dziennik *Franka*.

Następnym dowodem, że wszystko to działo się na rozkaz Niemców jest fakt, że gdy 8. X. 1943 r. brygada więźniów żydowskich nie mogła odnaleźć grobu profesorów, przyjechał przedstawiciel gestapo i bez wahania wskazał grób, który, jak wszystkie pozostałe groby pomordowanych Żydów, Polaków i jeńców radzieckich, był w dokładnej ewidencji gestapo.

Prof. *Groër* widywał się często z gestapowcami *Hacke* i *Köhlerem*, którzy go owej nocy aresztowali. A więc nie tylko oficerowie niemieccy brali udział w tym okrutnym morderstwie, ale też i podoficerowie. Jak wiemy, cała rodzina *Greków* i *Ostrowskich* wraz z współlokatorami (z wyjątkiem służby) została wymordowana. Należy przypuszczać, że przyczyną tego był cenny i wartościowy dobytek nagromadzony w obu mieszkaniach. Prof. *Ostrowski* — chirurg o świetnej praktyce prywatnej i *Grek* — internista, wybitny znawca i posiadacz cennych obrazów i innych arcydzieł sztuki wyróżniali się urządzeniem mieszkania od innych profesorów. Przypomnijmy sobie, że aresztujący prof. *Groëra* oficer dopytywał się również, gdzie są dywany i obrazy. Bardzo podejrzana rolę odegrał w sprawie mieszkania prof. *Ostrowskiego*, a być może i *Greka* przedwojenny konsul holenderski we Lwowie — *van Menthen*.

Oto, co mówi na jego temat profesor *Groër*:

„...W kilka miesięcy po moim aresztowaniu widziałem świadectwo zgonu prof. dr *Tadeusza Ostrowskiego* i *Jadwigi Ostrowskiej*, wydane przez gestapo dla *van Menthen*, który na tej podstawie kupił rzeczy i meble *Ostrowskich* od „*Treuhandgrundstückverwaltung*”.

Córka pani *Grekowej Anna Michałowska* podaje: „...Do mieszkania *Greków* dostały się (wypuszczone z Zakładu *Abrahamowiczów*) ukradkiem służące, chcąc wy dostać swoje osobiste rzeczy, a także mając zamiar uratować coś z rzeczy mojej matki, co się im jednak nie udało. Według relacji tej kucharki, która kręciła się w pobliżu domu, Niemcy od razu przystąpili do rabowania mieszkania, która to akcja trwała podobno parę dni. Wywieziono meble i cenne obrazy, z całego mieszkania zostało zaledwie trochę rupieci i kilka fotografii, które przez ową kucharkę dostały się do moich rąk. Akcją wywożenia rzeczy z mieszkania miał rzekomo kierować niejaki *van Menthen*, dobrze znany na bruku lwowskim przedwojenny konsul holenderski, który w tym czasie występował jako gestapowiec...”

Pomijając bardzo mętą osobę *van Menthen*, widzimy, że gestapo jednak wiedziało dobrze, co się stało z rodziną *Ostrowskich*. Można całkiem pewnie stwierdzić: hitlerowcy wymordowali polskich uczonych we Lwowie, używając do pomocy również i faszystów ukraińskich.

¹ *S. Piotrowski* — Dziennik *Hansa Franka*. Wydawn. Prawnicze Warszawa 1956, str. 426.

Lista

profesorów wyższych uczelni we Lwowie zamordowanych przez hitlerowców w lipcu 1941 r.

1. Prof. dr *Kazimierz Bartel* — ur. w 1882 r., Katedra Geometrii Wykreślnej Politechniki.
2. Prof. dr *Antoni Cieszyński* — ur. w 1882 r., kierownik Kliniki Stomatologicznej Uniwersytetu.
3. Doc. dr *Władysław Dobrzański* — ur. w 1897 r., Ordynator Oddziału Chirurgicznego Państwowego Szpitala Powszechnego.
4. Prof. dr *Jan Grek* — ur. w 1875 r., profesor przy Klinice Chorób Wewnętrznych Uniwersytetu.
5. Doc. dr *Jerzy Grzędzielski* — ur. w 1901 r., docent przy Klinice Okulistycznej Uniwersytetu.
6. Prof. dr *Henryk Hilarowicz* — ur. w 1890 r., profesor przy Klinice Chirurgicznej Uniwersytetu.
7. Prof. dr *Edward Hamerski* — ur. w 1897 r., kierownik Kliniki Chorób Wewnętrznych Zwierząt Małych Akademii Medycyny Weterynarii.
8. Prof. dr *Henryk Korowicz* — kierownik Katedry Ekonomii Akademii Handlu Zagranicznego.
9. Prof. dr *Włodzimierz Krukowski* — ur. w 1887 r., kierownik Katedry Pomiarów Elektrycznych Politechniki.
10. Prof. dr *Antoni Łomnicki* — ur. w 1881 r., kierownik Katedry Matematyki Politechniki.
11. Prof. dr *Roman Longchamps de Bérier* — ur. w 1883 r., kierownik Katedry Prawa Cywilnego Uniwersytetu.
12. Doc. dr *Stanisław Mączewski* — ur. w 1892 r., ordynator Oddziału Ginekologiczno-Położniczego Państwowego Szpitala Powszechnego.

13. Prof. dr *Witold Nowicki* — ur. w 1878 r., kierownik Katedry Anatomii Patologicznej Uniwersytetu.
14. Prof. dr *Tadeusz Ostrowski* — ur. w 1881 r., kierownik Kliniki Chirurgicznej Uniwersytetu.
15. Doc. dr *Stanisław Progulski* — ur. w 1874 r., docent przy Klinice Pediatricznej Uniwersytetu.
16. Prof. dr *Stanisław Pilat* — ur. w 1881 r., kierownik Katedry Technologii Nafty i Gazów Ziemnych Politechniki.
17. Prof. dr *Roman Rencki* — ur. w 1867 r., kierownik Kliniki Chorób Wewnętrznych Uniwersytetu.
18. Prof. dr *Stanisław Ruziewicz* — ur. w 1889 r., kierownik Katedry Matematyki Akademii Handlu Zagranicznego.
19. Prof. dr *Adam Solowij* — nr. w 1859 r., emer. ordynator Oddziału Ginekologiczno-Położniczego Państwowego Szpitala Powszechnego.
20. Prof. dr *Włodzimierz Sieradzki* — ur. w 1870 r., kierownik Katedry Medycyny Sądowej Uniwersytetu.
21. Prof. dr *Włodzimierz Stożek* — ur. w 1883 r., kierownik Katedry Matematyki Politechniki.
22. Prof. dr *Kasper Weigel* — ur. w 1880 r., kierownik Katedry Miernictwa Politechniki.
23. Prof. dr *Kazimierz Vetulani* — ur. w 1889 r., kierownik Katedry Mechaniki Teoretycznej Politechniki.
24. Prof. dr *Roman Witkiewicz* — ur. w 1886 r., kierownik Katedry Pomiarów Maszyn Politechniki.
25. Prof. dr *Tadeusz Boy-Żeleński* — ur. w 1874 r., kierownik Katedry Literatury Francuskiej Uniwersytetu, publicysta, krytyk.

ROMAN SZUSZKIEWICZ

b. więzień obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu nr 25 122

Dentystyka w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu

Z początkiem lat czterdziestych — mimo ostrożności władz SS — świat zaczął dowiadywać się o okropnościach życia i rozbudowywaniu maszyny masowego niszczenia ludzi w obozie oświęcimskim. Ze względów też głównie propagandowych stworzono dla pozoru obozowe poradnie specjalistyczne. Należało do nich ambulatorium dentystyczne.

Ambulatorium dentystyczne (*Zahnstation*) było jednym z wielu oddziałów specjalistycznych szpitala obozowego w Oświęcimiu I. Zlokalizowano je w bloku 21, po prawej stronie korytarza, który zarazem stanowił poczekalnię. Oddział ten zajmował dwie izby. Jedna, większa, była przeznaczona na gabinet zabiegowy, druga, mniejsza, na protezownię. Gabinet dentystyczny posiadał sprzęt zabrany śląskiemu lekarzowi-dentyście pochodzenia żydowskiego.

Urządzenie składało się z fotela, spluwaczki oraz tzw. unitu. „Unit” ten posiadał wmontowaną wiertarkę elektryczną, reflektor, trzyramienną lampę oświetleniową, ciepłe i zimne powietrze oraz urządzenie do badania żywotności miazgi i kauteryzacji. Ponadto mieliśmy kompletne instrumentarium do leczenia zacho-

wawczego i do zabiegów chirurgicznych. Instrumenty oraz materiały dentystyczne były ułożone w dwóch metalowych szafkach. Bieliznę chirurgiczną i materiały opatrunkowe sterylizowaliśmy w autoklawie na oddziale chirurgicznym. Był również aparat Roentgena dentystyczny (*Roentgenkugel Rittersa*) i dwa ruchome stoliki. W połowie r. 1942 przydzielono drugi fotel dentystyczny dla drugiego ordynatora. Tuż przy drzwiach umieszczono stół dla rejestratora (sekretarza).

Fotele stały przy dwóch szerokich oknach z widokiem na pralnię budującą się w r. 1942 i wejście do bloku 11. Mieliśmy przeto możliwość spostrzegania i notowania w pamięci wielu szczegółów pieczołowicie ukrywanych przez SS-manów. Mogliśmy np. zaobserwować, kogo wprowadzali do bloku 11 i wywozili po rozstrzelaniu. Początkowo bowiem SS-mani czynili to w biały dzień, później natomiast wyłącznie po apelu wieczornym.

Protezownia mieściła się w drugiej, mniejszej izbie. Przede wszystkim była ona pracownią oczyszczania zębów usuwanych z protez zębowych zagazowanym więźniom. Reżim

hitlerowski posuwał się w swej oszczędności do tego, że nawet zęby ze starych protez zębowych, dostarczone walizkami, musieliśmy czyścić, sortować, układać w garnitury i odsyłać z powrotem do *Revieru SS*. Stamtąd zapewne kierowane były do Berlina.

Podobnie jak szpital, tak też i dentystyka miała swojego szefa, lekarza-dentystę. Byli nimi kolejno *Hauptsturmführer Teuber* i *Frank*. W stosunku do nas zachowywali się poprawnie i nawet mogliśmy liczyć w pewnych wypadkach na ich pomoc. Ja osobiście dwukrotnie byłem zagrożony skierowaniem do bunkra i tylko interwencja dr *Franka* uratowała mnie od niechybnej tam śmierci. Chodziło wtedy o ucieczkę naszych pacjentów-kolegów i o pewnego więźnia-kryminalistę Niemca, który złożył na mnie skargę do komendanta obozu, *Aumeiera*. Ci sami jednak lekarze *SS* skierowali mnie więźniów do komór gazowych w czasie selekcji na rampie.

Zastępcą szefa i tym, który stale przebywał w ambulatorium był podoficer *Mann* (sudecki Niemiec). Z nim radziliśmy sobie łatwo, często przekraczając przepisy obozowe (działała wtedy nasza „organizacja gospodarcza” za pomocą kiełbasy czy margaryny). Stacja dentystyczna służyła za miejsce spotkań, kontaktów, wymiany wiadomości dla więźniów między obozem głównym i podobozami.

Zabiegi, które mogliśmy początkowo wykonywać, ograniczały się do ekstrakcji i wypełnień ubytków na jednym posiedzeniu. Później uzyskaliśmy zezwolenie wykonywania wszystkich zabiegów stomatologicznych łącznie z chirurgią. Kierownictwo szpitala przydzieliło nam kilkanaście łóżek dla ciężko chorych przypadków chirurgiczno-stomatologicznych.

Najcięższym okresem w obozie oświęcimskim były dla nas lata 1942 i 1943. W tym czasie mieliśmy najwięcej chorych z różnego rodzaju złamaniami szczękowymi. Nie należały do rzadkości również rany postrzałowe tak szczęki, jak i żuchwy oraz ropowice, szczękościski, a nawet raki wodne (*noma*), występujące przeważnie u wyniszczonych głodem Cyganów.

Warto przytoczyć tutaj opis jednego z charakterystycznych przypadków. W r. 1942 przeprowadzono po apelu wieczornym chorego jeńca radzieckiego, postrzelonego rzekomo podczas ucieczki, u którego stwierdziłem wlot kuli od strony kąta żuchwy, wyłot w okolicy bródkowej. Na szczęście kula nie naruszyła większych naczyń krwionośnych. Wylew krwawy dużego stopnia spowodował obrzęk na szyi tak, że cała szyja (obwód) wyrównała się z klatką piersiową. Zdjęcie rtg wykazało strzaskaną okolicę bródkową żuchwy z licznymi drobnymi odłamkami kości, siekacze dolne trzymały się jednak większych odłamków żuchwy. Po znacznym ustąpieniu obrzęku założyliśmy druciane szyny ustalające na stałe (obie szczęki razem), stosowaliśmy sulfamidy do wewnątrz, arany przysypywaliśmy proszkiem „marfanil-prontalbin”. Rany goiły się bar-

dzo dobrze, tylko w okolicy bródkowej wydzielaly się samoistnie martwiaki na zewnątrz. Po kilku tygodniach, po usunięciu ostatniego dużego martwiaka rana zupełnie się zagoiła od zewnątrz, w jamie ustnej zaś znaleźliśmy również drobne martwiaki, po których usunięciu nastąpił zrost pozostałych dużych partii kostnych wraz z nieuszkodzonymi siekaczami. Chory ten po czterech miesiącach został wypisany ze szpitala jako wyleczony.

Chorzy z rakiem wodnym (*noma*) zgłaszani byli do naszego ambulatorium w zasadzie już w stanie beznadziejnym, z przebicciem błony śluzowej i skóry na zewnątrz. Przez ziejący otwór widać było obnażoną żuchwę (rana cuchnąca, owalna, o brzegach zaokrąglonych, z tendencją do rozszerzania się). Brzegi rany — otworu były zaczerwienione i obrzękłe. W przypadkach tych stosowaliśmy zabiegi miejscowe (pędzlowanie środkami utleniającymi i lapisowaniem), nastrzykiwania okolicy rany vadurilem z cebionem. Leczenie ogólne (przyczynowe) było utrudnione z powodu braku dobrego odżywiania. Wszystkie przypadki chorych z rakiem wodnym, spotykane wyłącznie u wyniszczonych Cyganów, kończyły się wysyłką do zagazowania.

Praca rozszerzała się z każdym dniem. Potrafiliśmy przekonać naszych szefów o konieczności stosowania wszystkich zabiegów stomatologicznych, oficjalnie i nieoficjalnie uzyskiwaliśmy środki potrzebne nie tylko do wykonywania zabiegów stomatologicznych, ale i protetycznych. Nieoficjalnie zdobywaliśmy „systemem organizacyjnym”, przy pomocy kolegów *Jana Sikorskiego* i *Tadeusza Szewczyka*, zatrudnionych w aptece rewiru *SS*, znaczne ilości potrzebnych leków, materiałów i przyrządów.

Pierwszymi założycielami ambulatorium dentystycznego w obozie oświęcimskim byli koledzy-więźniowie *Janusz Kuczbara* — ordynator, *Czesław Duzel* — technik i *Antoni Jabłoński* — sekretarz.

Kol. *Janusz Kuczbara*, mimo że nie był lekarzem, jako ordynator radził sobie z ekstrakcjami i prostymi zabiegami stomatologicznymi. Z chwilą mego przybycia na oddział przerzucił cały ciężar leczenia na mnie, sam zaś przeniósł się do innego komanda, a następnie z kilkoma kolegami (wśród nich był Niemiec *Otto*, obozowy *Arbeitsdienst*) zorganizował udaną ucieczkę z Oświęcimia. Później jednak zginął w Warszawie śmiercią bohaterską w czasie potyczki z okupantem.

Kol. *Antoni Jabłoński* pełnił funkcję sekretarza ambulatorium, dbając razem z kol. *Czesławem Duzlem* o porządek. Kol. *A. Jabłoński* został przeniesiony w r. 1943 na równorzędne stanowisko do obozu cygańskiego (Oświęcim II). Zmarł on w r. 1944, nie przetrzymawszy duru plamistego.

Kol. *Czesław Duzel*, 19-letni krakowianin, zatrudniony był w charakterze technika dentystycznego. Planując ucieczkę, a nie chcąc nas narażać na represje, przeniósł się — podobnie jak kol. *Kuczbara* — do innego komendanta.

Razem z kilkoma kolegami postanowił zorganizować ucieczkę w samochodzie ciężarowym, napędzanym gazem erzwynym, ukrywając się w zbiorniku na drewno. Wtajemniczony kierowca, SS-man, za sowitym wynagrodzeniem w dewizach miał ich przewieźć przez główną „Postenkietę”. Niestety, w ostatniej chwili przy rewizji samochodu kierowca zdradził, wskutek czego umieszczono więźniów w bunkrze. Kol. Czesław Duzel zażył truciznę, by uniknąć katorżnych następstw.

W drugiej połowie 1942 r. zostali też przydzieleni do naszego ambulatorium lekarze-dentyści, koledzy Janusz Krzywicki i Jerzy Budny. Kol. Budny został w r. 1943 wraz z kol. Jabłońskim przeniesiony do obozu cygańskiego. W tym czasie organizowano szpitale w podobozach tak żeńskich, jak i męskich w Brzezince, w obozie cygańskim i na Bunie. Do ambulatorium dentystycznego na Bunie zostałem przeniesiony w r. 1943 na kilka miesięcy, tj. do chwili przydzielenia na moje miejsce lekarza-dentysty narodowości żydowskiej, pochodzącego z Czechosłowacji (nazwiska nie pamiętam).

Zamiast przeniesionego do obozu cygańskiego kol. A. Jabłońskiego przez kilka miesięcy na stanowisku sekretarza ambulatorium pracował kol. Tadeusz Hołuj, a po nim kol. Bolesław Głębowski, już do końca istnienia obozu. Ten właśnie kolega tak zainteresował się pracą stomatologiczną, iż zaraz po wojnie rozpoczął studia medyczne i jest obecnie lekarzem-stomatologiem.

Do protezowni kolejno zostali przydzieleni w r. 1943 koledzy Tomasz Napierała i Józef Garbaciak oraz w r. 1944 jeszcze Karol Risch, Niemiec ze Szczecina. Na sprzątającego wzięliśmy młodego chłopca z Tarnowa, Leona Pleskacza, którego matka była w obozie żeńskim w Brzezince.

Praca nasza była dobrze zorganizowana, koledzy zżyci z sobą, tworzyli jakby jedną rodzinę.

Program zajęć był dostosowany do zajęć obozowych: pobudka o godz. 5, następnie apel poranny. Apele dla pracowników szpitala w pierwszych latach istnienia obozu odbywały się na dziedzińcu przed szpitalem. W r. 1942 odbywały się już oddziałami w blokach, co było niewątpliwie wielką ulgą, zwłaszcza w okresie deszczów i mrozów.

W pierwszych latach obozu, podobnie jak wszyscy więźniowie, również i personel szpitala chodził w drewnianych trepach. Dzięki umiejętnej interwencji kierownictwa naszego szpitala u władz obozowych zezwolono nam na noszenie obuwia skórzanego, a lekarzom pozwolono nosić zegarki, wydobyte z depozytów obozowych.

Zajęcia ambulatoryjne rozpoczynały się o godz. 7 i trwały do godz. 12, następnie w godz. 14–18. Z kolei był apel wieczorny oraz wolne zajęcia w bloku lub w obrębie bloków do godziny 21.

Do ambulatorium można się było dostać tylko przez zgłoszenie się więźnia u swego

blokowego po apelu wieczornym lub w czasie pracy u *kapo* danego *komanda*, który wystawiał odpowiednie przepustki lub składał wykazy w dwóch egzemplarzach. Jeden wykaz doręczano głównej *szrajbsztubie* przy rannym apelu, a drugi nam. Każdy chory był wpisywany do odpowiedniej książki (rejestrator chorych). W książce notowaliśmy numer chorego-więźnia, nazwisko, blok, ewentualnie *kommando*, z którego wyszedł w czasie pracy oraz nazwę dokonywanego zabiegu.

W celu przeprowadzenia dalszego leczenia wypisywaliśmy odpowiednie kartki z datą ponownego zabiegu. Te nasze adnotacje w zasadzie były respektowane przez władze obozu. Mając takie upoważnienia, korzystaliśmy z nich często w celu umożliwienia odpoczynku w naszych poczekalniach tym kolegom, którzy pracowali w bardzo ciężkich warunkach na polu, a którym jeden czy dwa dni wytchnienia dodawały sił do dalszej ciężkiej pracy.

Do naszego ambulatorium od czasu do czasu przychodziły większe grupy więźniów-chorych z tych podobozów, w których nie było szpitala lub u których zachodziła potrzeba specjalistycznego badania i leczenia. Przychodzili oni wraz z SS-manem i w jego obecności dokonywano odpowiednich zabiegów. Władzom obozu chodziło przy tym, aby nie było możliwości porozumiewania się więźniów z podobozów z więźniami obozu głównego. Mimo ostrych rygorów w naszym ambulatorium dochodziło do stosunkowo częstych spotkań najbliższych krewnych, którzy dodawali sobie wzajemnie otuchy do przetrwania, przekazywali sobie odzież, żywność, lekarstwa. Tą drogą również wymieniano różne wiadomości i informacje dotyczące życia w obozie i podobozach. Mając powiązania z władzami SS przez kolegów pracujących w głównej *szrajbsztubie* i w oddziale politycznym, niejednokrotnie udawało się nam przedstawiać nazwiska, podstawiając nazwiska już nie żyjących; w ten sposób dzięki wysyłce do innych obozów niektórzy koledzy uniknęli ciężkich prac w *Sonder-Kommando* lub innych kar.

Praca nasza nie ograniczała się więc do pomocy lekarsko-dentystycznej, ale obejmowała również różnorodny zakres poczyną, których ostatecznym celem była konsolidacja wszystkich sił oporu zmierzających do uniknięcia ewentualnej zagłady całego obozu przy jego likwidacji.

Już samo podtrzymywanie woli przetrwania u słabszych kolegów, załamanych psychicznie, było dziełem przeważnie tych wszystkich, którzy pracowali w szpitalu. Warunki pracy w szpitalu były w porównaniu z pracą „*draussen*” bez porównania łżejsze. To umożliwiało nam analizowanie celu działalności władz obozowych oraz przygotowanie akcji zmierzającej do przeciwdziałania tym szaleńcym planom. Głodny i zmaltretowany więzień poza myślą o zdobyciu jakiegokolwiek jedzenia oraz o jakim takim odpoczynku o niczym więcej nie myślał, musieliśmy przeto za nich i o nich myśleć.

W oświęcimskich ambulatoriach wykonywano tylko zabiegi konieczne (ekstrakcje i leczenie zębów); tylko ambulatorium w obozie głównym posiadało protezownię, w której poza wspomnianą już pracą oczyszczania zębów wyjętych ze szczęk po zagazowanych więźniach wykonywano też dostawki ruchome i stałe (mostki ze stali wykańczane w protezowni SS). Dostawki ruchome wykonywaliśmy przeważnie dla więźniów pochodzenia niemieckiego i niekiedy dla Polaków za specjalnym zezwoleniem, dostawki stałe tylko Niemcom (*kapom* i innym). W wielu wypadkach na jedno zlecenie wykonywaliśmy po kilka dostawek, otrzymując materiał od kolegów pracujących w protezowni SS (*Mikołajski, Szczęsnowicz, Oleksy, Bohusiewicz* i inni. Współpraca z tymi kolegami układała się jak najlepiej).

Trudno mi po kilkunastu latach tak opisać działalność ambulatorium dentystycznego

w Oświęcimiu i prace tam wykonywane, aby wyczerpać zagadnienie, toteż opis ten z pewnością nie oddaje w pełni faktycznego obrazu, w takiej wyrazistości, w jakiej pragnąłbym to przedstawić.

Wspomnienie to muszę zakończyć wyrazami hołdu pamięci doktora *Władysława Gałki*, któremu zawdzięczam uratowanie mi życia dzięki bardzo troskliwej opiece na bloku 20 w czasie duru płamistego i zapalenia płuc. Choroby te przeszedłem w r. 1942. Przekonałem się, że dr *Gałka* był nie tylko sumiennym i troskliwym lekarzem, lecz także przyjacielem, który z pełnym zaparciem i poświęceniem oddawał się chorym na oddziale zakaźnym. Nie dojeżdżał i nie dosypiał, czuwając nocami przy nieprzytomnych, ciężko chorych kolegach. Wycieńczony i wymęczony organizm dr *Gałki* nie zważył duru osutkowego. Ten wspaniały człowiek zmarł na posterunku. Cześć jego pamięci!

JULIAN KIWAŁA

były więzień obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu Nr 9143

Kuchnia dietetyczna (*Dietküche*) w szpitalu obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu

Tytuł jest frapujący. Kuchnia dietetyczna w *K. L. Auschwitz*. A więc dlaczego było tak źle, skoro było tak dobrze. Właśnie ta kuchnia, to jeszcze jeden z licznych paradoksów rzeczywistości oświęcimskiej, a zwłaszcza szpitala obozowego.

Ileż to tysięcy więźniów chorych i rekonwalescentów, korzystających z usług kuchni, skazanych zostało po „zakończeniu” kuracji na uśmiercenie w komorach gazowych.

Kuchnia powstała i funkcjonowała dzięki bardzo ofiarnej pracy grupy ludzi organizujących obozową służbę zdrowia i niosących pomoc jej instytucjom. Mieściła się na parterze bloku Nr 28, wchodzącego w skład bloków szpitala obozowego tzw. *Haeflingskrankenbau* (HKB).

Kuchnia posiadała powierzchnię około 40 m². W r. 1940 i w pierwszych miesiącach r. 1941 kuchnia była miejscem rozdziału żywności na wszystkie bloki szpitalne, a zainstalowane w niej dwa kociołki kuchenne o pojemności 50 l i 25 l służyły przede wszystkim do przyrządzania „herbaty”. Pod względem organizacyjnym personel kuchenny wchodził w skład pielęgniarzy obozowych i podległy był bezpośrednio najstarszemu obozu szpitalnego tzw. *Lagerältester Krankenbau*.

W następnych latach wyposażenie kuchni powiększono i codziennie gotowano około 350 l następujących zup (przy czym zaspokajało to zaledwie potrzeby około 1/10 chorych):

1. kleik z płatków owsianych lub z grysiu — tzw. *Schleimkost*. Był on przeznaczony dla chorych na biegunkę i inne choroby przewodu pokarmowego,

2. zupę bezsolną — tzw. *Salzlosekost* — dla chorych na nerki,

3. „herbatę” ziołową — przeważnie miętową.

Ponadto do obowiązków pracowników kuchni dietetycznej należało rozdzielanie żywności na wszystkie bloki szpitalne. Dzienna porcja dietetyczna składała się z: 1 litra kleiku lub zupy bezsolnej oraz około 400 gramów chleba pszennego — bez dodatków, tzn. bez kiełbasy, sera, marmolady itp. Otrzymując porcję dietetyczną, chory oczywiście nie dostawał już zupy z kuchni głównej ani też chleba ciemnego.

Wg receptury kuchennej, zatwierdzonej przez lekarza obozu *SS-Lagerarzta*, na sporządzenie 300 litrów kleiku można było zużyć około:

- 50 kg płatków owsianych lub grysiu,
- 2 kg margaryny,
- 2 kg cukru,
- solii kuchennej — do smaku.

Zupa bezsolna sporządzona była wg receptury ogólnoobozowej, zawierała tylko minimalne ilości mięsa z kośćmi i ziemniaki (bez obierzyn) nie zawierała natomiast soli. Kleik lub zupę bezsolną otrzymywali chorzy w szpitalu na wniosek lekarzy-więźniów. Otrzymywali je również więźniowie pracujący zakwalifikowani do posiłków dietetycznych przez lekarza obozowego SS. Wśród chorych pracujących, a korzystających z diety znajdowali się przeważnie więźniowie pochodzenia niemieckiego, od r. 1944 wszystkie prostytutki z obozowego „burdelu”. Z posiłków dietetycznych korzystało około 200 chorych przebywa-

jących w szpitalu i wydawano je w porze obiadowej.

Chorzy — pracujący (w liczbie około 150) spożywali posiłki po apelu wieczornym. Pozostali w szpitalu chorzy, którzy nie mieli prawa do diety, otrzymywali jedzenie z głównej kuchni obozowej.

Trzeba tutaj nadmienić, że jakość i ilość przydzielanych produktów nie odpowiadała ustalonej recepturze. Często zdarzały się wypadki, że mięso (przeważnie końskie) lub odpady z mięsa bydłęcego, które otrzymywaliśmy do gotowania zupy bezsolnej, wykazywały duży stopień zepsucia, do gnicia włącznie. Inne produkty były bardzo ubogie w witaminy.

Zdarzały się również wypadki, że dla podniesienia „jakości” przyrządzanych zup, lekarz obozowy SS *Lagerarzt* zarządzał, ażeby dodatkowo „okraszać” zupy spleśniałym chlebem lub (mocno zanieczyszczonymi) resztkami żywności, jak smalec, masło, które pozostały po przesortowaniu żywności przywiezionej do obozu przez więźniów z nowych transportów. Wskutek tego bardzo często w zupie znajdowano różnego rodzaju przedmioty, jak guziki, gwoździe, żyłетки, a także obrączki i zegarki ze złotą, ukryte w żywności, odbieranej deportowanym a przeznaczonej dla kuchni.

Kontrola zużycia artykułów żywnościowych należała do lekarza obozowego SS oraz do podoficera służby sanitarnej SS tzw. *SDG (Sanitäts-Dienst-Grad)*. Było rzeczą notoryczną, że sprawdzane przez nich książki magazynowe i kuchenne nigdy nie wskazywały nieprawidłowości w gospodarowaniu wiktuałami. W rzeczywistości było jednak zupełnie inaczej.

Dzięki ofiarnej i ryzykownej pomocy i odwadze współwięźniów, zatrudnionych w magazynach żywnościowych SS, w magazynie żywnościowym kuchni i w samej kuchni obozowej otrzymywaliśmy, bez uszczerbku dla zaopatrzenia innych więźniów, wielokrotnione ilości płatków owsianych, margaryny, cukru, mięsa i innych dodatków żywnościowych. Wzbogacane nimi posiłki przekazywane były głównie do bloku Nr 20, w którym wielu więźniów przebywało w okresie rekonwalescencji, po przebytych tyfusie plamistym i innych chorobach zakaźnych. Ze współwięźniów — kucharzy i pracujących w magazynach żywnościowych, którzy osobiście narażając się na represje ze strony władz SS i ryzykując swoim życiem świadczyli olbrzymią pomoc dla chorych należy wyliczyć: *Albina, Tadeusza Chmurę, Puzona, Kazimierza Szelesta, Tadeusza Szweda, Wiesława Witka, Alfrede Wilka, Henryka Wolnego, Feliksa Włodarskiego, Andrzeja Rablina, Zygmunta Oliwę (obecnie Orskiego), Tadeusza Joba (obecnie Jarosławskiego)* i wielu, wielu innych, których nazwisk w tej chwili niestety nie pamiętam.

W r. 1944 rozdziałem żywności przez kuchnię dietetyczną został objęty również blok Nr 10, w którym przebywały więźniarki pochodzenia żydowskiego, poddawane zbrodni

czym eksperymentom lekarskim (kastracji, sterylizacji, sztucznemu zapładnianiu). Eksperymenty te były przeprowadzane jak wiadomo przez lekarzy SS. Liczba jednak tych więźniarek korzystających z pożywienia dietetycznego była minimalna.

Przy opisie funkcji kuchni dietetycznej trudno nie podkreślić roli jej jako ogniwa „samo-pomocy więźniów”. Wykorzystując nieznaną nam lekarzy SS i podoficerów służby sanitarnej SS w dziedzinie księgowania posiadanych zapasów wiktuałów, ich przychodów i rozchodów, w księdze kuchennej przez cały czas prowadzone były fikcyjne zapisy. Fikcyjność ta umożliwiała przekazywanie innym współwięźniom prowiantów chwilowo zmagazynowanych, a uprzednio „zorganizowanych”, tzn. skradzionych w magazynach SS. Dzielne wyniki tej akcji były różne — od kilkudziesięciu do kilkuset porcji chleba, dodatków do chleba i tyleż porcji kleiku czy też zupy bezsolnej. Pomocą tą objęci byli również więźniowie przebywający w bunkrach bloku Nr 11 — bloku śmierci. Przetransportowanie wyżywienia odbywało się w asyście przekupionego dyżurującego w tym bloku żołnierza SS, a transport odbywał się w późnych godzinach nocnych. Przekupstwo polegało na tym, że SS-man dyżurny otrzymywał od nas chleb, margarynę czy też „na zamówienie” placki ziemniaczane lub też odzież cywilną z sąsiadującej z kuchnią *Bekleidungskammer*.

Relacjonując o funkcji kuchni dietetycznej jako ogniwie „samo-pomocy więźniów” pragnę też wspomnieć, że zdarzały się obok dramatycznych, również przypadki niepozbawione zabarwienia humorystycznego.

Oto dwa z nich: W okresie letnim r. 1943 starszy funkcyjny kuchni głównej *Leon Wierzbński*, w tajemniczość w sprawę nielegalnego wyniesienia przez nas w tym dniu dużej ilości wiktuałów kolonialnych z magazynów kuchni głównej do kuchni dietetycznej, zobowiązał kol. *Felka Włodarskiego* (z zawodu cukiernika) do wykonania tortu orzechowego. Tort ten udekorowany różami z kolcami — symbolizującymi cierpienia miłosne kol. *Leona* — miał być przez nas dostarczony jednej więźniarce, przebywającej czasowo w bloku Nr 10 obozu w Oświęcimiu. W momencie, kiedy podziwialiśmy artystyczne wykonanie dekoracji, do której użyto nawet zastrzyków prontosiłu, tabletek błękitu metylowego i innych odczynników chemicznych, niespodziewanie przez nieznane drzwi wszedł do kuchni *Lagerarzt SS dr Rohde*. „Dla kogo ten tort jest przeznaczony?” zapytał. Wówczas kol. *Zdzisław Buchner* najspokojniej odrzekł — „Dla pana”. Uradowany niespodziewaną zdobyczą i to w dniu, jak nam wyjaśnił, rocznicy urodzin swojej żony poprosił nas, byśmy znaleźli sposób wyniesienia tego tortu z obozu. W przeciągu niespełna 30 minut mieliśmy już wykonaną okrągłą skrzynkę drewnianą, ze specjalnie wysuwającym dnem (by nie uszkodzić dekoracji) i umieściwszy ją w puszcze sterylizacyjnej, w jego asyście przeniosłem

tort na teren Rewiru SS. Przekazany więźniarce nowo sporządzony tort w swojej treści niczym nie ustępował poprzedniemu. Uboższy był tylko w dekorację, a mianowicie Feluś w obawie przed nowym „cierpieniem” nie umieścił kolców róż.

We wrześniu 1944 roku, praktykowane na terenie obozu przez SS-manów „łapanki” więźniów, zwłaszcza o niskich numerach rejestracyjnych i natychmiastowe deportacje do innych obozów na terenie Rzeszy jeszcze bardziej pod znakiem zapytania stawiały każde „nasze jutro obozowe”.

Dymiące bez przerwy kominy krematoryjne i unoszący się fetor z płonących zwłok nie nastawiały nas optymistycznie. Aby zwalczać te nastroje zdobywaliśmy się na ryzykowne przedsięwzięcia w celu niesienia pomocy innym więźniom. Gdy pewnego wrześniowego (w r. 1944) poranka pojawił się na bloku Nr 28 z karetką sanitarną młody szofer SS z pochodzenia Jugosłowianin i poprosił nas o śniadanie, zaproponowaliśmy mu dosyć ryzykowną ofertę, aby w zamian za przyobiecane mu pudełka sardynek, papierosy, chleb biały, masło, kiełbasę oraz spreparowaną wódkę „anyżówkę” przez kol. Witka Kosztownego podjął się przewiezienia samochodem sanitarnym kilkaset kilogramów żywności na teren szpitala obozu żeńskiego w Brzezince. W towarzystwie kol. Mariana Mikołajczyka wyjechałem z obozu, przedstawiając na Głównej Bramie sfałszowane dokumenty uzasadniające przewiezienie tych prowiantów i ku wielkie-

mu zdziwieniu i nieopisanej radości pielęgniarzek wyładowaliśmy do pomieszczenia ambulatoryjnego worki płatków owsianych, cukier, mąkę, grysik, margarynę itp. Należna wypłata SS-manowi nastąpiła po przywiezieniu nas z powrotem do obozu męskiego.

Przypisek:

1. W r. 1944 wyposażenie kuchni dietetycznej obejmowało:
 - a) 1 kocioł parowy o pojemności 300 l,
 - b) 2 kociołki żeliwne — 50 l i 25 l,
 - c) kompletny trzon kuchenny,
 - d) magazyn prowiantowy,
 - e) aparat do destylacji wody na potrzeby szpitala.
2. W skład personelu kuchni wchodził: Aleksander Germański, Czesław Sowul, Marian Mikołajczyk, Feliks Włodarski, Ignacy Molka, Zdzisław Buchman, Julian Kiwała i inni.
3. W październiku r. 1944 obsługa kuchni w składzie: Molka, Włodarski, Mikołajczyk i Kiwała wyjechała z Oświęcimia masowym transportem do obozu koncentracyjnego w Oranienburgu, a funkcje pracowników kuchni dietetycznej przejęli więźniowie pochodzenia żydowskiego, którzy nie zostali objęci transportem ewakuacyjnym.

JAN ZIELINA

były więzień obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu nr 97679

Blok 9 szpitala obozu Oświęcim I

Dziewiąty blok „Krankenbau” w Oświęcimiu powstał w roku 1943. Jakie były kulisy jego powstania, dokładnie nie wiem. Blok ten został nazwany przez władze lagrowe „Schonungs-block”. Z nazwy wynikało, że przeznaczeniem jego była jak najszybsza rehabilitacja chorych i powrót ich do pracy. Niemcy zaczęli już wtedy odczuwać brak siły roboczej i starali się wyzyskać do maksimum resztki sił tkwiące w więźniach. Na bloku dziewiątym mieli być umieszczeni chorzy fizycznie silni, którzy byli osłabieni chwilowo przebyłą chorobą i tu mieli szybko uzyskać utracone siły do dalszej pracy dla dobra wielkiej Rzeszy.

Do szybszego powrotu do zdrowia miały się przyczynić lepsze warunki pomieszczeniowe, większe przydziały chleba, spacery na wolnym powietrzu i gimnastyka.

Tak przedstawiała się teoria.

W rzeczywistości warunki na bloku nie różniły się od innych. Pomieszczenia bloku były takie same, jak gdzieindziej. Porcje żywnościowe również nie odbiegały od ogólnych

norm. Dodatnią stroną był fakt, że chorych można było wyprowadzać na powietrze. Okolicznością wybitnie korzystną była nazwa bloku. Niemcy, uważając, że w bloku znajdują się chorzy, którzy wkrótce będą zdolni do pracy, z początku nie przeprowadzali tu selekcji do gazu.

W tym czasie stanowiska w „Krankenbau” i w lagrze objęli więźniowie polityczni, polscy i niemieccy antyfaszyści. Dzięki temu potrafiliśmy z miejsca wyzyskać korzystne teoretyczne założenia dotyczące dziewiątego bloku. Przede wszystkim rozluźniliśmy zagęszczenie łóżek, stwarzając względnie możliwe warunki pomieszczeniowe. Następnie przeprowadziliśmy gruntowną dezynsekcję bloku, uwalniając go od wszy, a przede wszystkim od pcheł.

Dezynsekcja ta, jak i później przeprowadzone dezynsekcje w innych blokach została dokonana potajemnie, skradzionym środkiem dezynsekcyjnym Lausetto, który był odpowiednikiem naszego azototu.

Jednym z największych przekleństw bloku dziewiątego, jak i pozostałych bloków w Oświęcimiu, były pchły. W Oświęcimiu panowała również plaga wszy. Wesz jednak w porównaniu z pchlą w warunkach oświęcimskich była istotą łagodną, choć więcej niebezpieczną ze względu na dur plamisty. Ukąszenie wszy sprawiało ból, jednak ból ten był jakby łagodniejszy, powolniejszy, rozłożony na raty. Ukłucie pchły jest niespodziane, da się porównać do ukłucia szpilką. Wesz daje się łapać, rozgnieść, co sprawia człowiekowi pewną satysfakcję. Wszy na jednym więźniu było od kilkudziesięciu do kilkuset. Pchły natomiast można było łapać na ciele dosłownie garściami. Po położeniu się do łóżka całe ciało momentalnie pokrywało się jedną ciemną warstwą pcheł. Pchły znajdowały się wszędzie, w łóżkach, na podłogach, na ścianach. Podczas słonecznej pogody pchły gromadziły się na zewnętrznych ścianach bloku, tworząc ciemną warstwę. Na chodnikach lagru można było dosłownie widzieć skaczące pchły. Choć jest to trudne do uwierzenia, nie ma w tym ani cienia przesady.

W tych warunkach nie było oczywiście mowy o spokojnym śnie. Dopiero przy kompletnym wyczerpaniu więzień stawał się nieczuły na ukąszenia. Plaga ta wpływała w fatalny sposób na układ nerwowy więźniów, powodowała niedokrwistości i utrudniała wszelkie leczenie. Plagę tę na bloku dziewiątym, jak i w pozostałych blokach, zdołaliśmy opanować dzięki objęciu władzy w lagrze przez Polaków i niemieckich komunistów. W ten sposób warunki w bloku dziewiątym stawały się stopniowo coraz lepsze.

Oczywiście nie było naszym zamiarem przyspieszanie powrotu do pracy naszych chorych.

Chorych podzieliliśmy według chorób, stwarzając na bloku jakby pododdziały poszczególnych grup chorobowych, jak choroby serca, choroby układu oddechowego, przewodu pokarmowego itd.

Kol. Fejkiel dowiedział się, że w obozie znajduje się dużo lekarzy Żydów zajętych przy robotach fizycznych, a wśród nich wielu wybitnych specjalistów. Po porozumieniu się ze mną zaczął sprowadzać ich do „*Krankenbau*” jako chorych i umieszczać w bloku dziewiątym. Robił to przez osobiste kontakty i przez innych kolegów, doradzając kolegom Żydom, aby się zgłaszali jako chorzy. Po przybyciu ich do „*Krankenbau*” potrafiono już oszukać *lagerarza* i danego kolegę przemycić do szpitala. W ten sposób na bloku dziewiątym znalazło się wielu lekarzy, którym przydzielono odpowiednie grupy chorych stosownie do specjalizacji.

Blok dziewiąty zamienił się w ten sposób na pewnego rodzaju oddział chorób wewnętrznych i ogólny. Oprócz tego podziału chorzy musieli być oczywiście podzieleni na rasy, a więc Żydzi mieli osobne łóżka. Lekarze byli wspólni dla aryjczyków i Żydów przynajmniej w praktyce, gdyż według przepisów mieli być również rozdzieleni.

Leczenie z początku przeprowadzano tak,

jak w całym lagrze środkami, które mieliśmy do dyspozycji. Przy chorobach dróg oddechowych i w przeważającej liczbie innych chorób głównym lekarstwem była aspiryna, stosowana nieraz w dawkach 3 razy dziennie pół tabletki, gdyż więcej nie było. W chorobach przewodu pokarmowego stosowano węgiel drzewny, uzyskiwany paleniem drewna w piecach. Stosowano tu dalej *kalium hypermanganicum* do picia w dużych rozcieńczeniach trzy razy dziennie łyżeczkę. Ze środków narsercowych stosowano głównie *tinctura valerianae*, jeżeli była do dyspozycji. Inne środki dawano w miarę ich zdobywania. Wykorzystując nazwę bloku i jego cel, zdołaliśmy po pewnym czasie zdobyć nieco lepsze zaopatrzenie w lekarstwa, tłumacząc *lagerarzowi*, że środki te są konieczne dla szybszego osiągnięcia przez chorych zdolności do pracy. Głównie jednak zaopatrzenie naszej apteczki poprawiło się dzięki kolegom farmaceutom *Sikorskiemu* i *Szewczykowi*. Koledzy ci, pracując w aptece SS, która była we wszystko zaopatrzona, kradli tam lekarstwa i przemycali do lagru. Stopniowo zdobywaliśmy nowe środki, które przechowywaliśmy pod poduszkami u zaufanych chorych. Apteczka nasza w końcu dysponowała całym arsenałem leków. Koledzy *Szewczyk* i *Sikorski* doszli do takiej wprawy, że w końcu przemycali do lagru całe skrzynie leków, przewożąc je sanitarką w asyście SS-manów. Wartościowe lekarstwa w sanitarce przykrywano watą, ligniną i mniej wartościowymi lekarstwami przy przewożeniu ich przez bramę.

W pierwszym okresie leczenia, kiedy nie posiadaliśmy prawie żadnych środków, mieliśmy również pomyślne rezultaty. Systematyczne badanie chorego, prowadzenie historii choroby i regularne podawanie lekarstw, nawet jeżeli chory otrzymywał po pół tabletki aspiryny, wywierało korzystny wpływ. Chory nie wiedział, jakie lekarstwo otrzymuje, czuł się jednak pod opieką, wiedział, że dba się o niego i głęboko wierzył, że otrzymuje leczenie. Właśnie w lagrze przekonaliśmy się, jak duże znaczenie ma podejście do chorego, jak dużą rolę odgrywa psychika chorego w jego leczeniu. Mieliśmy ciężkie przypadki, które zdrowiały. Przypominam sobie przypadki ciężkiego zapalenia płuc, które kończyły się dobrze. Mieliśmy przypadki wrzodu żołądka i dwunastnicy, ulegające wybitnej poprawie. W tym czasie w lagrze zaczynała narastać liczba przypadków z ropniakami opłucnej. Chorych tych przekazywaliśmy z początku na oddział chirurgiczny, gdzie wykonywano drenaż klatki piersiowej. Ponieważ jednak przypadki te kończyły się zwykle zejściem śmiertelnym, zaczęliśmy leczyć je systematycznym odpuszczeniem ropy zwykłą strzykawką. Przypominam sobie między innymi jednego chorego, młodego Rosjanina, który przybył do nas w bardzo ciężkim stanie z dusznościami, z przesunięciem śródpiersia i niewydolnością krążenia. Choremu temu systematycznie przez kilka tygodni odpuszczaliśmy 20 cm³-strzykawką ropę w ilości po kilkaset cm, z początku

codziennie, potem co kilka dni. Chory poszedł do transportu przy ewakuacji lagru w bardzo dobrym stanie. Badanie rtg wykazywało oczywiście zupełne zarośnięcie jamy opłucnowej.

Pamiętam kilku takich chorych, gdyż byli oni ułożeni razem na sąsiednich łózkach i nikt z nich nie zmarł. Śmiertelność na bloku była stosunkowo nieduża.

Po pewnym czasie *lagerarzt* zorientował się w sytuacji i zaczęła się podobnie jak w innych blokach, segregacja chorych i wysyłanie do gazu. Pierwsza wybiórka była dla nas niespodzianką i prawie połowa leżących w bloku poszła do gazu. O następnych wybiórkach byliśmy już na czas zawiadamiani przez kol. *Fejklę*. Ciężej chorych wypisywaliśmy z „*Krankenbau*”, a resztę pouczaliśmy, w jaki sposób mają się zachować przed *lagerarzt*em. Mają stać w pozycji sprężystej, napinać mięśnie, udawać silnych i zdrowych. Koledzy lekarze Żydzi, którzy musieli być przy tym obecni przedstawiali w jak najkorzystniejszym świetle stan chorego. Przedstawiano przy tym fałszywą historię choroby, w której wyniki badań dodatkowych, czas pobytu chorego w „*Krankenbau*” były fałszowane. Natrafiano tu często na niezadowolone i oburzone chorych. Nie można było oficjalnie chorym oświadczyć, co ich czeka. Chorzy oburzali się, że wypisuje się ich z „*Krankenbau*” mimo iż są nieraz ciężko chorzy. Szczególnie naiwni byli tu Żydzi z Wę-

gier. Przyjechali oni do Oświęcimia dużymi transportami i uwierzyli hitlerowcom, że przybyli na roboty, że ich żony pracują w innym miejscu, a ich dzieci znajdują się w dobrych warunkach w odpowiednich żłobkach. Oburzali się, kiedy wypisywano ich z „*Krankenbau*” nieraz nawet się odgrzaży, że poskarżą się *lagerarzt*owi. Chorych tych trzeba było nieraz brutalnie uświadomić, w jakiej sytuacji się znajdują, a nieraz wprost wyrzucić ze szpitala.

Później zauważyliśmy, że tak zwany polityczny oddział odrzuca wnioski do gazu w stosunku do tych Żydów, którzy mają jakiekolwiek aryjskie powiązania (*Halbjuden*). Koledzy lekarze Żydzi zebrali wtedy całą grupę niejako zawodowych kandydatów do gazu. Więźniowie ci byli specjalnie przetrzymywani w „*Krankenbau*” i przy każdej wybiórce przedstawiani *lagerarzt*owi. *Lagerarzt* zabierał ich karty, a polityczny oddział odrzucał ich. W końcu jednak nic to nie pomogło, gdyż zabrano ich wszystkim do gazu. W tej ostatniej wybiórce liczba ofiar objęła około $\frac{2}{3}$ stanu chorych. Kilkuset chorych jednak w poprzednich wybiórkach udało się w ten sposób uratować. Duże zasługi w ratowaniu chorych mieli blokowy bloku dzielnego kol. *Oszacki*, kol. *Tabeau*, kol. *Grünwald*, kol. *Valentin* i inni. Dalsze losy bloku 9 szpitala oświęcimskiego nie są mi znane.

OTTO WOLKEN — Wiedeń

były więzień obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu nr 128828

Komentarz do statystyki chorych i zmarłych w obozie — „kwarantannie” w Brzezince za okres od 20. IX. 1943 do 1. XI. 1944

Omówione tutaj statystyki odnoszą się wyłącznie do obozu męskiej „kwarantanny” B IIa i obejmują okres od 20. IX. 1943 r. do 1. XI. 1944 r. W tym czasie stwierdzono w obozie 1902 przypadki śmiertelne, a 4023 ciężko chorych więźniów musiano skierować do szpitala. Przeciętny stan obozu wahał się w tym okresie między 4 a 6 tysiącami więźniów. Mieszkali oni w 14 blokach. Ponieważ był to obóz „kwarantanna”, więźniowie przebywali w nim 6—8 tygodni, rzadziej 12 tygodni, i używano ich tylko do prac wewnątrz obozu.

Przedstawione dane statystyczne pochodzą z przekazów do szpitala i z wykazów zmarłych. Aby należycie ocenić te liczby, należy wziąć pod uwagę następujące fakty:

1. Do szpitala można było przekazać tylko naprawdę ciężko chorych. Były to zatem przypadki, których nie można było leczyć ambulatoryjnie lub na blokach.

2. W samym ambulatorium starano się nie przekazywać Żydów do szpitala, aby wskutek bardzo częstych tam „czystek” nie dostali się do komór gazowych.

3. Wielu Żydów nie zgłaszało swojej ciężkiej choroby czy skaleczenia i nie szukało pomocy ambulatorium z obawy przed przeniesieniem do szpitala.

4. Dla ambulatoryjnie leczonych chorych nie prowadzono żadnych ksiąg (liczba chorych wynosiła tam dziennie około 500). Nie ujęto też w statystyce wielu ciężkich przypadków uszkodzenia ciała wywołanego biciem czy postrzałami. Statystyka nie daje pełnego obrazu maltretowanych więźniów.

5. Zachorowalność była o wiele większa u Rosjan, Żydów i innych narodowości niż u Polaków. Polacy bowiem mogli otrzymywać dwa razy w tygodniu paczki żywnościowe o wadze do 10 kg. Z tego pozwolenia korzy-

stali nawet najbiedniejsi, stwarzając sobie znacznie lepsze warunki żywienia. Z drugiej strony większość wyższych stanowisk była obsadzona przez Polaków, a ci uprzywilejowywali swoich rodaków.

Specjalne warunki w obozie wymagają podzielenia materiału na trzy części:

Statystyka I (zob. tabele I i II) obejmuje okres od 20. IX. 1943 r. do 21. I. 1944 r. W tym okresie wykonywano wśród Żydów w ośrodkach około dwutygodniowych tzw. „selekcje” (wybiórki osłabionych więźniów przez lekarza SS). Wybranych kierowano do komór gazowych. Akcję tę zwano „*Sonderbehandlung*” („postępowanie specjalne”). Statystyka nie obejmuje 2534 więźniów skierowanych w tym okresie do gazu. Specjalnym wydarzeniem było zamordowanie *Lagerführera Schillinger*a. Podczas rządów jego następcy *Schwarzhuber*a nastąpiło złagodzenie orgii strzelania i mordowania (porównaj statystykę zmarłych: I — 18%, II — 1,1%, III — 3,7%). Bez wątpienia wpływ na tę poprawę miało także zwycięskie zbliżanie się Armii Czerwonej; zmniejszyło ono niemiecką pewność zwycięstwa.

Statystyka II obejmuje okres od 22. I. 1944 r. — ostatnia regularna selekcja w obozie — do ponownych selekcji, tj. około 19. IX. 1944 r. W tym okresie żyli wszyscy mieszkańcy obozu w podobnych warunkach (z wyjątkiem wspomnianych wyżej przywilejów Polaków). W tym okresie zabito do 3 000 węgierskich Żydów gotowych do transportu. Nie wchodzili oni w stan obozu, toteż na temat tych więźniów brakuje jakichkolwiek danych. Nie można więc ich było uwzględnić w tej statystyce.

Statystyka III obejmuje okres od 20. IX. 1944 r. do 1. XI. 1944 r. Charakteryzuje się on ponownym pojawieniem się „selekcji”. Do zagazowania skierowano wtedy 699 więźniów. Ponieważ tych więźniów nie uwidoczniiono w ewidencji chorych ani zmarłych, przeto dzięki temu statystyka wygląda korzystniej. Z drugiej strony w tym okresie stwierdzono wzrost zachorowań u Polaków, ponieważ utracili oni możliwość otrzymywania paczek żywnościowych, gdyż Armia Czerwona zajęła znaczną część Polski.

Oprócz określeń cyfrowych (I, II, III), oznaczających omówione statystyki, w obu tabelach uwzględniono punktację literową.

W grupie A ujęto te wszystkie ciężkie zachorowania, które powstały wskutek maltretowania więźniów. Są to urazy z dużymi wybroczynami krwawymi na całym ciele, złamania z równoczesnymi ogólnymi urazami, ropowice pośladków powstałe po chłości, urazy nerek z krwimoczem, wielkie rany płatowe z oderwaniem większych partii mięśni i skóry i rany postrzałowe. Do tej grupy należy też znaczna liczba przypadków zapalenia płuc, powstałych przez to, że więźniowie zmuszeni byli biegać po obozie wśród ciągłego „padnij” i „powstań”, a „ćwiczenia” te wykonywali też w rowach odpływowych z brudną, zimną wodą. Oczywiście nie było mowy o zmianie bielizny i ubrania po takich „ćwiczeniach sportowych”.

Następstwem były zapalenia płuc, zapalenia opłucnej i pęcherza. Ujęto je w statystyce wśród chorób „*sui generis*” (A1). Znaczna ich część, na pewno nie mniejsza niż 80%, zawdzięcza swoje powstanie wspomnianym „ćwiczeniom”. Do grupy A należy wreszcie znaczna liczba odmrożeń, spośród których tylko najcięższe z nekrozami kończyn ujęto w statystyce.

Grupa B obejmuje zaburzenia pokarmowe. Podane liczby mówią same za siebie (21% wszystkich przypadków chorobowych), a mimo to nie dają one wyobrażenia o ogólnym stanie żywienia więźniów, gdyż tylko najcięższe przypadki zaburzeń pokarmowych można było przenieść do szpitala. Wielu spośród tych chorych umierało w obozie, zanim jeszcze mogli być przetransportowani do szpitala. Dystrofie pokarmowe, stanowiące 52,7% wszystkich przypadków śmierci, były wywołane zupełnie niewystarczającymżywieniem ludzi. Dlatego należy dodać, że nowicjusze obozowi — a przeważnie z nimi mieliśmy do czynienia — jedli tygodniami prawie wyłącznie chleb, dopóki się nie przemogli, by jeść wstrętą zupe, której nie jadłaby nawet świnia, z brudnej, niemytej miski, brudną i pożyczaną łyżką. Żaden blok nie dysponował więcej niż 100—150 miskami.

Gdy wyczerpanie i głód osiągnęły stan krajowy, wówczas wygłodniał nowicjusz rzucał się jak zwierzęta na jedzenie, rękami zbierali z ziemi wylaną zupe, prawie wydrapywali drewno z beczek od zupy, by nie stracić ani jednej kropli, a nierzadko przewracali noszących zupe, aby trochę ukraść z beczki gołą ręką. Najczęściej jednak ten apetyt przychodził zbyt późno, gdy wyczerpanie posunęło się już zbyt daleko. Pojawiało się ostre zapalenie żołądkowo-jelitowe, najczęściej z silnym obrzękiem, prowadzące w kilku dniach do śmierci. Ludzie, którzy jeszcze w południe walczyli o miskę zupy, byli na wieczór już martwi. Widziałem setki zdrowych, mocnych ludzi, którzy w ten sposób szybko ginęli.

Po odejściu Niemców mogliśmy się przekonać, że magazyny zapchane były miskami i łyżkami tak, że każdy mógł mieć swoją własną miskę. Nie ulega więc wątpliwości, że kierownictwo obozu celowo stworzyło ludziom zwierzęce warunki, każąc im się wzajemnie zakażać chorobami zakaźnymi.

Grupa C obejmuje choroby zakaźne pochodzenia paciorkowcowego i gronkowcowego. Należy tu zwrócić uwagę, że większość czyracczy i owrzodzeń była leczona ambulatoryjnie. Liczba chorych więźniów zgłaszających się codziennie z takimi chorobami do ambulatorium wynosiła przeciętnie 350. W statystyce ujęto tylko przypadki ciężkie z powikłaniami, wymagające bezwzględnie hospitalizacji. Częste występowanie tych chorób tłumaczy się niedostatecznymżywieniem i fatalnymi warunkami higienicznymi. Wystarczy wspomnieć, że 500—600 ludzi musiało mieszkać w baraku przeznaczonym na 50 koni, że baraki nie posiadały żadnych okien do wietrzenia (nielicz-

nych wąskich zasuw na dachu nie można było do tego celu używać), że ludzie spali na gołych deskach w ubraniach. W ubraniach tych spędzali cały dzień przy pracy i tarzali się w brudzie i kurzu. Bielizny nie zmieniano ani nie prano. Badałem kolegów, przeszukiwałem dziesiątki razy katastrofy ambulatoryjne, pytałem w czasie wizyt na blokach, ale nie mogłem znaleźć nikogo, kto by nie chorował w obozie na czyraczyce, ropowice albo na długo ropiejące, źle gojące się rany. Już przy końcu tej pracy zbadałem 500 chorych z oddziału wewnętrznego i zaledwie u trzech nie znalazłem żółto-zielonej blizny (po świeżo zagojonym owrzodzeniu). Mam więc prawo stwierdzić, że paciorkowcowe i gronkowcowe choroby prawie bez wyjątku opanowały wszystkich mieszkańców obozu w mniejszym lub większym stopniu.

Grupa D obejmuje choroby płuc (na temat zapalenia opłucnej i płuc zob. odpowiednie uwagi odnośnie do grupy A₁). Niewystarczające ubranie, niemożność wysuszenia ubrania zmokłego na deszczu przy pracy były przyczyną powstania licznych zapaleń płuc i opłuc-

nej. Nie należy się dziwić, że wśród opisanych warunków sanitarnych i wyżywienia gruźlica — dotychczas stacjonarna — wykazała progresję. Uderza fakt, że 63% wszystkich chorych na gruźlicę wykazywało pierwotne nacieki albo reinfekcje. Były to przypadki świeżej gruźlicy nabytej w obozie. Przyczyną tego stanu rzeczy było zagęszczenie mieszkaniowe w zatęchłych, niewietrzonych blokach, niemożliwość wczesnego wykrycia i izolacji chorych na gruźlicę, niemyte naczynia i łyżki do jedzenia itp.

Grupa E obejmuje różne choroby, które właściwie nie łączą się z życiem obozowym i które powstały na skutek specjalnych warunków obozowych.

Spośród tych chorób należy poświęcić kilka słów psychozom obozowym. Niewątpliwie głód, osłabienie, a przede wszystkim utrata podściółki tłuszczowej doprowadzały do nadwrażliwości nerwowej, której każdy z nas w obozie doświadczył na sobie. Stała niepewność, liczne selekcje, zależność od samowoli i aktów sadyzmu nie pozostały bez wpływu na układ nerwowy.

Tabela I

Statystyka zmarłych

Grupa	Przyczyna śmierci	Statystyka I			Statystyka II			Statystyka III			Suma	
		Liczba	Suma	%	Liczba	Suma	%	Liczba	Suma	%	Liczba	%
A	Zastrzelenie	34			8			1				
	Przebiecie				1							
	Uduszenie				1							
	Mechaniczne uszkodzenie nerek				2							
A ₁	Zakażenie wywołane ropowicą pośladeków				3							
	Porażenie prądem elektr.				2							
	Odmrożenie	33										
			67	18,0	2	17	1,1		1	3,7	85	7,9
A ₁	Zapalenie płuc wywołane „sportem“ więcej niż 50%				22		1,4				22	1,4
B	Dystrofie pokarmowe:											
	zapalenie żołądkowo-jelitowe	72			432			2				
	obrzęk głodowy	35			355			4				
	dystrofie na tle obrzękowego zapalenia żołądkowo-jelitowego	82			90							
			289	78,5		877	58,2		6	22,2	1172	52,7
C	Gruźlica płuc	5			544			18				
			5	1,5		544	36,2		18	66,6	569	33,8
D	Błonica				8							
	Malaria				5							
	Zapalenie opon mózgowych				12			1				
	Dur osutkowy				6			1				
						31	2,0		2	7,5	33	3,2
E	Stare chroniczne choroby	7			16							
			7	2,0		16	1,1					
	Suma		368	100,0		1507	100,0		27	100,0	1902	100,0

Tabela II
Statystyka chorych

Grupa	Rozpoznanie	Statystyka I			Statystyka II			Statystyka III			Suma	
		Liczba	Suma	%	Liczba	Suma	%	Liczba	Suma	%	Liczba	%
A	Urazy po pobiciu kijem: uogólnione obrażenia złamania kości i urazy ropowice pośladków urazy nerek (krwiomocz) przez kopnięcie nogą krwiaki jąder Rany skomplikowane znacznego stopnia przez postrzał spowodowane „sportem” Ciężkie obrażenia	12 7 25 2 3 9 6			19 9 16 2 2 5 23 6			3 2				
			65	3,2		82	5,0		8	2,6	155	3,6
A ₁	Zapalenie płuc bądź pęcherza (więcej niż 50% wywołane „sportem”)	130			95			55				
			30	6,2		95	5,9		55	18,2	280	10,1
B	Dystrofie alimentarne, awitaminozy: wyniszczające pochodzenia żołądkowo-jelitowego obrzękowe Żółtaczka Zapalenie dziąseł martwiczo wrzodziejące	508 258 3 1			232 280 10 13			29 36 11				
			770	36,8		536	32,7		76	25,3	1382	31,7
C	Zakażenia paciorkowcowe i gronkowcowe ropowice czyracczyce i owrzodzenia gangreny i zakażenia	182 143 8			44 63 11			6 9 1				
			333	16,0		118	7,1		16	5,2	467	9,5
D	Choroby płuc: gruźlica płuc, nacieki pierwotna postępująca Zapalenie opłucnej i zakażenia	72 54 29			159 95 61			45 13 13				
			155	7,6		315	19,3		71	23,6	541	16,8
E	Choroby różne: Zapal. migdał. podniebiennych zapal. wyrostka robaczkowego zapalenie pęcherza grypa zapalenie otrzewnej psychozy zapalenie ucha środkowego zakrzepowe zapalenie żył zapalenie nerek	10 4 41 1 8 10 5 21			24 4 54 2 14 2 3 47			1 2 24 				
			100	4,9		148	9,0		27	9,0	275	7,7
F	Choroby zakaźne: błonica róża malaria zapalenie opon mózgowo-rdzeni. ospa wietrzna zapalenie przyusznicy płonica dur brzuszny dur osutkowy tęžec ospa wietrzna	1 29 17 1 401 1			17 18 27 3 2 9 3 7 180 1			15 7 1 2				
			450	21,5		267	16,3		29	9,6	746	15,9
G	Stare chroniczne choroby	78			75			20				
			78	9,8		75	4,7		20	6,6	173	4,7
	S u m a		2081	100,0		1640	100,0		302	100,0	4032	100,0

OTTO WOLKEN — Wiedeń

były więzień obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu Nr 128828

Z zagadnień losu Żydów w Oświęcimiu (wymieralność)

Artykuł ten jest komentarzem do statystyki I i II, dotyczącej 15 transportów żydowskich, które zostały wchłonięte przez obóz w Oświęcimiu w czasie od 17. IV. 1942 r. do 17. VII. 1942 r. Wspomnianych tabel, w których statystyki dotyczące transportów autor ujął z rozbiorem na poszczególne transporty i dni, nie udało się zamieścić w całości ze względów technicznych, ograniczono się więc do przedstawienia danych zbiorczych. Całość znajduje się do wglądu w archiwum redakcji.

Obie statystyki dotyczą losu tych Żydów, którzy po przybyciu do Oświęcimia mieli względne szczęście trafić do obozu, a nie od razu do komór gazowych. Szczęście to okazało się wkrótce złudne, ponieważ śmierć przywiezionych i tak nastąpiła, tylko droga do niej była niewypowiedzianie cięższa, wśród licznych mąk i cierpień, przesiąknięta krwią. Podstawą omawianych statystyk jest oryginalny dokument znaleziony w Oświęcimiu, a zatytułowany: „Wykazy przybyłych Żydów niefotografowanych”. Jest to teczka obejmująca wykazy nowo przybyłych 15 transportów żydowskich. Każda lista zawiera numer więźnia, nazwisko i imię, miejsce urodzenia, datę, zawód. Obok nazwiska bądź imienia — w zależności od miejsca — wciągnięto ołówkiem każdorazowo datę śmierci.

Statystyka I obejmuje według dat kalendaryzowanych przybycie transportów; na każdy dzień wciągnięto w nią liczbę zmarłych z każdego transportu. Data przybycia transportu została oznaczona poziomą kreską. Niestety, przestano wypisywać z dniem 15. VIII. 1942 r. daty śmierci tak, że dla następnego okresu trzeba wysnuwać wnioski z innych transportów. Los poszczególnych transportów wygląda następująco:

Transport I: przybył 15. IV. 1942 r. ze Słowacji, obejmując 973 więźniów. Do wyżej wspomnianego dnia, tj. 15. VIII. 1942 r., wymordowano z tego transportu 885 osób, a tylko 88, tj. 9%, pozostało przy życiu.

Transport II: przybyło 19. IV. 1942 r. ze Słowacji 464 więźniów. W dniu 15. VIII. 1942 r. żyło spośród nich tylko 10, tj. 2%.

Transport III: przybyło w dniu 23. IV. 1942 r. ze Słowacji łącznie 543 więźniów; 15. VIII. żyło 41, tj. 7,5%.

Transport IV: przybyło 24. IV. 1942 r. ze Słowacji łącznie 442 więźniów; 15. VIII. żyło 23, tj. 5,2%.

Transport V: przybyło 29. IV. 1942 r. ze

Słowacji łącznie 423 więźniów; 15. VIII. żyło 20, tj. 4,7%.

Transport VI: przybyło 22. V. 1942 r., przesiedlonych z obozu z Lublina, 1000 słowackich Żydów; 15. VIII. żyło 53, tj. 5,3%.

Transport VII: przybyło 7. VI. 1942 r., przysłanych przez RSHA z Paryża, łącznie 1000 Żydów różnych narodowości; 15. VIII. żyło 217, tj. 21,7%.

Transport VIII: przybyło 20. VI. 1942 r. ze Słowacji łącznie 404 więźniów; 15. VIII. żyło 45, tj. 11,1%.

Transport IX: przybyło 14. VI. 1942 r., przysłanych przez RSHA z Paryża, łącznie 933 Żydów różnych narodowości; 15. VIII. żyło 186, tj. 20%.

Transport X: przybyło 27. VI. 1942 r., przysłanych przez RSHA, 1000 Żydów polskich; 15. VIII. żyło 557, tj. 55,7%.

Transport XI: przybyło 30. VI. 1942 r., przysłanych przez RSHA 1004 Żydów polskich; 15. VIII. żyło 703, tj. 70%.

Transport XII: przybyło 30. VI. 1942 r. przeniesionych z obozu w Lublinie 400 słowackich Żydów; żyło 15. VIII. 208, tj. 52%.

Transport XIII: przybyło 4. VII. 1942 r., przysłanych przez RSHA 264 słowackich Żydów; żyło 15. VIII. 69, tj. 30%.

Transport XIV: przybyło 11. VII. 1942 r. ze Słowacji łącznie 182 więźniów; 15. VIII. żyło 64, tj. 35%.

Transport XV: przybyło 17. VII. 1942 r. przysłanych przez RSHA 651 Żydów holenderskich; 15. VIII. żyło 196, tj. 30%.

Tych 15 transportów obejmuje łącznie 9683 więźniów, spośród których zostało zamordowanych do 15. VIII. 1942 r. łącznie 6973.

Dowodem na to, że była to samowolna akcja zabijania, mogą być przeciwstawiające się liczby zmarłych z różnych dni. Tak np. w dniu 16. VI. 1942 r. zabito 41 spośród więźniów przybyłych do tego czasu do obozu siedmioma transportami, a 17. VI. 1942 r., tj. w dniu wizytacji Himmlera w obozie, nie zabito żadnego. Natomiast w następnym dniu (18. VI.) wyrównano to „manko” liczbą 80 zabitych.

W analizie statystyki należy zwrócić uwagę, że w tym czasie wydawano specjalne zlecenia szybkiego zabijania ludzi, ponieważ gdy poprzednio liczby zabitych wahały się między 20 a 40 dziennie, to od tego dnia podniosły się one gwałtownie, tak, że 18. VI. zabito 80 osób, 19. VI. — 146 osób.

Dzień 20. VI. był prawdopodobnie dniem świątecznym, ponieważ w tym dniu było tylko 4 zabitych. W dniu 21. VI. było ich 89, a 22.

VI. — 104, i w ten sposób wyglądają liczby zmarłych już dalej, największe liczby zabitych występują w dniach 25. VII. (162), 28. VII. (169), 10. VIII. (166), 12. VIII. (159).

Rozpatrując poszczególne transporty z punktu widzenia narodowościowego, rzuca się w oczy, że transporty Żydów holenderskich i słowackich o wiele szybciej ulegały wyniszczeniu aniżeli transporty Żydów polskich, które się na ogół dobrze trzymały.

Na końcu omawianej statystyki I znajduje się pierwsza pozioma kolumna liczb, oznaczająca ilość zamordowanych z każdego transportu, druga kolumna oznacza liczby wszystkich więźniów przybyłych w danym transporcie, trzecia kolumna liczb oznacza ilość osób żyjących jeszcze w dniu 15. VIII. 1942 r. Jeżeli w poszczególnych transportach liczby te są jeszcze wyraźnie wysokie, to należy rozumieć, że były to transporty, które stosunkowo niedawno przybyły do obozu.

Aby zdać sobie sprawę, jak długo trwało życie więźnia w obozie, należy zgrupować inaczej posiadany materiał. W ten sposób jest ułożona statystyka II, uwzględniająca czas pobytu transportu w obozie.

Czas pobytu pierwszego transportu wynosił 17 tygodni, a piętnastego — tylko 4 tygodnie. Na podstawie tej statystyki można stwierdzić, że z I transportu w ciągu 17 tygodni zginęło 91%, z II w 16 tyg. 98%, z III w 16 tyg. 92,5%, z IV w 16 tyg. 94,8%, z V w 15 tyg. 95,3%, z VI w 12 tyg. 94,7%, z VII w 10 tyg. 78,3%, z VIII w 8 tyg. 88,9%, z IX w 6 tyg. 80%, z X w 7 tyg. 44,3%, z XI w 6,5 tyg. 30%, z XII w 6,5 tyg. 48%, z XIII w 6 tyg. 70%, z XIV w 5 tyg. 65%, z XV w 4 tyg. 30%.

Rozpatrując te liczby, stwierdzamy nieregularność w odsetkach zgonów w poszczególnych transportach. Tak np. transporty, które były 6 tygodni w obozie, wykazują podobne odsetki zgonów, co transporty, które przebywały 10 tygodni. Natomiast transporty, które tylko nieznacznie dłużej przebywały w obozie, niejednokrotnie nie miały tak dużej śmiertelności. Trudno sądzić, aby tutaj wchodziło w grę zagadnienie odporności ustroju; niewątpliwie na podane liczby wywarły wpływ systematyczne akcje przeciwko określonym grupom Żydów.

Biorąc pod uwagę poszczególne transporty i liczby zgonów w tych samych odstępach czasu, stwierdzamy, że:

w 1. tyg. pob. w obozie utr. życie	296 osób	(3,06%)
w 2. tyg. pob. w obozie utr. życie	516 osób	(5,32%)
w 3. tyg. pob. w obozie utr. życie	601 osób	(6,2%)
w 4. tyg. pob. w obozie utr. życie	1096 osób	(11,32%)
w 5. tyg. pob. w obozie utr. życie	998 osób	(11,04%)
w 6. tyg. pob. w obozie utr. życie	955 osób	(10,75%)
w 7. tyg. pob. w obozie utr. życie	833 osób	(10,45%)
w 8. tyg. pob. w obozie utr. życie	433 osób	(7%)
w 9. tyg. pob. w obozie utr. życie	428 osób	(8,7%)
w 10. tyg. pob. w obozie utr. życie	297 osób	(6,1%)

w 11. tyg. pob. w obozie utr. życie	184 osób	(4,75%)
w 12. tyg. pob. w obozie utr. życie	127 osób	(3,3%)
w 13. tyg. pob. w obozie utr. życie	55 osób	(1,93%)
w 14. tyg. pob. w obozie utr. życie	36 osób	(1,3%)
w 15. tyg. pob. w obozie utr. życie	56 osób	(2%)
w 16. tyg. pob. w obozie utr. życie	36 osób	(1,49%)
w 17. tyg. pob. w obozie utr. życie	16 osób	(1,63%)

W przedstawionych tutaj liczbach i odsetkach istnieje pozorna niezgodność; np. w 14. i 16. tygodniu przy tej samej liczbie zgonów 36 jest raz 1,3%, a raz 1,49%. Przyczyna leży w tym, że wpisy śmierci dokonywano do określonego terminu i można je było rozpatrywać w odniesieniu do transportów do 15. VIII. 1942 r. Dlatego w dalszym obliczaniu odsetków musiano odliczyć odstawiłone transporty.

W ostatniej pionowej kolumnie statystyki II podano sumaryczny odsetek zgonów przypadający na dany tydzień, tj. od dnia przybycia pierwszego transportu do ostatniego dnia poszczególnego tygodnia. Zwracając uwagę na liczby zmarłych w ciągu poszczególnych tygodni, można stwierdzić narastanie liczb zamordowanych pośród transportów. I tak, w pierwszym tygodniu było 3,6% zgonów, w drugim — 8,38% zgonów, w trzecim — 14,58%, w czwartym — 25,9%, w piątym — 36,94%, w szóstym — 47,69% w siódmym — 58,14%, w ósmym — 65,14%, w dziewiątym — 73,21%, w dziesiątym — 79,31%, w jedenastym — 86,06%, w dwunastym — 87,36%, w trzynastym — 89,29%, w czternastym — 90,53%, w piętnastym — 92,53%, w szesnastym — 94,02%, w siedemnastym — 95,65%.

Gdyby kiedykolwiek powstała wątpliwość na temat losu więźniów wziętych do obozu, to przedstawione liczby, wzięte z oryginalnych dokumentów, obrazują nagą prawdę i udowadniają wolę kierownictwa obozu unicestwienia więźniów.

Nie należy mniemać, że wśród tych 15 transportów warunki układały się inaczej aniżeli w innych transportach, gdyż doświadczenie wykazało, że po 5-miesięcznym pobycie w obozie w żadnym transporcie nie pozostało przy życiu więcej niż 5% więźniów.

Tabela I jest fragmentem statystyki I, przedstawiającej liczbę zgonów przypadającą na każdy kolejny dzień od 19. IV. do 15. VIII. 1942 r. (kolumny poziome) dla poszczególnych transportów (kolumny pionowe). Tutaj pozostawiono tylko ostatnie dni (od 8. VIII. do 15. VIII.). Ostatnie cztery kolumny poziome przedstawiają liczbę zgonów w poszczególnych transportach, liczbę pozostałych przy życiu do dnia 15. VIII. 1942 r. i odsetek zmarłych i zabitych. Kolumny pionowe oznaczają poszczególne transporty od 1 do 15, a kolumna ostatnia (16) sumaryczną liczbę zgonów przypadającą na dany dzień.

Tabela I

Wyciąg ze statystyki I

Data	Transport															Suma
	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	
8.VIII.		1		1		28	9	3	5	18	9	3	2	8	10	97
9			1			2	15	13	21	17	9	3		1	7	89
10		2				5	11	6	13	22	51	9	7	12	28	166
11	5		1			6	11	5	15	35	12	10	4		3	107
12	4		1			6	10	1	13	27	26	5	7	27	32	159
13	1				1	4	6	3	9	31	18	8	6	9	26	122
14	2			1	1	4	10	8	9	11	17	5	5	4	18	95
15	2	2			1	4	10	8	29	16	18	9	3	3	11	116
Liczba zmarłych:	885	454	502	419	403	947	783	359	747	443	301	192	195	113	225	6973
Ogólna liczba dotransportowanych	973	464	543	442	423	1000	1000	404	933	1000	1004	400	264	182	651	9683
Do dnia 15.8.1942 przeżyło	88	10	41	23	20	53	217	45	186	57	703	208	69	64	426	2710
Odsetek zmarłych	91%	98%	92,5%	94,8%	94,3%	94,7%	78,3%	88%	80%	44,3%	30%	48%	70%	65%	30%	

Tabela II

Wyciąg ze statystyki II

Transport	1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	Suma
113																2 5 4 1 2 2 2 16 = 1,6% siedemnasty tydzień 6973, tj. 95,65%
114																
115		2														
116	5															
117	4															
118	1															
119	2															
120	2															
	885	454	502	419	403	947	783	359	747	443	301	192	195	118	225	6973
	91%	98%	92,5%	94,8%	95,3%	94,7%	78,3%	88,9%	80%	44,3%	30%	48%	70%	65%	30%	
	17	16	16	16	15	12	10	8	8	7	6,5	6,5	6	5	4	

Tabela II jest wyciągiem ze statystyki II, która przedstawia liczbę zabitych i zmarłych przypadającą na kolejny dzień pobytu w obozie (od 1. do 120. dnia) poszczególnego transportu. Ze względów technicznych zestawiono tu tylko 8 ostatnich dni (od 113 do 120). Trzy ostatnie kolumny poziome przedstawiają liczbę zgonów w danym transporcie, odsetek zgonów i okres pobytu w obozie dla danego transportu podany w tygodniach. Kolumny pionowe oznaczają poszczególne transporty (od 1 do 15), a trzy ostatnie kolumny liczbę zgonów przypadającą na dany dzień pobytu w obozie, liczbę zgonów i ich odsetek przypadające na dany tydzień pobytu w obozie, wreszcie sumaryczną liczbę zgonów i sumaryczny odsetek, licząc od pierwszego dnia pobytu w obozie pierwszego transportu do ostatniego dnia danego tygodnia. Kreska pozioma w rubryce oznacza, że na ten dzień pobytu w obozie wypada ostatni dzień prowadzenia statystyki, tj. 15. VIII. 1942 r.

STANISŁAW KŁODZIŃSKI

były więzień obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu nr 20019

Z zagadnień „gospodarczej” eksploatacji zwłok ludzkich w Niemczech hitlerowskich

(Z Kliniki Ftyzjatrycznej AM w Krakowie.

Kierownik: prof. dr S. Hornung)

Poniżej przytoczono dwa dokumenty, które w pewnym stopniu ilustrują plany i sposób realizowania eksploatacji złota z jamy ustnej zmarłych dla gospodarki Trzeciej Rzeszy.

Pierwszy dokument, przełożony na język polski, to skrót pracy doktorskiej dentysty *Wiktora Scholza*, przedstawionej na Wydziale Lekarskim Uniwersytetu Wrocławskiego w r. 1940 i opublikowanej za zezwoleniem referenta pracy, prof. dr *Eulera*, dyrektora Instytutu Stomatologicznego Uniwersytetu Wrocławskiego i dziekana Wydziału Lekarskiego prof. dr *Gottrona*.

Samo założenie pracy, jak i jej pseudonaukowy styl nie wymagają, jak się zdaje, komentarzy.

Autor kończy swą pracę wnioskiem, że zagadnienie wykorzystania złota z ust zmarłych dla gospodarki Rzeszy jest nadal otwarte, „jednak nie jest to zakończenie sprawy, ale dopiero jej początek”. W ciągu następnych kilku lat zagadnienie to zostało praktycznie rozwiązane; w jaki sposób, o tym mówi drugi dokument, którym jest ulotka drukowana w języku niemieckim w r. 1944 przez polski Ruch Oporu.

WIKTOR SCHOLZ: *O możliwości ponownego stosowania złota z jam ustnych zmarłych*¹.

I. Plan czteroletni i dentystyczne zużycie złota.

Potężna walka, którą naród niemiecki musi dziś prowadzić dla odbudowy i utrzymania swojej gospodarki, spowodowała konieczność zarządzeń, które także na polu dentystyki wywołały różne zmiany. Przydziały złota z Urzędu Dewizowego są coraz bardziej ograniczane i tym samym staje się coraz trudniejsze uzyskiwanie złota dla prac technicznych w zakresie dentystyki.

Wysiłki w celu odzyskiwania dla gospodarki narodowej z powrotem zużytego złota dentystycznego po wykorzystaniu go przez danego pacjenta napotyka na specjalne zastrzeżenia, jeżeli chodzi o ponowne użycie złota z jamy ustnej zmarłych.

Już w roku 1925 ukazała się w Przeglądzie Dentystycznym (*Zahnärztliche Rdsch.*) praca *Werkenthina*, zajmująca się tym zagadnieniem. Autor przyjmował w niej, że rocznie przepadała dla gospodarki narodowej ilość

złota wartości około 4 milionów marek, zaznaczając, że cyfra ta jest o wiele za niska i że odzyskiwanie złota z jamy ustnej zmarłych nie jest możliwe ze względów praktycznych i etycznych.

W związku z czteroletnim planem wydaje się wskazane naświetlić na nowo sprawę złota z ust zmarłych i wysunąć pewne projekty dla jej rozwiązania.

Aus dem Zahnärztlichen Institut der Universität Breslau
Direktor Prof. Dr. Euler

6112 p. 37

Über die Möglichkeit der Wiederverwendung des Goldes im Munde der Toten

Inaugural-Dissertation

zur Erlangung des Grades eines Dr. der

Medizin der Hohen medizinischen Fakultät

der Kaiserlichen Friedrich-Wilhelm-Universität zu Breslau

verfasset von

Wiktör Scholz aus Breslau
Zahnarzt

1940

Dokument z archiwum Zakładu Historii Medycyny
w Krakowie

W tym celu trzeba najpierw przedstawić zestawienie opublikowane przez prof. Greve z Erlangen (w *Zahnärztl. Mitt.*, tom IV, 1937), a dotyczące „przypuszczalnego” zużycia złota dentystycznego. Wartość średnia, którą na pewno nie przekracza przeciętnej, wynosi 16 milionów marek; kwota ta reprezentuje roczne zużycie złota dla celów dentystycznych.

Co się dzieje ze złotem przerabianym przez dentystów i techników? Zupełnie pewną rzeczą jest, że część tego złota jeszcze za życia jego nosicieli zostaje z powrotem usunięta

i powraca w ten sposób znowu do użytku; na pewno nie będzie to za wiele, jeżeli oszacujemy tę część na $\frac{1}{3}$ ilości ogólnej. Powraca ona do majątku narodowego z powodu przyzębicy, stanów zapalnych przywierzchołkowych, niedopasowania ruchomych częściowych i całkowitych protez, wreszcie wskutek wpływów nauki o zakażeniach ogniskowych (w Ameryce prowadziła ona przez pewien czas do usuwania wszystkich mostków i zębów z koronami). Reszta złota zostaje beżmyślnie pogrzebana ze swoimi nosicielami, pozostaje w ziemi przez 30, 60 lub więcej lat i zostaje czasem przy okazji ekshumacji lub przekopywania grobów „odnaleziona” lub też pozostaje na zawsze w ziemi i jest całkowicie stracona dla gospodarki narodowej.

Zadaniem niniejszej pracy jest więc zbadanie, czy istnieje możliwość ponownego stosowania złota z jamy ustnej zmarłych.

II. Zagadnienie prawne.

A. Czy nosiciel złotej dostawki dentystycznej ma prawo już za życia zadysponować, aby złoto z jego ust zostało wyjęte?

B. Czy spadkobiercy mają prawo kazać usunąć złoto z jamy ustnej swojego zmarłego krewnego?

C. Czy państwo może wydać powszechnie obowiązującą ustawę, według której należałoby usuwać złoto z ust zmarłego?

Chcąc odpowiedzieć na te pytania, musi się najpierw podać krótki przegląd charakteru prawnego dostawek dentystycznych u żywych i u zmarłych przy czym musi się zrobić rozróżnienie między dostawkami ruchomymi a nieruchomymi.

Dostawka ruchoma, np. sztuczne zęby, nie wchodzi w trwałe, silne połączenie z ciałem człowieka i przez wprowadzenie jej do jamy ustnej nie staje się częścią składową ciała nosiciela, ale pozostaje przedmiotem w rozumieniu § 90 BGB² jak to wynika z § 811, nr 12 ZPD, który zakazuje brania w zastaw sztucznych członków. Ten przepis byłby niezrozumiały, gdyby prawodawca nie uważał ich za przedmioty.

Dostawka nieruchoma, jak np. korona lub mostek, która wchodzi w trwałe i ściśle połączenie z ciałem ludzkim, staje się jego częścią. Co prawda BGB zna pojęcie części składowej tylko w odniesieniu do rzeczy, a żywe ciało nie jest według prawa uważane za rzecz. Wynika to z faktu, że prawo w ogóle nie reguluje stosunków prawnych w odniesieniu do ciała ludzkiego. Usprawiedliwiony jest jednak wniosek przez analogię: to, co stałoby się częścią składową rzeczy, gdyby zostało do niej przyłączone, staje się po przyłączeniu do żywego ciała ludzkiego jego częścią składową i dzieli jego położenie prawne; to znaczy: wobec tego, że ciało żywego człowieka prawnie nie jest uważane za rzecz, musi to dotyczyć również nieruchomych dostawek dentystycznych. Takie jest powszechne mniemanie.

Jeżeli ruchomą dostawkę wyjmie się z jamy ustnej nosiciela, staje się ona przez to oddzielenie rzeczą w rozumieniu § 90 BGB, która według jednych przechodzi bez dalszych formalności na własność nosiciela, według innych staje się przedmiotem bezpańskim, do którego przywłaszczenia ma nosiciel pierwsze prawo, które może być też przyznane milcząco.

U zmarłych przedstawia się charakter prawny dostawki dentystycznej jak następuje: dostawka ruchoma, która za życia nosiciela była jego własnością, pozostaje i po jego śmierci rzeczą, która jednakże przeszła na własność spadkobierców. Dostawka nieruchoma, która za życia nosiciela stanowiła część jego ciała, stanowi obecnie część zwłok.

W wyniku badania charakteru prawnego dostawki dentystycznej przyjmujemy zatem:

1. Dostawka dentystyczna ruchoma:

- a) za życia jest własnością nosiciela,
- b) po śmierci jest własnością spadkobierców.

2. Dostawka nieruchoma:

- a) za życia stanowi część ciała,
- b) po śmierci stanowi część zwłok.

A. Czy nosiciel złotej dostawki dentystycznej może już za życia zarządzić, aby po jego śmierci zostało usunięte złoto z jego jamy ustnej?

Ruchoma dostawka nie wchodzi w grę przy rozważaniu tego zagadnienia, ponieważ jej usunięcie nie natrafia na trudności ani pod względem prawnym, ani praktycznym. W życiu codziennym taka dostawka zostaje najczęściej usunięta przy myciu zwłok, a nawet nieraz jeszcze za życia wyjmują ją krewni albo sam umierający i odkładają już jako zbędną.

Inaczej z dostawką nieruchomą. Wobec tego, że jest ona z punktu widzenia prawnego częścią ciała, a więc stała się członkiem ciała, ewentualne zarządzenie jej usunięcia po śmierci opierałoby się na tej samej podstawie, co zarządzenie sekcji pośmiertnej.

Większość autorów prawniczych uznaje, że można wydawać rozporządzenia co do swoich zwłok, jeżeli tylko nie koliduje to z dobrymi obyczajami. Są jednak i zdania przeciwnie. Ci, którzy te zdania reprezentują, wychodzą z założenia, że zwłoki nie są już prywatną własnością i nie podlegają obrotom handlowym. Uważają oni, że nie potrzeba zapytywać, jak to jest możliwe, aby ktoś posiadał uprawnienie, które powstaje dopiero po jego śmierci; nie ma się również co powoływać na „dobre obyczaje”; specyficzny charakter praw dotyczących zwłok wyłącza z góry możliwość dysponowania nimi za życia.

Sąd Rzeszy stoi na innym stanowisku. W wyroku z dnia 7 marca 1912 r. (*Jur. Wschr.*, 1912, s. 590) zakłada się, że każdy człowiek jest w prawie rozporządzać własnym ciałem również i po śmierci. Rozporządzenie nosiciela złotej dostawki dentystycznej dotyczące usunięcia jej po śmierci jest zatem z punktu widzenia prawnego całkowicie dopuszczalne.

B. Czy spadkobiercy mogą kazać usunąć złoto z ust zmarłego krewnego?

Mogliby, gdyby mieli do tego prawo. Byłyby to następujące przypadki:

1) gdyby dostawka dentystyczna stawała się po śmierci nosiciela przedmiotem przypadającym w udziale spadkobiercom,

2) gdyby zwłoki były przedmiotem, który przypada w udziale spadkobiercom, przy czym ten los dzieliłaby dostawka dentystyczna jako część ciała,

3) gdyby spadkobiercy mieli do tego prawo na podstawie specjalnego ustawodawstwa.

Co do 1: Dostawka dentystyczna ruchoma, która przedstawia rzecz w ujęciu § 90 BGB, przypada po śmierci na własność spadkobierców i może wobec tego zostać usunięta z ust zmarłego krewnego. Natomiast nieruchoma nie staje się rzeczą w rozumieniu § 90 BGB, nie przypada na własność spadkobiercom, ale stanowi część składową zwłok. Spadkobiercy wobec tego nie mają prawa, na którego podstawie mogliby nakazać usunięcie takiej dostawki z jamy ustnej zwłok.

Co do 2: Dalej dałoby się pomyśleć, że zwłoki przedstawiają rzecz w rozumieniu § 90 BGB, rzecz przypadającą na własność spadkobiercom, który to los dzieliłaby nieruchoma dostawka dentystyczna.

Zagadnienie, czy zwłoki ludzkie stanowią przedmiot materialny w rozumieniu § 90 BGB, było od dawna dyskutowane w nauce prawa. Jedni odpowiadają twierdząco. Inni zaprzeczają na tej podstawie, że w zwłokach działa w pewnym sensie jeszcze dalej prawo osobiste i że zwłoki stanowią do pewnego stopnia działanie wstecz tego prawa. Wątpliwości co do tego, czy należy zwłokom ludzkim odmówić charakteru przedmiotu, mogą się nasunąć i z tego powodu, że kodeks karny zaopatrzył w § 168 możliwość przechowania zwłok ochroną prawną. Sąd Rzeszy wprowadził nie zajął zdecydowanego stanowiska w odniesieniu do charakteru prawnego zwłok jako rzeczy, oświadczył jednakże, że z chwilą śmierci człowieka nie powstaje w żadnym razie prawo własności do zwłok ze strony jego krewnych ani jakichkolwiek innych osób, a już za zupełnie błędne uważać należy spotykane czasami ośobnionie zapatrywanie, jakoby zwłoki stanowiły część majątku zmarłego i jako takie — w myśl § 1922 BGB — przechodziły na własność spadkobierców.

Wobec tego, że spadkobiercy nie posiadają prawa własności w stosunku do zwłok, a zatem również do nieruchomych dostawek dentystycznych, nie posiadają oni podstawy prawnej, która by pozwoliła im je usuwać.

Co do 3: Nie istnieje podstawa prawna, która by pozwalała spadkobiercom zmarłego usuwać złoto z jego jamy ustnej.

Trzeba zatem odpowiedzieć przecząco na pytanie, czy spadkobiercy mają prawo kazać usunąć złote dostawki dentystyczne z jamy ustnej zmarłego.

C. Czy państwo może wydać ogólnie obowiązującą ustawę, zarządzającą usuwanie złota z jamy ustnej zmarłych?

W zasadzie należy na to pytanie odpowie-

dzieć twierdząco, ponieważ państwo jako najwyższy prawodawca ma niewątpliwie władzę wydania takiej ustawy. Jak jednak byłaby ona przyjęta przez ogromną większość społeczeństwa? Jak wyglądałoby przeprowadzenie jej w praktyce?

a) Zagadnienie stosunku uczuciowego do zwłok.

Historia wykazuje, że od początku istniał pewien lęk przed rękoczynami na zwłokach ludzkich — lęk, który nie był tylko wynikiem szacunku dla nich, ale przede wszystkim wiary w to, że po śmierci istnieje nadal jakiś przynajmniej częściowy związek duszy z ciałem i że wypływa z tego konieczność i — jak sądzono — obowiązek zapewnienia duszy spoczynku przez pochowanie zwłok; ważną rolę odgrywało przekonanie, że dusza, która nie znalazła spokoju, może wywierać szkodliwe działanie na żywych. Te zapatrywania oddziaływały też na rękoczyny dokonywane na zwłokach, gdyż uważano je za zakłócenie spokoju zmarłych.

Te opory zostały po raz pierwszy przezwyciężone we Włoszech w interesie nauki. Pośiadamy o tym wiadomości z Salerno, gdzie za panowania dalekowzrocznego cesarza Fryderyka II na wniosek promedyka Sycylii, Marcjanusa, miały być w r. 1238 przeprowadzone pierwsze sekcje zwłok. Począwszy od wieku XIV mnożą się sekcje, papież zaś przestał się im opierać, jednak dopiero w XVII wieku zaczął coraz bardziej zanikać lęk przed sekcją zwłok ludzkich.

Już z tego krótkiego przeglądu rozwoju historycznego widać niemałe trudności, jakie były do przezwyciężenia, trudności pochodzące częściowo z szacunku dla zwłok, przeważnie jednak z mistycznego lęku i zabobonnych zapatrywań. Dziś nie istnieją już wątpliwości, że otwieranie zwłok jest konieczne w interesie nauki. Czysto anatomiczna sekcja stoi tu na pierwszym miejscu; inaczej już jest z sekcją kliniczną, której uogólnienie natrafiłoby na silny opór społeczeństwa. To samo byłoby, gdyby wyszło zarządzenie usuwania złota z jamy ustnej zmarłych, gdyż wtedy poddawany byłby zabiegowi po śmierci każdy nosiciel złotej dostawki dentystycznej, przy czym cel naukowy odpadłby na rzecz czysto materialnego. Temu zaś sprzeciwia się u ogromnej większości ludzi uczucie szacunku dla zwłok. Wydanie prawa, o którym była mowa, musiałoby mieć na celu dobro wyższe aniżeli zranione uczucia ogółu.

Chcąc zranić słuszne same w sobie uczucia szacunku dla zwłok, trzeba by im przeciwstawić jakąś wielką korzyść ogólną. Nie ulega jednak wątpliwości, że zarządzenie ustawodawcze usuwania złota z ust zwłok przyniosłoby bezpośrednio państwu więcej szkody niż jego zaniechanie. To prawda, że chodzi o miliony, które ze zmarłymi schodzą do grobu, a więc o wartości dla gospodarki narodowej stracone, których utratę w czasie obecnych trudności gospodarczych odczuwa się szczególnie ostro; ale tym bardziej trzeba zapytać,

czy korzyść materialna może wynagrodzić szkodę poniesioną na dobru kulturalnym? Na to pytanie odpowiedź musi być przecząca, ponieważ korzyści materialne, jakich oczekiwaliby państwo i ich działanie na rzecz poszczególnych osób mają znacznie mniejszą wagę aniżeli ciężkie zranienie ich uczuć. Jakkolwiek pojęcie szacunku dla zwłok nie jest czymś absolutnie ustalonym, jakkolwiek różni się w różnych czasach, to jednak to, co się przez nie rozumie, nie może opierać się na zdaniu jednej osoby, ale na przekonaniu większości. „*Noli me tangere*” w odniesieniu do zwłok jako uczucie szacunku ogromnej większości społeczeństwa musi być brane pod uwagę, ponieważ chodzi tu o podstawowe poglądy religijne i obyczaje.

b) Zagadnienie wykonania praktycznego.

Gdyby istniało ustawodawstwo przewidujące usuwanie złota z ust zmarłych, musiałby lekarz, który stwierdza zgon, zaznaczać na świadectwie zgonu, czy stwierdził w jamie ustnej zmarłego dostawkę dentystyczną złotą. W takim wypadku należałoby to złoto usunąć. Jakże jednakże stanowisko zajęłoby w stosunku do tego zagadnienia stomatolog? Oto parę przykładów argumentacji za i przeciw:

„usuwanie złota wywoływałoby w rodzinach rozżalenie i podniecenie chyba nieproporcjonalne do uzyskanych korzyści materialnych i kosztów; bo nie wyobrażam sobie, aby nawet najgorętszy zwolennik tej idei chciał tę funkcję spełniać z urzędu i honorowo” (*Könnecke, Zahnärztl. Rundsch.*, 1925, nr 43);

„człowiek, który po długich cierpieniach zakończył żywot, powinien mimo tego, że jako zmarły staje się już tylko przedmiotem, być chroniony przed jakimikolwiek zabiegami z powodu kilku gramów złota. Jak „subtelnie” wyglądałyby takie zabiegi, o tym nie warto mówić. Wątpliwe też jest, czy znalazłoby się wielu kolegów do wykonywania tej „sympatycznej” czynności. Ja przynajmniej uważałem działalność stomatologa za działalność lekarza, który jest powołany do pomagania chorym, nie zaś do tego, by być poszukiwaczem złota u zmarłych” (*Buff, Z. R.* nr 43);

„ważnym punktem w tej całej sprawie nie jest ani jedno, ani drugie. Nikt by się nie sprzeciwiał wyjmowaniu złota z jamy ustnej, gdyby to było tak proste, jak usunięcie ruchomej protezy. To jest ten punkt neuralgiczny, pozorna brutalność usuwania, która wydaje się niezgodna z szacunkiem dla zwłok, dlatego, że zabieg jest wykonywany dla korzyści materialnych” (*Werkenthin, Z. R.* 1925, nr 43).

Przedstawione tu przeciwstawne stanowiska prawdopodobnie nie dadzą się nigdy pogodzić, ponieważ ich podstawę stanowią właśnie zagadnienia światopoglądowe.

III. Możliwości rozwiązania problemu.

1. Usuwanie złota bezpośrednio po śmierci.

Jest taka możliwość, jeżeli nosiciel złotej dostawki wydał już za życia odpowiednie za-

rządzenie i gdy na tej podstawie spadkobiercy każą usunąć złoto z jego ust. Jak już wyżej przedstawiono, taka ewentualność jest możliwa; praktycznie jednak ma ona małą wartość. Któż przeprowadzi takie zarządzenie? Dla państwa pojedyncze przypadki nie mają znaczenia. Spadkobiercy natomiast z reguły zrzekną się wykonania takiego zarządzenia, ponieważ ciało zmarłego jest dla nich przedmiotem, który należy traktować ze szczią i szacunkiem. Brak jest podstawy prawnej, która potrafiłaby zmusić ich do przeprowadzenia woli zmarłego, trudno zaś żądać od rodziny, aby spełniała życzenie zmarłego, które głębokoko rani ich uczucia.

2. Usuwanie z popiołów.

Najprostszym sposobem uzyskiwania z powrotem złota z jamy ustnej zmarłych byłoby, gdyby wszystkie zwłoki były palone. Wtedy można by łatwo usunąć złoto z popiołów bez ranienia uczuć szacunku dla zwłok. Popiół stanowi całkowicie odpersonifikowaną pozostałość. *Werkenthin* pisze na podstawie rozmów z zarządami krematoriów, że złote zęby pozostają przy paleniu zwłok przez godzinę w temperaturze 1000 stopni Celsjusza i że do chwili obecnej nigdy nie stwierdzano w popiołach złota. *Pfaff* podaje, że na jego żądanie wydano mu w trzy godziny po spaleniu zwłok jego krewnego trzy doskonale zachowane złote płomy (*Zahnärztl. Rdsch.* 1925, nr 43). Moje własne rozmowy z zarządami różnych krematoriów dały następujący wynik: po spaleniu nie znaleziono jeszcze nigdy złota w popiołach; złoto topi się w temperaturze 1063 stopni, zwłoki zaś są palone przy 800—1200 stopni; najwidoczniej złoto zostaje wchłonięte albo otoczone przez popiół i odnalezienie go jest bardzo trudne.

Trudno powiedzieć, czy te negatywne wyniki zależne są od faktu, że zarządy poszczególnych krematoriów do tej pory nie interesowały się tym zagadnieniem albo interesowały się mało; pewne natomiast jest, że dałoby się znaleźć sposób na odzyskiwanie złota z popiołów bez uwłaczania im. Wartość gospodarcza odpowiedniego postępowania jednak byłaby również w tym przypadku ograniczona, ponieważ nie wszystkie zwłoki są palone, a ustawowe wprowadzenie palenia nie jest możliwe ze względu na przekonania religijne.

3. Usuwanie złota przy przekopywaniu grobów.

Znacznie trudniej przedstawia się sprawa przy grzebaniu zwłok. Na pierwszym miejscu musiałby zarząd cmentarza rejestrować wszystkie groby, w których spoczywają zmarli z dostawkami złota w jamie ustnej tak, aby się dało przy późniejszym przekopywaniu odpowiednich grobów złoto z powrotem „odnaleźć”. Nie potrzeba podkreślać trudności, na jakie napotkałby taki projekt. Do tego dochodzi okres czasu, w którym zwłok nie wolno poruszać, a który np. w okręgu wrocławskim wynosi 25 lat.

4. Zakaz stosowania złota w obrębie uzębienia widocznego.

Taki projekt, który posiada znaczenie raczej profilaktyczne, dałby się o tyle łatwiej przeprowadzić, że dziś można uzyskać prawie zupełnie te same wyniki, stosując w niewidocznych partiach uzębienia zamiast złota białe stopy.

Mimo że wynik naszych badań skłania się na stronę negatywną, to jednak nie jest to zakończenie sprawy, ale dopiero jej początek.

(Drukowano w Paul Schwarzers Buchdruckerei, Strehlen, Ring 30—31).

W r. 1944 polski Ruch Oporu, opierając się na materiałach przesyłanych przez więźniów obozu oświęcimskiego, rozpowszechnił wśród ludności niemieckiej ulotkę następującej treści (przekład polski):

„Zęby z Oświęcimia” (tytuł oryginału: „Die Zähne von Auschwitz”):

W pobliżu dworca kolejowego Oświęcim odgałęzia się boczny tor w kierunku obozu w Brzezince. Po przejechaniu 1 km przechodzi pociąg pod bramą budynku; dalej już rozciągają się druty kolczaste i wieżyczki strażnicze. Ciekawie i trochę niespokojnie wyglądają ludzie przez okna. To ma być ich nowa ojczyzna. Jak się będzie tu żyło z żoną i dziećmi, gdzie się będzie pracować? Na prawo i lewo rozciąga się miasto baraków. Wszędzie roi się od jeńców, którzy budują drogi, czyszczą rowy, wyładowują materiał budowlany z wagonów. Pociąg się zatrzymuje. Wysiadać. Wreszcie jest się u celu podróży trwającej często wiele dni. Żołnierze z karabinami gotowymi do strzału, z pistoletami maszynowymi, otaczają pociąg. Kilkunastu oficerów przyjmuje transport. Dzieci wynosi się na świeże powietrze, potem kufry, kosze, tobołki. Oficerowie są nawet przyjaźni. Podają nawet wskazówki, gdzie układać bagaż (będzie on samochodami dowieziony na miejsce)³.

Przybyłych się rozdziela: kobiety, dzieci i chorych osobno, silnych mężczyzn i niektóre młode dziewczęta osobno. „Nie, proszę się nie żegnać” — uspokaja przyjaźnie starszy pan — „teraz idziecie się kąpać, a za pół godziny zobaczycie się znowu”. Mężczyźni i młode dziewczęta odmaszerowują. Towarzyszą im żołnierze SS. Jeszcze dostrzegają, jak ładuje się kobiety i dzieci na samochody ciężarowe; to było ostatnie za nimi spojrzenie.

Po dwóch minutach marszu spostrzega się rozrzucone na równinie mocne budynki z niezgrabnymi kominami. Są to krematoria Oświęcimia. W nich to obecnie rozbierają się kobiety, dzieci i starcy. Aby „się wykąpać”, odkładają swoją biżuterię, swoje pieniądze. Następnie po kilkaset zostają wepchnięci do niszkienia, zimnego, pozbawionego okien pomieszczenia. Człowiek w masce gazowej wysypuje dwa lub trzy pudełka gruboziarnistej substancji na podłogę i zanim się ktokolwiek zorientuje, opuszcza salę, a ciężkie drzwi zamykają się za nim.

Na językach wyczuwają wstrętny posmak blachy. Gorzki posmak wdiera się do krtani,

drapie, oddech staje się ciężki i tylko krzyk, krzyk setek w bezcelowej i beznadziejnej trwodze. Dzieci rzucają się w drgawkach w ramionach matek i umierają. Dorośli upadają na kolana, śluz wypływa im z ust i nosa, łapią powietrze, upadają w drgawkach na ziemię. Wreszcie jednak wśród cierpień tracą przytomność.

Po kilku minutach otwierają się zasuwy wentylatorów. Otwiera się drzwi. Wkraczają więźniowie i SS-mani. Przeszukują jeszcze ciepłe zwłoki, wyrwa się złote zęby, wszystkie sztuczne zęby⁴. Nic nie szkodzi, że w pośpiechu łamie się okostną; następnych siedmiuset czeka już swojej kolejki.

W ten sposób ginie w Oświęcimiu zduszonych kwasem pruskim pięćdziesiąt, sześćdziesiąt tysięcy ludzi tygodniowo. Ginią powstańcy z Warszawy, ginią Żydzi z Theresienstadt, z Budapesztu, z Żyliny i Łodzi, ginią ludzie niewinni, bezbronni i pełni ufności. Krematoria nie nadążają w paleniu. W odległości około kilkuset kroków przygotowano więc stosy spaliskowe, skąd daleko w pola roznosi się jęk i zapach spalonych ciał.

Czy złoto z ograbionych pomoże Trzeciej Rzeszy prowadzić „świętą narodową wojnę”? Sztuczne szczęki uduszonych? Nie, niemiecki Towarzyszu; czyś po r. 1941 wprawiał sobie protezę zębową? Tobie nie ma czego zazdrościć. Sztuczny ząb w Twoich ustach jest częścią łupu Hitlera Tobie podarowaną. Tym zębem gryzie Cię Żyd z Antwerpii lub Salonik. Każdy dzielny Niemiec ma sztuczną szczękę wyłamaną ze spienionych ust zmarłych w Oświęcimiu. W tym się ujawnia podarunek, jaki otrzymałeś od „niemieckiego socjalizmu”.

Cytowane dokumenty w znanym mi piśmiennictwie nie były publikowane. W procesie norymberskim zagadnienie eksploatacji zwłok dla celów gospodarczych było dość szeroko rozpatrywane, między innymi usuwanie ze zwłok złotych zębów⁵, eksploatacja włosów kobiet, mączki z kości ludzkich, przeróbka ludzkiej tłuszczu na mydło, przeróbka skóry ludzkiej na przedmioty galanterijne (np. abażury, oprawa książek) itp.

PRZYPISY

¹ Aus dem zahnärztlichen Institut der Universität Breslau. Direktor: Prof. Dr Euler. Über die Möglichkeit der Wiederverwendung des Goldes im Munde der Toten. Inaugural-Dissertation zur Erlangung des Grades eines Dr der Zahnheilkunde der Hohen medizinischen Fakultät der Schlesischen Friedrich-Wilhelm Universität zu Breslau, vorgelegt von Viktor Scholz aus Breslau, Zahnarzt 1940. Druck: Paul Schwarzer's Buchdruckerei, Strehlen, Ring 30—31. Zacytowano tę pracę w przekładzie polskim, z nielicznymi skrótami, nie naruszającymi istotnej treści. Na końcu pracy znajduje się życiorys doktoranta: „Ja, Wiktor Scholz, urodziłem się w Łodzi dnia 13 lipca 1904 r., jako syn wermistrza Wilhelma Scholza i jego żony, Luizy z d. Michel. Do szkoły ludowej i do gimnazjum uczęszczałem w Leobschütz D/S i tamże uzyska-

łem w okresie wielkanocnym 1924 r. świadectwo dojrzałości. 1 maja 1933 rozpocząłem na uniwersytecie we Wrocławiu studium dentystyki; zdałem w r. 1936 egzamin wstępny, a w r. 1938 egzamin państwowy z tejże specjalności".

² *Bundes-Gesetz-Buch.*

³ Więźniowie przybywający do obozu koncentracyjnego Oświęcim wypełniali w czasie rejestracji danych personalnych rubrykę dotyczącą złotych zębów więźnia.

⁴ Przesyłając pierwsze masowe transporty żydowskie do Oświęcimia *Adolf Eichmann* przekazał rozkaz *Himmlera* dotyczący usuwania ze zwłok sztucznych zębów i obcinania włosów zagazowanym kobietom. Miało to być wykonane przed spaleniem zwłok. Początkowo przepatrywali złote zęby lekarze-dentyści z *SS-Revieru*. W późniejszym okresie działało się to w specjalnym warsztacie, w tzw. odlewni złota przy III krematorium. Przy pracach tych zatrudnionych było codziennie 40 więźniów. W niektórych okresach ilość przetopionego tam złota pochodzącego z zębów dochodziła do 12 kg dziennie. Jak wynika z meldunków kierownika stacji dentystycznej dla więźniów, usunięto w r. 1942 — 2904 numerowanych więźniom w Oświęcimiu łącznie 16325 złotych i platynowych zębów. Otrzymane w ten sposób złoto przesyłano w sztabach do Urzędu Sanitarnego SS i rozdzielano je następnie *SS-mańskim* stacjom dentystycz-

nym. Już jednak w r. 1942 dostawy przekroczyły wyrażnie zapotrzebowanie tak, że pozostał zapas 50 kg złota. Dalsze zapasy złota przesyłano więc do Banku Rzeszy (cyt. za *J. Sehnm*: Obóz koncentracyjny Oświęcim-Brzezinka).

⁵ Były więzień Oświęcimia, dr *Miklos Nyiszli* (nr więźnia A 8450), przydzielony do pracy w tzw. *Sonderkommando* przez lekarza SS, dr *Mengele*, opisał w r. 1951 swoje wspomnienia obozowe. Pracując w krematorium jako anatomopatolog widział akcję wrywania złotych zębów: „Komando złożone z 8 „dentystów” czeka przed piecami. W jednej ręce trzymają łom żelazny, w drugiej kleszcze do wrywania zębów. Obraca się zmarłych twarzą do góry, otwiera się im usta i usuwa złote zęby i mostki. Praca idzie szybko i bez ostrożności. Zębów nie wrywa się, lecz wyłamuje. Choć dentystami z tego komanda są wyłącznie wybitni specjaliści, chirurdzy szczękowi, dr *Mengele* wyraźnie zażądał, aby do tej pracy zgłaszali się specjaliści pierwszej klasy. Zgłosili się, ponieważ tak, jak i ja, oczekiwali pracy w swoim zawodzie. Złote zęby wrzucano do kąpieli do kwasu solnego, aby usunąć trzymające się resztki kostne i mięsne... Złoto jest ciężkie; przypuszczam, że gromadzono go dziennie w krematoriach 8—10 kilogramów” („*Auschwitz Zeugnisse und Berichte*”, *Europäische Verlagsanstalt*, 1962, str. 88—89).

STANISŁAW KŁODZIŃSKI

były więzień obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu nr 20019

Zbiór szkieletów żydowskich dla uniwersytetu III Rzeszy w Strasburgu (Z działalności prof. dr Augusta Hirta)

(Z Kliniki Ftyzjatrycznej AM w Krakowie
Kierownik: Prof. dr S. Hornung)

W r. 1941 prof. dr *August Hirt*, ówczesny hitlerowski ordynator zakładu anatomii w Strasburgu, złożył na ręce *Wolframa Sieversa*, generalnego sekretarza Instytutu Badań nad Dziedzicznością (*Ahnenerbe*), tymczasowy raport ze swojej pracy naukowej oraz z zamierzeń na przyszłość.

O treści tego raportu dowiadujemy się z listu *Sieversa* do dra *Rudolfa Brandta*, osobistego referenta *Himmlera* (dokument nr 085 z 9. II. 1942). Z listu tego wynika, że raport *Hirta* jest nieco opóźniony, prof. *Hirt* znalazł się bowiem w klinice z powodu krwotoku płucnego (płuco torbielowate) i zaburzeń krążenia. W pierwszej części tego raportu *Hirt* opisuje swoje prace na temat mikroskopii przyżyciowej, konstrukcji nowych mikroskopów i studia nad nowoczesną metodyką badań. W drugiej części raportu, przytoczonej tutaj w dosłownym tłumaczeniu, zajmuje się „zabezpieczeniem czaszek komisarzy żydowsko-bolszewickich celem przeprowadzenia badań naukowych w uniwersytecie Rzeszy w Strasburgu”:

„Posiadamy znaczne zbiory czaszek prawie wszystkich ras i ludów. Natomiast mało jest czaszek rasy żydowskiej, pozwalających na studia i ich dokładne opracowanie. Wojna na Wschodzie daje nam teraz okazję, by zapobiec temu niedoborowi. Mamy możliwość uzyskania ważnego dokumentu naukowego, zabezpieczając czaszki bolszewickich żydowskich komisarzy, którzy stanowią odrażający, lecz charakterystyczny świat podludzi.

Praktyczne przeprowadzenie zebrania i zabezpieczenia bez rozgłosu tego zbioru czaszek powinno być najbardziej celowo wykonane przez wydanie zlecenia *Wehrmachtowi*, by w przyszłości przekazywał natychmiast bolszewickich żydowskich komisarzy żandarmerii polowej. Żandarmeria polowa winna natychmiast otrzymać specjalne polecenie meldowania na bieżąco stanu i miejsca pobytu Żydów wziętych do niewoli. Winni być oni dobrze strzeżeni aż do momentu przybycia człowieka specjalnie upoważnionego. Upoważniony do zabezpieczenia materiału człowiek (młody lekarz lub student medycyny, będący w wojsku

lub żandarmerii polowej), wyposażony w osobowy samochód z kierowcą — ma za zadanie wykonać szereg określonych zdjęć fotograficznych oraz pomiary antropologiczne. Powinien też, jeśli to możliwe, ustalić pochodzenie jeńców, ich datę urodzenia oraz inne dane osobowe.

Po zgładzeniu tych Żydów (których głowa nie powinna być przy tym uszkodzona) odcina on głowę od tułowia i przesyła do miejsca przeznaczenia w osobnym naczyniu blaszanym, dobrze zamkniętym, przystosowanym do tego celu, po uprzednim zanurzeniu jej w płynie konserwującym. Badania anatomiczne i porównawcze można by rozpocząć na podstawie posiadanych zdjęć fotograficznych, pomiarów i pozostałych danych dotyczących głowy i czaszki. Następnie przeprowadzono by badania nad przynależnością rasową, nad patologicznymi zmianami w układzie czaszki, nad kształtem mózgu i jego wielkością oraz nad innymi zagadnieniami.

Nowy uniwersytet Rzeszy w Strasburgu byłby zgodnie ze swoim przeznaczeniem i zadaniem najbardziej odpowiednim miejscem dla przechowywania i badania zbioru czaszek używanego tym sposobem".

Odpowiadając na ten list, *Rudolf Brandt* napisał do *Sieversa* w dniu 27. II. 1942 r. co następuje (dok. nr 090):

„Zrelacjonowałem dzisiaj *Reichsführerowi SS (Himmlerowi — przyp. red.)* raport profesora *Hirta*. Ogromnie go zaciekał tak, że odda do dyspozycji prof. *Hirta* wszystko, czego będzie potrzebował. Z naszej strony powinniśmy zrobić wszystko, co możliwe, by prof. *Hirt* odzyskał zdrowie. Proszę więc zaproponować, w jaki sposób najlepiej można mu pomóc. Może mała przesyłka owoców wpłynie korzystnie na poprawę stanu jego zdrowia. Po wyzdrowieniu byłoby dobrze odbyć konferencję z *Reichsführerem SS*. Przy okazji przyszłych Pana odwiedzin będzie Pan mógł jeszcze raz zorientować się w pracy prof. *Hirta*."

Hirt, spodziewając się większych dostaw zwłok, myśli o tanich środkach transportowych (list z 17. VII. 1942):

„Poufne! Do naczelnego prokuratora przy sądzie krajowym w Stuttgarcie. Stuttgart—0, ul. Urbana 10. Dotyczy tamtejszego pisma z 15. VII, nr 4417. — Zamówiony przeze mnie samochód na zwłoki nie jest jeszcze dotychczas dostarczony. Ponieważ jednak z jednej strony Instytut Anatomii w Strasburgu nie dysponuje jeszcze pokażniejszą ilością zwłok, a z drugiej strony w najbliższym czasie zgodnie z Waszą zapowiedzią powinno się liczyć ze zwiększonymi dostawami zwłok, można by rozważyć, czy zwłok tych nie należałoby przekazać transportem kolejowym. W tym wypadku kalkulowałoby się lepiej wynająć wagon kolejowy. Wóz oddany do mojej dyspozycji nie może przyjąć więcej niż 4 zwłoki. Dyrektor Instytutu Anatomicznego".

Jak wynika z zachowanych dokumentów, dopiero w kilka miesięcy później (2. XI. 1942) *Sievers* ponownie zwraca się do dr *R. Brandta* w tej samej sprawie (dok. nr 086):

„Jak wiecie, *Reichsführer SS* polecił dostarczyć prof. *Hirtowi* cały materiał potrzebny do jego pracy badawczej. Zrelacjonowałem już *Reichsführerowi*, że 150 szkieletów więźniów, najchętniej Żydów, potrzebnych jest dla studiów antropologicznych i że mają one być dostarczone przez obóz koncentracyjny w Oświęcimiu. Jediną rzeczą, jaką należy zrobić, jest skierowanie przez *Reichsführera SS* oficjalnych dyrektyw do Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Zresztą, powołując się na rozkaz *Reichsführera SS*, może Pan sam wystosować odpowiednie zlecenie".

1 listopada, a więc o jeden dzień wcześniej niż brzmi data poprzedniego listu, zwrócił się *R. Brandt* pisemnie do Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy (do Urzędu IV B 4, czyli do *Eichmanna*), powiadamiając go (dok. nr 116): „Dotyczy zbioru szkieletów Zakładu Anatomii w Strasburgu. *Reichsführer SS* zlecił, aby prof. dr *Hirt*, *SS-Hauptsturmführer*, dyrektor anatomii w Strasburgu, jednocześnie kierownik oddziału instytutu do badań naukowo-wojskowych *Ahnenerbe*, otrzymał wszystko, co jest potrzebne do jego badań. Na polecenie zatem *Reichsführera SS* proszę ułatwić mu stworzenie planowanego zbioru szkieletów. O szczegółach powiadomi pana *SS-Obersturmbannführer Sievers*".

Kopię tego listu przesłano do *Ahnenerbe* w dniu 27. XI. 1942 (dok. nr 089). W dniu 3. XII. 1942 r. *Brandt* informuje ponownie *Sieversa*, że rozmawiał w tej sprawie z *SS-Obergruppenführerem Pohlem* w myśl życzenia *Sieversa* (dok. nr 092). W dniu 3. XI. 1942 r. *Sievers* zredagował notę streszczającą jego interwencję na rzecz zbioru *Hirta*:

„*Reichsführer SS* w liście swoim z 13. VII. 1942 r. polecił prof. *Hirtowi* (*Hauptsturmführer SS*) wykonać prace wyznaczone mu w obozie koncentracyjnym Natzweiler. Zdecydowano na przygotowanej przeze mnie konferencji, że punkt wyjściowy badań zostanie ustalony w Natzweiler (prof. *Hirt* uda się do Natzweiler 31. VIII 1942 r.). Ustną relację zdałem 9. IX. 1942, a w dniu 11. IX. 1942 r. relację pisemną *Brigadeführerowi SS Glückowski*, który ją przyjął i obiecał całkowite poparcie. Z racji pośpiechu w tych badaniach poprosiłem prof. *Hirta*, by się powtórnie udał do Natzweiler, ponieważ dotąd nie doszła do nas żadna wiadomość o rozpoczęciu prac".

W dniu 21. VI. 1943 r. *Sievers* powiadomił *Eichmanna* (dok. nr 087): „Dotyczy utworzenia zbioru szkieletów. — W związku z tamtejszym pismem z dnia 25. IX. 1942 r., IV B4 3576/42 g 1488 i z osobistymi rozmowami tymczasem przeprowadzonymi na powyższy temat, powiadamia się, że pracownik upoważniony do przeprowadzenia tego specjalnego zadania, *Hauptsturmführer SS*, dr *Bruno Beger* z tutejszej placówki, zakończył pracę 15. VI. 1943 r. w obozie koncentracyjnym Oświęcim z powodu istniejącego tam niebezpieczeństwa epidemii. Łącznie opracowano tam 115 osób, z tego 79 Żydów, 2 Polaków, 4 ze środkowej Azji i 30 Żydówek. Więźniowie ci przebywają na kwartannie w szpitalu męskim obozu koncentrac-

cyjnego Oświęcim, podzieleni na mężczyzn i kobiety. W celu dalszego opracowania wybranych osób konieczne jest natychmiastowe przeniesienie ich do obozu Natzweiler. Powinno to nastąpić w przyspieszonym tempie ze względu na niebezpieczeństwo epidemii w Oświęcimiu. Dołącza się imienny wykaz wyszukanych osób. Należy też wydać odpowiednie polecenia, ponieważ przy przekazywaniu więźniów do obozu Natzweiler istnieje niebezpieczeństwo zawleczenia epidemii. Zwraca się uwagę, by zarządzić niezwłocznie przesłanie 80 ubrań więźniarskich czystych i wolnych od zarasków dla mężczyzn i 30 dla kobiet z Natzweiler do Oświęcimia. Równocześnie należy się postarać, by stworzyć w męskim obozie koncentracyjnym Natzweiler miejsce dla przejściowego pobytu 30 kobiet".

Odpisy tego pisma otrzymali SSH/Stuf. dr Beger i SSH/Stuf. prof. dr Hirt.

Dalszy los ofiar przedstawia następnie dopiero po wojnie Józef Kramer, komendant obozu koncentracyjnego Natzweiler, sądzony w Strasburgu w r. 1945 przed Wojskowym Trybunałem 10 Rejonu. J. Kramer składał swoje zeznania przed płk. Jadinem. Kramer został skazany na karę śmierci i stracony.

Przesłuchanie J. Kramera dotyczące morderstwa osób przeznaczonych dla zakładu anatomii w Strasburgu przedstawia się następująco (dok. nr 807):

„Byłem księgowym w Augsburgu do r. 1932. Wtedy to zgłosiłem się dobrowolnie do SS i polecono mi czuwać nad więźniami obozów koncentracyjnych. Zanim rozpoczęły się działania nieprzyjacielskie, byłem oficerem w różnych obozach koncentracyjnych, w szczególności w Esterwegen, Sachsenhausen, Dachau, Mauthausen i w Oświęcimiu. W sierpniu 1943 r. otrzymałem z obozu w Oranienburgu lub może z jeszcze wyższego miejscem kierownictwa SS w Berlinie rozkaz, w którym polecono mi przyjąć około 80 więźniów z Oświęcimia. W liście towarzyszącym temu rozkazowi było powiedziane, że mam się natychmiast skontaktować z profesorem Hirtem z wydziału medycznego w Strasburgu. Udałem się do instytutu anatomii w Strasburgu, gdzie był Hirt, który mnie poinformował, że on już wie o przybyciu więźniów z Oświęcimia do Struthofu (Struthof — dawna nazwa obozu Natzweiler, przejęta z nazwy folwarku — przyp. red.). Powiedział mi też, iż te osoby powinny być zabite śmiercionośnym gazem w komorze gazowej obozu Struthof i że zwłoki ich mają być następnie przeniesione do instytutu anatomii, aby były do jego dyspozycji. Po tej rozmowie dał mi butelkę, która zawierała około 0,25 litra soli, jak sądzę, soli cyjanowodoru. Profesor powiedział mi, jaką mniej więcej dawkę powinienem wziąć, by zatruć więźniów, którzy mieli nadejść z Oświęcimia, a o których ja panu właśnie wspomniałem. Na początku sierpnia 1943 r. otrzymałem 80 więźniów, którzy mieli być zatruci gazem otrzymanym od Hirta.

Pewnego wieczoru przybyłem po raz pierwszy małym wozem pod komorę gazową, zabie-

rając z sobą 15 kobiet. Była mniej więcej godzina 9. Powiedziałem tym kobietom, że mają one iść do izby dezynfekcyjnej, nie powiedziałem im jednak, że mają być zatrute. Przy pomocy kilku SS-manów rozebrałem je całkowicie, a gdy były nagie, wepchnąłem do komory gazowej. Po zamknięciu drzwi kobiety zaczęły wyć. Wtedy wsypałem przez rurę, która się znajdowała na prawo u góry obok wziernika, pewną ilość soli. Następnie zamknąłem otwór rury korkiem umocowanym na końcu tej rury. W korku tym była rurka. Ta metalowa rurka wysysała sól i wodę do wnętrza komory, o której poprzednio mówiłem. Za pomocą kontaktu, który się znajdował blisko rury, oświetliłem wnętrze komory i obserwowałem przez wziernik, co działo się w pomieszczeniu. Widziałem, że te kobiety oddychały jeszcze może pół minuty, zanim upadły na podłogę. Następnie uruchomiłem wentylator wewnątrz komina i otworzyłem drzwi. Znalazłem kobiety leżące bez życia na podłodze. Całe pokryte były wydalinami. Następnego ranka poleciłem sanitariuszom SS, by ułożyli zwłoki na wóz i odwieźli je do instytutu anatomii tak, jak polecił mi prof. Hirt. Była mniej więcej godzina 5.30. W kilka dni później wprowadziłem wśród tych samych okoliczności znowu pewną liczbę kobiet do komory gazowej, gdzie w ten sam sposób były zagazowane. W kilka dni później poszedłem znowu do komory gazowej i to się powtarzało 2 albo 3 razy, aż zabiłem 50 a może 55 mężczyzn solami, które mi dał Hirt." (Odpowiedź na pytanie:) „Nie troszczyłem się wcale o to, co Hirt miał zamiar robić ze zwłokami więźniów, których otrujęm. Na podstawie poleceń, które dał mi w Struthofie, nie uważałem za stosowne pytać się go o to". (Odpowiedź na pytanie:) „Nie zastanawiałem się nad tym, do jakiej narodowości należeli więźniowie zamordowani przeze mnie. Przypuszczam, że pochodzili z Europy południowo-wschodniej. Nie potrafię jednak wymienić, z jakiego kraju". (Odpowiedź po przedstawieniu albumu fotograficznego, w którym były zawarte zdjęcia komór gazowych:) „Rozpoznaję na tych fotografiach komorę gazową ze Struthofu, która została zbudowana w połowie r. 1943, aby w niej otruć więźniów przeznaczonych dla prof. Hirta". Pytanie: „Pan rozmawiał już ze mną na temat okoliczności, wśród których zabił pan więźniów po wprowadzeniu gazu. Jeżeliby jednak nie byli oni przez pana w ten sposób zamordowani, czy zamordowałby ich pan kulą?" Odpowiedź: „Próbowałbym jeszcze raz zadusić ich gazem, rzucając drugą dawkę gazu do komory gazowej. Wypełniając te czynności nie miałem żadnego uczucia, ponieważ otrzymałem rozkaz, aby tych 80 więźniów w ten sposób zabić, jak to panu opowiedziałem". „Ostatecznie do tych metod jestem przyzwyczajony".

W dniu 18. XII. 1946 r. pewien obywatel francuski, Henryk Henrypierre, urodzony w Liépure w departamencie Haut-Rhin w r. 1905, zeznawał przed Trybunałem, co następuje: W czerwcu 1942 r. zmuszony do powrotu do Alzacji, po aresztowaniu i internowaniu

w Campiègne zgłosił się do pracy w Strasburgu i został przyjęty w charakterze preparatora w instytucie anatomii kierowanym wówczas przez prof. *Hirta*. Pewnego czerwcowego dnia 1943 r. prof. *Hirt* polecił mu przygotować baseny na 120 zwłok. Pierwsza partia liczyła 30 jeszcze ciepłych zwłok kobiecych. *Henrypierre* zapisał na kawałku papieru numery wytatuowane na lewym przedramieniu, widoczne na zwłokach. Następnie nadeszły zwłoki 30 mężczyzn i jeszcze raz zwłoki 27 mężczyzn. Zwłoki zakonserwowano. Przed wkroczeniem wojsk alianckich do Strasburga prof. *Hirt* polecił zwłoki te rozkawałkować, a następnie spalić w miejskim krematorium. Nie wszystkie one zostały jednak spalone, a te, które pozostały, sfotografowały władze francuskie. *Henrypierre* pomagał przy tych czynnościach. Numery stwierdzone na zwłokach zgodne były z numerami z listy *Henrypierre*.

Henrypierre odpowiadał m. in. na następujące pytania zadawane mu w Sądzie:

„*James Mac Haney*: Kiedy zaczęliście pracować w Strasburgu pod kierownictwem dr *Hirta*? — *Henrypierre*: Od około 20 czerwca 1942 roku. Moim bezpośrednim przełożonym był główny preparator prof. *Hirta*, obywatel niemiecki *Otto Bong*, który przybył do Strasburga z profesorem. *Bong* nauczył mnie preparowania zwłok i ich konserwowania. Były to przygotowania do wykładów dla studentów w amfiteatrze. — *McH*: Zeznaliście, żeście otrzymali około 250—300 zwłok jeńców rosyjskich? — *H*: Rosyjskich i polskich, tak proszę pana. — *McH*: Skąd wiedzieliście, że chodzi o jeńców wojennych? — *H*: Prawie każde zwłoki posiadały świadectwo zgonu, podczas gdy 87 ofiar przysłanych w sierpniu nie miało żadnych dokumentów. W lipcu 1943 r. odwiedził prof. *Hirta* wyższy oficer SS, który pojawiał się w tymże miesiącu aż trzy razy. Prof. *Hirt* zaprowadził go do podziemia dla obejrzenia zwłok. W kilka dni później *Bong* powiedział mi, że musi przygotować zbiorniki na 120 zwłok. Przygotowaliśmy więc zbiorniki, do których wlało 55-procentowy syntetyczny alkohol. Pierwsza przesyłka obejmowała 30 kobiet: przybyły o 7 rano. Tych 30 zwłok zostało wyładowanych przez kierowcę i jego dwóch pomocników, z pomocą *Bonga* i moją. Natychmiast zaczęto konserwację tych zwłok. W chwili przybycia były one jeszcze ciepłe. Oczy miały szeroko otwarte i błyszczące. Wydawały się czerwone z wylewu krwi i wychodziły z orbit. Widać było ślady krwi koło nosa i ust. Nie stwierdzało się stężenia pośmiertnego. W tym momencie pojąłem, że ofiary te musiały być otrute lub uduszone. Żadne zwłoki uprzednio przysyłane do konserwacji nie miały takich oznak przy przybyciu. Dlatego zanotowałem serie numerów, które te kobiety miały wytatuowane na przedramieniu. Zapisałem je na kawałku papieru i schowałem u siebie. Numery składają się z 5 cyfr.

W parę dni później otrzymaliśmy drugi transport 30 mężczyzn. Przybyli dokładnie w tym

samym stanie, co pierwsi, to znaczy z oczami otwartymi, znieruchomiałymi, błyszczącymi, krwawiąc z ust i nosa i wydzielając odchody. Konserwacja zwłok tych 30 mężczyzn zaczęła się natychmiast z małą od poprzedniej różnicą. Z każdego zwłok wyjęto lewe jądro i przesłano je do laboratorium dr *Hirta*. Za parę dni otrzymaliśmy trzeci i ostatni transport 26 mężczyzn, którzy przybyli w identycznym stanie, jak poprzednicy.

Po pierwszym transporcie spotkałem prof. *Hirta* w instytucie anatomii. Powiedział mi: „Piotrze, jak nie będziesz miał zamkniętej gęby, dojdiesz do nich”. Słowo w słowo, tak to *Hirt* powiedział. Jeszcze na jedną rzecz pragnę zwrócić uwagę. W rozmowie z *Bongiem* w podziemiach zakładu anatomii *Hirt* wyraził się, zanim jeszcze te ciała przyszły: „Oni będą padali, jak muchy”. Wszystko to było dla mnie oznaką, że musi chodzić tu o prawdziwy mord. Miałem więc pewną podstawę do tego, by uwierzyć, że tych 86 ofiar, któreśmy otrzymali, zmarło nienaturalną śmiercią.

Pytanie: Dlaczego świadek przyjmuje, że ci ludzie byli zamordowani? A może otrzymaliście razem ze zwłokami meldunki o śmierci? — Odpowiedź: Przy konserwacji pierwszych zwłok, które otrzymaliśmy z obozu Mutzig, przy każdym zwłoku była karta z oznaczoną przyczyną zgonu. Dla tych 86 ofiar nie było podanej żadnej przyczyny zgonu. Musicie równie dobrze, jak i ja wiedzieć, że osoba umierająca naturalną śmiercią nie ma błyszczących oczu, jak te, które ja widziałem, nie wykazuje także podbiegnięć krwawych. Nie wpływa też krew ani z oczu, ani z nosa, ani z ust. Po wtóre, były te ciała jeszcze ciepłe i dlatego w moim pojęciu nie mogło być naturalnej śmierci.

Pytanie: Teraz rozumiem. Nie jestem pewny, czy pan mówił sądowi, kiedy przyszła pierwsza przesyłka zwłok. Może pan na to odpowie. — Odpowiedź: Pierwsza przesyłka zwłok, tj. 30 kobiet, przybyła około 10 sierpnia. Nie pamiętam ściśle daty, ale musiało to być około 10 sierpnia. — Pytanie: A gdy przybyły zwłoki, czy pan je widział na swoje własne oczy? Odpowiedź: Tak jest, sam byłem przy tym obecny i musiałem je sam wyładowywać, dlatego niczego nie pomieszałem. — Pytanie: A następnie w dwa tygodnie później otrzymał pan przesyłkę z 30 zwłok? Odpowiedź: Tak jest, otrzymałem drugą przesyłkę z 30 zwłokami, a następnie trzecią—złożoną z 26 zwłok. — Pytanie: A co robił pan z tymi zwłokami, skoro je pan otrzymał? Odpowiedź: Gdy konserwacja tych zwłok była gotowa, złożono je w zbiornikach, około 15 zwłok na zbiornik. Chodziło tutaj o zwłoki, które były bardzo piękne. Zwłoki, które uprzednio przychodziły, były wychudzone, a zwłoki tych 86 osób były to ciała zdrowe, piękne, z silnymi mięśniami i nie wyglądało na to, jakby ci ludzie byli uprzednio wyniszczeni. Jedno, co było zadziwiające, to fakt, że w pewnej liczbie zwłok stwierdzało się na plecach charakterystyczne fałdy.

Pytanie: Czy świadek wie, czy ludzie, którzy byli zamordowani i następnie panu przystąpi, byli Żydami, czy też nie? Odpowiedź: W tym momencie, gdy zwłoki te otrzymałem, nie wiedziałem, czy to byli Żydzi, dlatego zapytałem o to *Bonga*, który mi odpowiedział: to wszystko są Żydzi. — Pytanie: Może świadek zechce opowiedzieć sądowi, co się stało ze zwłokami, skoro wam je dostarczono i przeniesiono do piwnicy? Odpowiedź: Zwłoki te zakonserwowano i złożono do zbiorników. Pozostały tam przez cały rok bez ruszania ich. We wrześniu 1944 r., gdy alianci zbliżali się do Belfortu, prof. *Hirt* wydał rozkaz panu *Bongowi* i *Meierowi* rozkawałkowania tych zwłok i spalenia w krematorium miejskim Strasburga. Gdy panowie *Bong* i *Meier* ukończyli tę pracę w pomieszczeniu, gdzie były zbiorniki, zapytałem następnego dnia pana *Bonga*, czy wszystkie zwłoki rozkawałkował; pan *Bong* odpowiedział: nie wszystkie zwłoki mogliśmy rozkawałkować, to zbyt wiele pracy. Część zwłok pozostawiliśmy na dnie zbiorników. Na to zapytałem *Bonga*, czy spalono wszystkie zwłoki z ich złotymi zębami? Na to odpowiedział *Bong*, że złote zęby, które ci Żydzi posiadali, przekazane były przez *Meiera* prof. *Hirtowi*. Pozostałe zwłoki, których nie można było powkładać do trumien, gdyż ich zabrakło, wrzucano z powrotem do zbiorników łącznie z innymi, by stworzyć prawdopodobieństwo, że są to pozostałości odpadków anatomicznych.

Pytanie: Czy był pan w Strasburgu, gdy alianci go zdobyli w 1944 roku? Odpowiedź: Gdy alianci wyzwolili Strasburg, ciągle jeszcze pracowałem w zakładzie anatomii. Ja to miałem przewieźć samochodem zakładu anatomii na drugą stronę Renu pana *Bonga*, jego żonę i sekretarkę profesora. To mi jednak nie odpowiadało. Na dzień przed przybyciem alianców byli oni w Sauvergne. Ja dowiedziałem się o tym z radia alianckiego. Poprzedniego dnia udałem się więc do garażu i unieruchomiłem samochód. Gdy w następnym dniu przybyli alianci, okazało się, że kiedy chcieliśmy wsiąść w samochód, był on zepsuty. Uczyniłem to, co było moim obowiązkiem.

Pytanie: Czy zwłoki, o których pan mówił, że nie były rozkawałkowane, znaleziono w instytucie uniwersytetu strasburskiego? Odpowiedź: Tak. — Pytanie: Czy nie wie pan, czy wykonywano zdjęcia fotograficzne tych zwłok? Odpowiedź: Tak, fotografowano te zwłoki, a liczne zdjęcia wykonywano w mojej obecności. Ja przy pomocy jeszcze kilku wyższych urzędników opróżniłem te zbiorniki, aby znaleźć całe zwłoki, które powinno się było fotografować. Zwłoki i ich numery na rękach zgadzały się dokładnie z numerami, które sobie wynotowałem. Prof. *Simons* wykonał w mojej obecności oględziny tych zwłok i ja przy tym byłem mu pomocny.

Pytanie: Teraz pokażę świadkowi książkę z fotografiami, aby pan wypowiedział się przed sądem, czy są to fotografie tych zwłok, które pozostawiono w Strasburgu? Odpowiedź:

Tak jest. Fotografie tych zwłok wykonano w Strasburgu. Prof. *Simons* zestawiał te fotografie w jeden album, podobnie jak i komisarz, komendant *Jardin*. — Pytanie: Proszę się przypatrzeć tej książce z fotografiami, stanowiącej dokument nr 483 i proszę powiedzieć sądowi, czy są to fotografie zwłok, które były dostarczone w sierpniu 1943 r. do uniwersytetu strasburskiego? Odpowiedź: Tak jest. (Świadkowi przedstawiono dokument). Tak, słusznie, mogę stwierdzić, że te fotografie, rzecz oczywista, przedstawiają prawdę. Ja sam byłem obecny, gdyśmy je zdejmowali. Jest to niewątpliwie pewne. — Pytanie: Chciałbym teraz przedstawić świadkowi inną książkę ze zdjęciami i prosić, by powiedział sądowi, czy wśród nich są zdjęcia tych zwłok, które posiadał instytut anatomiczny uniwersytetu strasburskiego? (Świadek ogląda zdjęcia). Odpowiedź: Wszystkie te zwłoki znajdowały się w anatomii strasburskiej. Na przykład przypominam sobie te zwłoki, te twarze. Ja sam, przy pomocy jeszcze jednego pracownika ustawiłem je, by można było wykonać zdjęcia fotograficzne. Przypominam sobie, że pozostałości z rąk i nóg znajdowały się w tej wannie, ręce, na których były ślady numerów, odcinano, by można było usunąć numery". (Następnie świadek potwierdzał poszczególne zdjęcia — przyp. red.).

Uzupełnienie charakterystycznych zeznań *Henrypierre* stanowią dokumenty obrazujące, w jaki sposób prof. *Hirt* i jego przełożeni, przestraszeni zbliżaniem się alianców, pragnęli zatrzeć ślady zbrodni. Dokumentem takim jest dalekopis *Sieversa* do *Brandta* (dok. nr 088) z 5. IX. 1944 r.:

„Dot. zbioru żydowskich szkieletów. — Zgodnie z propozycją z 9. II. 1942 r. i tamtejszym zatwierdzeniem z dn. 23. II. 1942 r. AR/493/37 SS-*Sturmabführer* prof. *Hirt* założył dotychczas brakujący zbiór szkieletów. Nie zakończono jeszcze prac związanych z opracowaniem szkieletów, a to na skutek rozmiaru połączonej z tym pracy naukowej. *Hirt* prosi w tym momencie o wskazówki, co należy zrobić ze zbiorem złożonym z 80 zwłok, które znajdują się w kostnicy anatomii, na wypadek zagrożenia Strasburga. *Hirt* może je pozbawić części mięśniowej i w ten sposób uczynić nierozpoznawalnymi. Łączy się to jednak z częściowym zniszczeniem całej pracy i z dużą stratą naukową tego jedyne w swoim rodzaju zbioru. Wykonanie późniejsze ludzkich odlewów byłoby bowiem już niemożliwe. Sam zbiór szkieletów jako taki nie rzuca się w oczy. Części miękkie zgłosiłoby się jako resztki zwłok zabrane z instytutu, a pozostawione przez Francuzów i oddałoby się je do spalania. Proszę o rozstrzygnięcie następujących propozycji: 1. zbiór można pozostawić nieruszony. 2. zbiór należy częściowo zlikwidować, 3. zbiór należy zlikwidować całkowicie".

Zachowały się wreszcie dwie notatki SS-*Hauptsturmführera* *Berga* z 15. X. 1944 i 26. X. 1944 r., dotyczące sprawy likwidacji zbioru

szkieletów (dok. nr 091). Treść pierwszej notatki jest następująca:

„W dniu 12. X. 1944 rozmawiałem telefonicznie z SS-*Standartenführerem Sieversem* i zapytałem go, czy strasburski zbiór szkieletów został całkowicie zlikwidowany zgodnie z poleceniem wydanym przez SS-*Standartenführera Baumerta*. Ponieważ jednak *Sievers* nie otrzymał żadnej bliższej wiadomości od prof. *Hirta*, dlatego i dla mnie nie ma żadnej informacji. Powiedziałem mu, że — gdyby likwidacji jeszcze nie przeprowadzono — część zbiorów mogłaby jeszcze pozostać. Należy jednak mieć pewność, by można całość całkowicie zlikwidować, gdyby wymagała tego sytuacja wojskowa w Strasburgu. SS-*Standartenführer Sievers* odpowiedział, że powyższe odpowiednie decyzje i że na ten temat mnie powiadomi”.

Następna notatka była przeznaczona dla dr *Brandta*: „SS-*Standartenführer Sievers* powiadomił mnie w dniu 21. X. 1944 r. w czasie swojej bytności w punkcie dowodzenia, że tymczasem zbiór w Strasburgu został całkowicie zlikwidowany zgodnie z poleceniem danym w swoim czasie”.

Jeszcze 20 stycznia 1945 r. *Sievers* kontaktuje się z *Hirtem*, pisząc mu co następuje (dok. nr 975): „Zarówno w Paryżu, jak i w Londynie interesują się całkiem żywo anatomią w Strasburgu. Żałuje się przy tym, że pan

nie został ujęty. Poprzez ministerstwo wyznał otrzymał pan w swoim czasie odpowiednie pytania w tej sprawie z urzędu spraw zagranicznych celem zajęcia stanowiska. Albo też otrzyma je pan później. Cieszymy się, żeśmy zniszczyli na czas wszystkie dowody pracy. Dzięki temu strona przeciwna nie może wystąpić z zarzutami konkretnymi”.

Przytoczone fragmenty oryginalnych dokumentów nie wymagają komentarzy. *Wolfram Sievers* i *Rudolf Brandt* zostali skazani na śmierć w procesie norymberskim. Wyroki wykonano, *Hirt* zniknął bez śladu.

Za pomoc w udostępnieniu dokumentów należą się słowa podziękowania pracownikom Państwowego Muzeum w Oświęcimiu.

PIŚMIENNICTWO

1. Odpisy z dokumentów lekarskiego procesu norymberskiego. — 2. *Bayle F.*: Croix gammée contre caducée (les expériences humaines en Allemagne pendant la deuxième guerre mondiale). Str. 858—871. — 3. *Mitscherlich A., Mielke F.*: Medizin ohne Menschlichkeit. Fischer Bücherei, 1960, str. 174—182. — 4. SS im Einsatz. Eine Dokumentation über die Verbrechen der SS-Kongress Verlag, Berlin 1957, str. 380. — 5. *Schnabel R.*: Macht ohne Moral. Röderbergverlag GMBH, Frankfurt/Main 1957, str. 369.

WŁADYSŁAW FEJKIEL

były więzień obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu Nr 5647

Eksperymenty dokonywane przez personel sanitarny SS w głównym obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu¹⁾

Zabiegi eksperymentalne personelu sanitarnego SS, przeprowadzane na więźniach w Oświęcimiu (obóz główny, tzw. *Auschwitz I*) w latach 1942—1944 można by umownie podzielić na trzy zasadnicze grupy, a mianowicie na

- a) eksperymenty „biologiczne”,
- b) eksperymenty farmakologiczne,
- c) eksperymenty chirurgiczne.

Chcę omówić w skrócie wszystkie trzy grupy znanych mi eksperymentów. Nie będę tu omawiał bliżej pojęcie eksperymentu w medycynie, gdyż o zagadnieniu tym piszę w innym miejscu.

¹ O zagadnieniach wiążących się z tym tematem pisze autor w następujących pracach: Sztuczne zakażanie ludzi dudem wysypkowym w obozach koncentracyjnych, *Przegląd Lekarski*, 4, 1955; O tzw. demografii negatywnej, czyli o doświadczeniach prof. C. *Clauberga*, *Polski Tygodnik Lekarski*, 8, 1957; Eksperyment lekarski, jego pojęcie i granice etyczno-prawne, *Przegląd Lekarski* 3, 1959.

Do eksperymentów „biologicznych”, przeprowadzanych przez personel sanitarny SS, zaliczam następujące zabiegi:

1) opracowywanie metod masowej sterylizacji kobiet i mężczyzn na żywym materiale ludzkim;

2) sztuczne zakażanie osób zdrowych przez wstrzykiwanie krwi chorych na dur wysypkowy w różnych okresach choroby celem ustalenia okresu inkubacji oraz stwierdzenia, kiedy krew osobnika chorego jest najbardziej zakaźna i kiedy przestaje być zakaźna;

3) próby mające na celu zbadanie leczniczej skuteczności szczepionek w przebiegu duru wysypkowego;

4) specjalne eksperymenty, mające na celu opracowanie metod zwalczania markieractwa u żołnierzy Wehrmachtu;

5) eksperymenty, mające na celu badanie zmian w narządach, w różnych okresach choroby, połączone z zabiciem chorego i ustaleniem tych zmian na podstawie sekcji zwłok;

6) próby znalezienia odpowiedniego środka,

który po wstrzyknięciu powodowałby najszybciej zgon.

Wymienione rodzaje eksperymentów „biologicznych” mają tę wspólną cechę, że (z wyjątkiem prób pod 3—5, a częściowo i 6) były przeprowadzane na osobach zdrowych.

Ad 1. Doświadczenia sterylizacyjne były przeprowadzane przez prof. Carla Clauberga wraz z dr Johannem Gebelem (w bloku Nr 10 w obozie głównym) i przez Oberleutnanta Wehrmachtu, dr Horsta Schumanna (w Brzezince). Ponieważ o eksperymentach Clauberga i Schumanna pisałem już w innym miejscu, wobec tego ograniczę się tylko do krótkiej charakterystyki. Clauberg opracowywał metody sterylizacji kobiet. W tym celu gromadził więźniarki w wieku płodności (17—40 lat) i wstrzykiwał im do dróg rodnych nieznane, drażniące ciecze, które wywoływały stan zapalny, niedrożność jajowodów, a tym samym w konsekwencji bezpłodność. Schumann rozwiązywał to zagadnienie u kobiet i mężczyzn przez naświetlanie części rodnych promieniami Roentgena. Liczby ofiar tych eksperymentów nie znam; w każdym razie wyraża się ona setkami, co wynika już z samej liczby kobiet, które przeszły przez blok 10, a wszystkie przecież poddane zabiegom bądź według „metody” Clauberga, bądź według „metody” Schumanna².

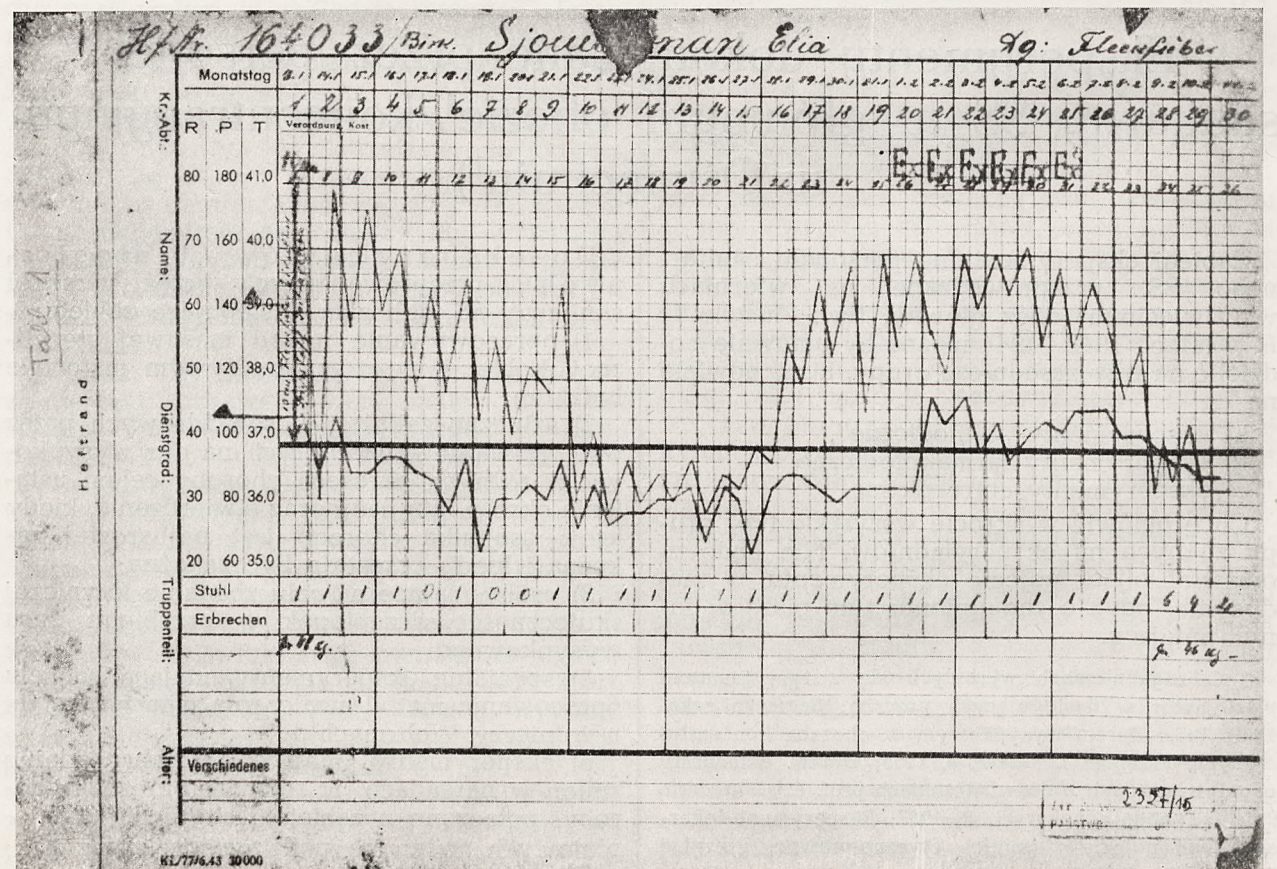
² Pewna ilość więźniów objętych tymi doświadczeniami była poddana później operacjom chirurgicznym (usuwanie jajder, jajników i jajowodów). Píše o tym w tym samym zeszycie (str. 105) St. Kłodziński w artykule pt. „Z zagadnień ludobójstwa... Dr Horst Schumann” (przyp. red.)

Ad 2. Eksperymenty, polegające na sztucznym zakażeniu zdrowych krwią chorych na dur wysypkowy przeprowadzali (w latach 1942, 1943) lekarze SS: Obersturmführer dr Helmuth Vetter i Obersturmführer dr Friedrich Enthress. Doświadczenia Enthressa miały na celu, jak się wydaje, stwierdzenie kiedy, tj. w jakim okresie choroby krew chorego na dur wysypkowy jest najbardziej zakaźna. Vetter natomiast dążył do rozstrzygnięcia problemu czasu kwarantanny po durze wysypkowym. Z punktu widzenia kół gospodarczych III Rzeszy i firm, korzystających z pracy niewolniczej więźniów, było to zagadnienie doniosłej wagi. Chodziło o tysiące dni roboczych, traconych przez 3-miesięczną kwarantannę. Nic dziwnego, że Vetter jako agent koncernu I. G. Farbenindustrie przeprowadzał te eksperymenty z ogromną gorliwością. W efekcie jego badań okres kwarantanny po durze wysypkowym został skrócony do 1 miesiąca.

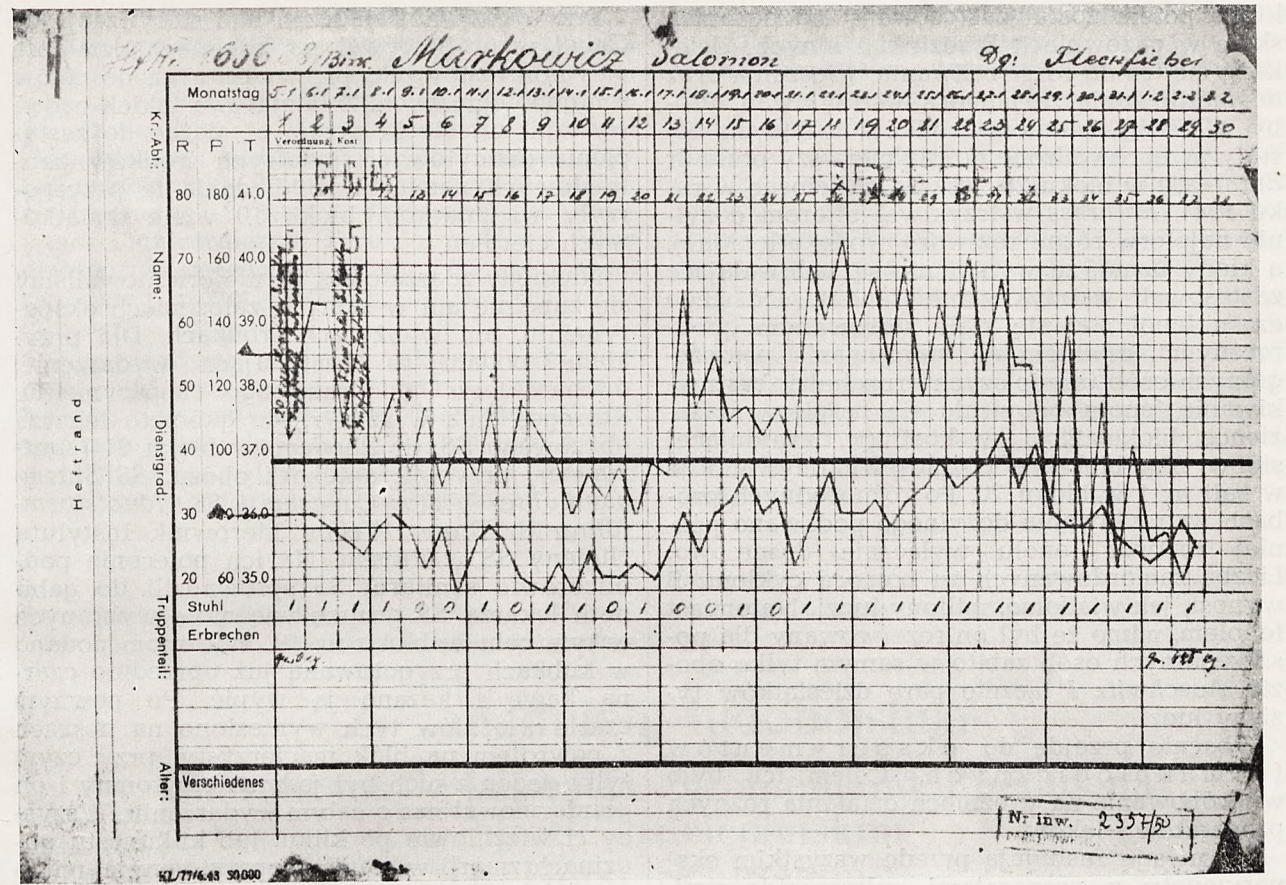
Doświadczenia Enthressa objęły 15 osób, a doświadczenia Vettera 11 osób. Odbywały się one w bloku 20 szpitala dla więźniów, wszyscy zaś, którzy zdołali je przeżyć, zostali potem zgładzeni wstrzyknięciem fenolu.

Ad 3. W tej grupie zabiegów eksperymentalnych przeprowadzonych również przez dr Vettera, chodziło o wypróbowanie działania bliżej nieznanych szczepionek przeciwdrobnoustrojowych (Eikultur Impfstoff).

Dołączone tu fotokopie dwu kart gorączkowych więźniów Nr 164033 i Nr 163628, dostarczonych specjalnie dla celów eksperymentalnych z obozu w Birkenau, ilustrują



Karta gorączkowa więźnia Nr 164033



Karta gorączkowa więźnia Nr 163628

przykładowo metodę Vettera. Z adnotacji na karcie pierwszego chorego wynika, że otrzymał on zastrzyk 10 ml *Fleckfieber Eikultur*, a drugi chory 20 ml tejże szczepionki dożylnie.

Na podstawie faktu, że szczepionkę tę stosowano u chorych na dur wysypkowy i to w pierwszym okresie choroby, można przyjąć, że chodziło o wypróbowanie działania leczniczego, a nie profilaktycznego tej szczepionki. Doświadczenia te miały szerszy zasięg. Liczby poddanych im osób nie znam; przypuszczam, że wynosiła ona kilkadziesiąt osób.

Ad 4. Jest rzeczą charakterystyczną, że eksperymenty tej grupy podjęto dopiero w roku 1944, kiedy klęski na wszystkich frontach podurwały ostatecznie wiarę w zwycięstwo, co wyrażało się między innymi także i rosnącym zjawiskiem markierantwa wśród żołnierzy. *Fahnenjunker Kaschub* został wydelegowany przez *Wehrmacht* do obozu głównego w Oświęcimiu z poleceniem zbadania na więźniach odczynów na różne substancje, gdyż zachodziło podejrzenie, że właśnie pewne substancje są masowo używane przez żołnierzy do samookaleczenia lub pozorowania choroby. Miejscem pracy *Kaschuba* (dojeżdżającego okresowo z zewnątrz) była jedna z wydzielonych sal w bloku 28. Materiał doświadczalny stanowiło kilkunastu więźniów, osobników zdrowych, specjalnie przez eksperymentatora do tego celu dobranych i odosobnionych od mieszkańców bloku. Wiem, że zabiegi *Kaschuba* polegały na wcieraniu lub wstrzyki-

waniu w kończyny dolne więźniów substancji drażniących, przy czym badał występujące odczyny. Nie udało mi się dociec tego, jakie to były środki. Wiem tylko tyle, że u więźniów poddanych tym zabiegom powstawały ropnie, a nawet martwice tkanek, które *Kaschub* fotografował.

Ad 5. Szczególnie zbrodnicze były zabiegi przeprowadzane przez ówczesnego lekarza obozu, SS *Obersturmführera*, profesora uniwersytetu w Münster, dr *Johanna Paula Kremera*. *Kremer* kierował katedrą anatomii. W Oświęcimiu interesował się zmianami poszczególnych narządów w różnych chorobach głównie w chorobie głodowej, a do dokumentacji swoich obserwacji użył odpowiednich preparatów anatomicznych. Wybierał więc interesujących go chorych, w różnych okresach choroby głodowej, kazał ich fotografować a następnie zabijać wstrzyknięciem fenolu, co wykonywał podoficer sanitarny SS *Unterscharführer Josef Klehr*. Następnie ze świeżych zwłok „wyjmowano” wątrobę, śledzionę i trzustkę, z których sporządzano odpowiednie preparaty. Liczby ofiar tych eksperymentów nie jestem w stanie określić, w każdym razie chodziło tu co najmniej o kilkanaście przypadków.

Ad 6. Niemal przez cały czas istnienia obozu oświęcimskiego władze SS dążyły do wynajdowania coraz to nowych metod zabijania ludzi, masowych i mniej masowych. W ramach tej działalności próbowano w bloku II poznać wpływ gazu trującego („Cyklon B”)

który potem został zastosowany na ogromną skalę w gazowniach Brzezinki i innych. Uciekano się też do rozstrzeliwania, wieszania oraz do mordowania za pomocą wstrzykiwań. Próby z wstrzykiwaniem środków trujących zostały przeprowadzone po raz pierwszy przez dr *Enthressa* w bloku 28, jeszcze na wiosnę w roku 1941. *Enthress* wstrzykiwał ofiarom dożylnie najpierw różne roztwory wody utlenionej, a kiedy uznał, że wyniki nie są zadowalające zastosował wstrzykiwanie fenolu. Od tego czasu fenol stał się stale stosowanym „podręcznym” środkiem do mordowania poszczególnych osób i mniejszych grup ludzi. Wstrzykiwanie fenolu odbywało się najpierw w łazience bloku 28 i w kostnicy, znajdującej się w tym bloku, a później wykonywano je w sali nr 1 w bloku 20. Po różnorodnych próbach wstrzykiwania dożylnego podawano później roztwór fenolu wyłącznie dosercowo. Liczba zamordowanych za pomocą cyklonu B wynosi, jak wiadomo, miliony ludzi. Natomiast fenolem, mimo że był on rezerwowany dla poszczególnych osób zabito w samym tylko obozie *Auschwitz I* łącznie parę dziesiątków tysięcy ludzi.

Obecnie przejdę do eksperymentów farmakologicznych. Celem ich było wypróbowanie na więźniach działania różnych preparatów i leków.

Na uwagę zasługują przede wszystkim eksperymenty z preparatami sulfonamidowymi. Stosowano je pod różnymi kryptonimami, jak np. „B 1012”, „B 1034”. Ponadto stosowano jeszcze wiele innych preparatów, jak np. różne związki akrydymowe, oznaczone kryptonimem „3582” bądź nazwą „Rutenol” i inne. Wszystkie te preparaty pochodziły z firmy *Bayer* należącej, jak wiadomo do *I. G. Farbenindustrie*. Akcją próbowania preparatów, prowadzoną mniej więcej w latach 1942—1944, kierował przedstawiciel *I. G. Farbenindustrie*, wzmiankowany już dr *H. Vetter*. Preparaty te były stosowane w pewnych przypadkach gruźlicy, duru wysypkowego, w durze brzuszny, w durach rzekomych oraz w płonicy. Składu tych preparatów nie znam. W każdym razie istnieją uzasadnione podstawy do przyjęcia, że nie były one uprzednio badane, jak to jest przyjęte przy wprowadzaniu nowych leków. Za tym twierdzeniem przemawiają co najmniej dwa argumenty. Po pierwsze — miały one zawsze kryptonimowe, trudne do odgadnięcia nazwy. Po drugie — charakterystyczny był sposób, w jaki próbował je reklamować w środowisku lekarsko-pielęgniarskim więźniów kierownik przedsięwzięcia dr *H. Vetter*. Chcąc przełamać naszą nieufność, oświadczył, że posiadane, dostarczone mu leki są szczególnie skuteczne, ale równocześnie i bardzo drogie tak iż może je podawać tylko chorym lekarzom, pielęgniarzom i niektórym innym chorym. Istotnie tak postępował.

Z naszych obserwacji wynikało, że efektów leczniczych *Vetter* nie osiągnął, natomiast bezspornie stwierdzaliśmy występowanie licznych zaburzeń, zwłaszcza przewodu pokarmowego, wątroby i nerek.

Przy okazji doświadczeń nad sterylizacją dr *Gebel* wypróbowywał na kobietach działanie mas kontrastowych, przeznaczonych do celów rentgenologicznych. Z inicjatywą takich badań wystąpił niemiecki przemysł, dążąc do zastąpienia deficytowych jodowych środków kontrastowych namiastkami. Badania te przysporzyły więźniarkom bloku 10 wiele dodatkowych cierpień.

Niekiedy zdarzało się, że nie orientowaliśmy się zupełnie ani w samych założeniach eksperymentu, ani w użytych środkach. Dla przykładu podam tu następujące wydarzenie, o charakterze jednorazowego eksperymentu. Któregoś dnia w 1944 r., do gabinetu lekarza obozowego SS, dr *Rhodego* w bloku 21 (*Arztzimmer*) przybyli: aptekarz obozu, SS *Sturm-bannführer Victor Capesius* i SS *Hauptsturmführer* dr *Bruno Weber*, kierownik Instytutu Higieny SS w Rajsku. Na ich polecenie podoficerowie sanitarni SS sprowadzili do gabinetu lekarza SS grupkę więźniów wybranych w tym celu w bloku nr 19. Więźniom podano w kubkach przygotowaną już uprzednio czarną kawę i kazano ją wypić. Po pewnym czasie więźniów tych wyniesiono na noszach z powrotem na blok macierzysty, przy czym tylko jeden z nich był jeszcze przytomny i on poinformował nas o całym wydarzeniu. Wszyscy ci więźniowie po kilku, lub kilkunastu godzinach zmarli w stanie nieprzytomnym, mimo usilnych starań ratowania z naszej strony. Eksperyment ten do dziś pozostał dla nas zagadką.

Na zakończenie chciałbym jeszcze wspomnieć o paru zabiegach mających na szczęście charakter mniej tragiczny i o tyle ciekawy, że stanowią ilustrację poziomu wiedzy u wielu lekarzy SS. Mam tu na myśli naiwne próby leczenia choroby głodowej. *Hauptsturmführer* SS dr *Schwella*³ podawał więźniom wyczerpanym z głodu homeopatyczne dawki — jedną do kilku kropli wyciągu z rośliny arnika (*arnica montana*). *Hauptsturmführer* dr *Eduard Wirths*, również naczelný lekarz garnizonu SS, wypróbowywał lecznicze działanie małych dawek drożdży (pół do jednego grama) i świeżych pokrzyw jako dodatku do posiłku u tych samych chorych cierpiących na chorobę głodową. Działo się to w czasie, kiedy nawet każdy laik zdawał sobie sprawę, że „chorobę głodową można leczyć tylko jedzeniem”.

Wreszcie, co się tyczy eksperymentów chirurgicznych, to można stwierdzić, że zabiegów takich w ścisłym tego słowa znaczeniu w obozie głównym nie wykonywano, a przynajmniej mnie nie są znane. Wyodrębniłem jednak tę grupę dla objęcia nią wszystkich przypadków, kiedy lekarze SS nie mający absolutnie żadnego przygotowania chirurgicznego, przeprowadzali w celach „samoszkaleniowych” nieraz poważne zabiegi. W takich wypadkach trzeba było naprawdę wiele odwagi i sprytu ze strony chirurgów.

³ imienia nie pamiętam, był współtwórcą komór gazowych w Oświęcimiu i w Treblince.

więźniów, by odwieść zbrodniarza od zabiegu, co niestety nie zawsze się udawało. Dążności „samoszkoleniowe” personelu SS szły tak daleko, że nawet półanalfabeci — podoficerowie SS „chwytali za nóż” i przeprowadzali zabiegi chirurgiczne. Przykładem tego może być *Oberscharführer Binning*, który nacinał głębokie ropowice i z dumą podkreślał swoje umiejętności chirurgiczne. Było to możliwe tylko dlatego, że personel sanitarny SS nie musiał się przed nikim wliczać ze swojej działalności.

Przedstawione powyżej zabiegi i eksperymenty nie wyczerpują bynajmniej całej działalności personelu SS w tej dziedzinie, stanowią one raczej jedynie próbę pewnej systematyzacji, opartej o znane autorowi bardziej zorganizowane przypadki niezgodnych z ety-

ką, zbrodniczych doświadczeń i zabiegów na ludziach. Poza marginesem niniejszych rozważań pozostały więc zapewne inne jeszcze zabiegi i eksperymenty, które ze względu na mniej zorganizowany i bardziej sporadyczny charakter nie dotarły w owym czasie do wiadomości autora. W świetle dotychczasowych wywodów należy stwierdzić, że wszystkie powyżej przedstawione rodzaje zabiegów i eksperymentów miały charakter zbrodniczy.

Eksperyment lekarski winien być zawsze podporządkowany bądź interesom jednostki (dobro chorego), bądź przeprowadzony w odpowiednich warunkach. Tymczasem wszystkie eksperymenty w obozie oświęcimskim przeprowadzano na ludziach, pozbawionych wolności, bez ich zgody, przemocą, bądź podstępem.

STANISŁAW KŁODZIŃSKI

byby więzień obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu Nr 20019

Z zagadnień ludobójstwa

„Sterylizacja” i kastracja promieniami Roentgena w obozie oświęcimskim

Dr Horst Schumann

W celu bliższego sprecyzowania poruszonego tematu należy naprzód podać wyjaśnienie pojęcia sterylizacji i kastracji, ponieważ jest ono w dokumentacji niemieckiej mylnie stosowane. Sterylizacja, czyli wyjałowienie jest zabiegiem uniemożliwiającym zapłodnienie. Skutki tego zabiegu nie pozbawiają osobnika jego cech płciowych, nie zmieniają także jego *libido*. Skuteczność wykonanej sterylizacji polega zatem na pozbawieniu możliwości rozmnażania się (czasowego lub stałego). Sterylizacja u kobiet polega na przerywaniu ciągłości jajowodów przez ich podwiązanie, przecięcie lub wycięcie, u mężczyzn natomiast na przecięciu lub podwiązaniu nasieniowodów powyżej jąder. Różnica między stosowaniem skutecznych środków antykoncepcyjnych a sterylizacją polega na tym, że powrót do płodności przy wyjałowieniu jest problematyczny (przywrócenie płodności po zabiegu udaje się bowiem tylko w 35—40% przypadków).

Wyjałowienie stosuje świat cywilizowany ze wskazań lekarskich, jest to wyjałowienie terapeutyczne, ze wskazań eugenicznych, wreszcie w niektórych krajach na życzenie i dla wygody danej osoby. Wskazania lekarskie są oparte na zwykłych kryteriach lekarskich, które przyjmujemy przerywając ciążę dla ratowania zdrowia lub życia albo też ze względów społecznych.

Wskazania lekarskie do sterylizacji mężczyzny występują prawie wyłącznie w stanach chorobowych narządów rodnych (głów-

nie sprawy nowotworowe). Zabiegi te wykonuje się tylko za zgodą zainteresowanego. Wyjałowienia ze wskazań eugenicznych są różnie traktowane i nie mają jeszcze dostatecznego uzasadnienia naukowego (niektóre statystyki podają, że 89% umyślowo niedorozwiniętych pochodzi z rodzin normalnych, a często też zdarza się, że dzieci umyślowo chorych są normalne). Sterylizacja przeprowadzona dla wygody danego osobnika jest w pewnych krajach prawnie dozwolonym zabiegiem, lecz można go wykonać tylko po wyraźnym wyrażeniu woli petenta.

Innym natomiast zabiegiem jest kastracja (wytrzebieenie). Polega ona na operacyjnym usunięciu jąder lub jajników lub zniszczeniu komórek rozrodczych promieniami Roentgena i na trwałym pozbawieniu zdolności płodzenia. Wywołuje ona w konsekwencji poważne zaburzenia somatyczne i psychiczne. Kastrację wykonać można tylko ze wskazań ściśle lekarskich i po wyrażeniu zgody chorego.

W Polsce Ludowej nie stosuje się ani kastracji, ani sterylizacji jako środka zabezpieczającego bądź jako sankcji karnej. Z punktu widzenia prawa obowiązującego w Polsce sterylizacja i kastracja są ciężkim uszkodzeniem ciała ludzkiego. Za pozbawienie drugiej osoby zdolności płodzenia przewiduje art. 235 § 1 kk karę do 10 lat więzienia, a także może być traktowane ono jako naruszenie wolności człowieka (art. 251 kk).

Wytrzebieenie lecznicze może być stosowane; obowiązują przy tym przepisy jak w każ-

dym innym zabiegu lekarskim. Wytrzebiecie „dla wygody” oraz dla celów eugenicznych jest u nas bezprawne i uznane byłoby za ciężkie uszkodzenie ciała.

W r. 1933 nazistowski rząd niemiecki wydał ustawę sterylizacyjną¹, uzasadniając jej wprowadzenie postulatami eugeniki. Obowiązkową sterylizację i kastrację zastosowano natychmiast na szeroką skalę, wyzyskując ustawę w celu zrealizowania ludobójczych zamierzeń rasistowsko-politycznych.

Niektóre zachowane dokumenty z okresu drugiej wojny światowej pozwalają prześledzić zbrodniczą drogę polityków, „ideologów” i naukowców III Rzeszy.

Chęć wyniszczenia Żydów i narodów podbitych w ciągu toczącej się wojny przy wyzyskaniu ich siły roboczej dla przemysłu wojennego dała ideologii narodowo-socjalistycznej asumpt do przeprowadzenia prób mających na celu wypracowanie jak najłatwiejszej metody masowej „sterylizacji”. Zastanawiano się więc nad sterylizacją, którą by można przeprowadzić przy użyciu promieni Roentgena, za pomocą leków i wreszcie przez domaciczne stosowanie związków chemicznych wywołujących niedrożność jajowodów.

Z wyjaśnień „bohaterów Norymbergi”, a między innymi *Victora Bracka* wynika, że „w 1941 r. było publiczną tajemnicą dla wyższych sfer partyjnych, że mocodawcy zamierzają wytepić całą ludność żydowską² w Niemczech i w krajach okupowanych. Ja i moi współpracownicy, szczególnie dr *Hevelmann* i *Blankenberg*, byliśmy zdania, że plany te są niegodne kierownictwa partii Niemiec i całej ludzkości. Dlatego postanowiliśmy wyszukać inny sposób rozwiązania problemu żydowskiego, który byłby mniej radykalny niż pełne wyniszczenie całej rasy” (Doc. nr 426; zob. piśmiennictwo poz. 4).

Toteż w r. 1941 *Victor Brack* przedstawił *Bouhlerowi* propozycję sterylizowania Żydów promieniami Roentgena. Propozycja jednak nie została przyjęta, gdyż *Hitler* był jej przeciwny. Mimo to *Brack* pracował nad swoim planem dalej, przedstawiając z kolei *Himmlerowi* nową propozycję (Doc. nr 203). „Doświadczenia na tym odcinku zostały zakończone. Następujące wyniki można ustalić jako pewne i naukowo podbudowane. Jeśli odpowiedni ludzie mają być na trwałe bezpłodni, to można wykonać to przy użyciu dużych dawek promieni Roentgena, które powodują kastrację ze wszystkimi swoimi następstwami. Wysokie dawki promieni Roentgena niszczą mianowicie wewnętrzną sekrecję jajnika bądź jądra. Średnie dawki wywołują tylko okresową niepłodność. Następstwami wchodzącymi w rachubę są np. wypadanie periodów, objawy

klimakteryczne, zmiany w uwłosieniu, zmiany w przemianie materii itd. Na te następstwa trzeba zwrócić uwagę.

Samo dawkowanie może być stosowane w różny sposób, a napromienianie może przebiegać bezobjawowo. Dla mężczyzn potrzebna jest dawka ogniskowa 500—600 r, dla kobiet 300—350 r. Zasadniczo można określić czas napromieniania dla mężczyzn na 2 minuty i dla kobiet na 3 minuty, stosując największe napięcia i cienkie filtry przy średniej odległości. Należy przy tym zauważyć, że jeśli nie da się na pozostałe części ciała odpowiedniej osłony z ołowiu, to wystąpią uszkodzenia porentgenowskie. Przy zbyt dużej intensywności promieni rtg ujawniają się w następnych dniach lub tygodniach na częściach ciała naświetlonych przez promienie rtg oparzenia skóry indywidualnie różnie silne. Byłoby praktyczną drogą do przeprowadzenia tego zastosowanie takiego sposobu, by przeznaczonym osobom kazać stanąć za okienkiem, przy czym odpowiadałyby one na pytania albo wypełniały formularze, co zatrzymałoby je przez 2—3 minuty. Urzędnik, który by siedział za okienkiem, mógłby obsługiwać aparaturę tak wbudowaną, że obsługiwałaby okienko, wprawiając w ruch aparaturę, tj. dwa tubusy (napromienianie musi być z obu stron). Urządzenie z takimi tubusami mogłoby zatem wysterylizować przeciętnie dziennie 150—200 osób a więc przy dwudziestu takich urządzeniach około 3—4 tysiące osób na dzień. Wyższa liczba skierowanych dziennie nie wchodziłaby według mnie w rachubę.

Koszty takiego urządzenia mogę podać tylko z grubsza; wahałyby się przy dwutubusowym systemie ok. 20 000—30 000 marek. Dochodziłyby jeszcze do tego koszty przebudowy budynku, ponieważ mający tam służbę pracownicy musieliby mieć odpowiednie zabezpieczenie.

Reasumując można powiedzieć, że przy dzisiejszym stanie techniki rentgenowskiej i badań rtg jest rzeczą możliwą przeprowadzenie masowej sterylizacji promieniami Roentgena. Wydaje się natomiast rzeczą niemożliwą przeprowadzenie tej akcji w ten sposób, by zainteresowani nie mogli stwierdzić wcześniej czy później, że są sterylizowani bądź kastrowani promieniami Roentgena”.

Jest to list z marca 1941 roku.

Victor Brack ponownie wraca do tematu sterylizacji promieniami rtg w swoim piśmie adresowanym do *Himmlera* z datą 23. VI. 1942 r. Uważa, że spośród 10 milionów Żydów europejskich około 2—3 miliony są zdolne do pracy. Tych należałoby zachować przy życiu i wysterylizować. Według niego metodą najtańszą i wymagającą najmniej czasu byłaby sterylizacja promieniami Roentgena (Doc. nr 205).

W kilka lat później (r. 1944) tenże sam *Victor Brack* w liście swoim do *Himmlera* potwierdza, że nadal zajmuje się zagadnieniem sterylizacji. Wynika z tego listu, że współpracuje na tym odcinku z dr *Schumannem* (Doc. nr 208). „...Przekazuje się *Reichsführe-*

¹ W dalszym ciągu utrzymałem w tekście artykułu stosowane przez Niemców pojęcie „sterylizacji rentgenowskiej”, rozumiejąc, że właściwie chodzi tu o nieodwracalny zabieg — kastrację rentgenowską.

² Tak np. wg *SS-Gruppenführera Hofmana* „miszlingom należy dać do wyboru albo wysterylizowanie się, albo pójście do getta”.

rowi SS pracę dr *Schumanna* na temat wpływu promieni rentgenowskich na ludzkie gruczoły rozrodcze". *Himmler* zlecił bowiem w swoim czasie *Brackowi* przeprowadzenie badań sterylizacyjnych, oddając do dyspozycji odpowiedni „materiał” w obozie w Oświęcimiu. W konkluzji swojego opracowania *Schumann* podaje, że kastracja mężczyzn promieniami rtg jest dość trudna lub też wymaga nakładu, który się nie opłaca. Nadmieniam, że operacyjna kastracja trwa zaledwie 6—7 minut, jest przeto pewniejsza i szybsza niż kastracja rtg. *Schumann* zapowiada też dalsze swoje badania.

Osoba dr *Schumanna* i jego działalność wymagają szczegółowszego omówienia.

Horst Schumann urodził się 1. V. 1906 r. w Halle nad Saalą, gdzie też w dniu 18. VII. 1933 r. promował się na doktora medycyny. Od jesieni 1939 roku zostaje kierownikiem zakładu dla „nieuleczalnie chorych”, w którym realizowano tzw. akcję „łaskawej śmierci” (w zamku Grafeneck w Wirtembergii). W dniu 4. I. 1940 r. dr *Horst Schumann* składa przysięgę o zachowaniu w tajemnicy wszystkiego, co się będzie działo w związku z powierzoną mu pracą w Grafeneck. Praca jego polegała na wykonywaniu programu „eutanzji”, przeprowadzonego w tym czasie w różnych zakładach w całych Niemczech. Wskutek realizacji tego programu zginęło w czasie II wojny światowej około 200 tysięcy dzieci, kobiet i mężczyzn, których wymordowano rzekomo wskutek ich nieuleczalnej choroby. Dr *Schumann* złożył przysięgę całkowicie dobrowolnie, jak na to wskazują akta procesu norymberskiego.

Dr *Schumann* wydawał masowo (przeciętnie 70 dziennie) wyroki śmierci na przysyłanych mu „pacjentów”, którzy ginęli w ciągu 24 godzin po przybyciu do jego „zakładu”. Na 4000 nadesłanych do Grafeneck chorych tylko w 24 przypadkach zrezygnowano z przekazania ich do komory gazowej (zeznania pielęgniarki *P. Kneissler* przed trybunałem norymberskim; doc. nr 470). Po rozwiązaniu zakładu w Grafeneck dr *Schumann* został kierownikiem podobnego zakładu w Pynie.

W czasie swojej pracy w tych zakładach *Schumann* podpisywał się jako „dr *Klein*”, widocznie bowiem zdawał sobie dobrze sprawę z tego, że jego akcja zabijania jest czynem zbrodniczym. Kiedy w sierpniu r. 1941 akcja eutanazji została przez *Hitlera* formalnie wstrzymana, dr *Horst Schumann* prowadził ją przez jakiś czas nadal w różnych obozach koncentracyjnych. Był on członkiem „komisji lekarskich”, których zadaniem było selekcionowanie wyniszczonej, słabych i chorych więźniów obozów koncentracyjnych i skierowywanie ich do komór gazowych. Komisje takie urzędowały w tym czasie w obozach w Buchenwald, Gross-Rosen, Flossenbürg, Neuengamme, Niederhagen, Sachsenhausen, Mauthausen i w Oświęcimiu. Ogólną liczbę więźniów straconych tą drogą oblicza się na około 10 tysięcy (5).

Dnia 28. VII. 1941 r. przybyła do obozu w Oświęcimiu specjalna komisja zapowiedziana wcześniej osobistym rozkazem *Himmlera*. W obozie polecono zgłosić się do przeglądu lekarskiego wszystkim inwalidom, przewlekłe chorym i ułomnym więźniom. Mieli być rzekomo przeniesieni do „sanatorium” lub do innego obozu w celu leczenia bądź do lżejszej pracy. Spośród przejranych przez „komisję” wybrano 575 więźniów. Odwiozł ich ówczesny *Rapportführer Hössler*, zostawiając w zakładzie dla umysłowo chorych w Königstein w Saksonii. Zgodnie z relacją *Hösslera* złożoną po powrocie *Hoessowi*, więźniów zagazowano w łaźni, wprowadzając tlenek węgla. Były to przypuszczalnie pierwsze kroki *Schumanna* w Oświęcimiu, wchodził on bowiem w skład tej „komisji lekarskiej” (6).

Oświęcim jako miejsce dla przeprowadzania eksperymentów sterylizacyjnych był planowany już przez *Himmlera* około r. 1941—1942. Jak wynika z listu *Reichsarzta SS Grawitza* do *Himmlera* z dnia 29. V. 1941 r., proponuje się z inicjatywy prof. *Clauberga* utworzenie w Królewskiej Hucie lub w jej pobliżu instytutu doświadczalnego. W instytucie tym *Clauberg* przeprowadzałby doświadczenia nad opracowaniem metody bezoperacyjnej sterylizacji kobiet (5). W dzień później tenże *Reichsarzt SS Grawitz* przesłał *Himmlerowi* wykaz lekarzy upoważnionych do przeprowadzania doświadczeń sterylizacyjnych metodą *Clauberga*. Należeli do nich profesorowie (doktorzy medycyny) *Clauberg*, *von Wolff*, *Erhardt* i *Günther* (5).

Dopiero jednak w połowie r. 1942 obóz w Oświęcimiu stał się miejscem eksperymentów „sterylizacyjnych”.

30 maja 1942 r. prof. *Clauberg* zwrócił się pisemnie do *Himmlera* z propozycją wykonywania eksperymentów sterylizacyjnych na więźniarkach w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu oraz z prośbą o dostarczenie urządzeń odpowiednich do tego celu (5). Dnia 7. VII. 1942 r. *Himmler* odbył konferencję z *SS-Brigadeführerem* prof. dr *Gebhardtem*, *SS-Brigadeführerem* *Glücksem* i *SS-Brigadeführerem* prof. dr *Claubergiem*, podczas której przyrzekł prof. *Claubergowi* oddać do jego dyspozycji obóz koncentracyjny w Oświęcimiu dla celów eksperymentalno-sterylizacyjnych na ludziach i zwierzętach. *Himmler* wyraził też życzenie, by zawiadomiono go o wynikach tych eksperymentów celem praktycznego zastosowania ich do sterylizacji Żydówek. Chodziło również o ustalenie podczas konsultacji ze specjalistą rentgenologiem, prof. dr *Hohlfelderem*, sposobu sterylizacji mężczyzn za pomocą promieni Roentgena. Konferencja miała charakter poufny i *Himmler* zobowiązał uczestników do zachowania tajemnicy (6). W tym czasie przyświecała już bowiem *Himmlerowi* idea wyzyskania siły roboczej więźniów dla przemysłu wojennego Rzeszy, a jednocześnie zabezpieczenia się przed ich płodnością. Chodziło o metodę taną, masową i szybką.

Historia doświadczeń prof. *Clauberga* w Oświęcimiu jest już znana i publikowana (*J. Sehn, W. Fejkiel*), a została tutaj wspomniana, gdyż w świetle dokumentów łączy się z zagadnieniem „sterylizacji rentgenowskiej”. Mniej dokumentów zachowało się o pracach dr *Horsta Schumana*, który pojawił się ponownie na terenie obozu Oświęcim-Brzezinka w listopadzie 1942 r. W tym bowiem czasie czynną była w Brzezince na bloku 30 obozu kobiecego stacja „rentgenowskiej sterylizacji” (blok ten zamieniono później na stację dentystyczną).

Blok 30 był to barak drewniany, położony w obrębie szpitala kobiecego w Brzezince. Składał się on z izby mieszkalnej dla więźniów w nim zatrudnionych i z poczekalni połączonej z salą, gdzie znajdowały się dwa aparaty rentgenowskie Siemens. Naprzeciw tych aparatów wbudowano kabinę, izolowaną blachą ołowianą, z szybą od przodu. Z kabinki tej uruchamiał dr *Schumann* swoje aparaty.

Przebieg dnia w bloku 30 przedstawiał się następująco (opis pisarki tego bloku, więźniarki *Sonji Fischmann* (7):

„W przeddzień pracy zawiadamiał dr *Schumann* obozowy oddział zatrudnienia, że należy mu najbliższego ranka przysłać na blok 100 młodych i zdrowych kobiet lub mężczyzn. Rankiem też zgłaszał się starszy bloku z zamówionymi więźniami.

Początkowo ani personel bloku doświadczalnego, ani przysłani więźniowie nie zdawali sobie sprawy, jaki cel ma „badanie” *Schumanna*. Szeptano np., że „badania” mają jakiś związek z durem wysypkowym szalejącym wówczas w obozie. Cała praca na bloku otoczona była najściślejszą tajemnicą. Dlatego też wstęp na ten blok zabroniony był zarówno żołnierzom SS, jak również więźniom, a personel pracujący w bloku 30 nocował na miejscu.

Po przybyciu dr *Schumanna* *Sonja Fischmann* meldowała mu nadejście więźniów, ich stan liczebny i narodowość. Więźniowie musieli w poczekalni rozebrać się do naga. Następnie wpisywano ich więźniarskie numery na jedną wspólną listę, z której później wywoływano więźniów i wprowadzano ich pojedynczo do sali zabiegowej.

Tutaj dla mężczyzn i kobiet istniały dwa rodzaje ruchomych dostawek do siedzenia. Były one połączone z aparatami rentgenowskimi. Więźniom polecano ustawić się w odpowiedniej pozycji między aparatami tak, aby stali bokiem do kabiny, w której znajdował się dr *Schumann*. W tym momencie dr *Schumann* włączał prąd. „Leczenie” trwało zaledwie kilka minut. Wskutek tego można było w ciągu paru godzin wysterylizować znaczną liczbę więźniów. Przez naświetlanie promieniami rtg chciano zniszczyć narządy rodne. Niezależnie od tego pojawiały się późne następstwa naświetlania w postaci oparzeń i ropienia przede wszystkim powłok

brzuszných. Jak sobie przypominam, często występowały u kobiet nudności, a także wymioty wkrótce po takim naświetlaniu.

W związku z tym zapytałam dr *Schumanna*, czy nie mogłabym tym kobietom pomóc, np. podać im wody. Nie otrzymałam jednak zezwolenia.

Po „leczeniu” odprowadzano więźniów do bloków.

Dr *Horst Schumann* miał wtedy około 35 lat, chodził stale w mundurze lotniczym. Jego postępowanie było zimne i „poprawne”. W stosunku do więźniów nie wykazywał żadnych ludzkich uczuć.

W bloku 30 przebywałam od listopada 1942 r. do lutego 1943 r. Następne doświadczenia dr *Schumanna* przeniesiono na blok 10, gdzie byłam od marca do kwietnia 1943 r.”

Tyle więźniarka *Sonja Fischmann* z Wiednia (7).

Inne zeznanie złożone przed trybunałem norymberskim (doc. nr 819) ilustruje od strony ofiary pracę dr *Schumanna* w Brzezince:

„Pracowałem przez 4 tygodnie przy budowie drogi, gdy nagle wieczorem zawołał *Blockführer*: „Wszyscy Żydzi zdolni do pracy w wieku 20—24 lat zgłoszą się!” Ja się nie zgłosiłem. Wybrano wtedy 20 mężczyzn, którym polecono zameldować się w następnym dniu do lekarza. W tym samym dniu przyszli oni z powrotem i musieli natychmiast zacząć pracować. Nikt nie wiedział, co robiono z tymi 20 ludźmi. W tydzień później wybrano znowu 20 Żydów w wieku między 20 a 24 rokiem życia. Tym razem jednak wyczytano ich alfabetycznie. Ja byłem jednym z pierwszych. Przeprowadzono nas do Brzezinki do obozu kobiecego. Tutaj zobaczyliśmy wysokiego lekarza w szarym mundurze lotniczym. Kazano nam się rozebrać, wstawiono nasze narządy rodne na przeciąg 15 minut do jakiegoś aparatu. Aparat ogrzewał silnie narządy rodne i ich otoczenie, po czym części te zabarwiły się na ciemnawo. Po tej akcji musieliśmy natychmiast znowu pracować. W przebiegu kilku następnych dni u większości kolegów ropiały części płciowe, a przy chodzeniu mieli duże trudności. Mimo to musieli pracować aż do wyczerpania. Ci, którzy się załamali, poszli do gazu.

U mnie osobiście wystąpiło tylko sączenie; nie doszło do ropienia.

Mniej więcej po 2 tygodniach, w przybliżeniu w październiku 1943 r., przeprowadzono 7 mężczyzn z naszej grupy do Oświęcimia I. Tę drogę musiano odbyć pieszo. Ludzie mieli duże trudności w chodzeniu, ponieważ bolały ich części rodne. Przybyliśmy do szpitala do Oświęcimia I, na blok 20 (podano mylnie, był to bowiem blok 21 — przyp. red.). Tam nas operowano. Otrzymaliśmy zastrzyk w okolicę krzyża, który znieczulił dolną połowę naszego ciała, podczas gdy górna połowa ciała pozostała całkiem normalna. Usunięto obydwie jądra. Nie przeprowadzono żadnego wstępnego badania pobierania nasienia. Mogłem

obserwować przebieg operacji w szkłe chirurgicznej lampy. Nie odbierano zgody na zabieg przed operacją. Powiedziano tylko: „ty idziesz”, po czym odesłano bez słowa na stół operacyjny. Kierownikiem eksperymentów sterylizacyjno-kastracyjnych był w Oświęcimiu dr *Schumann*’.

Następnie świadek był 3 tygodnie w szpitalu w Oświęcimiu, gdzie udało mu się uniknąć selekcji do gazu. Potem wrócił do ciężkiej więziarskiej pracy.

U męskich „królików doświadczalnych” dr *Schumann* usuwał drogą operacyjną jądra uprzednio naświetlane promieniami Roentgena. Jak wynika z wpisów zachowanej w Państwowym Muzeum książki sali operacyjnej (8), *Schumann* operował także osobiście. W dniu 25 maja 1943 r. *Ltn. Schumann* wykonał dwa zabiegi: *Casus explorativus — Amputatio testis sin.* u więźniów nr 114179 i 114137” (nazwiska więźniów są znane — przyp. red.). Byli to więźniowie przywiezieni 10. IV. 1943 r. transportem RSHA z getta w Salonikach (około 2750 Żydów). Z tego transportu 537 mężczyzn otrzymało numery obozowe od 114094 do 114630 oraz 246 kobiet numery obozowe od 40537 do 40782. Pozostałych zabito w komorach gazowych (6). Z innych dokumentów wynika, że z początkiem grudnia 1942 r. lekarze SS przeprowadzający „sterylizację” wysterylizowali 200 młodych więźniów w szpitalu obozowym w Brzezince za pomocą naświetlania jąder promieniami Roentgena (6). Dnia 16. XII. 1942 r. lekarze SS dokonali w szpitalu obozowym 90 kastracji (*Hodenamputation*) więźniów. Część operowanych więźniów zmarła, część została zagazowana (6). Z zachowanego sprawozdania noszącego datę 16. XII. 1943 r. wynika, że na oddziale chirurgicznym szpitala obozu Oświęcim I w czasie od dnia 16. IX. 1943 r. do 15. XII. 1943 r. dokonano 90 amputacji jąder, 10 wycięć jajników i 1 usunięcie jajowodu, oznaczając je jako *casus explorativus* oraz 6 innych operacji narządów rodnych, o których nie wiadomo, czy miały związek z eksperymentami (8, 9).

Świadek, więzień chirurg z Brzezinki, dr *Robert Levy* stwierdził w swoim zeznaniu, że we wrześniu 1943 r. wybrano około 100 młodych ludzi. Byli to Polacy z okolic Oświęcimia. Wysterylizowano ich. Po kilku miesiącach niektórzy spośród nich zgłaszali się do dr *Levy* narzekając na zaburzenia krążenia w podbrzuszu. Z anamnezy wynikało, że byli oni we wrześniu wysterylizowani, a po miesiącu wykastrowani operacyjnie. Usuwano im jedno lub dwa jądra. Występowały u nich owrzodzenia, popromienne zapalenia skóry oraz ropienia trudno się gojące. Wielu z nich zostało wybranych do gazu. Dr *Levy* przypuszcza, że usuwano jądra, aby zbadać pod mikroskopem rezultaty naświetlania promieniami rtg. Sądzi też, że ludziom tym podano różne dawki promieni rtg, aby stwierdzić, jaka dawka odpowiada pożądanemu celowi (prot. S. 602), (4).

Dr *Schumann* naświetlał jednorazowo przeciętnie około 30 osób. Tego rodzaju napromieniania przeprowadzał 2—3 razy w tygodniu.

Jak wynika z zeznań wspomnianej już *Sonji Fischmann* i innych osób, *Schumann* pracował nie tylko w Brzezince, lecz także w Oświęcimiu I, gdzie na bloku eksperymentalnym nr 10 przebywały także więźniarki-kobiety, ofiary doświadczeń *Schumanna*. Z zeznań następnych dwóch świadków (ich dane personalne i protokoły znajdują się w sądzie we Frankfurcie nad Menem) wynika, że wśród kobiet więźniarek przeznaczonych do eksperymentów ginekologicznych w bloku 10 była grupa młodych żydowskich dziewcząt z Salonik. Były one materiałem doświadczalnym dla lekarza lotnictwa dr *Schumanna*. Jajniki tych dziewcząt naświetlił on uprzednio promieniami rtg. W kilka tygodni później operowano te ofiary w obozie głównym w Oświęcimiu. Otwierano ich jamę brzuszną (*laparotomia*) i wycinano jeden z jajników (*ovariectomy*). W kilka tygodni później, gdy rana już się zagoiła, powtarzano operację, wycinając drugi jajnik. Operując chciano stwierdzić zmiany, jakie wystąpiły w jajnikach po pewnym okresie czasu od naświetlania promieniami rentgenowskimi (5).

Dr *Eduard de Wind*, więzień Oświęcimia nr 150822, ur. 6. II. 1916 r. w Hadze, złożył zeznania dotyczące eksperymentów dokonywanych w bloku 10. W odniesieniu do „sterylizacji rentgenowskich” *Schumanna* oświadczył:

„Ofiarami eksperymentów promieniami Roentgena było 15 dziewcząt w wieku 17—18 lat (obserwacje te dotyczą okresu od marca 1943 r. do sierpnia 1944 r. — przyp. red.). Eksperymenty przeprowadzano w następujący sposób: Dziewczętom przymocowywano elektrody na brzuchu i na pośladkach, poddając je działaniu fal ultrakrótkich, z kierunkiem promieniowania na jajniki, które dzięki temu zostały spalone. Na skutek fałszywego dawkowania powstawały na brzuchu i na pośladkach ciężkie rany oparzeniowe i owrzodzenia. Jedna dziewczyna zmarła wskutek tych obrażeń. Inne przeniesiono do szpitala w Brzezince. Po trzech miesiącach przenoszono je z powrotem do Oświęcimia, gdzie przeprowadzano dwie kontrolne operacje. Dziewczętom usuwano narządy rodne i badano ich stan. Przypuszczalnie przez wypadnięcie funkcji hormonów gruczołów płciowych dziewczęta zmieniały się całkowicie, miały starczy wygląd. Rany operacyjne u dziewcząt nie goiły się miesiącami, a niektóre z tych dziewcząt zmarły” (10).

Wielu więźniów nie przeżyło tych doświadczeń. Jedni po zakończeniu prób kierowani byli z powrotem do pracy w Brzezince. Często osłabieni i załamani psychicznie wykonanymi na nich doświadczeniami popełniali samobójstwo lub też ginęli, nie mogąc podołać ciężkiej pracy w obozie. A niezdolni do pracy więźniowie Oświęcimia musieli ginąć od zastrzyku fenolu lub w komorach gazowych. Mimo to

pojedyncze ofiary eksperymentów *Schumanna* przeżyły jednak hitlerowskie obozy koncentracyjne.

W październiku i listopadzie 1945 r. dr *Matarasso* z Salonik zbadał kilkunastu byłych więźniów i więźniarek — „królików doświadczalnych” *Schumanna*. Wynik tych badań przedstawia się w streszczeniu następująco:

Kobiety:

F. S., 20 lat, panna. Naświetlana promieniami rtg, w trzy miesiące później operowana. Stan obecny: brak periodów, zawroty głowy, ataki pocenia się, bicia serca, częstomoczn, nerwobóle.

E. A., 22 lata, zamężna. Naświetlana promieniami rtg, w tydzień później operowana. Od tego czasu nie miesiączkuje. Stan obecny: zawroty, obfita potliwość, częstomoczn.

L. B., 20 lat, panna. Naświetlana promieniami rtg, po czterech miesiącach operowana. Od tego czasu nie miesiączkuje. Stan obecny: zaburzenia związane z wypadnięciem periodów, częste zawroty, ataki czerwienienia się, ataki potu.

R. A., 20 lat, panna. Naświetlana promieniami rtg, następnie operowana przez dr *Schumanna*; miejsce operowane ropiało. Przez 3 miesiące leżała na pryczy. Od tego czasu nie miesiączkuje. Ma częste zawroty, jest nerwowa i wybitnie pobudliwa.

D. C., 21 lat, zamężna od 3 miesięcy. W 5 miesięcy po naświetlaniu promieniami rtg operowana. Od tego czasu nie miesiączkuje. Obecne dolegliwości: zawroty i czerwienienie się, duża potliwość, częste bicia serca, częstomoczn.

F. C., 20 lat, panna. Naświetlana promieniami rtg, w miesiąc później operowana, od tego czasu nie miesiączkuje.

D. V., 19 lat, od niedawna zamężna. Trzykrotnie naświetlana promieniami rtg, następnie operowana. Wskutek zakażenia rany operacyjnej przez 3 miesiące leżała. Od tego czasu brak periodów. Obecny stan: zaburzenia związane z brakiem periodów, zawroty, czerwienienia się, bicia serca, częstomoczn.

Mężczyźni:

A. F., 21 lat. Naświetlany promieniami rtg. W 40 dni później kastracja jednego jądra. Wynik: nasienie zawiera liczne, nieporuszające się plemniki.

A. G., 27 lat. Naświetlanie promieniami rtg jednego jądra przy osłonie drugiego płytką ołowianą. Badanie z dnia 17. IX. 1945 r. w Salonikach: nasienie nie zawiera plemników.

M. E., 21 lat. Naświetlanie promieniami rtg. Kastracja jednego jądra. Badanie z dnia 21. IX. 1945 r. w Salonikach: nasienie nie zawiera plemników.

D. S., 30 lat. Naświetlanie promieniami rtg, kastracja jednego jądra. Badanie z dnia 9. X. 1945 r. w Salonikach nie wykazało plemników.

H. M., 20 lat. Obustronna kastracja (pierwsze jądro usunięto w lipcu 1943 r., drugie we wrześniu 1943 r.). Obecny stan: brak zarostu, piersi nieco wydatniej rozwinięte, nerwica seksualna.

S. A., 24 lata. Naświetlany promieniami rtg. Kastracja jednego jądra. Badanie z 9. X. 1945 r. w Salonikach nie wykazało plemników.

W końcowych uwagach dr *Matarasso* podaje, że wszyscy badani są psychicznie wybitnie obciążeni (cyt. za 5).

Na podstawie wyrwykowych danych dotyczących stanu liczbowego kobiet z bloku 10 w Oświęcimiu I, przeznaczonych do eksperymentów sterylizacyjno-kastracyjnych, wypracowano wykres świadczący o liczbie ofiar. Nie są to jednak wyłącznie ofiary *Schumanna*, lecz także prof. *Clauberga* i dr *Wirthsa*.

Oświęcimski Ruch Oporu orientował się w doświadczeniach przeprowadzanych na bloku 10 w Oświęcimiu I. W kwietniu 1943 r. przesłano wiadomość, że „blok 10 będzie stacją doświadczalną dla kastracji, sterylizacji i sztucznego zapłodnienia. Dzieje się to z ramienia Naczelnego Instytutu Higieny *Waffen SS* z Berlina. Kobiety już u nas są” (11). W grypsie z maja 1943 r. czytamy: „Dziś piszę o 10 bloku w *KL Auschwitz*. Jest tam stacja doświadczalna *Hyg. Lab. Unterstelle der Waffen SS Süd-Ost*. Prócz kilku sal laboratoriów jest tam grupa około 200 Żydówek i 15 Żydów. Chodzi tu ogólnie o sztuczne zapłodnienie, kastrację i sterylizację. Sprawa pokryta głęboką tajemnicą, okiennice zasłonięte. Dotychczas wykastrowano szereg kobiet i tych 15 chłopaków, biorąc od nich spermę. Chodzi o „ludzi w próbowkach”. Żydówki, prawie wyłącznie Greczynki, ale i to się zmienia. Nie są rachowane w stan lagru. Zdaje się, uważa się je za zmarłe, jeśli chodzi o apele... Z tych doświadczeń nie będzie nic poza trupami. W lagrze okropnie przykro, nikt nic na ten temat konkretnego nie wie...” (11).

W innym grypsie — z maja 1943 r. — stwierdzono: „Dużo ciekawych doświadczeń robi Instytut Higieny *SS* z Berlina z *Häftlingami* na *KB* i kobiety używa się jako króliki doświadczalne...” (11). A w grypsie z dnia 30. VI. 1943 r. podano: „...na bl. 10 przyjechały wczoraj 64 Żydówki niemieckie, czekają na swe królicze doświadczenia...” (11). Są to wyjątki z zebranych grypsów Ruchu Oporu, adresowanych na Kraków.

W związku z ewakuacją obozu oświęcimskiego przed zbliżającymi się wojskami radzieckimi zlikwidowano blok 10 w Oświęcimiu I, a znajdujące się tam więźniarki wywieziono.

Z dokumentu norymberskiego (doc. nr 865), (4) wiadomo, że *Schumann* znalazł się w 1944 r. w obozie w Ravensbrück, gdzie kontynuował swoje doświadczenia sterylizacyjno-kastracyjne, tym razem na dzieciach cygańskich. W tzw. norymberskim procesie lekarskim, w którym przed amerykańskim trybunałem wojskowym stawali lekarze winni zbrodni przeciw ludzkości, wielokrotnie wspominano czyny dr *Horsta Schumanna*.

Kiedy w Tübingen rozprawiano się z winnymi masowych mordów w Grafeneck, wydano w r. 1947 rozkaz aresztowania dr *Horsta Schumanna*. Ponieważ jednak nie znalazła go niemiecka policja, przeto też i proces toczący się w czerwcu i lipcu przeciw wykonawcom „programu eutanazji” odbył się bez udziału dr *Schumanna*. Później dopiero ustalono, że

Schumann żył w tych latach w Niemczech razem ze swoją rodziną, nawet pod swoim własnym nazwiskiem. Dopiero w późniejszym okresie wywędrował razem z rodziną z Niemiec, mając legalne dokumenty. Przynajmniej od r. 1956 urzędował jako lekarz w Sudanie. Skoro tylko rząd NRF zażądał ekstradycji dla Schumanna, ten przeniósł się do Nigerii. Od 30. VI. 1960 r. żyje on w Ghanie, zatrudniony jako lekarz w tamtejszym ministerstwie zdrowia, pracując w Kete Krachi jako lekarz.

W r. 1961 NRF ponownie zażądała wydania Schumanna. Ponieważ jednak nie ma układu między Ghaną a NRF regulującego wydawanie przestępców, dlatego wszelkie starania ze strony niemieckiej nie zostały zrealizowane. Apel złożony do rządu Ghany przez austriackich byłych więźniów z dnia 2 kwietnia 1962 r., w którym stwierdzono, że jest rzeczą niedopuszczalną, by człowiek, który tak zhańbił powołanie lekarskie był czynny jako lekarz w publicznej służbie zdrowia w Ghanie, nie wywarł odpowiedniego skutku.

Dnia 14. VI. 1961 r. *Horst Schumann* utracił przyznany mu przez uniwersytet w Halle tytuł doktora. W interesie „higieny społecznej” ludzkości należałoby wreszcie dr Schumanna postawić przed sądem (5).

Równolegle z próbami sterylizacji czy kastracji promieniami rentgenowskimi przeprowadzano próby obojędzenia przy użyciu leków. Ujawnił te zbrodnie proces norymberski. Związki chemiczne, zawarte w roślinie *caladium seguinum*, podane doustnie lub w postaci wstrzyknięć, miały wywoływać zarówno u mężczyzn jak i u kobiet — po jakimś czasie — trwałą bezpłodność (dr *Madaus*, doc. nr 035, 4).

Opisywane i znane już doświadczenia sterylizacyjne prof. *Carla Clauberga*, przeprowadzane również w bloku 10 obozu oświęcimskiego, streścić można ostatecznie, cytując raport tego „uczonego” skierowany do *Himmlera* w dniu 7. VI. 1943 r. (doc. nr 212): „Wynaleziona przeze mnie metoda wysterylizowania kobiecego organizmu bez operacji jest już prawie całkiem opracowana. Polega ona na jednorazowym wstrzyknięciu przez ujście macicy i może ją wykonać praktycznie każdy lekarz obeznany z badaniem ginekologicznym. Skoro wspominam, że metoda jest „tak jakby gotowa”, to oznacza: 1) że są do przeprowadzenia drobne udoskonalenia, 2) można ją już dzisiaj wprowadzić przy naszych zwykłych eugenicznych sterylizacjach zamiast operacji i je zastąpić. Co się tyczy pytania, które Pan, *Reichsführer*, postawił mi prawie przed rokiem, a mianowicie, w jakim czasie byłoby

możliwe wysterylizować 1000 kobiet w ten sposób, to mogę odpowiedzieć, przewidując już dzisiaj: Jeżeli wyniki przeprowadzonych przeze mnie badań będą takie, jak dotychczas, a nie ma powodu przypuszczać, żeby tak nie było, to w tej chwili nie jest zbyt daleko, bym mógł powiedzieć: przez jednego odpowiednio wyuczonego lekarza, w należycie przygotowanym miejscu, za pomocą mniej więcej 10 ludzi personelu pomocniczego (liczba pomocniczego personelu odpowiada życzonemu przyspieszeniu), najprawdopodobniej kilkaset, jeśli nawet nie 1000, w jednym dniu”.

Etyczno-prawne granice eksperymentowania *Horsta Schumanna* i jego kolegów przeprowadzających w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka doświadczenia sterylizacyjno-kastracyjne na więźniach stoją w jawnej sprzeczności z wszystkimi normami eksperymentu lekarskiego. Genezą była bowiem zbrodnia planowana przez obłądną ideologię faszystowską. Ofiarami opracowywanej metody ludobójstwa mieli być w pierwszym rzędzie Żydzi i podbite narody słowiańskie. Więźniowie, na których dokonano eksperymentów sterylizacyjno-kastracyjnych, byli pierwszymi ofiarami wielkiego planu wyniszczenia podbitych narodów, przygotowywanego „metodą naukową”.

1. Opracowano na podstawie: *Williams Glanville*: Świętość życia a prawo karne. PZWL, Warszawa 1960, 71 i nast. — 2. Sawicki J. w: *W. Glanville*, jak w poz. 1, str. 342—347. — 3. *SS im Einsatz*; Kongress Verlag, Berlin 1957; str. 121. — 4. Dokumenty lekarskiego procesu norymberskiego: Doc. nr 426, 203, 205, 208, 470, 819. Prot. S. 602; Doc nr 865, 035, 212; cyt. za *A. Mitscherlich* i *F. Mielke*: *Medizin ohne Menschlichkeit*. Dokumente des Nürnberger Ärzteprozesses. Fischer Bücherei Verlag 1960. — 5. *Langbein H.*: Der Fall Dr *Horst Schumann*. (Rękopis). — 6. *Czech D.*: Kalendarz wydarzeń w obozie koncentracyjnym Oświęcim-Brzezinka. Zeszyty Oświęcimskie, nr 2, 3, 4, 6. Wyd. Państw. Muzeum w Oświęcimiu. R. 1958, 1960, 1962. — 7. *Sonja Fischmann*: Block 30 — Röntgen — Sterilisation — Dr *Horst Schumann*. (Opracowanie więźniarki przysłane do autora). — 8. Oryginalna książka sali operacyjnej bloku 21 (Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu). — 9. Bericht über die Tätigkeit d. Chirurg. Abt. des Spitals für Häftlinge des Konz.-Lagers Auschwitz I v. 16. IX 1943 bis 15 XII 1943. (Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu). — 10. *Sehn J.*: Obóz koncentracyjny Oświęcim-Brzezinka. Warszawa 1957, 98.

11. Zeznanie świadka, b. więźnia dr *E. de Wind*. (Archiwum Państwowego Muzeum w Oświęcimiu). — 12. Materiały obozowego ruchu oporu. (Dokumenty Głównej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce).

ADAM KOPYCIŃSKI

były więzień obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu nr 25294

Orkiestra w oświęcimskim obozie koncentracyjnym

Byłem trochę zaskoczony, lecz nie zdziwiony, gdy jeden z przyjaciół obozowych zwrócił się do mnie z prośbą o napisanie artykułu pod tytułem: „Wpływ muzyki na psychikę więźniów w obozach” i choć nie jestem publicystą ani dziennikarzem, podjąłem się chętnie tej pracy, nie bez pewnej obawy, czy podołam i potrafię należycie wywiązać się z tego dość trudnego dla mnie zadania. Moja terminologia nie będzie może zbyt ścisła czy też naukowa, jednak w jak najbardziej ludzki i żywy sposób postaram się oddać to, co sam czułem i przeżyłem jako jeden z tych artystów, któremu udało się przeżyć Oświęcim. Wartki nurt życia zaciera zazwyczaj wspomnienia, lecz koszmary zawsze zostają żywe w pamięci. Nikt nie ma pojęcia, jak trudno jest pisać o Oświęcimiu, ażeby nie być źle zrozumianym, szczególnie jeżeli chodzi o taką dziedzinę sztuki, jaką jest muzyka, która zawsze w oczach wszystkich ludzi była i jestety jest jakby tematem rozrywkowym. Dla wielu więc dziwnie będzie brzmiało, że właśnie muzyka mogła przyczynić się do spełnienia kapitalnego zadania — dla nas artystów jest ona przecież tym powszednim chlebem, którego potrzebujemy, by żyć, w danym szczególnym przypadku, aby przeżyć.

W tym świetle pisać „o muzyce w obozie zagłady” (a takie zagadnienie istniało), jest pewnego rodzaju paradoksem. Bo czyż nie paradoksem było życie w tym systematycznie i stale rozbudowywanym obozie, który wedle niemieckiego planu miał wchłonąć cały naród polski, by stać się milionowym miastem przeznaczonych na zagładę niewolników. Wznoszone w różnych kierunkach miasta (koło Oświęcimia) budowane przeznaczone były dla naszych ojców, matek, siostr i braci, którzy na szczęście uniknęli bezpośredniego zetknięcia się z tym strasznym obozem śmierci. Mieszkańcy tego dziwnego świata, chcąc żyć i egzystować na owym małym skrawku ziemi, musieli zapomnieć o wolności, starając się stworzyć sobie choćby pozory normalnego bytowania. I czegoż tam nie było? Pod koniec drugiego roku istnienia obozu mieszkańiec czasem na parę dni przed utratą życia mógł upajać się pięknem dzieł muzycznych, słuchać doskonałych śpiewaków. Ludzie uganiający całe życie za sensacją napotykaliby tam na nią na każdym kroku. Linia drutów odcinająca nas od świata zewnętrznego stanowiła granicę egzystencji. Wyrzuceni poza nawias społeczeństwa, otrzymawszy na esmańskim bierzmowaniu jeszcze jedno imię w postaci numeru, potrafiliśmy swą chorą wyobraźnię stworzyć

u siebie cały glob ze wszystkim, co się na nim znajduje.

W tej różnorodnej masie obok światowca szukał swych praw sławny z mokrych robót bandyta, obok patrioty filantropa doskonalił się w swoim zawodzie kanciarz-pasożyt. Nie brakowało nigdy reprezentanta żadnego zawodu. Była to jedna masa ludzka, której każdy członek kierował się inną etyką. Z prawdziwą satysfakcją mogę stwierdzić, że Polacy najlepiej zdali egzamin tej twardej szkoły, nie pozwalając załamać się moralnie, nic więc dziwnego, że kiedy jeden z naszych kolegów rzucił hasło stworzenia orkiestry, wszyscy podjęli ten projekt, umożliwiając zorganizowanie tej tak dziwnie kontrastującej z naszym życiem placówki.

I tutaj zaczęły się nasze rozważania. Co skłoniło więźnia, że odważył się napisać raport do komendanta obozu z prośbą o zezwolenie na przysłanie mu instrumentu. Bał się, jak mówił, godzin po pracy przeznaczonych regulaminem na tzw. odpoczynek. W tym czasie pozornej bezczynności w każdym towarzyszynie niedoli odżywała tęsknota za wolnością. Beznadziejność doprowadzała wielu do stanu takiej rozpacz, że chcąc ulżyć cierpieniom sami skazywali się na śmierć, której szukali w naelektryzowanych drutach. Wszyscy co mocniejsi chwyтали się różnych sposobów, by zająć czymś myśl i skierować ją do jednego celu, którym było przetrwanie. Bogata wyobraźnia artysty okazała się wielce w tej walce o życie pomocna i ona była siłą, która zdołała pokonać strach i lęk przed konsekwencjami, jakie mogły zaistnieć.

Gestapo w myśl często powtarzanego hasła „niech sobie przed śmiercią jeszcze zagra” wyraziło zgodę i pierwszy instrument przekroczył bramę „*Arbeit macht frei*”, a dowództwo obozu przez palce patrzyło na mizerne wysiłki garstki wynędzniałych „bandytów”.

Z instrumentem weszło za druty jakby nowe życie, weszło coś, co wyrwało z apatii wielu zrezygnowanych kolegów. Przy pierwszej okazji pisania do domów rozeszły się we wszystkie strony kraju prośby o nadsyłanie instrumentów. W bardzo krótkim czasie nadeszły przesyłki, ale jakaż to była mieszanina. Tak różnorodnego składu nie przewidywał jeszcze żaden najbardziej eksperymentujący twórca. W szale radości nikt nie chciał sobie zdać sprawy z karykaturalnego dziwola. Obudzona z martwoty i odrętwienia żywotność była dla wielu zbawiennym lekarstwem i nie jeden tym właśnie chwilom zawdzięcza przetrwanie i doczekanie się wolności.

Ale jak zdobyć aprobatę władz? Dowiedziało się, że *lagerführer* jest z pochodzenia bawarczykiem, zaczęto więc na gwałt ćwiczyć jakieś popularne bawarskie melodie ludowe. Spryt więźniów i tym razem nie zawiódł. Przeciwny tworzeniu orkiestry w obozie, znany z okrucieństwa *lagerführer* usłyszawszy je zmiekkł.

Zorganizowana grupa uzyskała zezwolenie na swą działalność, ale pod dwoma warunkami:

- orkiestra musi przygrywać przy wychodzeniu do pracy i przy powrocie do obozu,
- muzycy muszą pracować przepisaną ilość godzin (regulamin obozowy), przy częstokroć najcięższych grupach, a dopiero po zakończeniu jej mogli myśleć o próbach orkiestry, która nie zwalniała nikogo od obowiązku pracy.

Gdyby ktoś popatrzył oczyma wolnego człowieka na ten pierwszy dziwnie prezentujący się zespół, te ślaniające się strzępy ludzkie w pasiastych łachmanach i ten komiczny dobór instrumentów zupełnie słusznie mogłby sobie pomyśleć... to chyba szaleńcy. Owrzodziały rękoma trzymający akordeon więzień chciał w rytmie marsza wygrać sobie melodię świętej wolności, chciał potężnym akordem sztuki pokonać czyhającą nań śmierć.

Zmęczeni całodzienną harówką i poniewierką muzycy gardzili wieczornym odpoczynkiem, ale choć głodni i skatowani biegli na próbę, by dźwiękami tego prymitywnego marsza przenieść się w inny znany tylko artystom świat. Rvano się do pracy przy tworzeniu tego dziwołaga, boć przecież niczego nie było, a ktoś musiał to zrobić. Zgłaszali się coraz to nowi. Zespół był dla każdego muzyka psychiczną deską ratunku w rwistej rzece życia obozowego. Kilka tysięcy ludzi przewinęło się przez nasze szeregi. Gdyby nie bezlitosne wyroki, liczba tych działaczy, którzy zostali przy życiu, byłaby znacznie większa.

Znowu jednak muszę powrócić do postawionego sobie pytania: dlaczego tylu ludzi, właśnie w muzyce szukało oparcia? Cóż może człowiekowi dać sztuka?

Muzyka ma nam coś do przekazania. Co? To trudno w słowach ująć, ale na pewno jakąś wieść ze świata harmonii, ze świata szczęścia. Dotykamy w niej czegoś, co nigdy nie zmieści się w słowach, co potrafi uchwycić jedynie ten dodatkowy zmysł, czyli intuicja.

Muzyka daje nam prostą wiedzę o prawdzie życia, tę, która sama nieoczekiwanie wystrzela z głębi duszy w chwilach jej najwyższych wzniesień. Te tęsknoty ludzkiego serca szukają oparcia w sferze dźwięków oraz w tym, co osiągamy dzięki muzyce.

Ileż dobrego osiągają ci, którzy dbają o udostępnienie dobrej muzyki wszystkim, ażeby każdy mógł w niej znaleźć pomoc w wyrabianiu wrażliwości na piękno oraz bodziec do ukochania tego, co szlachetne i dobre. Ogromną pomocą dla zmiętego i przytłoczonego walką o codzienne życie człowieka, o po-

szarpanej przez rozterki i sprzeczności wewnętrzne psychice, była świadomość, że w muzyce może znaleźć nie tylko chwilową ulgę, jaśniejsze rozwiązanie wielu zagadek, głębsze zharmonizowanie swojej natury, ocalenie jej i odnowienie. Dlatego to koncerty organizowane w tak okropnych i prymitywnych warunkach przez umożliwienie zbliżenia się do muzyki i dopomożenie zrozumienia i pokochania jej przyczyniały się do odświeżenia psychiki więźniów. Dla wielu entuzjastów muzyki nagrodą za tę chęć zbliżenia się do sztuki było odprężenie, które w trudnych dniach równało się „wczasowemu wypoczynkowi”.

Wiemy, że nie tylko szkoła wychowuje dobrych obywateli, ale jeszcze w większej mierze urabia ich sala koncertowa. Salą koncertową w oświęcimskim obozie był plac lub izba na bloku. I jak prawdziwa sala koncertowa, tak i ta prymitywna obozowa potrafiła wyrwać co wartościowszych z przeciętnego tłumu i zawodu, zdołała wzmocnić w nich to własne i indywidualne, co każdy mógł ofiarować od siebie „obozowej społeczności”. Tam dzięki potędze i sugestyjności muzyka wzmacniała w słuchaczach to, co najważniejsze, to jest prawdziwą ich naturę. Może wielu na pewno intuicyjnie i podświadomie dążyło do stworzenia pewnego kultu dla tej największej ze sztuk, która właśnie w warunkach obozowych mogła być (i na pewno w części ten cel spełniła) lekarstwem na chorą psychikę więźnia. Właśnie dzięki tej szlachetnej okazji wzrastało poszanowanie człowieka tak okrutnie zdeptanego w pierwszym okresie obozu.

Trudne, pełne cierpień życie mieli mieszkańcy oświęcimskiego obozu, ale nie opuszczali rąk, nie poddawali się zniechęceniu, nie zamykali się w ślimaczej skorupie egoizmu czy też cierpiętnictwa, a wysoko niesli głowę nawet w najcięższych i najtragiczniejszych chwilach. Kaci obozu naszego nie zdawali sobie sprawy, jak mocną broń dali do ręki oświęcimiakom, choć do pasji doprowadzał ich pełen godności spokój więźniów. Nie wolno było przemawiać do więźniów, organizować się, a my mogliśmy mówić! Mówić i działać, bo muzyka jest jakąś bezsłowną a przegłębką mową. Ileż to razy, gdy porывa nas muzyka, czujemy się uniesieni. I to jest celem każdego muzyka, dzielić się ze wszystkimi i oddawać innym to, co przychodzi do artysty, co go dźwiga i odrywa od szarugi dnia codziennego.

Na zawsze utkwiał mi w pamięci obraz pierwszego obozowego koncertu. Zima — blok VI — sala natłoczona ludźmi, którzy zrobili na mnie wrażenie piorunujące. Nie widziałem siebie, jak wyglądałem, ale twarze pełne skupienia i lzy ciekące po wychudzonych zapadniętych policzkach mówiły mi o wielkiej potędze i o skuteczności, z jaką sztuka leczyła doprowadzoną do ostatnich granic napięcia, chorą psychikę tych wynędzniałych ludzkich cieni. Koncerty te były jakimś świętem, toteż na długo przed rozpoczęciem sala wypełniała

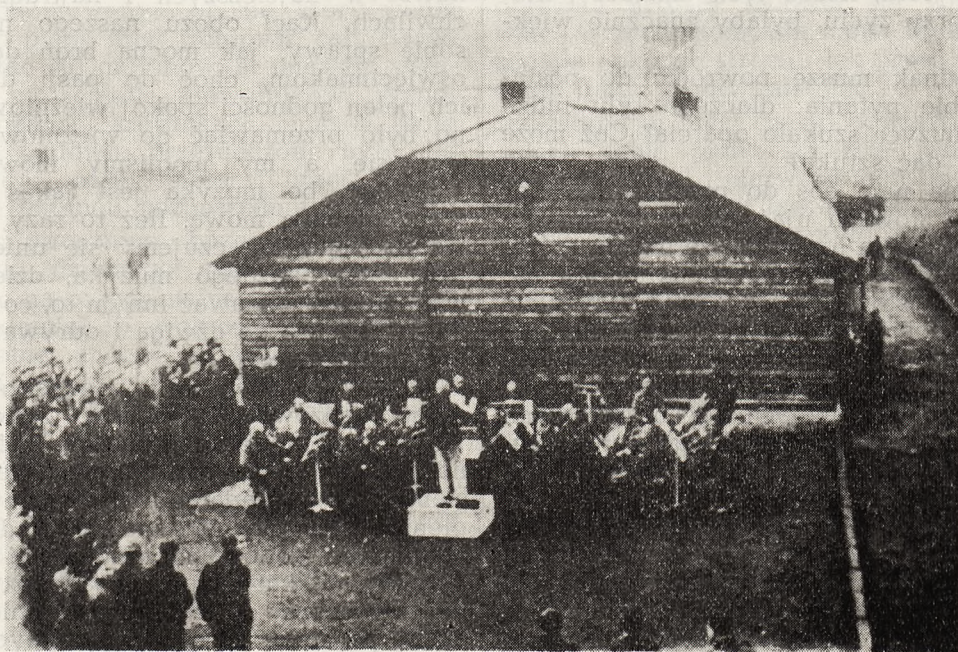
się po brzegi. W ciszy i skupieniu czekali wszyscy na tych parę chwil oddechu muzycznego, aby wzmocnieni na duchu mogli wrócić na swe bloki i z większym spokojem oczekiwać dnia następnego. A różne to były dni, trzeba było mieć nieraz mocne nerwy, ażeby móc wytrzymać. A jednak wytrzymywali nawet ci, którzy wiedzieli o czekających ich wyrokach, o zbliżającej się do nich śmierci.

Żądano od orkiestry muzyki marszowej. Kilkanaście tysięcy ludzi musiało w takt różnych banalnych melodii wyciągać swe zawsze znużone, a często spuchnięte nogi, wlokąc za sobą ciężkie drewniaki. Ta godzinna parada powtarzała się rano i wieczorem. „Opiekunowie” z dumą podziwiając makabryczny pochód i orkiestrę trzęsącą się z zimna lub gorączki zapominali o swych „obowiązках”, dzięki czemu wielu unikało tradycyjnego bicia. Graliśmy na dworze do minus 5 stopni, z bólu łzy cisnęły się do oczu, ale każdy zęby zaciśkał, bo ten paradny marsz ratował mu przecie życie. Przydzielanie muzyków do pracy w obrębie obozu, jak skrobanie ziemniaków lub zaszczytna funkcja zamykania ulic stała się nagrodą dla ludzi, którzy w tym piekle nie wyrzekli się swego zawodu. Nawet ulewny deszcz nie potrafił rozpedzić zapaleńców. Z instrumentów smyczkowych wylewano całymi litrami wodę, to nikogo nie bolało, ale orkiestra grała... Ale i tu sztuka potrafiła zjednoczyć myśli wszystkich więźniów. Każdy wiedział, że z temperamentem grany marsz, to zwiastun dobrych wiadomości. W najbardziej znużonego więźnia wstępowała jakaś nowa siła, nowa energia, budziła się nadzieja wolności. Co to za przyjemność była obserwować te energicznie maszerujące piątki. A jakżeż inaczej wyglądały te same kolumny, gdy coraz to nowe „sondermeldunki” donosiły o zwycięstwach niemieckich. Zdawało się, że kolumny te już nie mają sił, ażeby dojść do

obozowego placu apelowego. Żałosny i smutny był to widok. A potem zmęczeni po wieczornym apelu, kiedy każdy więzień cieszył się jeszcze jednym przeżytym dniem i wypoczywał, muzyk śpieszył na próbę „Egmonta” czy „Coriolana” lub „Niedokończonej symfonii” Schuberta.

Każdorazowy przyjazd jakiejkolwiek komisji musiał być uświetniony tradycyjnym marszem powitalnym. Akordy pięciu fanfar, ozdobionych proporcami wszystkich rodzajów „winkli”, przejmowały dreszczem więźniów, którzy chcieli przeniknąć cel przybycia komisji, zwiastującej niejednokrotnie nowe masowe rozstrzeliwania.

W r. 1942 do marszu przygrywała już orkiestra symfoniczna wzmocniona tenorami, barytonami, altami, tubami i większą ilością trąbek. Pierwsza wiosenna pogodna niedziela była inauguracją sezonu koncertowego. Niedziela była niby dniem wypoczynku, ale nie dla muzyków. Dochodziło do tego, że w dniu tym muzycy grali czasem do 9 godzin, siedząc na wielkim skwarze bez czapek, z ogolonymi brzytwą głowami. Przecież naczelnny komendant chciał miło spędzić popołudnie i przy dźwiękach przygrywającej na wielkim placu orkiestry przyjąć swych gości. Trzy jednogodzinne części programu dawały przekrój przez muzykę klasyczną, operową i operetkową aż do ostatnich „przebojów” tanecznych. Po ukończeniu koncertu kolumna 80 muzyków przy dźwiękach marsza wracała do obozu, witana serdecznie przez spragnionych muzyki współtowarzyszy, by zasiąść chętniej do drugiego, wdzięczniejszego już koncertu bo dla swoich. Bywało niekiedy, że mrok zmuszał dopiero zespół do zasłużonego wypoczynku. Ale nie dla wszystkich, bo byli i tacy, którzy pracując w nocnym komandzie po tyłu godzinach koncertów szli odrobić swoją nocną szychotę. Usprawiedliwić się, zwolnić, to nie-



Orkiestra w obozie w Oświęcimiu

możliwe, przecież muzycy, to naród leniuchów, a granie na koncertach, to przecież tylko miła rozrywka.

Ożywiona działalność muzyków sprawiła, że wszyscy towarzysze starali się w jakiś sposób swój wolny czas czymś rozsądnym wypełnić. Jedni uganiali za lekturą, inni uczyli się języków, a plastycy zdobyli sobie prawo do pracy wedle swoich zainteresowań. Toteż nikogo nie powinno dziwić, że brak już było kandydatów na „naelektryzowane druty”. Dużo przyczyn na to się złożyło, ale na pewno muzyka odegrała w tym zjawisku ważną rolę.

Zadziwił nas raz pewnego rozkaz *Lagerführera*, że orkiestra zagra part orkiestrowy z operetki Künnekego. Po raz pierwszy naszą orkiestrę prowadził Niemiec (cywil), dyrygent operetki z Morawskiej Ostrawy, a potem i inni z Katowic, Bytomia, Opola. Chociaż otoczeni złowrogo wymierzonymi w nas lufami karabinów maszynowych, zapominaliśmy przez moment o obozie. Ta bliska styczność z ludźmi wolnymi, z ludźmi ze świata artystów, oszałamiała nas na chwilę. Na twarzy dyrygenta widać było wyraźne zdumienie, gdy złożona z „bandytów” orkiestra, mając po raz pierwszy owe nuty przed oczyma, posłuszna była każdemu ruchowi dyrygenta. Zafundowana, w czasie pomiędzy próbą a przedstawieniem, wyjątkowo jak na stosunki obozowe wykwinna zupa, zabijała na chwilę „chandré”, spowodowaną zetknięciem się z tym żyjącym i śpiewającym światem. Wraz z powrotem z teatru powracała rzeczywistość — druty, ta klatka, w której żyły istoty, zbliżone wyglądem do ludzi. Ponieważ przy baraku, w którym mieściła się scena była kuchnia dla naszych „stróżów”, każdy z kolegów poczuwał się do obowiązku, wypełnić czymś kieszenie. Zależało w jakiej piwnicy na czas pauzy nas zamknąć. Jeżeli za stołek służył worek z roźdzynkami, trudno było sobie wyobrazić, aby nie mógł zeszczupnąć. Czasem, w futerałe, zamiast instrumentu, jechały do obozu „zorganizowane” konserwy lub inne esmańskie smakołyki. Była to jedynie własnoręcznie wymierzona nagroda za wysiłek grania czasem do pierwszej w nocy. Nikogo to nie obchodziło, że po czterech godzinach snu orkiestra musiała przygrywać wychodzącym z obozu do pracy i rozpocząć dzień trudów na swoich komandach.

Z dumą i radością patrzyliśmy na powiększającą się stale bibliotekę muzyczną, w której nie brak było arcydzieł *Beethovena*, *Mozarta*, *Rossiniego*, *Schuberta*, *Wagnera*, *Czajkowskiego*, *Rimskij-Korsakowa*, *Sibeliusa* czy *Palmgreny*.

Zimą wcześniej kończąca się praca dawała muzykom możliwość opracowywania nowych utworów. Sciany tej skromnej a hucznie nazwanej „sali muzycznej” były świadkami wzruszeń artystycznych, kiedy ci wyrzuceni poza nawias społeczeństwa ludzie z wypiekami na twarzy przenosili się w inny świat dźwiękami symfonii czy poematu symfonicznego. Jak wtedy szybko wybijały zegary godzinę po godzinie. Dopiero gong zwiastujący

ciszę obozową oblewał entuzjastów przykrą falą rzeczywistości. Ale zespół zmieniał się jak w kalejdoskopie. Jednych zabierała bezlitosna śmierć, innych znowu zapraszano na blok kaźni, by straszliwym strzałem w tył głowy rozplątać czaszkę „za długo” żyjącego ich zdaniem Polaka, innych znowu wysyłano do dalszych obozów. Mnie udało się szczęśliwie wyrwać z kilku takich transportów, miałem więc możliwość obserwowania przyprawów i odpływów. Trudno nie wspomnieć o tragicznym ranku, kiedy to, po wyjściu z komand, grająca bez przerwy orkiestra przez długi czas nie otrzymała znaku na zakończenie. Potężne akordy obijały się o puste mury obozu. Nagle stojący z grupą więźniów sławny *Rapportführer Palitzsch* przysłuchujący się orkiestrze odezwał się do jednego z więźniów: „Niech ten czelista zagra sobie jeszcze ostatniego marsza przed śmiercią”. Za parę minut nasz towarzysz został wezwany, aby nie wrócić do nas więcej. Z tych, co odeszli po wieczną nagrodę, można by było stworzyć wielką orkiestrę symfoniczną. I dlatego my muzycy, nie powinniśmy zapominać o tych, co padli naprawdę na posterunku!

Na ich miejsce przychodzili nowi (bo transportów nie brakowało), czasem świetni muzycy, ale często tak wyniszczeni więzieniem, że nie mieli sił na wydobywie z instrumentu jakiegos tonu.

Wierzyć się czasem nie chce, że obok tylu zajęć, które spadały na barki muzyka, znaleźli się tacy, którzy umieli wyszukać sobie chwilę czasu na dodatkowe granie dla najbardziej spragnionych. Były to nie tylko występy „Wesołej Piątki” sławnych jazzbandzistów, którzy swym repertuarem chcieli rozpedzić ponure myśli towarzyszy, ale także koncerty muzyki w najwyższym stylu. Na prawo i lewo „organizowano” nuty, by czasem przy świeczce wykonać solowe utwory *Mozarta*, *Beethovena*, *Karola Szymanowskiego* lub wykonywać w święta narodowe nieśmiertelnego *Chopina*. Stoi mi przed oczyma obraz wielu ludzi, wchłaniających z przejęciem każdy, najsubtelniejszy dźwięk nokturnu, czy też oszałamiające dźwięki poloneza *As-dur*. Przez ten moment byliśmy wolni! Każdy wyobraźnią przenosił się w dal do swoich najbliższych, do swoich najbardziej kochanych, rodzinnych stron. Nawet brutalny „opiekun” niejednokrotnie pokorniał pod wpływem dźwięków polskiej muzyki, nie tylko nie protestował i nie krzyczał, ale nawet czasem zdobył się na zdjęcie czapki. Jedynie w tych ściśle prywatnie zainicjowanych wieczorach mieliśmy możliwość zagłębiania się w naszej rodzinnej muzyce.

Mieliśmy nie tylko orkiestrę. Był okres, kiedy istniał chór, śpiewający razem z orkiestrą prawie w każdym koncercie. Zespół ten brał udział także w ściśle zakonspirowanych wieczorkach, wzruszając słuchaczy do łez polskimi pieśniami patriotycznymi.

Niedługo jednak mieliśmy możliwość radozowania się pieśnią polską. Zespół ten został bezlitośnie przetrzebiony wyrokami śmierci. Ale wobec towarzyszy obozowych godnie speł-

nił swoje piękne zadania. Pod koniec października 1944 r. w wielkim pośpiechu zaczęto wysyłać wielkimi transportami Polaków, a z nimi braci Czechosłowaków i ludzi radzieckich w głąb Rzeszy.

Zamknęła się historia ludzi, którzy sztuką chcieli podtrzymać na duchu tysiące współtowarzyszy.

Na ich miejsce zwerbowano muzyków pochodzenia żydowskiego, sprowadzonych do obozu prawie ze wszystkich krajów. Najlepsi instrumentalisci z największych orkiestr całej Europy stawili się, ażeby kontynuować rozpoczętą kartę historii ruchu muzycznego.

Ale wyniszczeni niełudzką pracą, nawet najwięksi wirtuozi nie mogli odzyskać swej normalnej biegłości. Na pewno jednak było to dla nich zbawieniem, gdyż obudziło iskrę nadziei i wyrwało z niebezpiecznej choroby... rezygnacji. Spokojniejszy tryb pracy, życzliwość, jaką otoczyli ich towarzysze przywróciły im zdrowie, a apatia, której się już poddali ustępowała powoli miejsca chęci życia.

Te trzy miesiące, które dzieliły nas od późniejszych ewakuacji sprawiły, że ta duża grupa ludzi skazanych (już w momencie sprowadzenia ich do Oświęcimia) na nieuchronną śmierć została w przeważającej części przywrócona życiu. Ileż to radości dało im wykonanie pierwszego utworu. Zmienił się w tym czasie przekrój obozu, przyszli nowi i tym podał rękę ten nowo utworzony zespół. Szybko zdobywali dalszych sympatyków, a ich pierwszy koncert wszyscy przeżywali z wielkim wzruszeniem.

I znowu tak samo, jak kilka lat przedtem, do sali jednego z bloków schodzili się więźniowie, aby w ciszy i skupieniu wysłuchać programu. Sztuka znowu związała wszystkich zasłuchanych stwarzając atmosferę serdeczności i prawdziwej przyjaźni. Jeszcze raz w obliczu śmierci (a tak przecież żyliśmy przez wszystkie dni naszego pobytu w oświęcimskim piekle, w obliczu tej nieuchronnej a groźnej potęgi) najprawdziwiej okazała się istotna wartość sztuki.

Tam zrozumieliśmy do głębi wielką prawdę, że muzyka jest wartością nieśmiertelną, a nauczył nas tego właśnie ten dziwny ruch muzyczny za drutami.

OD REDAKCJI

W pierwszym okresie po zezwoleniu założenia „orkiestry” dobrała się grupa 5 więźniów złożona z harmonisty, saksofonisty, trąbkarza, gitarzysty i skrzypka. Grano wtedy lekkie utwory z pamięci.

Z czasem udało się „zorganizować” nuty na fortepian, które rozpisywał na poszczególne instrumenty więzień *Gadomski*. Zmarł on mimo, iż większość więźniów z orkiestry bardzo mu pomagała.

Po zwiększeniu orkiestry do 15 więźniów ta orkiestra (smyczkowa) grała marsze w czasie wymarszu i przy powrocie oddziałów idących do pracy i wracających do obozu. Grano wtedy przeważnie z pamięci marsze niemieckie.

W późniejszym okresie niemiecka administracja obozu zakupiła dla orkiestry nuty: marsze na orkiestrę dętą oraz utwory poważne, m. in. Czajkowskiego i Nowowiejskiego.

Z muzyki poważnej grano: Czajkowskiego: *Capriccio Italiano*, *Jezioro Łabędzie* i inne.

Na fortepianie grał *Adam Kopyciński*: koncert Schumanna, Drugą Rapsodię Liszta, tańce węgierskie Brahmsa.

Orkiestra dęta liczyła 120 więźniów, symfoniczna 80 więźniów, taneczna 20 więźniów oraz jazzowa 5 więźniów (*Stasiak Bronisław* — akordeon, *Wojszczyk* — trąbka, *Wysocki Adam* — kontrabas, *Jakób Cygan* — skrzypce).

Wśród więźniów wchodzących w skład oświęcimskiej orkiestry obozowej byli m. in. następujący więźniowie Oświęcimia:

Dyrygenci:

Krzyński Mieczysław
Nierychło Franciszek

więzień nr 994
Adam Kopyciński

I Skrzypce:

Lize Tadeusz
Wysocki Adam
Sapiński Jerzy
Królikowski Józef
Hildebrandt Jan
Nowacki Adam
Stryj Franciszek
Staszek Henryk
Krupiński Józef
Król Henryk

Altówki:

Gargul Antoni

Wiolonczele:

Silko Józef
Sikorski Tadeusz

Easy:

Piasecki Józef
Krzyński Władysław
Slizewski Józef

Flety:

Wolac Stanisław
Cimochowicz Henryk

Oboje:

Strasił Józef

Klarnety:

Dulin Eugeniusz
Cholewa Tadeusz
Dudzik Tadeusz
Gąsiorowski Stefan

Fagoty:

Piłat Masymilian
więzień nr 5131

Trąbka:

Imiołek Tadeusz
Stasiak Bronisław
Stasiak Stanisław

Waltornie:

Maciejko więzień nr 68

Puzony:

Reder Tadeusz

Ferkusja:

Wojszczyk Zygmunt
Sowół Czesław
więzień nr 167

Aniolkiewicz Stanisław

Harmonia:

Aniolkiewicz Mieczysław

Lista ta zostanie w przyszłości uzupełniona dalszymi nazwiskami.

SEWERYNA SZMAGLEWSKA

były więzień obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu nr 22090

Sylwetki lekarzy — więźniów Oświęcimia¹

Mała, drobna, przeźroczysta z wycieńczenia dr *Stefania Kościuszko* wdrapuje się na najwyższe piętro pryczy w bloku 24 obozu A. Przed nią postanie szczelnie wypełnione chorymi — po dwie, po trzy rozgorączkowane pacjentki leżą razem. Gruźlica i zapalenie stawów, infekcyjna biegunka i malaria. Tuż obok

łóżka, równoległe do linii dachu, otwór wysoki na kilkanaście centymetrów obiega cały barak i doktor *Kościuszko* widzi przez tę szparę fragment obozu. Jeżeli wiatr dmie z południa lub z północy, śnieg osiada na kocach okrywających pacjentki, topnieje na ich włosach i twarzach, powleka chłodem śmierci

istoty jeszcze żywe. Trwa wielka epidemia duru plamistego.

Temperatura ciała w granicach trzydziestu dziewięciu, czterdziestu stopni. Utrata przytomności. Często wywiązuje się zapalenie opon mózgowych. Czasem obłąd. Nocami szczury śmigają po zmarłych i żywych. Głód, o paczkach nawet się nie śni. Brak wody. W kocach gniazda insektów. Nieprzytomne chore nie mają siły walczyć o poprawę warunków higienicznych. Nie ogrzewa się baraku, jeszcze nie zbudowano pieca.

Dziś, kiedy się myśli o tej sytuacji, trudno zrozumieć i trudno wyjaśnić innym, jak to się stało, że pewien procent chorych zdołał utrzymać się przy życiu. Wówczas wszelki ratunek był dla więźniów niedostępny: powinni jak najszybciej umierać. I umierali.

Czym w tych warunkach była pomoc lekarska? Co przynosiła dr *Kościuszk*o chorym, do których przychodziła z sumiennością, jak w czasie codziennego obchodu w szpitalu? Czasami wyjmowała z kieszeni tabletkę aspiryny. Jedną na dobę, na więcej czasu. Częściej nie przynosiła nic. Ale przychodziła. Patrzyła chwilę spokojnie w oczy pacjeniki szukając dowodów nie gasnącej świadomości. Badała puls. Przykładała ucho do piersi. Mówiła kilka oszczędnych słów, nic rewelacyjnego. Wizyta miała kolosalne znaczenie. Na tym głównie w owym wczesnym okresie istnienia obozu, w roku czterdziestym drugim, polegała służba zdrowia w Oświęcimiu. Służba zdrowia w Oświęcimiu tamtej zimy, to było zainteresowanie stanem chorych, odwiedzanie ich możliwie w równych odstępach czasu, głównie pod osłoną wczesnej nocy, po apelu. Pytanie chorych o ich samopoczucie. Każdy więzień, który przeżył Oświęcim uczciwie, zdaje sobie sprawę, jak trudno było znaleźć energię i skrawek wolnego czasu w morderczym programie biegów do pracy, biegów na apel, w zwierzęcej walce o byt.

Dziś słowo Oświęcim nie dla wszystkich obywateli naszego kraju znaczy to samo. Tym bardziej, przy okazji wspomniania tych kilku sylwetek lekarzy, którzy będą żyć zawsze w naszej pamięci, chociaż nie wszyscy powrócili, chciałabym z naciskiem powiedzieć proste, mało popularne słowa: cechowała ich wielka siła moralna. Wielka siła moralna, jaka była potrzebna, żeby w trybach maszyny miażdżącej ludzi na długo przed ich uśmierceniem, w obliczu realizowanego ludobójstwa, pod kijami zdeprawowanych funkcyjnych, odbyć swoją drogę od początku do końca uczciwie.

Zdarzało się, że ludzie tam rezygnowali z kontrolowania swoich postępów pod kątem oceny moralnej. Popadali w rodzaj koszmarnego snu, w którym pozwolili toczyć się swoim losom po linii najmniejszego oporu. Linia najmniejszego oporu znaczyła dla wielu przetrwanie kosztem innych. Na tym tle drob-

na, wybladła dr *Stefania Kościuszk*o, tak bezinteresowna, tak sumienna, pełniła spokojnie swoją służbę lekarza w sytuacji wielkiej epidemii. Często wracam w myśli do tej postaci. Wszystko, co mogłabym powiedzieć o swoich na jej temat refleksjach, zawiera się w krótkim zwrocie: cześć Jej pamięci.

Dr *Garlicką* znałam już kilka dni, nie wiedząc, że jest lekarką. Pamięć zachowała ją niezmienną, tak jak wtedy, w chłodny październikowy poranek. Duża, łagodna kobieta pochyła się nad obracającym w palcach ziemniakiem. Uśmiech nie znika z jej ust, od czasu do czasu z tym uśmiechem radości spogląda na swoją sąsiadkę. Rozpoczęła właśnie pracę w kartoflarni. Na dworze, ale pod dachem. Od kilku dni jesienny deszcz ze śniegiem nie będzie już przenikał na plecy, nie trzeba będzie dźwigać szyn wąskotorowej kolejki, ani napełniać piaskiem i żwirem wagoników. Obraca ziemniak w sinych palcach i znowu patrzy na sąsiadkę. Jeszcze wtedy nie wiedziałam, że była w obozie razem z córką *Zofią Jankowską*. Ktoś przybiega do kartoflarni. Nerwowe rozmowy prowadzone są szeptem i nagle duża kobieta przewiązana szmatą zamiast fartucha, z palcami zgrabiałymi, oblepionymi brudem, wstaje. Nie potrafi chodzić w drewniakach uciekających z nóg, jej ruchy stają się pokraczne, plecy zgarbione bardziej niż zwykle. Podąża za wzywającą ją kobietą, zabiera także swoją sąsiadkę i — nie wiem dlaczego — mnie. W pustym baraku wszystko się wyjaśnia. Po między pryczami, skulona w ataku bólu wije się młoda dziewczyna. Stajemy przy drzwiach z obu stron. Więc to lekarka. Szybko, sprawnie bada chorą, każda sekunda jest cenna, czynność następuje błyskawicznie po czynności, wieloletnie doświadczenie kieruje dłońią i myślą doktor *Garlickiej*. Oto znowu na ten krótki czas odzyskała prawo do swej dawnej pracy i wiedzy, stała się osobą, jest potrzebna chorej. Odzywają się ciche sygnały, ledwo dosłyszalne sygniecia. Trzeba kończyć i natychmiast odejść, ale doktor *Garlicka* nie jest przecież w ciągu tej krótkiej chwili robotnicą z kartoflarni, jest lekarzem. Spokojnie, rzeczowo, do końca daje zdenerwowanej blokowej wskazówki, powtarza jeszcze raz i tłumaczy dokładnie. Potem, kiedy już *SS-manka* jest za progiem, odchodzi mówiąc na pożegnanie: wpadnę jeszcze wieczorem. Ile razy tymi samymi słowami żegnała pacjenta, dając mu nadzieję, tak wiele przecież w tym życiu, nadzieję, że wszystko będzie dobrze, skoro ktoś nad nim czuwa i przyjdzie jeszcze tego samego dnia.

W niewiele dni później nową załogę z kartoflarni zdziesiątkowała wysoka gorączka. Zobaczyłam doktor *Garlicką* na bloku 24, oczyma nie zupełnie już wtedy przytomnymi. Wspięła się na wysokość mojej podsufitowej pryczy. Znowu uśmiech. Ten uśmiech pochodził z powziętej decyzji: Zostaję tu, będę sypiała z moją córką, przechodziłam już kiedyś dur plamisty, nie sędzę, żeby mi się przytrafił paratyfus, a córce będzie ze mną trochę

¹ Według odczytu wygłoszonego na uroczystym posiedzeniu Krak. Oddz. PTL w dniu 23. I. 1963 r. w 18 rocznicę oswobodzenia obozu w Oświęcimiu.

lepiej i cieplej. Była to może odpowiedź na jakieś moje pytania, może zresztą lekarka odpieszała swoje własne wątpliwości. Odprowadziłam ją wzrokiem. Pomiędzy drewnianymi konstrukcjami trzypiętrowych prycz przypominającymi rusztowania, jej wysoka postać zdążyła na przeciwną stronę baraku, wspięła się na górne posłanie, tam gdzie zadymka wpadała, jeżeli dał wicher północny. Miałysmy więc doktor *Garlicką* pomiędzy sobą w dzień i w noc na nieustającym ostrym dyżurze, gotową zawsze, spieszącą na każde wezwanie. Pełniła częściej funkcję salowej i pielęgniarki niż lekarza. Potem zaczęła się jej wysoka temperatura. „Grypa” — jak mówiła nam dr *Garlicka*, nie rezygnując ze swoich dotychczasowych zajęć. Kryzys przyszedł u niej i u mnie chyba równocześnie. Kiedy po wielu dniach i nocach zmagania się z czarną mgławicą wreszcie odzyskałam przytomność, usłyszałam, że córka doktor *Garlickiej* umarła już wcześniej, a lekarka poprzedniego dnia.

Nie wiem, jak nazywał się lekarz-okulista, który dwa razy w tygodniu przychodził z obozu męskiego na rewir w obozie kobiecym. Nie mam pojęcia, czy żyje. Nigdy nie miałam okazji podziękować mu, chociaż prawdopodobnie uratował mi wzrok albo życie. W pośpiechu dyktowanym ograniczonym czasem badał oczy stłoczonych przed nim w gromadzie kobiet. Wpuszczał krople, lapi-sował, zakładał maść, wyznaczał kolejną wizytę. Z opaską na oczach, jak niewidoma, pod opieką współtowarzyszek niedoli, długimi tygodniami jesieni czterdziestego trzeciego roku chodziłam z obozu B do ambulansu w obozie A, żeby ratować wzrok. Wrzody na rogówce powodują nieprawdopodobny ból, chory z takim bólem pozostawiony sam sobie mógłby się załamać; wizyty na rewirze miały na pewno dodatkowy cel: rzeczowe stwierdzenia lekarza umacniały wiarę w szansę odzyskania normalnego wzroku, co w hitlerowskim obozie równało się powrotowi między ludzi żywych. Nie wiem, kim był ten lekarz i nie wiem, czy zamknęła się nad nim wielka cisza Oświęcimia, jak nad milionami zamordowanych tam więźniów.

Doktor *Węgierską* poznałam jako głos w ciemności odzywający się surowo, czy może tylko energicznie. Pod osłoną nocy szła od jednej do drugiej pryczy udzielając pomocy kobietom, które próbowały swoją niemoc przetrwać bez udawania się na rewir, gdzie zagrażała selekcja i śmierć. Chore te w ciągu dnia wychodziły do pracy i najwyższym wysiłkiem woli stawały na apel. Kiedy głos był już nade mną, a rozmowa z pacjentką dobiegała końca, wyciągnęłam rękę, chwyciłam brzeg sukni lekarki. Trzymając tak mocno nadzieję, jaka w ciemności zaświtała, poinformowałam dr *Węgierską*, na czym polegają dokuczliwe skutki duru plamistego mojej najbliższej sąsiadki. Wówczas doktor *Węgierska* cierpliwie i rzeczowo pouczyła, co należy robić, jakie stosować metody kuracji, żeby bez lekarstw, których wtedy nie było w Oświęcimiu, zlikwidować upartą i niebezpieczną do-

legliwość. W kilka nocy później zjawiła się znowu. Sama tym razem pochyliła się nad dolną pryczą. „No, jak tam, lepiej trochę?” — zapytała. „Troszeczkę lepiej” — odpowiedziała moja sąsiadka, z trudem opanowując jęk.

I znowu ten energiczny głos: „Dalej stosować to samo. Nie zaniedbywać. Kiedy na kolację będą ziółka, robić masaże ciepłym garnuszkiem. Upalić skórki chleba na węgiel i jeść”. Oto była w ówczesnych warunkach cała terapia. Ten przykład lekarskiej rady charakteryzuje szanse niesienia pomocy w obozie koncentracyjnym, zwłaszcza w latach wcześniejszych, kiedy jeszcze więźniowie nie mieli dostępu do środków medycznych. Upłynęły miesiące w obozie. Widywałam później doktor *Węgierską* wśród chorych w upartej, nieustannej walce o życie. Ale dla mnie pozostała zawsze głosem w ciemności.

Zapamiętałam pewien epizod.

Doktor *Jasińska* robi autohemo pacjentce obsypanej wrzodami; jest biały dzień, środek baraku rewirowego 23. Już igła wprowadzona do żyły, krew równomiernie, wolno podnosi się w strzykawce. Łoskot drzwi. Jakiś *SS-man* wpada z trzaskiem, ale zatrzymuje się w progu, jeszcze kończy z kimś rozmowę, stoi bokiem do lekarki. Doktor *Jasińska* błędnie. Jej palce drżą. Krew spływa na klepisko baraku. To tylko sekundy. Zanim *SS-man* odwrócił swoje opięte mundurem plecy, sytuacja już jest opanowana. Pacjentka pod kierunkiem lekarki wykonuje prace porządkowe, życie w baraku szpitalnym toczy się normalnie. Dopiero po upływie kilku minut, kiedy hitlerowiec odejdzie, zabieg będzie zakończony. Doktor *Jasińska* nie dysponuje wtedy lekami, ale przy pomocy strzykawki leczy obozowe flegmony.

Miałam początkowo głęboki żal do doktora *Zbożenia*, kiedy w grudniowy poranek r. 1942 wypisał z rewiru grupę jeszcze chyba nie rekonwalescentek i skierował je do bloków, a stamtąd zagarnięto je wszystkie do kolumn wychodzących w pole, na *Aussenarbeit*, gdzie wypadło im ryć kilofami i łopatami zmarzniętą ziemię.

Była to niewątpliwie rekonwalescencja równie trudna do przebycia, jak poprzednie tygodnie duru plamistego. Jeszcze wtedy nie znałam obozu, nie zdawałam sobie sprawy, co mieści się w słowach „selekcja na rewirze”, — doktor *Zbożeń* wiedział.

Z uporem, z pogodnym uśmiechem unikał określenia „dur plamisty”. Zarówno w jego notesie, jak i w rozmowach z pacjentkami była tylko grypa. Nic groźnego. Schorzenie nie wymagające gruntownego wytepienia systemem hitlerowskim przez uśmiercenie pacjentek. Dopiero znacznie później, kiedy już Oświęcim nie miał dla mnie tajemnic, kiedy poznałam sens określenia „*Vernichtungslager*” i widziałam, jak w ciągu sekundy przechodzi się spomiędzy żywych na stronę krematorium, żeby czekać na niechybną śmierć, uznałam, że stanowcza decyzja doktora *Zbożenia* była świadoma i słuszna.

W lutym czterdziestego trzeciego roku, kiedy rewir zaczął się powiększać wskutek ro-

snącej ustawicznie liczby ciężko chorych, poznałam w pierwszym dniu jej pracy doktor Zdenkę, lekarzkę czeską.

Wyglądała gorzej, niż którakolwiek ze sprzątaczek. Ubrana w workowaty pasiak i w drewniane czółna, które utrudniały jej chodzenie, czerwieniła się często ze wstydu, kiedy stawiała twarzą w twarz z personelem pielęgniarskim, zmuszona wydać polecenie. Była nowicjuską w obozie, widziało się trudności, jakie na każdym kroku miała do pokonania. Mimo to w podległym jej bloku 17. panował dobroczynny spokój, umiała chronić chore i rekonwalescentki, pozwalając im spać i wracać do zdrowia jeszcze o dwa, trzy dni dłużej, niż miały do tego prawo. Spokój był jednak pozorny: nocą właśnie najczęściej wyły i krzyczały obłąkane, zgromadzone tu z całego obozu, przechodzące zaburzenia psychiczne po przebytych durze plamistym. Aż pewnego dnia lament ustał nagle. Powiększył się za wrotami baraku koszmarny, splątany stos nagich trupów z ustami rozwartymi w ostatnim krzyku, ze szponami zagiętych palców usiłujących przetrzymać życie.

W latach następnych, 1943, 1944, epidemia tylko przygasła na krótkie tygodnie, nawet miesiące, żeby znów atakować ze spotęgowaną siłą. Mimo że stopniowo poszerzono bardzo teren rewiru o następne baraki, ciągle było za mało miejsca i często widywało się po trzy, cztery chore wciśnięte na jedno posłanie, przykryte jednym sztywnym od brudu kocem.

W tych warunkach walka o życie przypominała pozbawioną wszelkich szans batalię, z góry przekreśloną, przegraną. Przeciętą śmiertelność obu obozów kobiecych osiąga w okresie jesieni i zimy 1943/1944 liczbę trzystu zmarłych dziennie. (Cyfra ta nie dotyczy naturalnie selekcji na rewirze i selekcji w całym obozie).

Lekarze nie rezygnowali. Przeciwnie. Pracowali już w sposób zorganizowany, porozumiewając się ze sobą między obozami, zdobywając leki, dokonując skomplikowanych zabiegów i decydując się na ryzykowne, grożące nieustannie śmiercią wprowadzanie hitlerowców w błąd dla ratowania życia ludzkiego.

Pamiętam, jak trudną, beznadziejną walkę toczyła w owym czasie doktor Łaniewska. Zdawało się, że spotęgowany wysiłek lekarzy natrafia na pomnożone, wielokrotnione formy

i odmiany schorzeń. Od puchliny zmieniającej organizm ludzki w biały balon pozbawiony niemal zupełnie rysów twarzy, poprzez uśmiercającą szybko drętvicę karku, wszelkie odmiany gruźlicy, flegmon powodujących zakażenie ogólne, poprzez ogarniającą każdego więźnia pierwszej nocy w obozie wszawicę do nieuniknionego duru plamistego i jego następstw. A na tym tle od czasu do czasu odbywał się poród i rozpoczynało się czyjeś nowe życie, czasami trwające tylko parę godzin albo w niewielu wypadkach uchronione do końca przed zbrodnią.

Samotne były drogi, dla każdego z nas odmienne, po których przebywaliśmy to, co w historii świata pozostanie pod nazwą: „obóz koncentracyjny *Auschwitz-Birkenau*”. Samotne były decyzje, jak żyć, jak traktować innych i siebie, skąd, z jakich źródeł, uświadomionych, czy nie, czerpać owe nadwyżki sił niezbędnych po to, żeby przeżyć po ludzku. Najbardziej uspołecznieni, oddychający jednym tchnieniem idei, zagrzewający się wzajemnie wiarą w celowość przebywania dżungli uczciwie i z czystymi rękami — tę decyzję wyboru musieli sami podjąć i dźwigać. Drogi lekarzy — więźniów Oświęcimia były najbardziej wysokie, niebezpieczne, karkołomne.

Ta wielka karta medycyny polskiej zapełnia się powoli dziełami o nieprzemijającej wartości. Stopniowo pojawiają się pamiętniki lekarzy, na które czeka całe społeczeństwo. Ten temat podjąć mogą tylko ludzie, którzy go znają najlepiej.

Moja dzisiejsza krótka wypowiedź ani pełna, ani wyczerpująca wielką liczbę nazwisk nie rości sobie pretensji do niczego więcej, niż jest w istocie. Jest hołdem złożonym wszystkim pracownikom służby zdrowia, tym którzy zmarli w obozie oraz tym, którzy przeżyli i są razem z nami. Oni w sposób wspaniały przeciwstawili się hitleryzmowi, tworząc szanec, jeden z najistotniejszych szaneców zagradzających drogę ludobójstwu.

Niech mi wolno będzie gorąco podziękować organizatorom dzisiejszego uroczystego posiedzenia za udzielenie mi głosu. Pragnę złożyć wyrazy uznania tym, którzy nie zapominają, którzy konsekwentnie i zgodnie kontynuują pracę nad olbrzymim zagadnieniem, a raczej splotem zagadnień sygnalizowanych słowami: Służba Zdrowia podczas drugiej wojny światowej.

ELLA LINGENS — Wiedeń

były więzień obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu nr 36088

Dr Adelajda Hautval

Istniały dwa rodzaje oporu wobec terroru systemu narodowo-socjalistycznego. Jednym z nich była organizacja grup bojowych, które musiały korzystać z każdego legalnego i nielegalnego środka w celu niszczenia nieprzyjaciela

i sabotowania jego przedsięwzięć. Prócz tego istniała druga, bardziej cicha droga postępowania: wyraźne „nie” — postawa spokojna, wynikająca ze zdecydowanego oporu. Sprzeciw każdej osoby, która nie dała się wciągnąć nawet

jako najmniejsze kółeczko w maszynę niszczenia, posiadał bezpośrednio praktyczną wartość. Również głębokie i szerokie oddziaływanie moralnego przykładu należy odpowiednio wysoko ocenić, gdyż było ono zarodkiem dla nowych grup oporu.

Człowiekiem, który ryzykując niebezpieczeństwo dał osobisty wkład, stosując opisaną formę oporu, była dr *Adelajda Hautval*, lekarzka-więźniarka kobiecego obozu Oświęcim-Brzezinka, pracująca dziś jako lekarka szkolna w rejonie Paryża. Była ona wzorem godnym naśladowania dla innych.

Kiedy w lutym 1943 r. zostałam przysłana, jako nieżydowska niemiecka lekarka do Oświęcimia, zostałam skierowana na ówczesny blok 22, tj. na niemiecki blok szpitalny. Zaraz po naszym przybyciu, jeszcze w „saunie”, powiedział do mnie *Scharführer* czy też *Oberscharführer Klaus*: „Dobrze, że otrzymujemy niemiecką lekarzkę dla niemieckich więźniów. Obecnie jest tam Francuzka, która powtarza tylko: 'oui, oui' i 'grippe', a przy tym kobiety mrą jak muchy. Pani musi tutaj w szpitalu tak się opiekować chorymi, jakby to były pani prywatne pacjentki”.

Jako nowy przybysz, nie orientujący się jeszcze dałam się zwieść grzecznościowym słowem „pani” i jego wyraźnie świętoszkowatym tonem, myśląc, że skoro SS ma takie nastawienie do chorych więźniów, to widocznie warunki w obozie nie muszą być tak złe, jak się obawiałam. Nie znałam jeszcze wtedy prawdy o Oświęcimiu.

Następnie obejrzałam obóz i szpital. Ja, która dopiero co przybyłam z białą wykafelkowanych klinik mojej ojczyzny, byłam załamana do tego stopnia, jakbym dostała obuchem w głowę.

Szłam bezradna pomiędzy łózkami dookoła stajni pozbawionej okien. Z trudem mogłam widzieć w półcieniu bloku twarze moich pacjentek, nie mogłam niczego słyszeć w hałasie, który wywoływały kobiety stłoczone w wąskim przejściu. Jak w takich warunkach mogłabym osłuchać pacjentkę? Balansując pomiędzy trzypiętrowymi pryzkami nie mogłam trafić do żyły przy zastrzyku, a zagadką było dla mnie, jak można dojść do badania kobiety, która leżała na tylnym łóżku przy ścianie. Wszelkie obserwacje były niezmiernie utrudnione.

I wtedy zobaczyłam wysoką, smukłą kobietę lat około 30, o ciemnych włosach, o regularnych, poważnych rysach Rzymianki, która zdecydowanymi i pewnymi ruchami przechodziła pełna spokoju od jednej chorej do drugiej. Tej zrobiła zastrzyk, innej założyła opatrunk i wciąż miała na ustach przyjazne współczujące słowo. Z łatwością wykonywała swoje zadania, które dla mnie były trudne do pokonania. Z serdeczną, koleżeńską przyjaźnią zajęła się mną i pomagała mi, młodszej koleżance, wprowadzając mnie w zakres działania. Z nieomyślną pewnością rozstrzygała, gdzie należy natychmiast zrobić infuzję, gdzie wstrzyknąć strofantyne, by zapobiec najgorszemu. Nieliczne leki będące do dyspozycji otrzymywali ci spośród chorych, któ-

rych życie było bezpośrednio zagrożone. Każde jej rozstrzygnięcie, każde zarządzenie było przemyślane, pełne sensu i precyzyjne. Nikomu nie przyszłoby do głowy sprzeciwić się jej. Oczywiście kobiety umierały mimo to jak muchy z powodu duru wysypkowego. Jednak lekarz obozowy słyszał tylko z ust dr *Hautval* stale rozpoznane „grypa”, ponieważ ona wiedziała, że dur wysypkowy oznacza śmiertelną iniekcję lub komorę gazową.

Kiedy pewnego razu dr *Mengele* zażądał od nas, lekarzy więźniów, sporządzenia wykazu rozpoznai i prognoz wszystkich chorych na bloku pacjentek, jakkolwiek był to rozkaz nie dopuszczający sprzeciwu, ona odważyła się go nie wykonać. „On zużytkuje ten wykaz dla swoich selekcji, ja nie robię tego” — powiedziała dr *Adelajda Hautval*. I tak się też stało.

Skoro tylko przeszłam dur wysypkowy, przeniósł mnie nasz ówczesny lekarz obozowy SS dr *Rhode* „na wypoczynek” do bloku doświadczalnego dziesiątego w obozie męskim. Nie musiałam tam być ani królikiem doświadczalnym, ani nie żądano ode mnie żadnej innej pracy. Mogłam tam przez okres kilku tygodni poleżeć w swoim łóżku, w stosunkowo czystej sali sanitariuszek (oczywiście porównując to z warunkami w Brzezince), aż znowu doszłam do sił. W kilka dni po mnie przysła na tę salę także dr *Hautval*. Lekarz garnizonowy niespodziewanie kazał ją zawołać, pytając, czy umie operować, ona przytaknęła. Zaraz potem została przydzielona do pracy na bloku X.

Nie pytałam jej o rodzaj operacji, które tu miała przeprowadzać, a ona też nie mówiła na ten temat. I tutaj była też tak spokojna i zdecydowana, jak w Brzezince. Ja natomiast byłam jeszcze na tyle odurzona moją chorobą, że nie mogłam zorientować się, co się naokoło mnie działo.

Po kilku tygodniach przeniesiono mnie do Babic, a z końcem sierpnia dr *Rhode* skierował mnie do rozszerzonego tymczasem szpitala dla kobiet w Brzezince. Tutaj spotkałam znowu dr *Adelajdę Hautval*. „Już nie jesteś na bloku X?” — zapytałam. „Nie”. — „Dlaczego ciebie cdesłano?” — „Najpierw otrzymałam przypadki, które należało zoperować, te zoperowałam. Następnie przysłano mi kobiety, u których nie było żadnych wskazań lekarskich — i tego było mi już za dużo. Wyjaśniłam, że nie będę więcej operować”. — „Co na to dr *Wirhs*? — „Nic, odesłał mnie tutaj z powrotem”.

Czy było to możliwe, ażeby więzień nie wykonał polecanej mu pracy i żeby mu się nic nie stało?

Ubiegłej jesieni, prawie po 20 latach, spotkałam znowu — po raz pierwszy od czasu Oświęcimia — *Adelajdę Hautval*. Siedziałyśmy w przytulnym mieszkaniu, w którym były dwa fortepiany i harmonia. *Adelajda* prócz swego zawodu kocha muzykę i w niedziele gra na organach w kościele parafialnym. Dopiero podczas tego spotkania dowiedziałam się, co się właściwie wtedy stało.

Dr *Hautval* zameldowała się u lekarza garnizonowego i poinformowała go, że nie wykona

poleconych jej operacji, ponieważ byłby to czyn niezgodny z przysięgą i sumieniem lekarskim. Dr *Wirths* odpowiedział jej: „Ależ pani ma operować tylko Żydówkę!” „Mimo to nie widzę żadnej podstawy do innego pojmowania tego zagadnienia”. *Wirths* miał niejasne przeczucie, że jakkolwiek więźnia łatwo zmusić do wykopania sobie grobu, to mimo to ciężko byłoby go zmusić do wykonania operacji w jamie brzusznej ofiary w taki sposób, aby ona dała żądany cel. Taką bowiem pracę zbyt łatwo można sabotować. Lekarz SS próbował przeto jeszcze raz metody nakłaniania. „Tak, nie ma pani więc absolutnie uczucia, że istnieje różnica między ludźmi” — zapytał dr *Wirths*. — „Tak panie *hauptsturmführerze* — brzmiała odpowiedź dr *Hautval*. — Ja mam wrażenie, że istnieje duża różnica między ludźmi, np. różnica między panem a mną”. Na to *Wirths* bez słowa odesłał ją do Brzezinki.

Najpierw nie działo się nic. Następnie, po kilku tygodniach, *Orly Reichert*, starsza obozu, kazała zawołać pewnego wieczora dr *Hautval*. *Orly* była ogromnie wzburzona. „*Adelajdo*, zostałam powiadomiona, że ty rano masz być odtransportowana. W męskim obozie mają być rano egzekucje, a ty jesteś na liście. Będziemy jednak wszystko robić, by ciebie ocalić”.

Widocznie *Wirths* zameldował o niewykonaniu rozkazu do Berlina, a teraz stamtąd przyszedł wyrok śmierci.

„Dziękuję” — odpowiedziała *Adelajda* starszej obozu i udała się na blok, gdzie pracowała dalej, jakby się nic nie stało. Nie powiedziała nikomu o rozmowie i nikt też z nas nie przeczuwał, że była skazana na śmierć. Następnego dnia czekała, aż przyjdą ją wyprowadzić. Minął

on jednak i nic się nie wydarzyło, następnego dnia też nic.

W następnych tygodniach liczyła się z tym, że każdy dzień, w którym się obudzi, może być jej dniem ostatnim. Przez cały ten okres czasu wykonywała swoją pracę spokojnie, nie rzucając się w oczy. Nikt niczego też nie zauważył.

„W końcu” — tak opowiadała dalej — „zostałam przeniesiona do małego przyfabrycznego obozu razem z kilkuset kobietami, liczyłam się bowiem z tym, że o mnie zapomną. Rzeczywiście przetrzymałam aż do uwolnienia. Do dziś nie mam pojęcia, dlaczego nie doszło do egzekucji”.

Starsza obozu *Orly* nie żyje już dzisiaj, nie można jej więc o to zapytać. Czyż wpływy jej i jej przyjaciół w obozie męskim mogły być takie, że np. numer obozowy *Adelajdy* zamienili z numerem zwłok? Czyżby chodziło o przeoczenie SS, ponieważ dr *Hautval* jako jedyna miała być wyprowadzona z obozu kobiecego? Czyżby pominięto ją w pośpiechu? Czyżby korupcja lub opieszałość SS uratowały jej życie przy szczęśliwym zbiegu okoliczności? Czyżby wreszcie należało wierzyć w cud, że bezprzykładna odwaga i moc jej osobowości zmusiły SS-maną odpowiedzialnego za wykonanie rozkazu do zaniechania go, dzięki czemu życie tej kobiety zostało ocalone od egzekucji? Dr *Hautval* nie mogła liczyć na taki obrót sprawy, była zdecydowana ponieść wszelkie konsekwencje swojego postępowania.

Czyż nie powinni tego wspomnienia przeczytać ci wszyscy, którzy dzisiaj bez końca uchylają się od odpowiedzialności, tłumacząc się „działaniem wykonywanym na rozkaz”?

TADEUSZ HOŁUJ

były więzień obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu nr 62937

Marian Toliński

Marian Toliński nie był lekarzem, a jednak jednoczył w sobie te wszystkie cechy ludzkiego charakteru, jakie zwykliśmy przypisywać lekarzowi, jakie, przynajmniej w opinii publicznej, wyróżniają go spośród innych zawodów. To stała gotowość niesienia pomocy bliźnim, bezinteresowność i ofiarność, oddanie sprawie człowieka.

Jego imię było i pozostało symbolem człowieka bezgranicznie oddanego współtowarzyszom niedoli, co niestety, nie stanowiło przecież reguły w społeczności obozowej nawet w więziarskim szpitalu.

Urodzony 23. III. 1915 r. w Krakowie, związany z tym miastem silnymi więzami uczuciowymi, dostał się w ręce gestapo już w maju 1940 r. i przetransportowany z krakowskiego więzienia do tarnowskiego znalazł się w pierwszym transporcie więźniów politycznych, którzy otworzyli krwawą historię obozu oświęcimskie-

go. *Toliński*, oznaczony obozowym numerem 49, niemal od początku związał swe osobiste losy ze szpitalem obozowym obozu głównego. Był tu jako pacjent, pielęgniarz, pracownik ambulatorium bloku 28 i apteki więziarskiej. Był też wyznaczony do wnoszenia zwłok rozstrzelanych na bloku śmierci, a jakiś czas musiał przejść karną pracę w osławionej żwirowni, która stanowiła karne *komando* obozu. Ale w pamięci więźniów zachował się zwłaszcza jako kierownik ambulansowej apteki i laboratorium, gdyż z racji tej funkcji miał styczność z niezliczoną rzeszą ludzi.

Drobny, szczupły *Marian* był człowiekiem skromnym i cichym, pogodnego usposobienia i wielkiego hartu ducha. Znano go z tej pogody, a nawet wesołości, nie podejrzewając, że pod nią kryje się ogromne wyczerpanie psychiczne, *Marian* bowiem przeżywał obóz dramatycznie, z „otwartymi oczyma”, z pełną świadomością

tego, co się w nim działo. Praca w szpitalu, w samym centrum obozowego systemu oświecimskiego, w nieustannym zagrożeniu, najtrudniejsze lata terroru nie pozbawiły go wpraw-



Marian Toliński

dzie ani ludzkiej godności, ani prawości charakteru, przeciwnie, spowodowały zacięty upór w walce o zdrowie i życie współtowarzyszy, ale niszczyły siły psychiczne stale i coraz bardziej.

Ruch oporu liczył na *Mariana* i nigdy się na nim nie zawiodł. *Toliński* produkował z dostarczonych nielegalnie glukozy i *calcium* dziesiątki litrów gotowych roztworów, z ziół,

zbieranych przez specjalne *komando*, wytwarzał masowo syropy, nalewki nasercowe i inne, pomnażając w ten sposób środki walki z ząglądą. Fabrykował zresztą nie tylko leki, ale, w razie potrzeby, także fałszywe analizy moczu czy krwi, aby ocalić życie kolegów przed niebezpieczeństwem grożącym ze strony SS. W pracy laboratoryjnej doszedł do perfekcji, co bardzo przydało się w okresie nasilenia duru plamistego dla ofiarnej kampanii ratowania obozu.

Toliński gromadził wykradzione SS-manom lekarstwa, środki opatrunkowe itp., służąc nimi potrzebującym pomocy współwięźniom i wysyłając je do obozu kobiet. Magazynował także u siebie zapasy lekarstw przemycane do obozu przez sieć konspiracyjną międzynarodowej organizacji ruchu oporu. Czynił to wszystko bez patosu, traktując swoją pracę jako zwykły ludzki obowiązek, jako rzecz oczywistą.

Jego pomocy szukali nawet poszczególni SS-mani z załogi obozowej, leczący potajemnie choroby weneryczne. Tę okoliczność potrafił *Marian* wyzyskać dla dobra obozu i więźniów.

Znali go więc zarówno zwykli więźniowie z obozowego plebsu, dla których miał zawsze serce, słowa otuchy i pomoc, jak i działacze obozowej konspiracji. Walczył, bo to była przecież walka, co dzień, niezmordowanie o życie ludzkie, a równocześnie o godną postawę więźnia politycznego. Z końcem października 1944 r. wyjechał z pierwszą falą ewakuacyjną do Sachsenhausen.

Po wyzwoleniu ten zniszczony obozem człowiek natychmiast stanął do pracy w kraju. Pracując zawodowo jako redaktor sportowy „Echa Krakowa” poświęcał wiele czasu i energii działalności społecznej. Ofiarnie i bezinteresownie pracował w Związku Byłych Więźniów Politycznych, był działaczem sportowym, sekretarzem Komitetu Wojewódzkiego Przyjaciół Studentów WF. Ale organizm nie wytrzymał już tego trudu. *Marian* zmarł w maju 1948 r., szczerze żałowany przez rzeszę współtowarzyszy obozu i pracy.

Bezlitosny czas niszczy pamięć o takich jak on ludziach, choć dobro, jakie czynił w okrutnych latach niewoli, nie powinno pozostać w ludzkiej pamięci bezimiennie.

STANISŁAW KŁODZIŃSKI

były więzień obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu nr 20019

Rola trucizn jako „Ultimum refugium” w obozie w Oświęcimiu Dr Jan Zygmunt Robel

W dniu 24 maja 1962 r. zmarł w Krakowie w wieku lat 76 dr *Jan Zygmunt Robel*, długoletni pracownik naukowy Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego. Już jako student chemii związał swoje życie z medycyną. Krokami jego kierował znakomity uczony, prof.

dr *Leon Marchlewski*. Dr *Robel* przez szereg lat prowadził w Zakładzie Chemii Lekarskiej UJ badania nad pokrewieństwem strukturalnym hemoglobiny z chlorofilem. W r. 1912 uzyskał tytuł doktora chemii ze szczególnym wyróżnieniem.

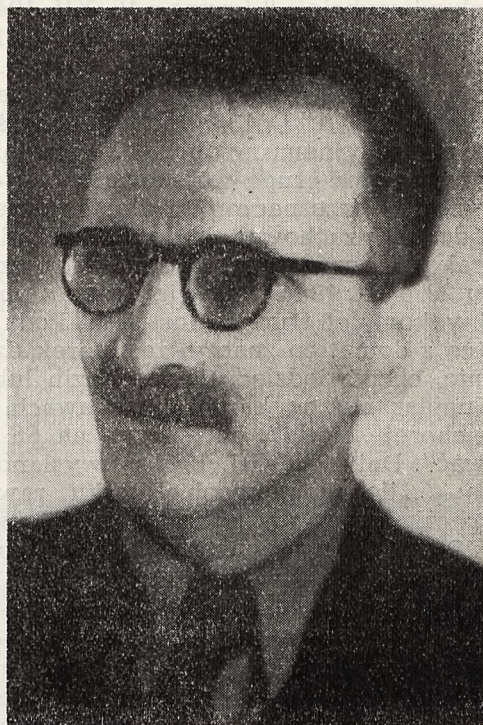
Przez dalsze żmudne lata pracy kształcił w Krakowie adeptów sztuki medycznej i farmacji, niezmordowanie prowadząc ćwiczenia i wykłady. Pozostał w pamięci licznych lekarzy i magistrów farmacji jako surowy, wymagający wiele od siebie i innych świetny naukowiec i pedagog. Swoją pracowitość i zamiłowanie poznawania tajników przyrody umiał wszczepiać w dusze pierwszoroczników — przyszłych lekarzy. Pod maską surowości i nieprzystępności ukrywał umiłowanie młodych wychowanków. Uczył poważnego i rzetelnego podejścia do studiów; trzebił bezlitośnie powierzchowność i lenistwo.

W początkach okupacji hitlerowskiej wraz z innymi profesorami krakowskimi znalazł się w obozie w Sachsenhausen. Wykazał tutaj niezłomny hart ducha, skromność i ofiarne koleżeństwo. Zwolniony, choć wyczerpany obozem, nie załamał się. Wrócił do umiłowanej pracy, do chemii. Objął kierownictwo Instytutu Medycyny Sądowej i Kryminalistyki, z którego po wojnie powstał Instytut Ekspertyz Sądowych. Instytut ten mieścił się w Zakładzie Chemii Lekarskiej UJ. Dr *Robel*, prowadząc tę placówkę, w okresie okupacji chronił od zniszczenia i rabunku ten wieloletni zakład uniwersytecki. Przesiadywał w nim od rana do późnych godzin wieczornych, czuwając nad majątkiem, za który osobiście czuł się odpowiedzialny. Zakład Chemii Lekarskiej UJ był też jedynym obiektem uniwersyteckim, który okres okupacji hitlerowskiej przetrwał bez uszczerbku i w którym można było natychmiast po wyzwoleniu rozpocząć kształcenie kadr lekarskich, tak potrzebnych wyniszczonej Polsce.

W Instytucie prowadzonym przez dr *Robla* znalazło pracę wielu lekarzy i chemików. Zakład ten był zamaskowanym azylem dla konspiratorów i działaczy Polski podziemnej. Dr *Robel* był nadal aktywnym bojowcem i kierownikiem młodego polskiego walczącego pokolenia. Nauzony doświadczeniem nabytym w obozie w Sachsenhausen, umiał nieustraszenie, spokojnie, lecz zdecydowanie walczyć z hitlerowskim okupantem. Jako świetny chemik rozwiązywał wiele aktualnych zagadnień walki konspiracyjnej związanych z chemią. Jego doświadczenie życiowe, spokój i rozwaga pozwalały precyzyjnie, fachowo i rzeczowo rozważać sytuację i nieść pomoc. A zwracano się do niego z nie byle jakimi problemami. Od jego zdrowego rozsądku i decyzji zależały sprawy życia i śmierci ludzi walczących przeciwko SS, gestapo i Wehrmachtowi. Do jego pracowni przychodziła po poradę i pomoc fachową *Teresa Lasocka-Estreicherowa*, kierowniczką krakowskiej „Grupy Oświęcim”, żołnierze PPS i AK.

Nieznana ogółowi działalność dr *Jana Zygmunt Robla*, którą przypomina się tutaj po 20 latach, wiązała się z „organizowaniem” trucizn przez Ruch Oporu w Oświęcimiu.

W zachowanych grypsach „Grupy Oświęcim” przewijają się często słowa: trucizna, cyjanek, fluorek, arszenik, strychnina i inne środki che-



Dr Jan Zygmunt Robel

miczne zapotrzebowywane masowo drogą nielegalną do obozu w Oświęcimiu.

W krótkich, lakonicznych zaszyfrowanych słowach „Grupa Oświęcim” żąda trucizn: „Poślij mi proszek — truciznę dla 2, 3 osób, pewną” (gryps z 23. IV. 1943 r.). „Poleć wszelkie środki ostrożności i rozdaj całej drodze truciznę — wszystko możliwe, a wsypa łatwa...” (gryps z 12. V. 1943 r.). „Za cztery pastylki bardzo dziękuję. Postaram się zastosować do twojej prośby (...). Wszystkie trucizny, o których piszesz, mogą mieć ogromne zastosowanie” (gryps z 16. V. 1943 r.). „...tą drogą posyłam *calcium* i obiecałem mi trucizny, tylko szybko...” (gryps z 14. VI. 1943 r.). „Dlaczego Ter. nie posyłasz mi tych truc. przez Ryc¹, są potrzebne!” (gryps z 20. VI. 1943 r.). „Proszę drogą Ryc przesłać szybko trucizny oraz 1 flaszeczkę szczepionki cholera, para- i *bauchtyphus*. Szybko, to ważne!” (gryps z 28. VI. 1943 r.). „Proszę dalej posyłać cyjanek i zastrzyki przeciw cholerze. Możliwie szybko...” (gryps z 30. VI. 1943 r.). „Cyjanek jest potrzebny. U nas dużo wsyp i aresztowań...” (gryps z 4. VII. 1943 r.). „Proszę szybko przez drogę Ryc przesłać cyjanek, *Flecktieber* zastrzyki oraz *calcium* — możliwe dużo w zastrzykach...” (gryps z 14. VII. 1943 r.). „Truc. otrzymałem 6 sztuk dla siebie i moich...” „Za truciznę, którą przesłesz z objaśnieniami, z góry dziękuję” (gryps z 4. VIII. 1943 r.). „Poślij truciznę i trzynastki, to w tej chwili najważniejsze. Jeszcze raz ostrzeżenie — trucizna — oczyścić drogę ze szpicłów (...) On² ma na celu wykrywanie kontaktów lagru z zewnątrz. Trzeba go albo struć (*pije wódkę*), albo zastrzelić. Bez wahania od

¹ Pseudonim *Józefa Cyrankiewicza*.

² Chodzi o szpicla, więźnia *Stanisława Dorosiewicza*, który uciekł z obozu i zachodziła obawa jego zdrady.

razu jak najszybciej..." (gryps z 16. XII. 1943 r.). W grypsach z 8. I. 1944 r., 20. I. 1944 r., 1. V. 1944 r., 20. VIII. 1944 r., 21. VIII. 1944 r., powtarzają się stale wzmianki o truciznach zaszyfrowanych jako „1” i „13”, potrzebnych ośrodkowi konspiracyjnemu w obozie. W memoriale przesłanym przez grupę wojskową ruchu oporu w obozie, przeznaczonym do konferencji z dowódcą AK, zachował się dopisek: „Żądamy od Krakowa granatów, broni i trucizny”. W dniu 22. VIII. 1944 r. potwierdzono z obozu: „...Ładny komplet trucizn dostałem. Podaj mi w kartce z domu, co znaczy, że fluorek działa powolnie, chcę wiedzieć, ile to godzin lub ile dni i napisz coś w kartce o objawach, np. ciężko chorej „ciotki”, chcemy go na SS wypróbować”. Dnia 29. VIII. 1944 r., wysłano zapytanie: „...ile w gramach fluorku zawiera jedna paczka przez was nadesłana...” Wreszcie 2. XI. 1944 r., zawiadomiono: „...dwóch po zażyciu trucizny zmarło...”

Urywane cytowane zdania wymagają osobnego komentarza. Każda czynność wykonywana przez członków grupy Ruchu Oporu w Oświęcimiu, przez grupę przyobozową i przez grupę konspiracyjną w Krakowie łączyła się z możliwością odkrycia przez SS i *gestapo*, a w konsekwencji z możliwością śmierci wśród tortur i załamania psychicznego. Pociągnęłoby to za sobą „łańcuszek” wyroków śmierci i likwidacji pracy konspiracyjnej. A praca Grupy Oświęcim, to działalność dziesiątek powiązanych osób na różnych odcinkach między obozem a Krakowem, to meliny dla uciekających, to przechowywana broń, lekarstwa, szczepionki, to pomoc żywnościowa i odzieżowa, to tajna prasa, nielegalna korespondencja, dokumentacja zbrodni hitlerowskich, to morale obozu i sumienie podbitego narodu, to protest i aktywność.

Dla zamkniętych w obozie jedyna w razie dekonspiracji broń była trucizna. Nie można było bowiem w obozie zmienić miejsca zamieszkania, a ucieczka w razie niebezpieczeństwa jako nieprzygotowana musiała być skazana na niepowodzenie.

Jak wynika z dat cytowanych grypsów, były one często wysyłane z obozu właśnie w chwilach największego niebezpieczeństwa, w momentach, gdy na drodze łączności coś się stało. Były to aresztowania łączników-więźniów lub łączników przyobozowych. Dysponowanie własnym życiem dzięki posiadaniu małej ampułki z trucizną dawało w śledztwie pewność, że śmierć może nastąpić w dogodnym momencie i że to będzie śmierć wbrew życzeniu wroga. Dawało to kolosalną przewagę nad przesłuchującym. Dziesiątki razy ta mała ampułka chroniła przed załamaniem nerwowym w chwilach— zdawałoby się — ostatecznych i beznadziejnych.

Z przysyłanych trucizn korzystano w obozie praktycznie rzadko. Posiadali je łącznicy-więźniowie, przenoszący przez bramę nielegalny materiał (książki obozowe, lekarstwa, trucizny, broń, aparat fotograficzny, nielegalnie

wykonane zdjęcia, grypsy). Mieli je łącznicy na trasie Oświęcim — Kraków, w czasie spotkań z przekupionymi SS-manami, w czasie wyprawowania uciekinierów, w czasie przemycania nielegalnej „bibuły” itp. Również więźniowie byli zaopatrzeni w trucizny w czasie uciezek zorganizowanych przez Ruch Oporu. Zażyli truciznę więźniowie Zbyszek Raynoch i Czesław Duzel, unikając śledztwa po zdradzie SS-mana Rotha. Z trucizną w kieszeni chodzili także partyzanci, uciekinierzy z obozu, którzy usunęli numer z ręki.

Skorzystano również z trucizny, zabijając osławionego szpicla obozowego, więźnia *Stefana Olpińskiego*. Znaczne ilości trucizn gromadzono w celu ostatecznej rozprawy z SS na wypadek realizacji zamierzeń wytepiania wszystkich więźniów. Trucizna bez smaku i woni miała być użyta w ostateczności jako domieszka do jedzenia przygotowywanego przez więźniów SS-manom w kuchniach żołnierskich, podoficerskich i oficerskich. Trucizną miała być wytepiąca tzw. „psia kolumna”, kwateryjka w Brzezince, a licząca 160 tresowanych psów. Stanowiła ona poważne zagrożenie dla więźniów. Nie doszło jednak do ostatecznej w tym sensie rozprawy z SS.

Pomysł trucia jako metody obrony narzucił więźniom obozu sam nieprzyjaciół, który przecież setkami tysięcy wyniszczał transporty „cyklonem B” w komorach gazowych. A w szpitalu obozowym ginęli chorzy od podawanego dosercowo fenolu.

Dr Jan Zygmunt Robel był właśnie tym żołnierzem, specjalistą-chemikiem, który ustalał skład chemiczny, dostosowywał do potrzeb, miareczkował i opisywał działanie toksycznych środków chemicznych, które stanowiły „*ultimum refugium*” w tych trudnych latach okupacji. Surowiec sprowadzano z dowództwa AK z Warszawy.

Państwowe Muzeum w Oświęcimiu dopiero po 20 latach otrzymało nowy eksponat: dokument z tamtych lat, mianowicie kilka pudełeczek z zawartą w nich trucizną, przekazała dr Helena Szlapak, konspiratorka Grupy Oświęcim, jako relikwiarz świadczący, że wolność jest droższa niż życie.

Dr Jan Zygmunt Robel włączył się po wyzwoleniu w akcję ujawniania zbrodni hitlerowskich. Prowadził precyzyjne analizy wykrywające zawartość cyklonu B we włosach ofiar Oświęcimia. Ten sterany życiem wielki człowiek wypełnił przed śmiercią żmudne i odpowiedzialne zadanie narodowe: zakonserwował jedną z największych pamiątek narodowych, ołtarz Wita Stwosza.

Za swoją postawę, za odwagę w pracy konspiracyjnej, dr Robel został odznaczony Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski.

Cześć Jego pamięci!

EUGENIUSZ BRZEZICKI

były więzień obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen

Prof. Dr Jan Miodoński w obozie koncentracyjnym w Sachsenhausen Wspomnienie pośmiertne

Niestety odszedł od nas na zawsze dobry kolega, prawdziwie dobry człowiek i znakomity lekarz o interesującym zacięciu filozoficznym, człowiek, który przez wiele miesięcy przebywał razem z innymi profesorami w obozie Oranienburg-Sachsenhausen. W tym samym czasopiśmie kto inny napisze wspomnienie o charakterze ogólnym i szerszym o tym człowieku o gołębiej sercu. Ja chciałbym napisać kilka słów o prof. Miodońskim z okresu naszego pobytu w obozie w Sachsenhausen.

Obóz koncentracyjny stworzony przez gestapo miał jako główne zadanie zniszczenie poczucia osobistej godności ludzkiej u więźniów. Do tego dochodzono w różny sposób: za pomocą brutalizowania, ciągłego straszenia, traktowania człowieka jako numer więzienny bez nazwiska, osobnika niegodnego już miana człowieka, którego za pomocą głodu, bicia, katowania, poniżania na każdym kroku, miało się doprowadzić do załamania psychicznego, by przez to przyspieszyć jego śmierć fizyczną. Dlatego więźniowie inteligentniejsi, którzy zorientowali się w swojej tragicznej sytuacji, musieli za każdą cenę stać się odporni na warunki obozowe. Oczywiście czynili to w różny sposób, zależnie od temperamentu, cech typologicznych i sprytu, aby tylko jak najdłużej przetrwać i doczekać się wolności. Jedni stawali się obojętni na nędzę i nieszczęścia innych i myśleli tylko o sobie, stawali się egocentrykami. Natomiast drudzy, nastawieni społecznie, starali się pomóc innym współwięźniom w każdym sposób możliwy do osiągnięcia, stawali się altruistycznie nastawieni. Życzliwy stosunek do otoczenia był ich dewizą. Pomagając innym, stawali się tymi drogowskazami, śladem których prawdziwy człowiek, człowiek przyszłości, powinien iść naprzód.

Można by powiedzieć, że w tych tak złych warunkach życiowych, w warunkach śmiertelnego niebezpieczeństwa okazywało się dopiero, z jakiego kruszcu, szlachetnego czy lichego, zbudowana jest dusza poszczególnych ludzi. Warunki obozowe wykuwały z tego wrodzonego tworzywa szlachetny lub zły charakter. Miodoński był genetycznie zbudowany ze szlachetnego kruszcu, ale właśnie w obozie ten kruszec został sformowany i wymodelowany do najwyższego poziomu. Dlatego wszyscy, którzy go znają z obozu, pamiętają go jako szlachetnego i dobrego kolegę, który w każdej chwili był gotów każdemu służyć czynną pomocą. Wiele ciężkich prac obozowych nałożonych na starszych profesorów Miodoński brał na siebie, uważał bowiem, jak to czasami wspominał, że będąc młodym, wysokim i silnym

mężczyzną powinien pomagać słabym, chorym i starszym kolegom.

Pamiętam dobrze wszystko to, o czym piszę, gdyż więzieni byliśmy w tym samym baraku nr 46 w obozie w Sachsenhausen.

Miodoński wyręczał chętnie wszystkich, codziennie nosząc kotły z jedzeniem. A było to



Prof. dr Jan Miodoński

bardzo niebezpieczne przedsięwzięcie. Rozumie to tylko ten, kto był więźniem w obozie. Niewtajemniczonym mogę tylko powiedzieć, że idąc po pustych placach obozowych z kotłem, spotykało się zawsze z gestapowcami, którzy dla swojej sadystycznej zabawy ćwiczyli więźnia w „wychowaniu obozowym”. Musiało się wtedy biegać z kotłem, skakać jak żaba, „rulować” po ziemi lub śniegu i na zakończenie „zabawy” dostawało się pięścią w twarz lub kopniaka. Kilka razy, zresztą w tajemnicy przed innymi, skarżył mi się Miodoński, że „oberwał” od gestapowca w czasie niesienia kotła. Ale zawsze dodawał ze swoim czarującym uśmiechem, że lepiej będzie, jeśli on dostanie kopniaka niż ktoś ze starszych profesorów, którzy jako mniej zgrabni i mniej obrotni bardziej byliby narażeni na bicie.

Noce także miał często zajęte nadobowiązkową pracą, zastępując słabszych lub starszych kolegów. Dla wielu bowiem starszych profesorów nieprzespana noc, spędzona na skrobianiu ziemniaków w wilgotnych i zimnych suterenach kuchni, była wprost koszmarem. Noc zresztą, w czasie której się spało i przynajmniej śniło o ciepłych i miłych warunkach domowych, była dla wielu ukojeniem, o którym się później mogło marzyć, myśleć i opowiadać przez cały dzień. Miłosierne serce *Miodońskiego* nie mogło nie pomóc starszym, schorowanym kolegom. Szedł zatem z uśmiechem na całonocną ciężką pracę w zastępstwie innych i nieraz „oberwał” po plecach gumową rurą od kierowników kuchni, złych, że mają dyżur nocny. Zresztą wszyscy kierownicy kuchni należeli do grupy tzw. asocjalnych więźniów, aresztowanych za bandytyzm, kradzieże i niechęć do pracy, zwykle źle odnoszących się do więźniów politycznych. Tacy ludzie chętnie bili polskiego profesora, aby pokazać swoją władzę.

Jest rzeczą ciekawą, że *Miodoński* jakby się wstydził swoich dobrych uczynków i nigdy nie mówił o nich publicznie. Z uśmiechem i jowialnie twierdził, że to, co robi, robi dla własnej przyjemności i że to robi z egoizmu, a nie z altruizmu.

W obozie wśród swoich kolegów *Miodoński* zasłynął nie tylko dzięki dobremu charakterowi. W naszym bowiem gronie było wielu wielkich uczonych i *Miodoński* był uważany za luminarza w medycynie. Mimo młodego stosunkowo wieku *Miodoński* miał wyrobione imię jako uczonej wysokiej klasy, jako wybitny specjalista w swoim fachu. Poza tym jednak jego lotny umysł nie ograniczał się tylko do własnej specjalności. Był on także bardzo odczytany w starożytnej literaturze i filozofii greckiej, a *Plotyn*, filozof neoplatonicki, uczeń szkoły aleksandryjskiej, opierający swoje doktryny na chrześcijańskich zasadach, był jego ulubionym mistrzem. W obozie w czasie tzw. *Steh-Kommando* wielu profesorów miewało ciekawe odczyty ze swojej dziedziny. Oczywiście najciekawsze i najbardziej uczęszczane były pogadanki z literatury, a nie z medycyny. *Miodoński* mówił wielokrotnie, w małym co prawda gronie, w którym i ja brałem udział, poruszając temat fizjologii słuchu i fizyki. Wtedy widziałem, jak głęboki i wielostronny jest jego umysł i jak różnorodne ma zamiłowania ten prawdziwy uczonej. Tylko w chwilach, gdy mówił o fizjologii głosu i słuchu i o filozofii antycznej, twarz jego stawała się poważna i skupiona, oczy świeciły się pięknym blaskiem, a z jego ust znikał wesoły uśmiech i jowialne słowa. Twarz jego i oczy stawały się uduchowione. Każdą jednak pogadankę naukową kończył wesołą anegdotką, pozostawiając zawsze miłe i pogodne po sobie wspomnienie. Także po wyjściu z obozu kontynuowaliśmy pogadanki i dyskusje filozoficzne w większym gronie psychiatrów, psychologów i filozofów, spotykając się co kilka

tygodni w coraz to innych mieszkaniach, gdyż tak przyjemne były te spotkania.

Zima w r. 1940 była ciężka. Zwłaszcza ciężka była dla więźniów w obozach koncentracyjnych, niedożywionych, głodnych, wychudzonych, którzy na apelu obozowym musieli stać czasami godzinami w cienkich „pasiakach”. Wszyscy pod marynarkę wkładaliśmy gazety, które nie przepuszczały zimna. To było jednak surowo zakazane. Niosąc za starszego kolegę, jak to *Miodoński* stałe czynił, ciężki kocioł, wysunęła mu się spod marynarki gazeta. Zobaczył to gestapowiec, który — a widziałem to na własne oczy — zbił *Miodońskiego*.

Jestem przekonany, że wtedy, kiedy w koszuli musiał za karę „rulować” po śniegu, *Miodoński* zaziębł się. Dostał lekkiej gorączki, parcie na mocz i lekki krwimocz. Przyniosłem mu wtedy kilka pastylek aspiryny ze szpitala, który — nie wiem dlaczego — nazywano rewirem. Od tego czasu jednak cierpiał na częste, bolesne parcie na mocz i częste oddawanie moczu. Dziś wiemy, że od tego czasu właściwie nigdy nie pozbył się tych objawów, do których dołączyły się jeszcze od czasu do czasu występujące dreszcze. Ta długotrwała choroba *Miodońskiego*, najprawdopodobniej więc nabyta wówczas w obozie, wskazuje na *urosepsis* (zakażenie krwi na skutek zakażenia dróg moczowych). Źródła tej choroby wiążą się niewątpliwie z nieludzkim traktowaniem *Miodońskiego* przez gestapowca. Od obozu zatem ta straszna w skutkach choroba stopniowo, powoli, ale stale podcinała jego silną i zdrową naturę.

Wszyscy, którzy go poznali już po wojnie, stoją pod urokiem tego niecodziennego człowieka. My, jego koledzy z Sachsenhausen, kochaliśmy go szczerze, znając jego głębokie serce, serce oddane nauce, chorem i nieszczęśliwym. Wszyscy pamiętamy jego pogodny, jowialny charakter, jego czułość na nędzę ludzką, jego wrażliwość, mimo że te cechy nie zawsze kojarzą się z wielką i poważną wiedzą, surową nauką, pracowitością i wynalazczością w dziedzinie, w której pracował. *Miodoński* nie tylko był poważnym i wielkim uczonym, ale i bardzo wesołym, dobrym towarzyszem oraz człowiekiem o anielskim sercu. Tak go oceniamy my, jego współtowarzysze z obozu. Tak mało jest ludzi, o których się mówi, że nie mają wrogów. *Miodoński* był właśnie takim.

Mnie jako psychiatrę zawsze dziwiło u niego to, że w najtrudniejszych chwilach jego życia, które znam dobrze, a mianowicie w okresie przebywania w obozie był taki sam, jak zawsze, pełen pogody, radości życia i życzliwości dla innych. Nie wszyscy mogą być tacy. Dlatego nie zapominajmy o takich, jak on, ludziach i stawiajmy go jako prawdziwy wzór dla dzisiejszej młodzieży medycznej. Wspomnienie o *Miodońskim* musi się zakończyć słowami *Horacego*, który pisze, że tacy ludzie nie umierają całym jestestwem, gdyż pamiętać zawsze będziemy o ich czynach. *Non omnis moriar...*

Oskarżony *Hans Frank*, generalny gubernator w okupowanej Polsce, przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norymberdze w dniu 18 maja 1946 r.:

„Tysiąc lat przeminie i nie oczyści Niemiec z tej winy.”

(„Tausend Jahre werden vergehen und diese Schuld von Deutschland nicht wegnehmen.”)

Oskarżony *Baldur von Schirach*, hitlerowski przywódca młodzieży (Reichsjugendführer) przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norymberdze w dniu 18 maja 1946 r.:

„Jest moją winą, że wychowałem młodzież w oddaniu dla osobnika, który był mordercą milionów. Skoro jednak na gruncie polityki rasowej i antysemityzmu był możliwy taki Oświęcim, to Oświęcim musi być kresem polityki rasowej i końcem antysemityzmu.”

(„Es ist meine Schuld, dass ich die Jugend erzogen habe für einen Mann, der ein millionenfacher Mörder gewesen ist. Wenn aber auf dem Boden der Rassenpolitik und des Antisemitismus ein Auschwitz möglich war, dann muss Auschwitz das Ende der Rassenpolitik und das Ende des Antisemitismus sein.”)

Prokurator brytyjski *Mr. Elwyn Jones* przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norymberdze w dniu 8 stycznia 1946 r.:

„Od »Mein Kampf« prowadzi prosta droga do krematoriów Oświęcimia i komór gazowych Majdanek”.

(„Vom »Mein Kampf« führt der Weg direkt zu den Krematorien von Auschwitz und den Gaskammern von Majdanek.”)

Prof. dr *Franz Böhm*, członek „Bundestagu (CDU) na otwarciu wystawy „Warschauer Ghetto” w Paulskirche we Frankfurcie nad Menem w dniu 20 listopada 1963 r.:

„Tych zmariych będziemy opłakiwać i czcić, dopóki będzie istnieć naród niemiecki, państwo niemieckie i historia niemiecka.”

(„Wir werden diese Toten beklagen und ehren, solange es ein deutsches Volk, einen deutschen Staat und eine deutsche Geschichte gibt.”)

Demokryt:

„Niepamięć własnych przewin rodzi czelność”

ODDAJĄC CZWARTY ZESZYT POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM LEKARSKIM HITLEROWSKIEJ OKUPACJI DO RĄK CZYTELNIKÓW, REDAKCJA PROSI CZYTELNIKÓW O UWAGI DOTYCZĄCE PORUSZONEJ PROBLEMATYKI I UJĘCIA POSZCZEGÓLNYCH ZAGADNIEŃ. LISTY W TYCH SPRAWACH UPRASZA SIĘ KIEROWAĆ POD ADRESEM: PROF. DR. JÓZEF BOGUSZ. I KLINIKA CHIRURGICZNA, KRAKÓW, UL. KOPERNIKA 40.

SPIS TREŚCI PIERWSZEGO ZESZYTU

(Przegl. Lek. nr 1a 1961)

J. Bogusz: Słowo wstępne. — J. Sehn: Niektóre aspekty prawne tzw. eksperymentów dokonywanych przez hitlerowskich lekarzy SS w obozach koncentracyjnych. — W. Fejkiel: O służbie zdrowia w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. — S. Kłodziński: Wkład polskiej służby zdrowia w ratowanie życia więźniów w obozie koncentracyjnym Oświęcim. — J. Kowalczykowa: Choroba głodowa w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. — J. Kościuszkowa: Losy dzieci w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. — M. Nowakowska: „Szpital kobiecy” w obozie w Oświęcimiu-Brzezince. — R. Leśniak, J. Miłtarski, M. Orwid, A. Szymusik, A. Teutsch: Niektóre zagadnienia psychiatryczne obozu w Oświęcimiu w świetle własnych badań. — S. Kłodziński: Wyniki badań byłych więźniów Oświęcimia w kierunku gruźlicy płuc, przeprowadzonych w 15 lat po wyzwoleniu. — W. Denikiewicz, J. Kościuszkowa, J. Kowalczykowa, J. Mostowski, E. Opoczyński, D. Pytlik, T. Szymański: Sylwetki niektórych zmarłych polskich lekarzy i pracowników służby zdrowia zasłużonych w niesieniu pomocy więźniom Oświęcimia: M. Bobrzecka, M. Gieszczykiewicz, F. Gralla, S. Kościuszkowa, J. Kowalczyk, H. Krause, W. Kulesza, J. Malinowski, E. Michalikowa, W. Preiss, Z. Szawłowski, W. Türschmiedt, W. Werken-thin. — J. Bogusz: Słowo końcowe.

SPIS TREŚCI DRUGIEGO ZESZYTU

(Przegl. Lek. nr 1a 1962)

Do towarzystw lekarskich w kraju i za granicą. — J. Bogusz: Słowo wstępne. — J. Olbrycht: Sprawy zdrowotne w obozie koncentracyjnym w Oświęcimiu. — J. Sehn: Sprawa oświęcimskiego lekarza SS J. P. Kremiera. — T. Paczuła: Organizacja i administracja szpitala obozowego „KL. Auschwitz I”. — T. Szymański: Noma (rak wodny) w obozie cygańskim Oświęcim-Brzezinka. — S. Kłodziński: Próby biologicznego wyniszczenia narodu polskiego pod pozorem „walki z gruźlicą” w okresie okupacji hitlerowskiej (1939—1945 r.). — S. Kłodziński: Zbrodnicze eksperymenty z zakresu gruźlicy dokonywane w hitlerowskich obozach koncentracyjnych w czasie II wojny światowej. — A. Kępiński: Niektóre zagadnienia psychosocjologiczne masowych zbrodni hitlerowskich II wojny światowej. — A. Kępiński, M. Orwid: Z psychopatologii „nadludzi” (uwagi na marginesie autobiografii Rudolfa Hoessa). — A. Teutsch: Próba analizy procesu przystosowania do warunków obozowych osób osadzonych w czasie II wojny światowej w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. — M. Orwid: Uwagi o przystosowaniu do życia poobozowego u byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. — A. Szymusik: Poobozowe zaburzenia psychiczne u byłych więźniów obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu. — S. Kłodziński: Maria Stromberger.

SPIS TREŚCI TRZECIEGO ZESZYTU

(Przegl. Lek. nr 1a 1963)

Do towarzystw lekarskich w kraju i za granicą. — J. Bogusz: Słowo wstępne. — R. Waitz: Zmiany chorobowe u byłych więźniarek obozów koncentracyjnych. — T. Paczuła: Obóz i szpital obozowy w Oświęcimiu we wczesnych okresach istnienia. — A. Gawalewicz: Poczekałnia do gazu. Fragmenty wspomnień muzułmana. — S. Kłodziński: Fenol w KL. Auschwitz-Birkenau. — J. Bellert: Praca polskich lekarzy i pielęgniarek w szpitalu obozowym PCK w Oświęcimiu po oswobodzeniu obozu. — J. Miodoński: Kilka wspomnień o Sonderaktion Krakau 1939. — E. Erzeżicki: Socjopsychopatia a „Kazet-Lager” Sachsenhausen. — S. Skowron: Z pobytu w obozach koncentracyjnych. Refleksje biologa. — S. Kelles-Krauz: Wspomnienia lekarza z obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen. — W. Półtawska: Operacje doświadczalne w obozie koncentracyjnym Ravensbrück. — S. Sterkowicz: Obozowe sprawy życia i śmierci w retrospekcji lekarza. — S. Kłodziński: Niektóre zagadnienia deontologii lekarskiej w hitlerowskich obozach koncentracyjnych. — J. Olbrycht: Sprawy zdrowotne w tzw. Generalnym Gubernatorstwie. Orzeczenie wygłoszone w dniu 20. 5. 1948 r. przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w Krakowie w sprawie przeciwko dr Józefowi Bühlerowi, byłemu szefowi w tzw. rządzie GG. — S. Kłodziński: „Konferencja kry-nicka” lekarzy hitlerowskich w październiku 1941 r. — M. Ciećkiewicz: Ubezpieczalnia Społeczna w do-bie okupacji w tzw. Generalnej Guberni — J. Aleksandrowicz: Ludzie służby zdrowia w okupowanym i podziemnym Krakowie. — J. Mostowski: Zakłady prof. Bujwida dla wyrobu surowic i szczepionek w Kra-kowie i ich współpraca z Ruchem Oporu i obozami koncentracyjnymi.

